

JOSÉ CARLOS SOMOZA

Trzynasta dama

La dama número trece

Przełożyła
Bogumiła Wyrzykowska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2004



*Dla José Marii Montesino
i Conchity Jiménez.
I oczywiście dla Azahary*

O wy, jasnego zdolni rozeznania!
Patrzcie nauki, która z osłoniętej
Niezwykłe mowy tajną myśl wyłania...

DANTE, *Boska komedia, Piekło IX*
(przeł. Edward Porębowicz)

SPIS TREŚCI

Spis treści.....	4
I. Sen.....	5
II. Dom.....	19
III. Wejście.....	28
IV. Damy.....	53
V. Figurka.....	74
VI. Raquel.....	106
VII. Rauschen.....	124
VIII. Spotkanie.....	150
IX. Posiadłość.....	158
X. Przesłuchanie.....	176
XI. Chłopiec.....	194
XII. Przebudzenie.....	205
XIII. Trzynasta dama.....	250
XIV. Ostateczna Koniunkcja.....	282

I. SEN

Cień przemykał pomiędzy drzewami. Był to młody, długowłosy, ubrany niedbale mężczyzna, ale zarośla i noc nadawały mu formę bezcielesnej postaci. Kiedy dotarł do skraju gęstwiny, zatrzymał się. Po krótkiej przerwie, jakby niezbędnej do upewnienia się, że droga jest wolna, przeciął ogród, kierując się w stronę domu. Duży, z rzędem białych kolumn od frontu przypominającym perystyl. Mężczyzna wszedł po stopniach galerii i przekroczył próg domu z pełną spokojną naturalnością, ruszył korytarzem, nie zapalając światła, i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami pierwszej sypialni, po czym wyjął z kieszeni jakiś przedmiot. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Łóżko, zarys postaci pod prześcieradłem, miarowy oddech. Mężczyzna wślizgnął się jak mgła, łagodniej niż senny koszmar, podszedł do łóżka i zobaczył dłoń, policzek i zamknięte oczy śpiącej dziewczyny. Ostrożnie odsunął jej dłoń i zanim zdążyła się przebudzić, uniósł do góry delikatny podbródek, odsłaniając nagą szyję, punkciki pieprzyków, życie pulsujące pod skórą; oparł czubek przedmiotu tuż przy grdyce i wykonał lekkie precyzyjne pchnięcie. Ślady przypominające czerwone płatki towarzyszyły mu do następnej sypialni, zajmowanej przez drugą kobietę. Kiedy wychodził, miał dużo bardziej mokre dłonie; nie wytarł ich jednak. Wrócił tą samą drogą w poszukiwaniu schodów wiodących na górę.

Wiedział, że tam znajduje się jego prawdziwa ofiara.

Schody kończyły się korytarzem, długim, wyłożonym dywanem, ozdobionym klasycznymi popiersiami umieszczonymi na postumentach. Cień mężczyzny, w miarę jak je mijał, zasnuwał popiersia: Homer, Wergiliusz, Dante, Petrarca, Szekspir... milczący, uśmierceni w kamieniu, pozbawieni ekspresji jak ścięte głowy. Dotarł do końca i przeszedł przez gotownię - niczym fotograficzna odbitka wywołana w magiczny sposób intensywną, zieloną poświatą bijącą od akwarium, które stało na drewnianym podeście. Przedmiot przykuwał uwagę, ale mężczyzna nie zatrzymał się, by go obejrzeć. Otworzył dwuskrzydłowe drzwi obok akwarium i światłem latarki wy dobył zarys wieloramiennej lampy, kilku foteli i

łóżka z baldachimem, a na łóżku - niewyraźną postać. Gwałtowne szarpnięcie prześcieradła obudziło ją.

Była to młoda kobieta o bardzo krótkich włosach i szczupłej, niemal kruchej budowie ciała. Leżała naga. Kiedy się uniosła, brodawki jej drobnych piersi wycelowały w kierunku latarki. Światło oślepiło jej błękitne oczy.

Nie nastąpiła wymiana słów, nie rozległ się prawie żaden dźwięk.

Mężczyzna po prostu

nie

rzucił się na nią.

nie chcę

Na zewnątrz nadal trwała noc, noc sów obserwujących wszystko oczami jak złote krążki, noc cieni kotów na gałęziach. Gwiazdy tworzyły tajemniczy rysunek. Wokół, niby jakiś bóg zemsty, panowała przerażająca cisza.

W sypialni wszystko dobiegło końca. Ściany i łóżko zabarwiły się na czerwono, poćwiartowane ciało kobiety leżało porozrzucane na pościeli. Głowa oddzielona od korpusu opierała się na policzku. Z szyi wystawało coś, co przypominało zwiędłe rośliny zwisające z glinianej doniczki.

Cisza. Upływ czasu.

Nagle coś się dzieje.

Powoli, lecz zauważalnie głowa kobiety zaczyna się ruszać,

nie chcę śnić

odwraca się twarzą do góry, podnosi w niezdarnych konwulsjach i opiera na uciętej szyi. Oczy otwierają się szeroko

nie chcę więcej śnić

i zaczyna mówić.

- Nie chcę więcej śnić.

Lekarz, postawny mężczyzna o zadziwiająco białych włosach i brodzie, zmarszczył brwi.

- Po środkach nasennych nie przestanie pan śnić - przestrzegł.

Chwila przerwy. Długopis szybował w powietrzu, nie lądując na recepcie. Oczy lekarza obserwowały Rulfa.

- I zawsze jest to ten sam sen? Chce mi go pan opowiedzieć?

- Opowiedziany nie jest już tym samym.

- Proszę jednak spróbować.

Rulfo odwrócił wzrok, wierząc się na krześle.

- Jest skomplikowany. Chybabym nie potrafił.

W gabinecie zapanowała kompletna cisza. Pielęgniarka, trzepocząc rzęsami, skierowała czarne oczy na lekarza, ale ten nadal wpatrywał się w Rulfa.

- Od kiedy śni się panu to samo?

- Od dwóch tygodni, nie co noc, ale prawie zawsze.

- W związku z czymś, o czym pan wie?

- Nie.

- Nigdy pan nie miał takich snów?

- Nigdy.

Lekki szelest papieru.

- Salomón Rulfo. Interesujące imię...

- To wina rodziców - odparł Rulfo bez cienia uśmiechu.

- Rozumiem. - Lekarz, owszem, uśmiechnął się. Jego uśmiech był szeroki i miły, podobnie jak cała twarz. Trzydzieści pięć lat, pomyślał. Jeszcze bardzo młody... Kawaler. -

Co pan robi w życiu, panie Rulfo? To znaczy, czym się pan zajmuje?

- Od końca lata jestem bezrobotny. Z zawodu wykładowca literatury.

- Sądzi pan, że ta sytuacja wpływa na pana negatywnie?

- Nie.

- Ma pan przyjaciół?

- Kilku.

- A przyjaciółki? Dziewczynę?

- Nie.

- Jest pan szczęśliwy?

- Tak.

Chwila przerwy. Lekarz odłożył długopis na bok i potarł twarz. Miał duże pulchne

dłonie. Następnie powrócił do papierów i zamyślił się. Mężczyzna odpowiadał jak maszyna, jakby nic nie miało dla niego znaczenia. Może coś ukrywał, może te sny miały coś wspólnego z jakimś wydarzeniem, o którym wolał nie pamiętać, choć z pewnością chodziło tu tylko o senne koszmary. Ballesteros codziennie przyjmował chorych z dużo poważniejszymi problemami niż kilka nieprzyjemnych snów. Postanowił udzielić mu paru rad i zakończyć to jak najszybciej.

- Proszę posłuchać. Sny nie mają większego znaczenia klinicznego, ale są znakiem, że coś niedobrego dzieje się z naszym organizmem... albo z naszym życiem. Środki nasenne są nieskutecznym plastrem, zapewniam pana. Nie zapobiegną tym snom. Proszę postarać się mniej pić, nie chodzić spać bezpośrednio po jedzeniu i...

- Przepisze mi pan coś na sen? - przerwał Rulfo łagodnie, lecz ton jego głosu zdradzał zniecierpliwienie.

- Nie jest pan rozmownym człowiekiem - powiedział lekarz po krótkiej chwili.

Rulfo wytrzymał jego spojrzenie. Przez moment wydawało się, że jeden z nich chce coś dodać, podzielić się czymś z tym drugim. Ale sekundę później ich oczy powróciły na podłogę i do papierów na biurku. Długopis opadł i zaczął się ślizgać po recepcie.

Ulotka zalecała jedną tabletkę przed snem. Rulfo połknął dwie, popijając szklanką wody napełnioną w łazience. Z lustra patrzył na niego niezbyt wysoki, lecz dobrze zbudowany mężczyzna o kręconych, czarnych włosach i brodzie oraz słodkich, brązowych oczach. Salomón Rulfo podobał się kobietom. Był atrakcyjny pomimo niedbałego wyglądu. Dlatego też wyobraźnia dwóch czy trzech starsuszek z walącego się budynku, w którym mieszkał, pracowała nieustannie, przypisując mu dość mętłą przeszłość. Skąd się wziął ten młody człowiek, który z nikim nie rozmawia i prawie zawsze czuć od niego alkoholem? Wiedziały, że ma na imię Salomón (Boże mój, to dopiero nieszczęście), że upija się do nieprzytomności, że prowadzi się co jakiś czas z prostytutkami, że niecałe dwa lata temu kupił za gotówkę małe mieszkanie na trzecim piętrze, na lewo od schodów, i że mieszka sam. Mimo wszystko wolały jego sąsiedztwo niż imigrantów zajmujących pozostałe mieszkania w bloku na Lomontano, wąskiej, zapuszczonej uliczce w pobliżu Santa María Soledad, w centrum Madrytu. Największe pesymistki przepowiadały nawet, że „brodac” wcześniej czy później napędzi im strachu. I dodawały, jedna nachylona do ucha drugiej: „Wygląda na przestępcę”. „Jestem pewna, że to dobry człowiek”, broniła go dozorczyńni, nie kwestionując opinii na temat jego wyglądu.

Rulfo wyszedł z łazienki i zatrzymał się w jadalni, żeby dopić resztki *orujo*,

prehistorycznego prezentu urodzinowego od jego siostry, Luisy. Musi pamiętać, żeby kupić jutro butelkę whisky. Nie powinien sobie pozwalać na dodatkowy wydatek, ale niczego w życiu tak nie potrzebował jak whisky, zaraz po poezji i papierosach, oczywiście. Skierował się do sypialni, rozebrał i położył do łóżka.

Był sam pośród nocy, jak zwykle. Jego samotność nigdy nie była łatwa, lecz teraz przerażał go również ten koszmar. Nie miał pojęcia, co może znaczyć, a jego cykliczny automatyzm zaczynał go przytłaczać. Czuł, że chodzi o jakieś urojenie, fantazję wydobytą z bagna podświadomości; sen jednak powracał w sposób prawie niemożliwy do uniknięcia, noc po nocy, od ponad dwóch tygodni. Wiązał się z czymś? Z niczym, doktorze. Albo ze wszystkim. Zależy.

Jego życie sprzyjało złym snom, ale to najgorsze, d e c y d u j ą c e zdarzyło się dwa lata temu. Absurdem byłoby myśleć, że teraz przyszło mu płacić rachunek za tę odległą tragedię. Wtedy, po południu, w gabinecie na Chamberi kusilo go nawet (sam nie wiedział czemu), żeby zaufać komuś po raz pierwszy i zwierzyć się lekarzowi. Nie zrobił tego, oczywiście. Nie chciał też opowiedzieć mu tego kosmaru. Uważał, że w ten sposób uniknie niewygodnych pytań, a kto wie, może nawet bezpłatnego skierowania do szpitala dla wariatów. Wiedział, że nie jest szalony. Musiał tylko przestać śnić. Wolał zaufać tabletkom.

Zapalił lampkę na nocnym stoliku, wstał i postanowił, że zanim okryje go hipnotyczna fala - jak delikatny letni przypływ - poczyta coś wzniosłego. Przejrzał półki w sypialni. Podobnie jak w jadalni były wypełnione po brzegi. Także w kuchni, przy laptopie, leżały stosy książek. Czytał wszędzie i o każdej porze, ale tylko poezję. Staruszki z Lomontano nigdy by się nie spodziewały po tym mężczyźnie podobnej pasji, a przecież zrodziła się ona we wczesnej młodości Rulfa i nasiliła z upływem lat. Studiował filologię, a w lepszych czasach (kiedy to było?) wykładał historię poezji na uniwersytecie. Teraz, kiedy pograżył się w samotności, bez nieżyjącego już ojca, matki skazanej na długotrwałą jesień życia w domu starców i trzech sióstr rozproszonych po świecie, poezja stała się dla niego jedynym ratunkiem. Czepiał się jej ślepo, nieważny był dla niego autor ani nawet język. Nie musiał jej właściwie rozumieć - sprawiały mu przyjemność rytm wiersza i dźwięk słów, nawet jeśli były obce.

Georgiki. Wergiliusz. Wydanie dwujęzyczne. Jest. Wydobyl książkę ze stosu leżącego w pobliżu komputera, wrócił do łóżka, otworzył tom na chybił trafił i skierował wzrok na obfity potok łacińskich słów. Był całkowicie rozbudzony - podejrzewał, że niepokój nie pozwoli mu tak łatwo zasnąć, pomimo zastosowania środków farmakologicznych. Liczył jednak, że lekarz się myli i tabletki zapobiegą powtarzaniu się kosmaru.

Czytał. Na zewnątrz zamarł uliczny ruch.

Powieki zaczęły mu opadać, kiedy nagle usłyszał jakiś dźwięk.

Trwał bardzo krótko. Dobiegł z łazienki. Nie było dnia, żeby coś - jakiś gzyms czy półeczka - nie odpadło w tym nędznym mieszkaniu.

Westchnął, położył książkę na stole, wstał i powoli udał się w tamtym kierunku. Drzwi były otwarte, za nimi panowała ciemność. Wszedł do środka, zapalił światło. Nie zauważył nic szczególnego. Umywalka, lustro, mydelniczka z mydłem, muszla sedesowa, obrazek z tańczącymi arlekinami, metalowa półeczka... Wszystko na swoim miejscu.

Poza zasłoną przy wannie.

Nieprzezroczystą, kiepskiej jakości. Zdobila ją okazała napuszonosc czerwonych kwiatów. Ta sama od wieków. Miał wrażenie, że rozsunał ją ostatnim razem, kiedy stąd wychodził. Natomiast teraz była zasunięta.

Zaintrygował go ten fakt. Zastanawiał się, czy pamięć nie płata mu figla. Może sam ją zasłonił (choć nie wiedział, po co miałby to robić). Tak czy inaczej przypuszczał, że hałas spowodowany został przez coś, co spadło do wanny. Mogła to być buteleczka żelu. Wyciągnął rękę, żeby to sprawdzić, gdy nagle coś go powstrzymało.

Jakiś niewytłumaczalny, prawie nieistniejący, prawie wirtualny strach zmroził mu żołądek i postawił włoski na skórze jak mikroskopijną palisadę. Wiedział jednak, że zdenerwował się bez żadnego konkretnego powodu.

To absurd, to nie jest sen. To jawa, mój dom, za tą zasłoną nie ma nic poza wanną.

Ponowił ruch, przekonany, że wszystko będzie jak dawniej, że zobaczy jakiś przedmiot, butelkę żelu na przykład, a kiedy się już co do tego upewni, wróci do sypialni, środki nasenne zaczną działać i uda mu się przespać całą noc, aż do świtu. Rozsunął zasłonę z absolutnym spokojem.

Nic nie zauważył.

Żel stał na swoim miejscu na półce, obok szamponu. Obie butelki tkwiły tam od miesięcy: Rulfo nie przesadzał bowiem z higieną osobistą. Nic nie spadło. Pomyślał, że hałas musiał pochodzić z innego mieszkania.

Wzruszył ramionami, zgasił w łazience światło i wrócił do sypialni. Na jego łóżku leżało rozczłonkowane ciało martwej kobiety: wpatrywała się w niego mlecznymi oczyma, ścięta głowa spoczywała na piersiach, z wilgotnymi włosami w kolorze tarniny, jak upierzenie wydrzyka, i dżdżownicą krwi uciekającą z kącików zeszywniałych ust.

- Pomóż mi... Akwarium... Akwarium...

Rulfo odskoczył do tyłu, zdrętwiały ze strachu, uderzając się łokciem o ścianę.

krzyk

Nie śnił, był całkowicie przytomny, w swojej sypialni, a zraniony łokieć zabołał.
Zamknął oczy

krzyk, ciemność

i otworzył je ponownie, ale zwłoki kobiety nadal tam były (pomóż mi), przemawiające z rzeźni poćwiartowanego ciała (akwarium) na prześcieradle.

Krzyk. Ciemność.

Obudził się zlany potem. Leżał na podłodze, na ściągniętej z łóżka pościeli. Spadając, uderzył się w łokieć. Ścisnął w ręce wymięte dzieło Wergiliusza.

- Teraz jest jeszcze gorzej.

- Tym razem nie będzie środków nasennych, jeśli chce pan odejść, może pan to zrobić - stwierdził pompatycznie doktor Eugenio Ballesteros. Ale jego mina nie wyrażała niezadowolenia, raczej pewnego rodzaju błogostan. - Gdyby jednak zdecydował się pan w końcu opowiedzieć mi swój sen, być może...

Ballesteros był wysoki i dobrze zbudowany, miał szerokie ramiona, imponującą głowę z kapturem siwych włosów i o ton jaśniejszą bródkę. Nie był zły na Rulfa, chociaż ten przyszedł znowu następnego dnia po południu, pod sam koniec wizyt, niespodziewanie, nie umawiając się wcześniej. Poza Ballesterosem nie przyjmował już żaden specjalista, przychodnię wkrótce zamykano. Zwolnił nawet swoją pielęgniarkę. Ale jemu samemu się nie spieszyło. Miał ochotę porozmawiać chwilę z tym tak bardzo intrygującym go osobnikiem.

Rulfo opowiedział mu sen ze szczegółami: opisał dom z białym perystylem, mężczyznę przedzierającego się przez ogród i wchodzącego do środka, śmierć kobiet na parterze (najprawdopodobniej pokojówek), brutalne morderstwo kobiety na piętrze i tę straszną końcową scenę z poruszającą się i mówiącą głową.

- Wczoraj śniło mi się, że widzę ją w moim własnym mieszkaniu, martwą, na łóżku. I ciągle mówi to samo, żebym jej pomógł. I ciągle wspomina o akwarium. Wiem, że chodzi jej o akwarium z zieloną poświatą, które stoi w przechodnim pokoju na drewnianym podeście... - Zęby Rulfa odgryzły zadartą skórę u kciuka. - To wszystko. Chciał pan poznać mój koszmar? Już go pan zna. Teraz proszę mi pomóc. Potrzebuję czegoś silniejszego, co pozwoli mi przespać całą noc.

Ballesteros przyglądał mu się uważnie.

- Był pan kiedyś w takim domu? Widział pan wcześniej tego mężczyznę? A tę kobietę? - Rulfo zaprzeczył. - Wiąże pan to z jakąś historią, która przytrafiła się komuś znajomemu?

- Nie.

- Salomonie - powiedział Ballesteros po chwili milczenia. Po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. Rulfo spojrzał nań zaskoczony. - Będę z panem szczerzy. Nie jestem psychiatrą ani psychologiem, tylko lekarzem pierwszego kontaktu. Mógłbym rozwiązać pana problem w prosty sposób: wystarczyłoby skierowanie do specjalisty, z długim oczekiwaniem na pierwszą wizytę, naturalnie, lub przepisanie mocniejszego środka nasennego. I miałbym święty spokój. Sprawa załatwiona. Przyjmuję zbyt wielu pacjentów, nie mam czasu na koszmary. Niemniej pozwolę sobie zauważyć, że ludzkie ciało również nie traci czasu. Każdy symptom ma swoją przyczynę, swoje źródło. Nawet koszmary są potrzebne, żeby maszyna mogła funkcjonować. - Uśmiechnął się i zmienił ton. - Wie pan, jak mawiał o nich mój kolega...? Gazy mózgu. Pierdnięcia umysłu, jednym słowem. I, proszę mi wybaczyć wulgarność, swego rodzaju niestrawione odpady. Ale te sny nie mają znaczenia. Dzięki nim wyrzucamy z siebie wszystko, co niepotrzebne... Przykładowo: mówi pan, że nie zna tego domu z białymi kolumnami ani tej kobiety. I ja panu wierzę, możliwe, że się pan nie myli. Może gdzieś pan to widział, a teraz pana umysł odtwarza ten obraz. No i jeszcze to akwarium. Miał pan kiedyś akwarium?

- Nigdy.

Rulfo opuścił wzrok i pogrążył się w myślach. Ballesteros skorzystał z okazji i rzucił okiem na zegarek. Powinien kończyć, gabinet należało zamknąć. Postanowił się jednak wstrzymać. W domu i tak nikt na niego nie czekał. Poza tym ten pacjent zaczynał go interesować. Fakt, że tu jest i zdecydował się mówić, mimo że robił wrażenie skrytego i małowównego, świadczył jego zdaniem o nagłej potrzebie zaufania komuś. Pomyślał, że jedyną pomocą, jakiej mógł mu udzielić, była rozmowa.

- Wczoraj wspominał pan, że mieszka sam i nie ma zbyt wielu przyjaciół... Spotyka się pan z jakąś dziewczyną?

- Tak naprawdę - powiedział nagle Rulfo - przyszedłem po silniejszy środek nasenny. Nie będę zabierał panu więcej czasu. Miłego dnia.

Tu go boli, stwierdził Ballesteros. Zobaczył, jak Rulfo unosi się z krzesła, i wtem coś go tknęło. Nabral niezachwianej pewności, że nie może pozwolić mu odejść, że jeśli nie zareaguje, obaj - i pacjent, i on - będą straceni. Ballesteros miał pięćdziesiąt cztery lata i wiedział już, że czasem wszystko zależy od jednego słowa wypowiedzianego w odpowiedniej chwili. Nie znał przyczyny tej osobliwej natury życia, ponieważ zbawienne słowo nie zawsze było najbardziej trafne czy logiczne, lecz tak właśnie było. Postanowił zaryzykować.

Rulfo wyciągał już rękę po książkę pozostawioną na biurku, ale lekarz sięgnął po nią pierwszy.

- *Antologia poezji Cernudy...* Do diaska! Lubi pan poezję?

- Bardzo.

- Jest pan poetą?

- Trochę pisałem. Byłem wykładowcą, mówiłem już panu.

- Skoro pisze pan wiersze, jest pan również poetą, prawda? - Rulfo skrzywił się nieznacznie, a Ballesteros kontynuował: - Przyznaję, że nie byłbym w stanie przez to przebrnąć. Spotkać kogoś, kto czytuje poezję, to prawdziwa rzadkość, nie uważa pan? Niech sam pan powie, kogo dzisiaj interesuje poezja? Chociaż moja żona ją lubiła. Może nie tak do końca, ale na pewno bardziej niż ja...

Mówił, kartkując książkę, jakby nie zwracał się do Rulfa. Kątem oka dostrzegł jednak, że ten nie rusza się z miejsca. Nie wiedział, czy go słucha, czy nie, lecz to było bez znaczenia: uchylił drzwi, przez które mężczyzna mógł wyjrzeć ze swojego wnętrza; a jeśli odrzuci zaproszenie, to już jego sprawa. Mówił dalej, jakby był sam.

- Jestem wdowcem. Moja żona nazywała się Julia Fresneda. Cztery lata temu zginęła w wypadku samochodowym. Ja prowadziłem, wyszedłem z tego bez szwanku... i widziałem, jak umierała. Przez prawie trzydzieści lat byliśmy szczęśliwym małżeństwem, mam troje dorosłych samodzielnych dzieci. Nasz związek nie był poetyczną gwałtowną namiętnością (też mi określenie!), tylko spokojną bezpieczną radością, jak pewność, że rano znowu wszędzie słońce. Od kiedy zginęła, męczą mnie sporadycznie koszmary, choć - co podkreślam - ona nigdy się w nich nie pojawia. Czasem są to ptaki próbujące mnie oślepić, czasem gwiazdy zmieniające się w oczy potwora... Nigdy Julia. Jej bym się nie bał, biedactwa, ale to właśnie jej śmierć przywołuje takie sny. Proszę mi wierzyć, to pierdnięcia umysłu. Nie mają żadnego znaczenia - oświadczył, chociaż wydawał się bardzo poruszony.

Zapadła cisza. Rulfo usiadł z powrotem. Ballesteros podniósł wzrok znad książki i spojrzał na niego.

- W panu też coś jest. To się rzuca w oczy... Kiedy zobaczyłem pana wczoraj po raz pierwszy, wiedziałem, że pan, podobnie jak ja... Przepraszam, jeśli się mylę... Wiedziałem, że ciąży panu jakieś złe wspomnienie... Nie chcę, żeby pan o nim mówił, chcę tylko powiedzieć, że koszmary mogą być jego wynikiem. I zapewniam pana, że nie ma znaczenia, ile czasu upłynęło: tragedie są zawsze młode.

Nagle świat wokół Rulfa zaczął się rozplýwać: postać Ballesterosa, biurko, lampa, leżanka, aparat do mierzenia ciśnienia,

padało

schemat ludzkiego ciała wiszący na ścianie. Wszystko stało się ciemne, wodniste. Poczuł, że twarz mu płonie, a gardło ogarnia piekący żar. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Zanim zrozumiał, już opowiadał.

- Nazywała się Beatriz Dagger. Dagger przez dwa „g”. Poznaliśmy się cztery lata temu.

padają uporczywie

- Zmarła dwa lata temu...

Padają uporczywie.

Przez szerokie okno sypialni Rulfo dostrzegał odległy blask gwiazd, widoczny przez strugi deszczu. Beatriz wspominała coś o współzależności pomiędzy deszczem a gwiazdami, ale nie mógł sobie przypomnieć. Przynosiły szczęście czy pecha? Doskonale pamiętał natomiast pocałunek, który złożyła na jego czole przed wyjściem: chłodny w porównaniu z trawiącą go gorączką, niemal matczynej. I jej słowa: „Kiepsko wyglądasz”. Tak powiedziała, użyła tego właśnie zwrotu. Miał o siebie dbać podczas jej nieobecności, która nie potrwa długo. Musiała jechać do Paryża przewertować kilka „opastych tomów” na temat, na jaki pisała pracę magisterską: coś związanego z ewolucją lękowych reakcji na rozmaite bodźce. Chodziło o nic nieznaczącą, najwyżej trzydniową podróż. W poprzednim miesiącu towarzyszył jej do Louvain. I do Florencji. Starali się nie rozstawać. Jednak tego listopadowego dnia Rulfa dopadło silne przeziębienie, więc kiedy mimo wszystko nalegał, żeby z nią jechać, Beatriz wydeła z niezadowoleniem wargi.

- Nic z tego. Kiepsko wyglądasz. Zostajesz w domu. Niedługo wrócę i zajmę się tobą.

To była pierwsza noc (o ile dobrze pamiętał, a chyba się nie mylił), której nie spędzili razem, od kiedy się znali. Pomyślał o tym i nagle skojarzył sobie datę, i żałował, że nie uświadomił sobie tego wcześniej: z trudem zapanował nad pokusą, żeby zadzwonić do niej do Paryża i powiedzieć jej o tym, ale było późno i nie chciał jej budzić.

Owego dnia mijały dwa lata, od kiedy po raz pierwszy się zobaczyli.

Miało to miejsce podczas przyjęcia, jakie urządził, żeby oblać swoje nowe mieszkanie w Argüelles. Przyszli wszyscy jego przyjaciele i wielu znajomych, nawet jego siostra Emma - mieszkająca w Barcelonie z jakimś młodym malarzem - która przejazdem znalazła się w Madrycie. Rulfa cieszyło, że przyjmuje u siebie tyle osób, choć nieobecność jego przyjaciółki, Susany Blasco, była boleśnie zauważalna. Susana mieszkała już jednak z

Cesarem i Rulfo nie widział jej od wielu miesięcy. Mimo wszystko był w dobrym humorze, otwarty na każdą nową propozycję. Nie podejrzewał nawet, jakiego rodzaju sposobność nadarzy mu się niebawem.

Potem śmiali się nieraz (ten kryształowy śmiech, który wydawał się tryskać z jej ust), że winę za wszystko ponosi Kupidyn. W lśniącym od nowości salonie znajdowało się kilka rzeźb, jedna z nich, ustawiona na regale, przedstawiała małego Kupidyna z napiętym łukiem i strzałą skierowaną w powietrze - był to prezent od Emmy lubującej się w sztuce klasycznej. Z jakiegoś powodu Rulfo, wcześniej wypełniający z przyjemnością obowiązki gospodarza, zatrzymał się na chwilę, podziwiając ów przedmiot, i nieświadomie spojrzął w kierunku wskazywanym przez strzałę. Zauważył wytyczoną precyzyjnie linię, pusty przesmyk pomiędzy gośćmi kończący się na postaci stojącej do niego tyłem. Kupidyn mierzył prosto w nią. Wysoka dziewczyna, w beżowej marynarce, o ciemnokasztanowych włosach zebranych w koński ogon trzymała w ręku szklankę. W zamyśleniu przyglądała się jego kolekcji tomików poezji.

Najpierw zastanowił go fakt, że nie może sobie przypomnieć, czy ją zna. Zaintrygowany podszedł do niej. Wtedy się odwróciła. Popatrzyli na siebie z uśmiechem, przedstawił się pierwszy.

- Nie znamy się - powiedziała Beatriz głosem, który potem usłyszy nieraz, wypełniając nim wszystkie laguny ciszy. - Dopiero co przyszedłam. Jestem koleżanką koleżanki jednego z twoich kolegów... Dowiedziałam się o przyjęciu i postanowiłam się przyłączyć. Nie przeszkadza ci to?

Nie przeszkadzało. Miała dwadzieścia dwa lata, była córką Niemca i Hiszpanki i nie miała innych bliskich. Skończyła socjologię w Madrycie, teraz pisała pracę magisterską. Szybko odkryli, że bardzo wiele ich łączy, między innymi zamiłowanie do poezji. Dwa miesiące później opuściła swoje małe studenckie mieszkanie dzielone z koleżanką i wprowadziła się do Rulfa. Przeczytała mu list, jaki napisała do swoich rodziców mieszkających w Niemczech, w którym zawiadamiała, że poznała „najlepszego mężczyznę na świecie”. Od tej chwili szczęście zapanowało w ich życiu.

Myślał o owym Kupidynie, kiedy zadzwonił telefon. Wzdrygnął się. Gorączka podskoczyła. Za oknem przestało padać, znikły również gwiazdy.

Telefon dzwonił.

W jakiś sposób przeczuwał, że ten telefon odmieni całkowicie jego los.

Podniósł słuchawkę drżącą ręką.

- Jej rodzice podali mój numer telefonu i poprosili, żeby przekazać mi wiadomość. Był to ktoś z ambasady w Paryżu. Powiedział, że wszystko stało się szybko. - Uniósł wzrok i spojrzał na lekarza. - Poślizgnęła się w wannie w hotelowej łazience, uderzyła w głowę i straciła przytomność... Wanna była pełna, utopiła się. Romantyczna śmierć, prawda?

- Śmierć jest zawsze prozaiczna - odparł Ballesteros, nie reagując na sarkazm rozmówcy. - Romantycznie jest żyć dalej. Ale czy zwrócił pan uwagę na szczegóły? Wanna, akwarium...

- Owszem. Właśnie sobie przypomniałem, że wczoraj, zanim zobaczyłem tę martwą kobietę, śniło mi się, że słyszę hałas dobiegający z wanny.

- Rozumie pan teraz, dlaczego mówię o „niestrawionych odpadach” umysłu? Wanna i akwarium to jedno i to samo: przestrzeń wypełniona wodą. Mamy drugą połowę października, w przyszłym miesiącu miną dokładnie dwa lata od śmierci tej dziewczyny, pana umysł zaczął już na własną rękę obchodzić rocznicę. Proszę nie pozwolić, żeby to pana zniszczyło. Za to, co się stało, nie ponosi pan żadnej winy, nawet jeśli pan w to nie wierzy. Oto demon, którego należy wypędzić w pierwszej kolejności: nie jesteśmy niczemu winni. - Rozłożył swoje wielkie ręce, obejmując nimi w powietrzu niewidzialną przestrzeń. - Odeszły, Salomonie, to wszystko, co wiemy. Naszą powinnością jest pożegnać się z nimi i podążać dalej.

W zapadłej ciszy Rulfo po raz pierwszy poczuł, jak wilgotnieją mu policzki. Wytrzeł je rękawem marynarki i podniósł się.

- Zgoda. Nie będę więcej sprawiał panu kłopotu.

- Niech pan nie zapomni książki - rzucił Ballesteros. - I proszę przychodzić, kiedy pan zechce. To żaden kłopot.

Podali sobie ręce. Rulfo bez słowa opuścił gabinet.

Jeszcze przed powrotem do mieszkania na Lomontano uświadomił sobie, że dawno nie czuł się równie lekko. Może po prostu potrzebował z kimś porozmawiać, tak jak z Ballesterosem. Od śmierci Beatriz jego samotność potęgowała się: porzucił pracę, sprzedał mieszkanie w Argüelles i zerwał kontakty z przyjaciółmi. Jedyne César i Susana dzwonili do niego od czasu do czasu, ale po tym wszystkim, co między nimi zaszło, trudno było odbudować dawną przyjaźń.

Odeszły. Naszą powinnością jest pożegnać się z nimi i podążać dalej.

Impulsywne decyzje stanowiły cechę jego charakteru. Poszuka stałej pracy. Aż do owej chwili niemożliwa do pokonania apatia nie pozwalała mu zmierzyć się z tym problemem

z odpowiednią energią. Był jednak pewny, że jeśli już to sobie postanowi, znajdzie pracę na miarę swoich umiejętności. Niewielkie pieniądze odziedziczone w spadku po ojcu topniały szybko, a ze sprzedaży mieszkania nic mu już nie pozostało, sama zaś myśl, żeby pożyczyć pieniądze od sióstr, napawała go niesmakiem. Należało coś zrobić, lecz aż do tego dnia nie znalazł na to sił. Teraz poczuł nowy przypływ energii.

Odeszły, to wszystko, co wiemy.

Resztę popołudnia spędził na szlifowaniu swojego życiorysu w komputerze: opracował kilka wersji. Potem zamierzał wykonać parę telefonów, ale zerknął na zegar i pomyślał, że lepiej odłożyć to do jutra. Wziął prysznic, odgrzał tortillę, której rano prawie nie tknął, i zjadł ją z apetytem. Położył się i włączył telewizor. Postanowił nie brać tabletek nasennych, choć miał ich jeszcze kilka w zapasie: usnie przy telewizji, a jeśli koszmar powróci, jakoś to przetrzyma. Znał już jego źródło, więc nie martwił się nim tak bardzo.

Manipulował pilotem, dopóki nie trafił na film. Początkowo wydał mu się nawet interesujący, lecz później szybko go znudził. Wyłączył dźwięk. Usnął w trakcie sceny, w której wydłużony światłem księżycy bohater przedziera się przez gąszcz jałowców. Nie wiedział, o której się obudził, ale było jeszcze ciemno. Film się skończył, telewizor nadal emitował milczące obrazy, tym razem z jakiejś debaty siedzących w kręgu osób. Zdał sobie sprawę, że sen się nie powtórzył, i uznał to za przejaw powrotu do normalności. Odwrócił się, żeby sprawdzić godzinę na zegarze i w tym momencie jego wzrok padł na ekran telewizora.

Obraz się zmienił. Nie było już osób siedzących w kręgu, ich miejsce zajął nocny krajobraz z mężczyznami w policyjnych mundurach kręcących się tu i tam, oraz reporterka, która mówiła coś do mikrofonu.

A w głębi widniał dom z białym perystylem.

II. DOM

Tego popołudnia gabinet pękał w szwach. Ballesteros nie zdążył przyjąć nawet połowy umówionych pacjentów. Właśnie pożegnał jednego i czekał na wejście kolejnego, kiedy usłyszał gwałtowne odgłosy protestów. Drzwi się otworzyły i wkroczył „człowiek od koszmarów”, jak nazywała go pielęgniarka Ana, ubrany z charakterystyczną dla siebie niedbałością. Pod oczami malowały mu się wyraźne sińce. Stał naprzeciw Ballesterosa i rzucił bez ogródek:

- Produktem pierdnieć umysłu bywa czasem czyste gówno. Przepraszam za porównanie, ale to pan pierwszy je zastosował.

Lekarz zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- Co to ma znaczyć?

- Dom, który mi się śnił, jest prawdziwy. Zbrodnia również.

Przez uchylone drzwi zagniewane głosy groziły złożeniem doniesienia i udaniem się na skargę do dyrekcji przychodni. Ana patrzyła na lekarza, lecz ten najwyraźniej zamknął się we własnym świecie, do którego dostęp miał tylko on i ten młody brodaty człowiek.

- Skąd pan wie?

- Widziałem go. Mogę to panu udowodnić.

Ballesteros odchylił się na krzesło i odetchnął głęboko.

- Proszę posłuchać. Przede mną jeszcze godzina pracy. Może przyjdzie pan później, powiedzmy... za godzinę i dziesięć minut, i wtedy porozmawiamy spokojnie?

Mężczyzna wpatrywał się w niego przez chwilę. Potem bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł. Godzinę i dziesięć minut później rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział Ballesteros, który właśnie pożegnał się z pielęgniarką.

- Przykro mi, że zakłóciłem dziś panu pracę - wymruczał mężczyzna, nieco skrepowany, stając w drzwiach.

- Nie szkodzi. Wygląda pan fatalnie. Wciąż męczą pana koszmary?

- Nie, ale prawie wcale nie spałem. Całą noc spędziłem przed komputerem.

- Proszę usiąść i opowiedzieć wszystko po kolei.

Rulfo położył na biurku niewielką teczkę. Ballesteros zastanawiał się przez chwilę - tylko przez chwilę - czy ten mężczyzna, któremu nadal ufał, nie jest czasem umyślowo chory.

W czasie swojej praktyki miał do czynienia z podobnymi przypadkami.

- Dom znajduje się tutaj, w Madrycie, na obrzeżach miasta.

- Skąd pan wie, że to ten sam dom?

- To jest ten sam dom.

Fakty

- Był pan tam?

- Jeszcze nie.

- W takim razie gdzie go pan widział?

fakty były następujące

Rulfo otworzył teczkę i wyjął kilka wydrukowanych kartek. Przesunął je w kierunku Ballesterosa.

- Zebrałem informacje. Uprzedzam, szczegóły są nieprzyjemnie.

- Przywykłem do nieprzyjemnych szczegółów. - Ballesteros wsunął na nos okulary.

Fakty były następujące.

W nocy, dwudziestego dziewiątego kwietnia, dwudziestodwuletni M.R.R.

Zdjęcia.

po wtargnięciu na teren posesji pod numerem trzecim w alei Kasztanowej, należącej do

Zdjęcie ofiary.

Uśmiech.

Dom z białymi kolumnami.

Prawie wszystkie notatki zostały ściągnięte z Internetu, jakość wydruku była średnia. Ale tekst uzupełniał obszernie to, co ukrywały zdjęcia. Skonfundowany Ballesteros spojrzął na Rulfa ponad okularami.

- Chyba sobie przypominam. Przerazająca zbrodnia, jak wiele innych. I co z tego?

- To zbrodnia, o której śnię od dwóch tygodni.

- Mógł się pan o niej dowiedzieć. Tutaj jest napisane, że miała miejsce w nocy, dwudziestego dziewiątego kwietnia tego roku. Nie minęło nawet sześć miesięcy. Mówili o tym w telewizji.

- Nie oglądam wiadomości. Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałem, dopóki nie zacząłem o tym śnić.

Ballesteros szarpał brodę w zamyśleniu, po czym wskazał na jedno ze zdjęć.

- To ona?

- Tak. To kobieta, która mi się śni. Ta, która prosi o pomoc. Nazywała się Lidia Garetti. Włoszka, trzydzieści dwa lata, bogata, samotna, mieszkała w Madrycie od dawna. Nie znam jej. Nigdy wcześniej jej nie widziałem i nigdy o niej nie słyszałem.

Rulfo wpatrywał się uporczywie w Ballesterosa, jakby chciał go sprowokować do okazania nieufności. Fala dreszczy - lekki przedsmak przerażenia - przebiegła po plecach i karku lekarza jak hordy mrówek. Znowu zaczął się zastanawiać, czy ten osobnik jest przy zdrowych zmysłach, czy nie chodzi tu o jakiś żart albo chorobliwą obsesję zwykłego maniaka. Ale jednocześnie coś podpowiadało, że powinien mu zaufać: może to kasztanowe spojrzenie, które zdradzało dużo większy strach niż ten, który on sam był w stanie odczuć.

- A chłopaka, który ją zamordował? - Wskazał na kolejne zdjęcie.

- Jego również nigdy nie widziałem. Nazywał się Miguel Robledo Ruiz, był narkomanem, karany wcześniej za drobne kradzieże.

- Ciekawe, co go nagle popchnęło do popełnienia takiego makabrycznego czynu... - wyszeptał Ballesteros. - Może zwariował. A co pan myśli o akwariu z zieloną poświatą?

Rulfo pokręcił przecząco głową.

- Nikt o nim nie wspomina.

- Skąd pan zdobył tyle informacji?

- Zobaczyłem ten dom w telewizji. Wczoraj wieczorem, zupełnym przypadkiem. Toczyła się debata na temat zła, którą zilustrowano przykładami zbrodni z ostatnich lat. Zadzwoiłem do stacji nadającej program i podano mi kilka nazwisk. Potem poszperałem w sieci. To było wyjątkowo drastyczne zabójstwo, doszło do niego niedawno, więc miałem dostęp do wielu danych.

- W każdym razie zbrodnia została wyjaśniona, winny nie żyje, podobnie jak jego ofiary. Tu jest tak napisane. - Ballesteros oparł gruby palec na kartkach. - Robledo, po spaleniu w ogrodzie rozczłonkowanego ciała tej biednej Włoszki, podciął sobie żyły... Policja

znalazła jego zwłoki, razem z ciałami służących i spopielonymi resztkami właścicielki... Nie miał współników, nic więcej nie da się zrobić... Dlaczego...? - Przerwał nagle, świadom, że właśnie szykował się do postawienia zupełnie nielogicznego pytania, czegoś na kształt: „Dlaczego ta kobieta miałaby prosić pana o pomoc?”. - Nie, nie. Jestem pewny, że to wszystko można wyjaśnić w jakiś prosty sposób...

Zdjął okulary i przetarł oczy. Przez okno wpadało szarawe światło. Drzwi gabinetu otworzyły się i jeden ze strażników zawiadomił, że przychodnia zostaje zamknięta. Grymas na twarzy lekarza oznaczał, że przyjął ten fakt do wiadomości. Kiedy zostali sami, zapytał:

- Dlaczego pan mi to opowiada?

Rulfo wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może to swego rodzaju *do ut des*: daję, abys i ty mi dał... Może pan to nazwać wzajemnością. Wczoraj mi pan pomógł, mówiąc, że moje koszmary są skutkiem złych wspomnień. Ja chcę pomóc panu dzisiaj, wyjaśniając, że złe wspomnienia nie tłumaczą wszystkiego. I tyle. Wiem, że mi pan nie wierzy, ale jest mi to obojętne.

Ballesteros przyglądał mu się przez chwilę. Potem stuknął skuwką długopisu o stół, jakby podjął jakąś decyzję.

- Muszę już iść, ale wieczór mam wolny. Może zobaczymy ten dom z bliska? Co pan na to? Podano adres...

Stwierdził z rozbawieniem, że tym razem nie on poczuł się zaskoczony.

- Miałem zamiar tam pojechać, tylko...

- Pojedziemy razem. Weźmiemy mój samochód. - Uśmiechnął się na widok miny Rulfa. - Może pan to nazwać wzajemnością - dodał.

Jechali w milczeniu. Rulfo otworzył usta tylko po to, żeby zapytać, czy może zapalić, i żeby od czasu do czasu, zerkając na plan, prowadzić lekarza przez zawiły labirynt pustych, topolowych alejek. Ballesteros pomyślał, że poza tym osobliwym tematem, który ich połączył, nie mają właściwie o czym mówić. Panująca cisza pozwalała mu wszakże oddać się rozmyślaniom. W przeciwieństwie do Rulfa uważał się za rozsądnego. Był zdumiony zarówno łatwością, z jaką zaufał temu nieznanemu, jak i ekscentrycznością swojego własnego, nieoczekiwanego pomysłu, żeby odwiedzić ten dom. W odniesieniu do pierwszego zagadnienia całe jego zawodowe doświadczenie utwierdzało go w przekonaniu, że Rulfo nie jest szalony i nie kłamie. Mógł zostać oszukany, ale nikogo nie usiłował oszukać: jego bladość była autentyczna i sprawiał wrażenie równie zdezorientowanego, równie przybitego niezrozumiałością sytuacji jak on sam. Jeśli zaś chodzi o pomysł odwiedzenia tego domu...

cóż, podejrzewał, że mimo swojego wieku nadal jest w stanie zaskoczyć samego siebie.

Osiedle leżało na obrzeżach miasta. Nazwy uliczek przywodziły na myśl świat bajek: ulica Wiązowa, alejka Araukarii... Ale okolica, pomimo zieleni i ciszy, zadawała kłam tym pozorom: potężne mury, kraty, strażnicy, alarmy i kamery otaczały wszystko, chroniąc domy przed ludzkim wzrokiem. Ukrywano je w różnoraki sposób: te mniejsze zaledwie trochę, duże zaś tak, że stawały się prawie niewidoczne, jakby izolacja była większym luksusem niż najbardziej skomplikowany system monitorujący.

Aleja Kasztanowa okazała się szeroką, wyścieloną liśćmi drogą, rzeczywiście wysadzaną kasztanami. Wieczne światło zamierało, kiedy Ballesteros parkował swoje volvo przed numerem trzecim. Była to ostatnia posesja na ulicy, usytuowana tak, że tworzyła na jej krańcu swego rodzaju skwerek. Znacznej wysokości mur i masywna metalowa brama skutecznie zniechęcały ciekawskich. Podmuchy wiatru poruszały jej skrzydłami, szarpiąc nimi lekko jak strunami cytry. Gdzieś zaszczekał duży pies, może jakiś dog.

- Jesteśmy - powiedział Ballesteros bez potrzeby. Wysiadł z samochodu i razem z Rulfem podszedł do bramy. - Którędy ten Robledo zdołał tu wejść?

- Wszystko wskazuje na to, że przeskoczył bramę, a potem włamał się przez okno. Lidia Garetti nie zainstalowała alarmu.

- Bogata, ale mało przezorna kobieta.

Ballesteros odnotował, że brama była dokładnie zamknięta, po czym rozejrzał się: wokół żywej duszy. Nacisnął guzik domofonu i czekał na reakcję, bez skutku. Na szczęście, pomyślał, nie miał bowiem pojęcia, jakiej odpowiedzi mógłby udzielić domniemanemu głosowi. Na kamiennym kwadracie obok bramy, pięknie ozdobionym niebieską terakotą, widniała trójka, a poniżej - małymi czarnymi wersalikami na białych płytkach - wypisano jakieś słowa. Rulfo wskazał na nie.

- LASCIA TE OGNI SPERANZA. To znaczy: „Żegnaj się z nadzieją”. To jeden z wersów, jakie Dante umieścił u wejścia do Piekła. Pełna wersja brzmi *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate*: „Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją”.

- Niezbyt trafnie wybrane motto dla tak pięknego domu.

- Dla Lidii Garetti okazało się prorocze.

- Otóż to. - Ballesteros potarł dłonie. - W każdym razie nikt tu już nie mieszka, to pewne. Ta kobieta nie miała rodziny. Należy przypuszczać, że kiedy wyjaśnią się sprawy spadkowe, to miejsce dostanie się w obce ręce, a tragedia pójdzie w zapomnienie. Dokąd się pan wybiera?

- Proszę poczekać.

Rulfo upewnił się, czy ulica jest pusta, i zręcznie wskoczył na jeden z metalowych pojemników stojących na chodniku. Z tej wysokości był w stanie sięgnąć wzrokiem poza mur. Drzewa zasłaniały częściowo widok, ale pomiędzy ich prawie nagimi gałęziami mógł dojrzeć ogród, szarawą plamę fontanny, a w głębi gładką biel perystylu. W snach wszystko wydawało się większe, ale na tym polegała jedyna różnica. Nie ulegało wątpliwości: to był ten sam dom. Miał tego świadomość (widział zdjęcia), lecz skonfrontowanie owego faktu z rzeczywistością sprawiło, że przeszły go ciarki.

Lekarz obserwował go nerwowo. Jego szerokie oblicze oblało się szkarłatem.

- Proszę stamtąd zejść! Jeśli nas ktoś zobaczy, może... Proszę zejść, do diaska!

- To dom z moich snów - powiedział Rulfo, zeskakując na chodnik.

- Doskonale. Upewnił się pan. I co teraz?

- Teraz?

- Tak. Ma pan jakiś pomysł?

Ballesteros denerwował się, nie bardzo nawet wiedział, z jakiego powodu. Najbardziej drażniło go to, że zdecydował się przyjechać tu z Rulfem. Musiałem oszaleć, pomyślał.

- A więc? - nalegał. - Co ma pan zamiar teraz zrobić? Wspiąć się na mur i wejść na prywatny teren? Biorąc pod uwagę pana impulsywność, wcale bym się nie dziwił. Może zamierza pan odnaleźć akwarium z zieloną poświatą? Proszę posłuchać... Postanowiłem pana tu przywieźć, ponieważ przypuszczałem, że będziemy mogli porozmawiać z kimś, kto mieszka w tym domu. Może wtedy wybiłby pan sobie z głowy te fantazje... Nie twierdzą, że mnie pan okłamał, zapewniam. Jestem przekonany, że grał pan czysto. Nie widzę powodu, żeby nie przyjąć do wiadomości, że to wszystko się panu śniło, a potem zobaczył pan program. Stąd pana zaskoczenie; moje nie byłoby mniejsze, gdybym się znalazł w takiej sytuacji. Zgoda, pana przypadek jest idealnym materiałem dla pism ezoterycznych. I co z tego? To o niczym nie świadczy. Podświadomość to ocean. Mógł pan zetknąć się z informacjami o morderstwie i nawet o tym nie pamiętać. Potem powiązał je pan ze swoją osobistą tragedią. Nie ma więcej tajemnic. To wszystko. - Nagle wziął Rulfa za rękę. - Chodźmy. Wiemy już, że dom istnieje naprawdę. Świetnie, wygrał pan. Teraz przestańmy się wygłupiać, dobrze? Zaraz zapadnie noc.

Rulfo robił wrażenie lekko poirytowanego. Niemniej, ku zaskoczeniu Ballesterosa, podporządkował mu się bez sprzeciwu. Zgodził się wrócić do samochodu i wsiadł do niego w milczeniu. Zostawili za sobą szczekanie jakiegoś psa, który nikt nie pamiętał, w miarę jak się oddalali, stając się na koniec zaledwie cieniem czworonoga. Lekarz prowadził nerwowo,

szarpał gwałtownie kierownicą, niecierpliwił się. Utkwił wzrok w szosę i samochody, jakby go nic nie interesowało, a jego myśli błądziły daleko stąd. Rulfo siedział obok, milczący i spokojny. Nagle Ballesteros zaczął mówić. Na jego pogodnej zazwyczaj twarzy malowała się teraz posępna determinacja, nieprzystająca do słów, które wymawiał, nie podnosząc głosu.

- Julia zginęła w tym wypadku na moich oczach, mówiłem panu. Prowadziłem, ale to nie była moja wina. Wjechał na nas inny samochód i zepchnął nas pod ciężarówkę. Wyszedłem bez szwanku, lecz po stronie żony zapadł się dach. Jak przez mgłę pamiętam jej twarz... Żyła jeszcze: oddychała i patrzyła na mnie nieruchomymi oczami przez poskręcane żelastwo. Nic nie mówiła, tylko patrzyła. Od brwi w górę nie istniała, ale w jej oczach była ta sama słodycz co zawsze, a usta prawie się uśmiechały. Na początku chciałem jej udzielić pomocy medycznej, zapewniam pana, próbowałem. Dziś wiem, że to była głupota, ponieważ i tak by umarła. Właściwie już była martwa... Wówczas jednak o tym nie myślałem i usiłowałem jej pomóc. Na szczęście szybko zrozumiałem, że jedyna rzecz, jaką mogłem zrobić, nie miała nic wspólnego z moimi umiejętnościami. Wtedy ją przytuliłem. Siedziałem tam, w samochodzie, obejmując ją i szepcząc jej do ucha jakieś słowa, a ona gasła na moim ramieniu jak ptak... Dziwne, prawda?

Pojazd sunął ciemnymi ulicami. Obaj mężczyźni patrzyli przed siebie w głębokim skupieniu, jakby obaj prowadzili. Ballesteros mówił dalej:

- Życie bywa dziwne, Salomonie. Dlaczego dwudziestodwuletni chłopak wszedł pewnej nocy do tego domu, poderznął gardła służącym, torturował biedną Włoszkę, której nawet nie znał, a potem odebrał sobie życie? I dlaczego to wszystko się panu śniło, chociaż pan tego wcześniej nie widział? Dziwne sprawy. Tak dziwne, jak śmierć mojej żony. Jak poezja, którą pan czyta... Wobec nich stajemy w obliczu alternatywy. Ja wybrałem być może łatwiejsze wyjście: próbuję być szczęśliwy, póki Bóg da, i zamykam oczy na dziwne sprawy, zostawiam je na zewnątrz. A raczej sam pozostaję na zewnątrz. Te sprawy istnieją i zapraszają nas do środka, ale ja postanowiłem

lasciate

nie wchodzić. I radzę panu to samo. Jestem lekarzem i wiem, co mówię. Nie powinniśmy

lasciate ogni

wchodzić.

W tym momencie zupełnie nieświadomie Rulfo podjął decyzję. Poprosił Ballesterosa, żeby podrzucił go w pobliże przychodni, gdzie zostawił swój samochód. Wysiadając, odwrócił się... Skrzyżowali wzrok. Patrzyli na siebie dłużej, niż zamierzali. Rulfo poczuł nagle, że musi coś wyjaśnić. Przyszło mu na myśl, że to absurdalne, niemal żałosne słowa, ale pozwolił im wypłynąć spokojnie, jakby były oddechem:

- Jestem poetą

lasciate ogni speranza

i chcę wejść.

Ballesteros otworzył usta, żeby zareagować, lecz się powstrzymał, jakby raptem zmienił zdanie.

- Proszę na siebie uważać - mruknął.

Rulfo spoglądał na odjeżdżający wolno samochód. Potem ruszył w stronę swojego starego białego forda. Dojechał do osiedla w środku nocy. Otoczyły go drzewa i mrok, wysokie, wilgotne myszyńce, ciemne głogi i cienie wspinające się na mury jak bluszcz. Zaparkował na rogu alei Kasztanowej i poszedł przed siebie z rękami w kieszeniach.

Lasciate ogni speranza.

Słowa na płytkach trąciły ironią, zdecydował już bowiem, że wejdzie bez względu na wszystko. Później się zastanowi, co robić dalej; w tej chwili nie opuszczała go pewność, że jeśli choć raz nie spenetruje na jawie tego domu, będzie na to skazany dużo częściej w przerażających snach i nigdy przed tym nie ucieknie. Sposób rozumowania Ballesterosa był właściwy: przerażająca śmierć Lidii Garetti nie miała nic wspólnego ani z nim, ani z jego życiem. Garetti była nieznaną, jej tragedia jedną z wielu zbrodni, które jak przelotne horrory porażają oczy ludzi, a potem gasną w zapomnieniu. Ale te sny ciążyły mu - w pewnym sensie - jak zaciągnięty kiedyś dług: wiedział, że może go spłacić jedynie poprzez wejście do tego domu i odnalezienie akwarium z zieloną poświatą.

Zatrzymał się, żeby opracować plan. Pomyślał, że najpraktyczniej będzie stanąć na jednym z pojemników na śmieci i przeskoczyć bramę. Kiedy się zastanawiał, w jaki sposób przenieść pojemnik, nie budząc sąsiadów, poczuł nagły podmuch wilgotnego wiatru. Poły jego kurtki wzdęły się, mżawka upstrzyła mu twarz lodowatymi pocałunkami, a metalowa

brama odchyliła na kilka centymetrów bez najmniejszego hałasu.

Była otwarta.

III. WEJŚCIE

Dziewczyna obudziła się nagle, poderwała jak sprężyna i oplotła ramionami nogi. Z początku nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potem rozejrzała się wokół, dostrzegając światło poranka ślizgające się po zasłonach i znajome kształty pokoju niemal tak nagiego jak ona: metalowe łóżko, szare ściany, ciemnopurpurowe zasłony, szafa, zwielokrotniające wszystko lustro. To jej własna sypialnia, nic się nie dzieje.

Oparła policzek na kolanach, przez chwilę oddychała rytmicznie. Zachowanie spokoju było jej powinnością. Zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie najważniejsze fakty: jaki jest dzień tygodnia, co ją czeka i co należy zrobić. Miewała kłopoty z pamięcią. W końcu stwierdziła, że jest czwartek, połowa października i że rano ma spotkanie z klientem w jednym z hoteli. Musi się pospieszyć, jeśli chce zdążyć na czas.

Kiedy się podniosła, wielkie ściennie i sufitowe lustro powieliły postać, ukazując coś więcej niż zwykle piękno. Jej właścicielka słyszała w swoim życiu wiele komplementów i widziała wiele spojrzeń spoczywających na niej, ale ani jedno, ani drugie nie sprawiały jej przyjemności, ponieważ nigdy nie odnosiły się do osoby czującej i myślącej w jej wnętrzu, tylko do doskonałych kształtów jej ciała. Żyła, jakby była zamknięta w jakimś olśniewającym posągu. Jednak w ciemnej samotni swojego umysłu uważała się za brzydką i nędzną istotę.

Skierowała się powoli do łazienki, stąpając bosą po zimnej i brudnej posadzce; czarna kaskada włosów kołysała się nad gładkim marmurem jej pośladków. Czekała, aż woda się nagrzej, upięła kok i powróciła myślą do koszmarów.

Nie zwykła się długo zastanawiać nad czymkolwiek. Była przyzwyczajona poskramiać ciekawość, eliminować ją nawet, i nic, co się działo wokół, nie budziło zbytnio jej zainteresowania. Ale te sny zrodziły w niej wątpliwości. Na początku sądziła, że chodzi o zwykłe przerażające fantazje, i nie przywiązywała do nich wagi, w końcu nie bez powodu ją dręczyły. Niemniej kiedy zaczęły powtarzać się prawie niezmiennie noc w noc, nie wiedziała już, co o tym myśleć. Czy miały jakieś znaczenie? A jeśli nie, dlaczego zawsze śniło jej się to

samo?

Woda nie nagrzewała się, co jej nie zdziwiło. Gaz i elektryczność prawie nigdy nie działały w jej maleńkim mieszkaniu. Nie zastanawiając się dłużej, weszła pod zimny jak lód strumień. Nawet się nie skrzywiła: wzięła z półki zużyty kawałek mydła i zaczęła się dokładnie myć. Jeśli się nie ochrzczysz, trafisz do Otchłani, powiedział kiedyś jakiś mężczyzna na jednym z przyjęć, na którym pracowała, i skierował na nią przenikliwy lodowaty strumień wody prosto z węża. Powstrzymała dreszcz, jakim przejęło ją to wspomnienie: wiele momentów w jej życiu było gorszych niż najpotworniejszy z koszmarów.

Dzisiejsze poranne spotkanie miało być zwyczajne. A to oznaczało, że nie spodziewała się komplikacji, tylko kolejnego seansu z jednym lub kilkoma mężczyznami, a może nawet z kobietą (imię przekazane przez Patricia było męskie, ale przywykła już do niespodzianek). Chodziło o hotel na Castellana. Zjawiała się punktualnie, jak zwykle, podeszła do recepcji i podała imię. Na chwilę zapadła cisza, po czym kazano jej czekać - jeśli łaska, w tamtej sali - i wskazano kierunek wyciągnięciem ręki. Podziękowała i udała się w wyznaczonym kierunku, nie zwracając uwagi na podążające za nią spojrzenia. Hotel był duży, luksusowy, ale w takich miejscach potrafiła się zachowywać naturalnie. Dwa bilardowe stoły z lśniącego mahoni, plakat ze zdjęciem talerza *ossobuco* i marmurowy stół otoczony miękkimi kanapami stanowiły cały wystrój. Postanowiła nie siadać, czekała na stojąco. Wokół glinianego dzbana z bzem leżały rozrzucone egzemplarze nieaktualnych czasopism.

I wtedy

spojrzeli na siebie

zobaczyła zdjęcie na jednej z okładek.

patrzyli na siebie w osłupieniu

Niepokój, jaki wywołało w niej to przypadkowe odkrycie, sprawił, że dopuściła się wobec klienta (ostatecznie mężczyzny) dwóch czy trzech niezręczności. Na szczęście klient był pijany i przeszedł nad tym do porządku dziennego.

Patrzyli na siebie w osłupieniu.

Dziewczyna wysiadła z autobusu przed osiedlem. Podeszła całkowicie bezszelestnie i stanęła za nim dokładnie w chwili, kiedy brama się otwierała. Wyczuł jej obecność, odwrócił

się. Przyglądali się sobie w ciszy, jakby czekali, które z nich odezwie się pierwsze.

- Mieszkasz tu? - spytał mężczyzna z rezerwą.

Pokręciła przecząco głową.

Szybujące ponad głowami niebo pęczniało od gęstych chmur. Mżyło nadal. Spomiędzy pełnych warg dziewczyny wymknął się cień oddechu. Sprawiała wrażenie, jakby się wstrzymywała, niepewna, z zadaniem jakiegoś pytania.

Niespodziewanie dla nich samych ich twarze stały się znakiem, niemal słowem, rozchyliły się drżące usta. Obydwoje, w niewiadomy dla siebie sposób, zrozumieli nagle wszystko.

Zdumienie miało siłę brutalnego ciosu, więc by mogli się z nim oswoić, Rulfo zaproponował spokojną rozmowę w samochodzie. Po upływie pół godziny znali swoje imiona i koszmary. Dziewczyna przedstawiła się jako Raquel, ale równie dobrze mógł to być pseudonim, miała bowiem silny obcy, środkowoeuropejski, a raczej wschodnioeuropejski akcent. Rulfo oceniał ją na jakieś dwadzieścia lat. Jej włosy przypominały spływające po plecach aksamitne, agatowe fale, a jej skórę cechowała niemal mineralna oślepiająca biel. Gęste brwi, ogromne, czarne, skośne oczy i usta jak jakieś tajemnicze, żywe stworzenie o koralowym ciele, nadawały jej twarzy charakter uwodzicielski, lecz zarazem osobliwy i nierealny. Siedziała w fotelu obok Rulfa, wyprostowana, nie patrząc na niego. Skórzana kurtka, dopasowana minispódniczka i skórzane kozaczki przedłużone czarnymi wełnianymi pończochami sięgającymi do połowy ud składały się na cały jej ubiór. Pod nim, jak wąż, prężyło się wyniośle jej zdumiewające ciało. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek zajmowała miejsce w jego samochodzie. Najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek znał. Nawet Beatriz nie zrobiła na nim takiego wrażenia, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

Trudno mu było oderwać od niej wzrok, a gdy udało mu się to na chwilę, zapatrzył się w noc za szybą. Myślał o tym, co ich połączyło (o ile powiedziała mu prawdę... ale po co miałyby kłamać?) i doprowadziło do tego spotkania, do wzajemnego poznania będącego swoistym rodzajem katharsis. Spojrzał na nią znowu i spytał:

- Znałaś Lidię Garetti? Jesteś związana w jakikolwiek sposób z tym, co się tu wydarzyło?

- Nie.

- To dlaczego postanowiłaś tu przyjść?

- Nie wiem... - Raquel najwyraźniej nawykła do uległości, lecz nie do swobody mówienia. Odpowiadała od razu, ale potem zaciniała się, szukając najtrafniejszego

sformułowania. Jakby jej słowa, wypowiedane niskim, modulowanym głosem, przynależały bardziej do jej strun głosowych niż do myśli. - Widziałam zdjęcie domu, rano przeczytałam artykuł i... Po prostu przyjechałam.

Dwoje oczu czarnych jak węgiel spojrzało na niego przelotnie i prawie natychmiast uciekło w bok. Rulfo pokręcił głową.

- Nie do wiary... Nie znamy się, od tygodni śni nam się to samo, dowiedzieliśmy się, że dom istnieje, i przyszliśmy tu tej samej nocy, o tej samej porze... Cholera! - Zaczął się cicho śmiać. Przytaknęła mu w milczeniu. Nagle śmiech Rulfa ucichł. Ponownie stawiał czoło niebywalej urodzie dziewczyny. - Boję się.

- Ja także - odparła.

- Posłuchaj! - Polecenie było zbyt ciche, ponieważ nawet na niego nie patrząc, nie wydawała się robić nic innego. - Zapewniam cię, że nie wierzę w duchy, UFO ani sny, które stają się rzeczywistością, i tym podobne bzdury. Rozumiesz?

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak - wyszeptała.

- I nie uważam, że zwariowałem... Wiem tylko, że c o ś mnie tu przywiodło, że przywiodło nas tu o b o j e, i chcę, żebyśmy tam weszli. - Czekał na reakcję, bez skutku. - Możesz robić, co ci się podoba... Ja idę. Chcę się dowiedzieć, co to jest. - Otworzył drzwi samochodu.

Jej odpowiedź zaskoczyła go.

- Chcę odejść, ale pójdę z tobą.

- Dlaczego chcesz odejść?

Tym razem na odpowiedź musiał poczekać dłużej. Dziewczyna wpatrywała się w przednią szybę.

- Wolałabym nadal śnić.

Brama była otwarta.

Rulfo nie rozumiał, jak to się stało, skoro niedawno wspólnie z Ballesterosem stwierdzili coś zupełnie innego, niemniej tak właśnie było. Przeszli przez ogród spowici mgławicą dżdzu, minęli kamienną fontannę, dotarli po schodkach do perystylu i popchnęli lekko frontowe drzwi, poszerzając szparę między skrzydłami.

- Halo? - zawołał.

Nikt nie odpowiedział. W nozdrza uderzył ich niespodziewanie zapach drewna, skóry i roślin.

- Halo?

Przywitała ich całkowita ciemność i cisza. Rulfo przesunął ręką po ścianie i namacał kontakt. Punktowe światło z kinkietów nadało wnętrzu bardziej niepokojący charakter niż ciemność. Dziewczyna weszła do pomieszczenia, Rulfo podążył za nią. Zamykając drzwi, odniósł dziwne wrażenie: jakby przeszli przez zwodzony most. Jakby została im odebrana ostatnia szansa pozostania w zewnętrznym świecie.

Znaleźli się w środku, cokolwiek to miało oznaczać.

Rzeźby, amfory, dzbany wysokie jak dzieci, kamienne figury zwierząt, dywany, magnackie meble... Jak to określić? „Luksus” nie był właściwym słowem. „Antyk” lepiej pasował do tego świata klejnotów, kurzu i ciszy, ale Rulfo podejrzewał, że nawet antykwariusze gromadzą takie przedmioty w galeriach, a nie w swoich domach. Wszystko stało nietknięte, jakby właścicielka nadal tu mieszkała.

- Ona - powiedziała Raquel.

Panna Garetti - smukła i elegancka, z krótkimi czarnymi włosami ufryzowanymi w stylu lat dwudziestych - przyglądała się im z olejnego płótna naturalnej wielkości wiszącego w głębi. Miała na sobie czarną wieczorową suknię w kształcie tuby, ozdobioną arabeskami i satynowymi wyłogami w kolorze fuksji, odsłaniającą dekolt i ramiona o doskonałości kryształu. „Witajcie”, zdawała się mówić. Czerwone usta nie uśmiechały się jednak.

Aryokratyczna Lidia i jej dom-muzeum, pomyślał Rulfo. Kim była? Kim tak naprawdę była? Dlaczego mieszkała sama w tym pretensjonalnym mauzoleum? Nigdy jej nie poznaliśmy, teraz nie żyje, ale to ona nas tu sprowadziła. Podszedł do obrazu, jeden z detali zwrócił jego uwagę: ze smukłej szyi kobiety zwisał złoty medalion. Miał kształt maleńkiego pająka.

- Schody - powiedziała Raquel.

Znajdowały się po lewej stronie, jak we śnie, i ginęły w ciemnościach. Oboje wiedzieli, dokąd prowadziły. Spojrzeli po sobie.

- Lepiej sprawdźmy najpierw parter - zaproponował Rulfo.

Dwuskrzydłowe drzwi prowadziły w głąb domu. Wkrótce Rulfo zdał sobie sprawę, że podążali tą samą trasą co morderca ze snu: korytarz, salon, a na końcu sypialnie służących. Na futrynach pozostały kawałki policyjnych taśm. Weszli do pierwszego pokoju. Był zupełnie pusty, bez mebli. Z łóżka pozostał tylko stelaż. Na wykładzinie widać było plamy. Sprzątanie, najwyraźniej, okazało się skuteczne tylko do pewnych granic. Nie wszystko dało się wyczyścić, nie wszystko znikło.

Opuścili sypialnie i przeszli przez oba salony. Otworzywszy jedno z ostatnich drzwi,

Rulfo zatrzymał się.

- Biblioteka - wyszeptał.

Przeszkłone regały złożone z siedmiu segmentów, po siedem półek każdy, pokrywały ściany od podłogi do sufitu. Rulfo zapomniał o koszmarach sennych, o złowieszczym uczuciu, jakim napełniało go przeszukiwanie domu, w którym nigdy nie był, ale który w jakimś sensie znał, i wszedł do pomieszczenia zahipnotyzowany tym bogatym księgozbiorem. Na próżno jednak próbował otworzyć jedną z witryn. Przyjrzał się grzbietom woluminów, na których widniały złote napisy. Wiele tomów, numerowanych, poświęconych było temu samemu autorowi. William Blake... Robert Browning... Robert Burns... lord Byron... Coś przykuło jego uwagę. Podeszedł do następnego regału. John Milton. Pablo Neruda. A potem do kolejnego. García Lorca. Ruszył przez salę w kierunku przeciwległej ściany. Wergiliusz.

Sławni autorzy. Czytał wszystkich. A co ich łączyło? Byli poetami.

Przez chwilę stał nieruchomo pośrodku pokoju, zbity z tropu. Przyszła mu do głowy dziwna myśl: to była jedyna ewentualna w i ę ż, jaka łączyła go z Lidią Garetti.

- Chodźmy do schodów - powiedział.

Wrócili do westybulu i weszli na pokryte dywanem stopnie. Ale dziewczyna zatrzymała się w połowie.

- Co się dzieje? - spytał Rulfo.

- Nie wiem.

Stali przez chwilę, wsłuchując się w ciszę. Następnie weszli na górę i znaleźli się w wyłożonym dywanem korytarzu. Po bokach stały rzędem kamienne popiersia. Nazwiska na podstawach były prawie zatarte, lecz Rulfo rozpoznałby je z zamkniętymi oczyma: Homer, Wergiliusz, Dante, Petrarca, Szekspir...

Poeci.

Było oczywiste, że panna Garetti uwielbiała poezję. Jednak jedyna rzecz, jaka w tym momencie interesowała Rulfa, znajdowała się kilka metrów dalej, na końcu korytarza.

Dotarli do gotowalni. Drżącą ręką włączył światło. Z ciemności wyłoniły się dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do głównej sypialni, stiukowe ściany, drewniany podest...

Nie było na nim żadnego akwarium.

- Stało tu, świeciło.

- Ja też je pamiętam - potwierdziła Raquel.

Rulfo podeszedł bliżej i przyjrzał się powierzchni podestu. Nosił ślady obecności prostokątnego przedmiotu. Kto mógł go zabrać? Policja? Tylko po co?

Nadal odczuwał wewnętrzny niepokój. Próbował dotrzeć do jego przyczyny, ale nie

odnotował niczego niezwykłego. Wytworne meble z czereśniowego drewna pod ścianami służyły za podporę oprawionym w ramki zdjęciom Lidii Garetti. Wisiało też kilkanaście obrazów. Było ich co najmniej tuzin, różnej wielkości - na każdym widniał portret kobiety, ale najbardziej zwracał uwagę fakt, że w przeciwieństwie do fotografii, żadna z nich nie przypominała Lidii. Przyjrzał im się w uwagę. Stroje i technika malarska różniły się w poszczególnych przypadkach: niektóre damy miały krynoliny, inne peruki, gorsety, pióra, halki i spódnice... same zaś płótna przypominały stylem Tycjana, Watteau lub Maneta... Nagle na szyi jednej z kobiet spostrzegł znajomy przedmiot.

- Ma taki sam medalion jak Lidia, widzisz? W kształcie pająka.

- Ta również - wskazała Raquel.

Zaintrygowani obejrzelili po kolei wszystkie obrazy. Jeśli tylko pozwalała na to poza kobiety, identyczny medalion - różniący się jedynie sposobem, w jaki przedstawił go każdy z malarzy - ukazywał się ich oczom. Złoty pająk.

- Pozostała sypialnia - przypomniał Rulfo.

Opustoszała, majestatyczna, pogrążona w ciszy wydawała się zapraszać do środka. Jej wystrój uległ zmianie. Całkowicie. Światło padało z gołych żarówek zainstalowanych nieudolnie w podziurawionym suficie. Prawie wszystkie meble znikły, podobnie jak zasłony. Łóżko pozbawione pościeli, a baldachim draperii. Tu i ówdzie można było dostrzec ślady skrupulatnych działań prawa: delikatne muśnięcia kredy, kawałki taśmy, niezliczone ślady butów... I pachniało zdecydowanie inaczej niż w pozostałej części domu, chociaż Rulfo nie umiałby określić, czy była to przyjemna woń.

Raquel pocierała ramiona. Wyczuwał jej niepokój.

- Tutaj ją torturował... całymi godzinami...

Żaden reportaż nie opisywał tego, co Robledo zrobił Lidii, ale przedmioty znalezione przez policję, wymienione w wiadomościach, były jak negatyw grozy: świder, haki wbite w sufit, obcęgi, gwoździe, sznury, łańcuchy, kilka noży... Rulfo im dłużej o tym myślał, tym mniej potrafił zrozumieć: jak to możliwe, żeby chłopak karany wcześniej za niewielkie wykroczenia, zainteresowany jedynie zdobyciem narkotyku, posunął się do takiego bestialskiego, bezwzględного aktu przemocy na drugiej osobie?

Raquel była wyraźnie pod wrażeniem. Rozglądała się dokoła. Kurtka napinała się pod wpływem jej oddechu.

- Nie chodziło mu tylko o jej ból - oznajmiła z pełnym przekonaniem, jakby doskonale znała znaczenie tego słowa. - Był wściekły.

- Najważniejsze, że już nie żyje - wyszeptał Rulfo uspokajająco. - I że nigdzie nie

widzę tego cholernego akwarium. O ile w ogóle istnieje.

Obszedł wkoło ogromne łóże i nagle je zobaczył. Drugie drzwi. Łatwo można je było przeoczyć, nie odcinały się bowiem od drewna, jakim wyłożono ściany. Zdradzała je tylko złocona gałka. Przekreślił ją, drzwi w kompletnej ciszy otworzyły się w stronę ciemności. Wszedł, nie oglądając się za siebie, gdy tymczasem Raquel opuszczała sypialnię przekonana, że podąży za nią.

Nadal była niespokojna, czujna. Nie było to nic określonego, nic, co mogłaby zidentyfikować, żadne konkretne zagrożenie, żadna logiczna myśl. Chodziło raczej o jakieś niejasne doznanie. O swego rodzaju przecucie, które ostrzegało ją - krzyczało - że zagraża jej niebezpieczeństwo.

Wyjdź stąd.

Zrozumiała, że powodem nie był widok sypialni, w której zmarła torturowana Lidia. Doświadczyła już czegoś podobnego, wchodząc po schodach. Tak naprawdę wyczuła to natychmiast po wejściu do tego domu. To coś nie było martwe, to żyło: nie należało do przeszłości, tylko istniało tu i teraz, i nadal kryło się gdzieś w pobliżu.

Wyjdź stąd natychmiast.

Ale strach wywołał przedziwny skutek: zmuszał ją do pozostania.

Przeszła przez gotowalnię. W głębi, za rogiem, dojrzała wąski korytarz. Zanurzyła się weń.

mdłe światło

Miejsce było ciche, ciemne. Ślepotą... Grób... Rulfo na próżno szukał jakiegoś kontaktu. Poszperał po kieszeniach, znalazł zapalniczkę i wzniósł mały płomień do góry.

Pomieszczenie, pozbawione okien i innych wyjść, wyłożono tkaninami: na ścianach wisiały zasłony, podłogę i sufit (stosunkowo niski) pokrywały miękkie dywany. Wszystko w niebieskim kolorze. Żadnych mebli. Komnata o osobowości kota. Miejsce o młodzieńczej skórze. Chciało się stąpać po nim boso. Rulfo pomyślał, że jedynie nagość mogła w przeszłości deptać tę przestrzeń. Do czego ci ono służyło, Lidio? Co tu robiłaś? Dlaczego nie ma światła?

mdłe światło, blask

W głębi korytarza odkryła schody prowadzące na górę. Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Rulfo idzie za nią, i stwierdziła, że jest sama. Nie chciała go jednak wołać. Żaden mężczyzna nie budził w niej zaufania. Nie nienawidziła ich, ale żadnego z nich nie kochała, nawet jeśli czasem udawała: potrafiła jedynie oddawać się im bezwolnie.

Weszła po schodach. Stopnie zaskrzypiały pod jej butami. Dostrzegła już podest. Zamknięte drzwi, pewnie na strych.

I coś jeszcze.

mdłe światło, blask przenikający

Opuściwszy dziwny pokój i sypialnię, zdał sobie sprawę, że Raquel znikła. Właśnie miał ją zawołać, kiedy nagle znieruchomiał przed fotografiami znajdującymi się w gotowalni.

Mdłe światło, blask przenikający pod drzwiami.

Muszę go zawołać. Teraz to już muszę go uprzedzić.

Wtem, z delikatnym skrzypnięciem, drzwi się otworzyły.

To był mały dagerotyp, bardzo stary, w kolorze sepii, oprawiony w srebro. Przedstawiał mężczyznę i kobietę na plaży. Kobieta miała na szyi medalion w kształcie pająka. Nie rozpoznał żadnej z postaci na zdjęciu, ale w jakiś sposób wiedział, że ta fotografia, właśnie ta fotografia była źródłem niepokoju, jaki odczuwał przed wejściem do sypialni.

Odwrócił zdjęcie. Na drugiej stronie, w rogu, ktoś napisał bładoniebieskim atramentem: *Per amica silentia lunae*. Słowa brzmiały znajomo. *Eneida*. Wergiliusz. Nie zastanawiając się dłużej, posłuszny impulsowi, wsunął dagerotyp do kieszeni marynarki.

Wtedy usłyszał głos Raquel. Prowadził go. Bez trudu odnalazł schody. W miarę jak wchodził na górę, blask stawał się coraz intensywniejszy. Podest umożliwiał wejście na swego rodzaju strych wypełniony niepotrzebnymi przedmiotami. Dziwne światło uwypuklało wszystko dokoła: każdy gzyms, każdą płytkę; tworzyło cienie i zjawy. Zajrzał do środka i zobaczył dziewczynę. Patrzyła w dół. Zielone światło, w tym miejscu niemal oślepiające, okalało aureolą doskonale rysy jej twarzy.

Pochodziło z czworokątnego akwarium stojącego u jej stóp.

- Jak je znalazłaś?

Opowiedziała mu: smuga zielonego światła spod drzwi, sposób, w jaki się otworzyły...

Akwarium miało co najmniej metr długości. Jego ściany nie były ze szkła, tylko z jakiegoś plastiku. Pokrywa, czarnego koloru, została zaopatrzona w zielone podłużne światła fluorescencyjne, a metalowa tabliczka na dole obwieszczała nazwy stworzeń, których gibkie ciała niewątpliwie lawirowały kiedyś w jego wnętrzu: gurami całujący, otesek, bojownik syjamski, gurami mozaikowy... Teraz jednak w wodzie nie było już żywych ryb. Odrażający kożuch rozkładających się organów - zakrzepłe cmentarzysko - pokrywał całą jej powierzchnię, a zielone światło nadawało tej ropnej materii jeszcze bardziej przygnębiający charakter. Wetknięte w żwirek przetrwały dwie ozdoby, dwa zamki Neptuna, biały i czarny.

- Spójrz na kabel - powiedział Rulfo.

Wystawał spod spodu i kończył się wtyczką niepodłączoną do prądu. Jak działały te światła? Może na baterie, pomyślał, sam nie wierząc w takie wytłumaczenie. Objął ramionami akwarium i spróbował je podnieść: ważyło niemało. Kto wyniósł je na strych i dlaczego? Czy policja je znalazła? A jeśli tak, czy wtedy też się świeciło?

Akwarium stało zapomniane, martwe, ale biło od niego światło niewymagające elektryczności. A jeśli wierzyć Raquel, drzwi na strych otworzyły się same, podobnie jak brama przy wejściu na posesję.

Dziwne sprawy, doktorze Ballesteros.

Zastanawiał się, co powinni zrobić. Dlaczego akwarium odgrywało tak ważną rolę w jego snach, dlaczego Lidia Garrett (czy ktokolwiek to był) co rusz o nim wspominała?

- Może powinniśmy je opróżnić - zasugerowała dziewczyna, jakby czytała w jego myślach.

- Może.

Wahał się. Nie przepadał za zagadkami. Zawsze działał bardziej pod wpływem impulsu niż przemyśleń. Mimo wszystko postanowił się nie spieszyć. Pochylił się tak nisko,

że otarł policzkiem o podłogę, i obejrzał dokładnie żwirek, ozdoby i rozkładającą się materię na powierzchni. Nic szczególnego nie przykuło jego uwagi. Oba zamki były identyczne, zwodzone mosty opuszczone, a przez szczeliny łuku dało się zajrzeć do środka.

Nagle wstał.

- W czarnym zamku coś jest. Może to tylko zdechła ryba, ale muszę to sprawdzić.

Zdjął marynarkę i podwinął rękaw do łokcia. Podniósł pokrywę, ciekaw, czy światła zgasną. Nie zgasły. W tej samej chwili uderzenie smrodu poraziło jego węch. Odsunął się z grymasem, Raquel zasłoniła twarz dłońmi. Oddychając ustami, położył pokrywę na podłodze i zanurzywszy palce w lepkiej materii, odsunął martwe ryby. Obmacywał wnętrze zamku.

- Mam go.

Przedmiot, wykonany z jakiejś tkaniny, wyslizgiwał mu się, przesuwał w głąb, poza zasięg jego palców. Spróbował wyciągnąć zamek, lecz ten najwyraźniej został przyklejony do żwirowego podłoża. A przyprawiający o mdłości odór uniemożliwiał wykonanie zadania z należytą cierpliwością.

- Ciężko go wydostać.

- Ja spróbuję.

Wyjął rękę ociekającą wodą. Raquel zanurzyła swoją, nie zdejmując kurtki. Jej dłoń zagłębiła się w akwarium jak smukła biała ryba. Palce wsunęły się w szczelinę.

W tym momencie nawiedziło go dziwne wrażenie. Nie potrafił określić, skąd pochodzi ani co oznacza, ale czuł, że nie różni się zbytnio od tego, jakiego doznał, wchodząc do domu: oto chwila nieodwołalnych decyzji, ostatecznych, bez możliwości odwrotu. Tym razem jednak, kiedy patrzył na dłoń dziewczyny uwięzioną wewnątrz czarnego zamku, odczucie było tak intensywne, że ogarnął go strach. Poczul nagłą potrzebę, żeby jej o tym powiedzieć, poprosić, żeby się wycofała,

ciemność

żeby zostawiła te sprawy (te d z i w n e sprawy), żeby nie zagłębiali się w nie bardziej. Myślał o tym wszystkim, kiedy dłoń się wynurzyła.

ciemność, chłód

- Mam - powiedziała Raquel.

ciemność, chłód, kurzawa

Światła pokrywy zgasły.

Ciemność. Chłód. Kurzawa.

Lotny, wirujący potwór omiatał drogi nocy. Nadchodziła widowiskowa burza, jedna z tych, które pozostawiają po sobie lawinę ofiar, pozrywanych dachów i nekrologów. Jeszcze nie padało, błyskawice nie przecinały nieba, ale potężne wietrzysko szalało po ogrodzie, gnąc gałęzie drzew i zapowiadając zbliżającą się nawałnicę. Pobiegli w stronę bramy, pchani krzykiem martwych liści wydzielających zapach wilgotnej ziemi. Kiedy dotarli do ulicy, Rulfo wyjął kluczyki od samochodu. Schronili się w jego wnętrzu.

Dopiero wtedy Raquel rozchyliła prawą, moką jeszcze dłoń. Mogli się przyjrzeć leżącemu na niej przedmiotowi.

Mieszkanie znajdowało się w suterenie brudnego, starego budynku. Zaparkowali na chodniku, przecięli przygnębiające podwórko w deszczu, omijając kałuże. Nie miała samochodu. Kiedy zaproponował, że odwiezie ją do domu, zgodziła się, choć z pewnym milczącym skrepowaniem, które teraz rozumiał doskonale. Dziewczyna mieszkała w dzielnicy pełnej starych, maleńkich izb, które bez wątplenia dawały schronienie całym rodzinom imigrantów. Zwykłe, drewniane drzwi i jeden zamek oddzielały ich od wnętrza. Włączenie kontaktu zaowocowało jedynie suchym trzaskiem.

- Nie ma światła - oznajmiła. - Czasem nie ma.

Powiedziała to beznamiętnie, jakby przebywanie w takich warunkach było dla niej jakimś obowiązkiem, nieprzyjemnym, acz nieuniknionym. Nie zaprotestowała również, kiedy wykazał chęć wejścia do środka.

Znalazł się w ciemnym miejscu pachnącym jaskinią. Usłyszał oddalające się kroki dziewczyny, a chwilę potem blade, nieregularne, jakby płynne światło dobywające się z pomieszczenia po prawej stronie ukazało jego oczom smutny widok: odrapane ściany, zapadnięta podłoga, krzesła na metalowych nogach, stara kanapa i mały prostokątny stół, a na nim popielniczka pełna skórek pomarańczy. Światło padało z kempingowej lampy zasilanej dogorywającymi bateriami. Języki pleśni wylizywały ściany. Przez okno w głębi, z połową szyby zasłoniętą perkalem, docierał oszalały świergot szpaków. Było tu chyba zimniej niż na zewnątrz.

- Marynarka... Chcesz ją zdjąć?

- Nie, dziękuję.

Dziewczyna zostawiła go samego.

Rulfo potarł dłonie. Boże, ale ziąb! Jak sobie radziła w środku zimy? Obłoki pary wydobywające się z jego ust wraz z oddechem gęstniały nad drżącym światłem lampy. Zapach wilgoci był nie do zniesienia. Dało się słyszeć różne odgłosy (skrzypienie, bieganina), których pochodzenia wolał się nie domyślać. W porównaniu z tą norą jego mieszkanie na Lomontano było pałacem.

Podczas drogi udało mu się uzyskać kilka krótkich, prostych odpowiedzi na postawione pytania. Wiedział, że była sierotą, że urodziła się gdzieś na Węgrzech, ale potem mieszkała w tak wielu miejscach, że nie pamiętała swojej ojczyzny. Ostatnie pięć lat spędziła w Hiszpanii. Nie miała dokumentów. Pracowała w prywatnym klubie. „Klienci do mnie dzwonią i jadę”. Rulfa nie zaskoczyła ta opowieść, nawet się jej spodziewał. Nie rozumiał tylko związku pomiędzy nielegalną węgierską imigrantką, uprawiającą prostytutkę w jakimś klubie, a włoską milionerką, zamordowaną w bestialski sposób, i kimś takim jak on. Pomyślał, że może odpowiedzi należy szukać w przedmiotach znalezionych w domu Lidii Garetti.

Dziewczyna wróciła. Nie miała już na sobie skórzanej kurtki, tylko czarny sweter z wywijanym golfem. Suszyła ręcznikiem bujne włosy koloru smoły. Uwagę Rulfa przyciągnęła srebrna obróżka odcinająca się na jej szyi. Na cienkiej metalowej płytce widniało imię: „Patricio”. Podniósł wzrok i napotkał oczy dziewczyny. Przyszedł mu na myśl jałowy step. Cienie rozmywały kontury doskonałego owalu jej twarzy.

- Sprawdźmy, co znaleźliśmy - zaproponował.

Usiedli przy stole, naprzeciw siebie, przy kempingowej lampie. Na niespodziewane trzaśnięcie (czyżby drzwi?) podskoczyli oboje, ona gwałtowniej niż on. Zobaczył, jak z kocia zwinnością zrywa się na nogi i zapuszcza wzrok w ciemność korytarza.

- Czasem miewam niespodziewanych gości - wyjaśniła po chwili uspokojona. - Ale nie tym razem.

L'aura nera sí gastiga.

Zdanie to wypisano niebieskim atramentem na wewnętrznej stronie kawałka nieprzemakalnego, obwiązanego sznurkiem sztywnego materiału, który wyciągnęła z wody. Mężczyzna przeczytał je i przetłumaczył: „Tak karze czarny wiatr”.

- Dante - powiedział. - Z całą pewnością to jeden z wersów Dantego. Z jego *Piekła*.

Materiał, związany na jednym końcu, tworzył swego rodzaju woreczek. Mężczyzna rozplątał węzeł niecierpliwymi szarpnięciami i wydobył na światło dzienne słowa. Wysupłał

też to, co kryła zawartość woreczka. Teraz trzymał w dłoni maleńki przedmiot. Pochyliła się, żeby obejrzeć go dokładniej, jej mokre kosmyki prawie otarły się o jego włosy.

- Co to do diabła jest? - spytał mężczyzna.

Ludzka postać, nie większa niż jego mały palec, zrobiona z jakiegoś materiału przypominającego wosk lub plastik, pozbawiona była twarzy. Mężczyzna obrócił ją i odczytał maleńki napis wyryty z tyłu, wzdłuż całych pleców: „AKELOS”. Imię, które dla niej pozbawione było znaczenia, podobnie jak zdanie na wewnętrznej stronie woreczka.

Trudno się jej było skoncentrować. Odczuwany przez nią niepokój nie zmniejszył się po powrocie z domu Lidii Garetti, nie był jednak związany z tym, o co, jak przypuszczała, mężczyzna poprosi ją na koniec, lub czego wprost zażąda. Przeczuwała doskonale, po tym jak patrzył na nią, a raczej na jej nagie piersi pod swetrem, w jaki sposób zakończy się ta noc i co powinna zrobić. Ale nie to było dla niej ważne. Chciała go nawet podniecić, doprowadzić do jak najszybszego podjęcia decyzji, odwrócić jego uwagę, żeby nie rozglądał się wokół albo żeby nie zachciało mu się zwiedzać mieszkania. Nie mogła, oczywiście, uniknąć tego, że ją odwiózł i wszedł do środka. Była pewna, że ten mężczyzna nie jest klientem przysłanym przez Patricia, ale doświadczenie nauczyło ją, żeby nie lekceważyć nikogo. Pragnęła jedynie (proszę), żeby nie dowiedział się o t a m t y m. Gotowa była pozwolić, żeby zrobił z nią wszystko, byle temu zapobiec.

- „Akelos”. Dziwne słowo... Nigdy go nie słyszałem. Czy coś ci mówi?

Pokręciła przecząco głową.

Mimo wszystko niepokój, którego doświadczała, miał inne, bardziej zagadkowe źródło: pojawił się, kiedy penetrowała dom zamordowanej kobiety. Dlaczego? O ile pamięć jej nie zawodzi, nie znała Lidii Garetti ani nie była wcześniej w tym domu. To prawda, śnił się jej i on, i Lidia, ale snami się nie przejmowała. I chociaż pamięć płatała jej nieraz przeróżne figle, pamiętała bardzo dobrze (i boleśnie) każde odwiedzane przez siebie miejsce, każde mieszkanie, do którego trafiała i w którym była zmuszana do pracy, podobnie jak facetów, którzy zazwyczaj do niej dzwonili. Wiedziała, że Lidia Garetti nie miała z nią nic wspólnego. W takim razie skąd ten cień strachu, to wrażenie zagrożenia, jakiego dotąd nie odczuwała równie intensywnie?

Burza szalała jak sfora ujadających psów. Mężczyzna patrzył na nią. Zmusiła się, by udawać, że z uwagą słucha jego słów.

- Sądzę, że na tym polegało nasze zadanie. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że mieliśmy to znaleźć...

- Tak - kiwnęła głową z głębokim przekonaniem.

- Spójrzmy na dagerotyp.

Patrzyła, jak mężczyzna odkłada figurkę i woreczek na bok i wyjmując niewielką ramkę. Wyjaśnił jej, że zdjęcie przyciągnęło w jakiś sposób jego uwagę, choć nie wiedział, kim są osoby na nim przedstawione. Ona także tego nie wiedziała i poinformowała go o tym.

- Przeczytałaś to zdanie? - Mężczyzna wskazał na słowa wypisane na odwrotnej stronie. - „Za przyjazne milczenie księżycy” - przetłumaczył. - To wers z Wergiliusza, rzymskiego poety... Oprawka się rusza...

Nacisnął tylną część ramki i odczepiwszy ją, wyjął fotografię. Coś wypadło na stół. Jakaś stara, złożona na pół kartka. Mężczyzna rozłożył ją delikatnie. Wypisano na niej coś, co przypominało listę imion.

Dziewczyna nic nie rozumiała. Podejrzewała, że mężczyzna również. Może źle zrobiła, idąc do tego domu. Niemal pragnęła, żeby przyszedł Patricio i przerwał to wszystko brutalnie, tak jak miał w zwyczaju. Niemal pragnęła, żeby Patricio wyrzucił tego człowieka na ulicę, razem z tymi niezrozumiałymi przedmiotami.

Mimo to nadal udawała. Nie chciała obrazić mężczyzny.

Podczas czytania absurdalnego poematu (o ile można było go tak nazwać) dwie sprawy burzyły spokój Rulfa: nawałnica tłukąca kruchym oknem i bliskość dziewczyny - jej głowa tuż obok, nieziemski twarz niemal ocierająca się o niego i smoliste oczy, w których kartka odbijała się dwoma półksiężycami.

Usiłował skupić się na znalezisku.

Intrygował go ten kawałek papieru ukryty za fotografią. Wydawał się równie stary jak ona, do tego stopnia, że rozkładając go, prawie go zniszczył. Pismo było staranne, choć zdradzało lekkie drżenie ręki. Tekst (wyblakły, niebieski) był w języku hiszpańskim, ale co oznaczał? Czy to jakaś gra słów? Jaki związek łączył go ze zdjęciem pary na plaży, woskową figurką z napisem „Akelos” w woreczku zanurzonej na dnie akwarium, poematami Dantego i Wergiliusza czy zamordowaniem Lidii Garetti? Mieliśmy to wszystko znaleźć, Lidio? Po co?

Przeczytał znów pierwsze zdanie: „Dam jest trzynaście”.

Był pewny, że gdzieś już to słyszał.

Dam jest trzynaście.

Nagle sobie przypomniał. I zrozumiał natychmiast, że jeśli ma rację, sprawy skomplikują się dużo bardziej, niż przypuszczał. Spojrzał w oczy dziewczyny, zbyt czarne, żeby mogły być oczyma, czarne jak dwa ziarna pieprzu okolone powiekami.

- Mam przyjaciela... Był moim wykładowcą na uniwersytecie. Trochę się na tym zna. Od dawna się nie widzieliśmy, ale... chyba zgodzi mi się pomóc.

- Dobrze.

Trzask - gwałtowny, niespodziewany - spowodował, że niemal spadła z krzesła. Co to było...? Mebel? Drzwi?

- To nic - powiedziała po chwili nieobecności krótkiej jak błyskawica. - To tylko wiatr.

Jej oczy unikały wzroku Rulfa.

Noc pęczniała. Deszcz ustąpił pola potężde elektrycznych wyładowań terroryzujących ciszę, a w pokoju konające światło lampy nakładało sprzętom maski. Zaproponowała mu coś do jedzenia: gotową puszkę z mięsem i smażonymi jarzynami. Wygląd potrawy przyprawiał o rozpacz, ale Rulfowi dopisywał apetyt. Jego oczy również były wygłodniałe, pożerały jednak coś całkiem innego: wyrzeźbioną w agacie i masie perłowej twarz.

Od dłuższego czasu prostytutki były jedynymi kobietami, z którymi utrzymywał stałe związki, ale to, co czuł przy tej dziewczynie, okazało się dużo bardziej niepokojące i znacznie mniej konkretne niż pragnienie spędzenia wspólnej nocy. Zrozumiał to właśnie w tej chwili. Jadła, nie patrząc na niego, czekając, aż wyjmie widelec z puszki, żeby zagłębić w niej swój, i nagle przecucie zmieniło się w błyskawicę i eksplodowało grzmiotem. Pomyślał, że bycie z nią jest jak dotarcie do mety, jak długo odkładane pragnienie. Ta dziewczyna różniła się od wszystkich wcześniej poznanych. I to nie tylko urodą.

Wbił widelec w kolejny kawałek mięsa. Ona automatycznie sięgnęła do puszki. Przestał jeść, odłożył widelec i wyciągnął dłoń.

Jej widelec

błyskawica

nie wycofał się.

Zdarzyło się to, czego się spodziewała, ale była na to przygotowana. W ciemnościach poprowadziła mężczyznę do sypialni, w której lustra, cierpiące na głód światła, odbijały ich skondensowane cienie. Spaliła wargami wargi mężczyzny, zagłębiła swój język w parzący żar jego języka. Potem poprowadziła go do łóżka, zmusiła, żeby się położył, i otoczywszy jego ciało udami

błyskawica na szkle

zaczęła się rozbierać.

Pomimo zalegających ciemności nietrudno mu się było zorientować, że nigdy nie widział takiego ciała. Dostrzegł błysk cienkiej obróżki i trójkąta drżących kółeczek. Widział, jak pochyła się z kocią zwinnością, odgarniając gęste włosy. Lustro na suficie powieliło, w przelotnych błyskach światła, odbicie delikatnej linii pleców i podwójną, pełną kopułę zwartych, doskonałych pośladków. Poczłł gibkie mięśnie poruszające się nad nim, długie palce zmieniające się w delikatne języki i język jak dodatkowy, pozbawiony stawów palec. Człłł go w miejscach, do których nie dotarły niczyje usta, nawet

błyskawica na szkle, blask

światło.

Nie było niespodzianek. Najwyżej jedna: mężczyzna jej nie bił.

Ale i na to była przygotowana. Siedząc na nim z dłońmi skrzyżowanymi nad głową (jak chciał Patricio), opadając i wznosząc się we właściwym rytmie, odwracając głowę, żeby na niego nie patrzeć (jak chciał Patricio), starając się, żeby każdy fragment jej ciała był dostępny dla rąk mężczyzny, czekała na nieprzyjemny moment sił przyzwyczajenia. Ale ciosy nie spadły. Nie była mu za to wcale wdzięczna: ci, którzy jej nie biją, są jeszcze gorsi.

Błyskawica na szkle, biały blask.

Obudził ją grzmot. Przypomniała sobie, co się stało, i uspokoiła się: wszystko poszło dobrze i, na szczęście, jej sekret nie został odkryty. Teraz mężczyzna zasnął, a burza nie cichła.

Ją zaś nadal dręczył ten dziwny niepokój, jaki czuła w domu Lidii: ten sam popłoch, ta sama dojmująca, przesywająca trwoga, która jej nie opuszczała.

Uniosła się na łóżku. W ciemnościach sypialni nie dostrzegła nic dziwnego.

Na zewnątrz błyskawice druzgotały noc.

Otworzył oczy. Leżał na plecach w cudzym łóżku. Spojrzał na sufit.

Sufitem była ona. Jej nagie ciało pochylało się nad nim. Kosmyki agatowych włosów musnęły jego policzek. Musisz już iść, mówiła. Głaskała go po piersiach i mówiła do niego z tak bliska, że nie musiał się unosić, by znowu spróbować smaku jej ust.

- Musisz już iść - powtórzyła, odsuwając usta.

Nie odtrącała go, nie zmuszała do niczego, prosiła go tylko. Ale z jej prośby przebijało napięcie, które chciał uszanować.

- Kiedy znów będę mógł cię zobaczyć?

- Kiedy tylko zechcesz.

- Muszę się z tobą spotkać - nalegał Rulfo. - Musimy się spotkać.

- Tak.

Było jeszcze ciemno, ale burza ucichła. Ogarnął się trochę, po omacku, w maleńkiej lodowatej łazience, wrócił do sypialni i pozbierał części garderoby, żeby się ubrać. Poprowadziła go z powrotem korytarzem. Z ich ust wydobywały się obłoczki pary, a on znowu się zastanawiał, jak dziewczyna znosiła nagość w tej jaskini. Sądząc po lustrach, było oczywiste, że przyjmowała tu również klientów. Przeklinał w myślach kogoś, kto kazał jej mieszkać w takiej norze.

Poza jadalnią, kuchenką niemal wtopioną w ścianę i sypialnią w mieszkaniu był jeszcze jeden pokój, lecz drzwi do niego, wychodzące na korytarz, były zamknięte. Tuż przed nimi dziewczyna odwróciła się i przyłgnęła do niego ustami. Szli, całując się, a kiedy dotarli do wyjścia, odsunęła się od niego.

- Jeszcze dzisiaj odwiedzę tego przyjaciela, o którym ci wspominałem - powiedział Rulfo. - Skontaktuję się z tobą.

- Dobrze.

Dziewczyna przyglądała mu się w milczeniu, stojąc w progu z opuszczonymi rękoma. Kółeczka w jej sutkach połyskiwały przy każdym oddechu.

Rulfo poprosił ją o telefon. Szybko wymienili numery zapisane na kartce, którą przedarła na pół. Kiedy wyszedł na podwórko, kiedy jej postać znikła mu z oczu, odniósł wrażenie, że nagle zrobiło się znacznie ciemniej. Mżyło. Nieprzyjemny fetor unosił się nad ulicą.

Po powrocie na Lomontano pogrzebał w kieszeniach marynarki i stwierdził, że ma tylko zdjęcie i kartkę; figurkę i szmaciany woreczek zostawił przez zapomnienie na stole w maleńkiej jadalni.

Dziewczyna nie widziała, jak odjeżdża. Stała oparta o ścianę, zamknąwszy za jednym zamachem i drzwi, i oczy.

Poszedł. Nareszcie.

Nigdy nie odważyłaby się go wyrzucić. Nawet to, że poprosiła go o wyjście, kosztowało ją sporo wysiłku, nie nawykła bowiem do tego, aby o cokolwiek prosić poza tym, czego i tak nigdy nie dostawała. Poszedł sobie jednak. Wszystko skończyło się dobrze.

Przeszła przez korytarz i zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. Otworzyła je.

Zjawił się bez uprzedzenia. Nieważne, czy César nie będzie mógł lub (co bardzo prawdopodobne) nie będzie chciał go przyjąć. Po prostu nie ścierpiałby odmowy przez telefon. Wsiadł do trzeszczącej okratowanej windy, wjechał na najwyższe piętro i zadzwonił do jedynych znajdujących się tam drzwi, opatrzonych tabliczką, na której widniały - w otoczeniu starannych zawijasów - nazwiska Cesara Saucedo Guerina i Susany Blasco Fernández.

Czekając, zastanawiał się, czy jest szansa, że otworzy Susana. Po tych wszystkich latach brał pod uwagę różne jej miny, nie wykluczył żadnego spojrzenia (nienawiść, smutek, nostalgia). Potem doszedł do wniosku, że i tak pewnie przyjmie go służąca.

Drzwi otworzył mu jednak osobiście sam diabeł, w czerwonym szlafroku zarzuconym na czarny blezer i groteskowych okularkach z niebieskimi szklami spuszczonej do połowy nosa.

César patrzył na niego bez słowa.

Nieprzygotowany na tę niespodziewaną sytuację, Rulfo zareagował instynktownie:

- Cześć. Musiałem się z tobą zobaczyć.

César Saucedo był diabłem.

Diabłem drugiej kategorii, ale na tyle złośliwym, żeby na jego nudnych zajęciach z

literatury sala zawsze pękała w szwach. Rulfo poznał go, kiedy César jeszcze zajmował się pozyskiwaniem dusz. Diabelski cyrograf nazywał się pracą doktorską, a Saucedo dopisywał klauzule, które dotyczyły głównie najmłodszych studentek. W istocie był człowiekiem bez skrupułów, a tym, co najbardziej pociągało Rulfa w jego osobowości, okazał się nieprawdopodobny kontrast pomiędzy niewyczerpaną fantazją a oziębłością jego racjonalnego umysłu. „Jestem poetą kochającym działanie”, miał zwyczaj mówić o sobie. Rulfa określał odwrotnie: „Jesteś człowiekiem akcji kochającym poezję”. Ta mieszanka na początku zdawała egzamin: Impulsywność młodego studenta przyczyniła się do ich poznania, a oziębła wstrzeźliwość profesora spowodowała, że przyjaźń przebiegała bez wzlotów i upadków. Potem obie te cechy przyczyniły się, paradoksalnie, do zaostrenia dystansu, jaki powstał między nimi z powodu Susany.

Mansarda, niedaleko ulicy Velazqueza, dzieliła się na dwa poziomy, z których wyższy stanowił obszerną sypialnię ze skośnymi oknami i przepięknym widokiem na Retiro. César nazywał park „swoim” stanem spoczynku*. Określenie było na tyle trafne, że César zrezygnował z działalności akademickiej i oddał się przyjemnościom w otoczeniu wygod i Susany. Jak na porządnego diabła (drugiej kategorii) przystało, zawsze miał dość pieniędzy i damskiego towarzystwa; wiedział, jak je zdobyć, kiedy zaczynało mu ich brakować, i jak z nich korzystać, kiedy nimi dysponował. Wiele lat temu zebrał kilku swoich byłych studentów i założył koło literacko-artystyczno-orgiastyczne, którego spotkania swego czasu cieszyły się w Madrycie popularnością. Jego „ukochany uczeń Rulfo” należał do tego grona.

To wszystko zdarzyło się, zanim Susana wkroczyła między nich.

- Nie pojmuję marności tego świata, Salomonie. Życie zaczyna być dla mnie za ciasne. Zawsze mawiałem: „My z Roquedal jesteśmy niespokojnymi duchami”. Co robić, żeby znowu cieszyć się życiem? Pamiętasz tamtą dziewczynę? Jak ona się nazywała...? Pilar Rueda? Wyszła za męża, dasz wiarę? Poświęciła się wychowaniu dzieci. Spotkałem ją ostatnio. Macierzyńskie łono to ostatnia rzecz, jakiej się po niej spodziewałem, zapewniam cię. Powiedziałem jej: „Wygląda na to, że zapomniałaś, co robiłaś w moim domu, Pilar”. Odparła: „Tym nie da się żyć...”. Nie, jej dokładna odpowiedź brzmiała nawet: „Nie potrafię żyć, robiąc coś takiego”. Bo najważniejsze to żyć, oczywiście. - Posmakował wermutu. Mówiąc, obracał kieliszek w dłoni. - Być może wszystko polega na eliminacji przeciwności. Przekształcić to, co cielesne, w najwyższą rozkosz ducha. Wiesz, kto był największym

* Retiro, nazwa madryckiego parku, oznacza w języku hiszpańskim „ustronie, zacisze, odosobnienie, stan spoczynku”.

świętokradcą, jakiego znałem? Nie wiem, czy ci o nim kiedyś mówiłem. To pewien francuski przedsiębiorca uważający się za bezpośredniego spadkobiercę markiza de Sade. Jednym z jego wariackich pomysłów było spożywanie - w czasie organizowanych w jego domu przyjęć - poświęconych hostii. Kazał je wykładać. Mówię poważnie, nie wierzysz?

- Wierzę.

- Musiały być autentyczne, podróbki nie wchodziły w grę. Układał je na tacach i podawał zamiast kanapek: niektóre z pasztetem i anchois, inne z serkiem kremowym i kawiozem z bielugi, kawałkami łososia i kaparami... Okoliczni proboszczowie donosili o kradzieżach, a policja zakładała istnienie jakiejś satanistycznej sekty... Satanistyczna sekta! Drań umierał ze śmiechu. Poczekaj, to jeszcze nie koniec. Kiedyś zapytałem, dlaczego to robi, dlaczego konsumuje hostie w ten sposób. Wiesz, co odpowiedział?

- Nie mam pojęcia.

- „Same są mdłe, Cesarze”. Ha, ha, ha! Doprawdy niezły żartowniś był z tego skurczybyka! Ale żaden ateista. „Nie jesteś ateistą”, powiedziałem mu kiedyś. „Chcesz jedynie spożyć Boga posmarowanego diabelską pastą Underwood...”. Genialny facet. Godzinami dyskutowaliśmy o tym, czy piekło jest nieskończone, czy niewyczerpane. Obaj zgadzaliśmy się, że jeśli jest tylko nieskończone, musi być najzwyklejszą torturą. Ale jeśli jest niewyczerpane, czy ktokolwiek mógłby zapragnąć, żeby się kiedyś skończyło? I dochodziliśmy do wniosku, że gorzej, dużo gorzej byłoby się wyczerpać, niż umrzeć. I dodawaliśmy swoje trzy grosze do maksymy Rabelais'go, którą uznał później za swoją Alistair Crowley: „Rób, co chcesz, byle coś się działo”. Dobre rozmowy, i owszem... - Wziął papierową serwetkę i zaczął przypalać ją cygarem. Potem rozpędził smużki dymu. - Teraz nie ma już rozmów ani dobrych, ani złych... Nie ma już nic. Wszystko skalane jest wulgarnością. Ratuje mnie przynajmniej poezja. Mam nadzieję, że ciebie również.

- Owszem, mnie ratuje.

Dawno temu César nie był brzydalem, tylko niewysokim, szczupłym księciem z bajki. „Ale pocałowałem niewłaściwą księżniczkę”, mawiał. Teraz, ze swoimi małymi, szarymi oczyma pod spiczastymi brwiami przypominającymi wyrostki skórne żmii rogatej, siwymi rozwichrzonymi włosami oraz wąsami i bródką dopełniającymi obraz, wydawał się niemilosiernie, nieskończenie brzydki. Na bulwiastym nosie miał zwyczaj nosić metalowe okulary z niebieskimi szklami, które w żaden sposób (wręcz przeciwnie) nie przyczyniały się do polepszenia sytuacji. Ale kiedy Rulfo zaczynał go słuchać, a podejrzewał, że dotyczyło to wszystkich, szybko zapominał o jego wyglądzie. Miał piękny niski głos, z andaluzyjskim zaśpiewem (rodem z Roquedal, powiedziałby). I dar mówienia, twierdziła Susana, którego z

upływem lat wcale nie tracił.

- Cieszę się, że cię widzę, Salomonie, naprawdę. Susana także się ucieszy. Zaraz przyjdzie, musiała pójść do... A właśnie, zostaniesz na obiedzie? Tylko nie odmawiaj. Mamy sobie tyle do powiedzenia... Susana wygląda wspaniale, sam zobaczysz... Oczywiście w wieku trzydziestu lat każda... Kiedyś stworzę heroikę ku jej czci. Ona kwitnie, ja marnieję. Jin i Jang... Gdzie teraz pracujesz? Ostatnią wiadomością, jaka do mnie na twój temat dotarła, było to, że prowadzisz warsztaty literackie...

- Od lata jestem bezrobotny.

- Ktoś taki jak ty!? I to ma być ten nowy kraj, jaki budujemy? Europejczykami jesteśmy wtedy, kiedy się nas rozlicza, bezrobocie zaś nadal ma być naszą wewnętrzną sprawą. Nie zamierzasz nic z tym zrobić?

- Bywało gorzej.

- Zapewniam cię: jeśli tylko ci z tym dobrze, nie ma nic lepszego jak nie pracować. Wystarczy spojrzeć na mnie. Chociaż w twoim wieku trochę na to za wcześnie. W moim zaś za późno... Zestarzałem się, nie wiedząc kiedy.

- Nie masz nawet sześćdziesięciu lat, Cesarze.

- Co z tego. To tylko cyfra. Jestem stary. Czuję się stary. A Susana to widzi... - Przerwał i pociągnął łyk wermutu. - Muszę ci wyznać, że kiedyś więcej nas ze sobą łączyło. Teraz prawie nigdy nie ma jej w domu. Zawsze ma dużo pracy w teatrze. Nie potępiam jej: jest młoda i jeszcze wierzy, że robienie czegokolwiek nie jest pozbawione sensu. Nie potępiłem jej też wówczas, kiedy... Wiesz, kiedy zdarzyło się to między wami... Muszę ci się uczciwie przyznać. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego to stało pomiędzy nami. Mam do was żal jedynie za to, że mi nie powiedzieliście.

Rulfo wiedział, że temat wypłynie wcześniej czy później, choć nie przewidział łatwości, z jaką César był go w stanie poruszyć. Nie zamierzał dać się złapać na haczyk, ale zanim się zorientował, otwierał już usta, żeby go połknąć.

- Mówienie ci o tym nie miało sensu.

- Lepsze to, niż dowiedzieć się przypadkiem, nie uważasz? - zaproponował César bez śladu irytacji w głosie.

- Nie byliśmy pewni, co do siebie czujemy. Nadal uważam, że postąpiliśmy słusznie.

- Rozumiem. Zawsze byłeś buntownikiem. Od czasu uniwersytetu.

- Ty za to uwielbiałeś uczyć buntowników.

- Byłeś romantycznym buntownikiem, a to jeszcze gorsze. Skoro już tu jesteś, coś ci wyznam: nie tyle przeszkadzał mi fakt, że przeleciałeś Susanę, ile ten tani romantyzm, którym

karmiłeś ją na osobności. To logiczne, że się pieprzyliście. Cóż, sam cię z nią poznałem, pierwszy ją wypatrzyłem, jeśli można tak powiedzieć, ale ona była młodziutką aktorką, a ty młodym magistrem filologii. Oboje byliście młodzi i piękni. Ty również, owszem. Jesteś inkubem, jesteś cholernym inkubem. Poważnie. Spójrz na siebie... Z tymi twoimi czarnymi kędziorami i brodą à la Che Guevara... Wystarczy, że dziewczyna spojrzy na ciebie i od razu zapomina o zasadach, ja to rozumiem. Twoją wadą jest dobroć. Nie można obnosić się z taką twarzą i być jednocześnie dobrym człowiekiem, Salomonie. Wyglądasz jak grzesznik, który postanowił zostać ascetą. W głębi serca przyznaję, że zawsze byłeś lepszym poetą niż ja. Obaj kochamy poezję, ale poezja kocha ciebie... nawet jeśli postanowi zostać ze mną. I nie traktuj tego jak perwersyjnej gry słów.

- Zostawmy ten temat w spokoju, dobrze? Nie przyszedłem tu po to, żeby...

- Uważasz, że Susanę można zostawić w spokoju? Jeśli tak myślisz, mój kochany uczniu, musiałeś się bardzo zmienić...

- Czego ty chcesz? Mamy się znowu kłócić?

- Nie - uspokoił go César. - Wybacz, że poruszyłem ten temat. Tak naprawdę chcę tylko żyć. Czasem umieram. Choć nie do końca, i to jest najgorsze...

Susana

Skrzypnięcie wejściowych drzwi wywołało na twarzy Cesara uśmiech.

Susana, tam

- Ponieważ... Życie wraca do mojego domu - dodał z chichotem.

Susana. Tam. Patrząca na niego.

- Nie przywitacie się...? Spójrz, jaką minę zrobiła na twój widok, Salomonie. Nikogo innego nie wita taką miną, zapewniam cię... Ha, ha, ha...

Na obiad były zrumienione warzywa, bardzo cienkie filety z cielęciny, dobrze wysmażone, tak jak lubił César, podane z roquefortem i owoce z serem gruyere. Wszystko z cateringu, wyjaśnili. Korzystali z cateringu od dawna, żadne z nich nie miało ochoty gotować, ale Rulfo nie był przekonany, czy rzeczywiście robią to codziennie, ponieważ pochylili się nad talerzami z niezwykłym zapalem. Wzniesli toast francuskim winem, którego nazwa niewiele go obchodziła, chociaż oboje zapewniali, że otworzyli je specjalnie dla niego. Miała zabandażowany palec, wypadek przy pracy, jak powiedziała, i Rulfo zastanawiał się, czy

nadal ma zwyczaj obgryzać paznokcie. Opatrunek dotknął jego palców, kiedy tręcali się kieliszkami. Zjedli szybko, prawie w milczeniu. Rulfo zdecydował, że poruszy temat dopiero przy deserze. Potem Susana przyniosła truskawki i usiadła na dywanie. César zajął swoją ulubioną sofę, a Rulfo także wybrał podłogę, wiedząc, że widok ich obojga u swoich stóp sprawi gospodarzowi przyjemność. Głośniki rozbrzmiały wiolonczelą Maksa Regera, kilka miododajnych centymetrów sześciennych curvoisiera rozlano do odpowiednich kieliszków, Susana jednak wybrała drambuie. Truskawki pozostawiały w jej ustach lekki posmak laku.

Zmieniła się, Rulfo mógł się teraz o tym przekonać. Tak, zmieniła się. Rozjaśniła sobie włosy na jasny blond, a drobne zmarszczki zamykały jej uśmiech w nawias. W wąskich, markowych spodniach, swetrze z luźnym golfem i lwią grzywą w kolorze słomy nadal pozostawała atrakcyjna, oczywiście, ale dla Rulfa należała już do przeszłości i pragnął, żeby to uczucie spotkało się z wzajemnością.

Początkowo rozmowa kręciła się wokół nowego, niespodziewanego zamysłu Susany: produkcji sztuk teatralnych.

Produkcja sztuk teatralnych, Boże ty mój!

- Nie zamierzam porzucić kariery aktorskiej. To César mnie zachęcił. I ma rację... Trzeba myśleć perspektywicznie. Ale jeśli się dobrze zastanowić, założenie własnej firmy jest takie ciężkie.

Ona i ja, w samochodzie, zupełnie pijani, wtedy, w czasie tamtej wyprawy... Rozebrała się i włożyła nadgarstniki, które zakładałem, siadając za kierownicą...

- Kłopot w tym, że małe firmy prawie nigdy nie otrzymują dofinansowania. Teraz nawet rzadziej niż kiedykolwiek.

- Kultura zawsze budziła niechęć rządzących, Susano.

- Mnie nie musisz tego mówić.

- Weźmy choćby naszego przyjaciela, Salomona. Dyplomowany wykładowca, a nie może znaleźć pracy.

- Nie do wiary - nadgryzła kolejną truskawkę.

Mieliśmy obalać normy. Planowaliśmy stworzyć sektę. The Hellfire Club w Madrycie, powiedziałaś kiedyś...

César wyszedł na chwilę. Krótka przerwa, jak powiedział, ale wystarczyła, żeby milczenie dopadło ich oboje. Podnosząc papierosa do ust, Susana zawadzała zabandażowanym palcem o nos. Słowa popłynęły razem z dymem.

- Zważywszy na to, jak długo się nie widzieliśmy, nie jesteś zbyt rozmowny, Salomonie.

- Zaskoczyło mnie twoje nowe biznesowe wcielenie.

Zobaczył, jak przyjmuje cios z tajemniczym uśmiechem, jednym z tych w rodzaju: „Wiem, że ty wiesz, a ty wiesz, że ja wiem”. Zauważył też kolejny szczegół jej fizjonomii, który uległ zmianie: dziurka w brodzie znacznie się uwidoczniła. Kiedy się jej przyglądał, wspomnienie ciała Raquel w świetle błyskawic napłynęło do jego mózgu gorącą falą.

- Wszyscy się zmieniamy. Ty, na przykład, wybrałeś to, co rozsądne, i postanowiłeś się ze mną więcej nie spotykać...

- Nie byłem od tamtej pory szczęśliwy.

- Mówiono mi, że byłeś. Miałaś dziewczynę, prawda?

- Zostawmy to. - Ani Susana, ani César nie wiedzieli, co się stało z Beatriz. Pomyślał, że nie jest to właściwy moment, żeby o tym opowiadać. - Sprzedałem mieszkanie. Przeniosłem się do mniejszego.

- Wiem. - Z twarzy Susany nie zniknął porozumiewawczy uśmiech kogoś, kto dzieli wspólny sekret. - Wszystko umiera śmiercią naturalną. Pilar wyszła za męża. César ci mówił? A David i Álvaro pracują dla rządu. Oglądasz się do tyłu i widzisz, że już nic nie jest takie samo jak dawniej. Nie zdarza się już nic zaskakującego. To pewnie symptom starzenia się... Nie słuchasz mnie... O czym myślisz?

- Wręcz przeciwnie, słucham cię uważnie - odparł Rulfo. - Mnie nadal przytrafiają się zaskakujące rzeczy.

- Opowiesz nam o nich?

- Po to tu przyszedłem.

César wrócił z kawą na tacy.

- Mogłam ją przygotować - powiedziała Susana przesadnie niezadowolonym tonem.

- Nie chciałem cię pozbawić przyjemności krótkiej rozmowy tête à tête z naszym gościem. Jeśli ktoś chce mleka lub cukru, proszę się częstować. A teraz powiedz nam, z czym przyszedłeś, mój drogi uczniu.

Rulfo wyjął oba rekwizyty i wręczył Cesarowi kartkę.

- Potem wyjaśnię, gdzie i w jaki sposób to znalazłem. Najpierw powiedz, czy coś ci to przypomina.

Jego były nauczyciel kręcił w milczeniu głową, ale kiedy Rulfo podał mu fotografię, zmienił się na twarzy. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym oddał kartkę, podnosząc wzrok i patrząc, jakby oczekiwał jakiegoś wyjaśnienia lub pomocy. Rulfo zauważył na jego twarzy emocje, o jakie nigdy nie podejrzewałby człowieka jego pokroju.

César Saucedo się bał.

IV. DAMY

- Myślę, że zrozumiecie mnie lepiej, kiedy wam o tym opowiem. Zdarzyło się to dawno temu, ale pamiętam wszystko ze szczegółami... Poza tym Salomón dał nam słowo, że zdradzi, w jaki sposób wszedł w posiadanie kartki i zdjęcia, dlatego ja... Powinienem wyjaśnić źródło ich pochodzenia...

Podniósł kieliszek do ust, jakby zbierając siły do dalszego mówienia. Kiedy się odezwał, na powrót stał się profesorem, jakiego oboje znali, o czystym, niskim, zadziwiająco pięknym głosie.

- Miałem jakieś dziewięć czy dziesięć lat. Mieszkałem tam, gdzie się urodziłem, w Roquedal... O moim miasteczku chyba wam wspominałem: o jego legendach, tajemnicach i bezkresnym morzu... Ale ta historia nie dotyczy Roquedal, chociaż tam właśnie się wydarzyła, tylko mojego dziadka ze strony matki, Alejandra Guerina... Dziadek był stolarzem. Owdowiał, kiedy się urodziła moja matka, i być może ta właśnie tragedia rozbudziła w nim nagłe pragnienie, by poświęcić się temu, co zawsze lubił, to znaczy poezji. Ludzie, którzy go znali, twierdzili, że rymowanie miał we krwi. Nawet Manuel Guerín, współczesny poeta z Roquedal, syn siostrzeńca mojego dziadka, twierdzi, że talent odziedziczył po dziadku Alejandrze... Pasja ta popchnęła go do czynu niedopuszczalnego w owej epoce: wyjechał z miasteczka, oddając nowo narodzoną córkę pod opiekę swojej, nieposiadającej dzieci, siostrze, która z radością ją zaadoptowała. Z listów dowiadawali się, że osiadł w Madrycie, a za pieniądze, które zarabiał jako stolarz, próbował publikować wiersze. Następnie, jako że nigdy nie tracił zapału, spakował manatki i przeniósł się do Paryża. Po wybuchu wojny przestano otrzymywać od niego wiadomości. Minęły lata, Francja znalazła się pod okupacją i wszyscy w Roquedal sądzili, że dziadek zginął lub dostał się do niewoli. Po wyzwoleniu myśleli, że już o nim nie usłyszą. I wtedy zdarzyło się coś bardziej nieprawdopodobnego niż jego wyjazd. Wrócił... - Przerwał i przesunął wskazującym palcem po fotografii, jakby był niewidomy i usiłował odczytać wypukłe słowa. - Wyobraźcie sobie

zaskoczenie, z jakim go przyjęto. Wiele osób wyjeżdżało, wiele zostawało, ale niewiele wracało do powojennej Hiszpanii. Mój dziadek Alejandro był wyjątkiem. Pewnego dnia zobaczyli go po prostu na stacji, jak wysiada z walizką z pociągu, dokładnie tak samo, jak kilka lat temu do niego wsiadał. Pretekstem był ślub córki, która właśnie wychodziła za mąż. Nie muszę chyba dodawać, że jego powrót nikogo nie cieszył. Wszyscy przypuszczali, że będzie się sprzeciwiał jej małżeństwu, ale i tym razem ich zaskoczył, twierdząc, że chce się osiedlić w Roquedal i dożyć w spokoju swoich ostatnich dni. I przywiózł pieniądze, a to szczególnie nie bez znaczenia. Część z nich wręczył córce, część siostrze, która ją wychowała, pozostawiając sobie niewielką sumkę na otwarcie warsztatu stolarskiego. Obiecał nie sprawiać kłopotu i dotrzymał słowa. Ludzie z czasem zaczęli się do niego przekonywać. Zrozumieli, że przybył w pokojowych zamiarach. Niepokoiły ich tylko dwie sprawy: nie chciał rozmawiać ani o swoich paryskich doświadczeniach, ani o poezji. „Nie jestem poetą”, powtarzał. „Nigdy nie byłem poetą. Jestem stolarzem”. I mówiąc to, patrzył w taki sposób, że odchodziła ochota do dalszych pytań.

Mijały lata, urodziłem się ja... i rosłem zafascynowany historią mojego dziadka Alejandra, „tego z Paryża”. Przyzwyczailem się spędzać popołudnia w jego warsztacie, przy szosie wylotowej z miasteczka, a on, z początku niechętny, po jakimś czasie mnie zaakceptował. Miałem zapędy literackie i mówiłem mu, że chcę zrobić to, co on: wyjechać z Roquedal, żeby zostać poetą. Pokazywałem mu swoje wiersze, lecz on nigdy ich nie czytał. Po prostu dopuszczał mnie do swojej samotności. Nazywał mnie Smykiem i mówił piękne rzeczy o moich oczach i postaci. W końcu połączyła nas głęboka przyjaźń. Dzięki niej zdałem sobie sprawę z czegoś, czego nie wiedzieli inni: mój dziadek nie czuł się rozczarowany „życiem bohemy” ani rozgoryczony nieoczekiwanym zwrotem kapryśnej fortuny, która zmusiła go do powrotu. Tak naprawdę mój dziadek żył w c i ą g ł y m p r z e r a ż e n i u. Był to nieustający nieokreślony strach. Przyzwyczailem się do picia, ciszy, ukradkowych spojrzeń... Jakby czekał, że coś się stanie, i jednocześnie bardzo się tego bał...

Miałem, jak już mówiłem, jakieś dziewięć czy dziesięć lat, kiedy to się zdarzyło. Było lato, wakacje, co pozwalało mi widywać dziadka częściej. Owego dnia wybrałem się jak zwykle do warsztatu i...

Zaskoczyły go zamknięte drzwi.

Nawet jeśli nie miał klientów (czasem nie miał ich całymi dniami), staruszek nigdy nie zamykał ich przed południem, nawet w świąteczne dni. Chłopiec obawiał się, że mógł zachorować. Zastukał i czekał. Potem zaczął stukać do okna.

- Dziadku!

W środku usłyszał jakiś hałas. To go uspokoiło. Może staruszek zasnął. Ostatnio dużo pił i niechętnie wygrzebywał się spod pościeli. W dodatku dzień nie zachęcał do wystawiania głowy z domu. Niebo było szare, a skwar nie do wytrzymania. Wiatr parzył pustynnymi podmuchami, w niewielkim stopniu złagodzonych przez morze, a góry najeżone krzewami posłonka drżały w oddali. Kilka heliotropów uwięzionych przez starego w kwietniku wyglądało równie złowroźnie jak ów dzień. Pewnie będzie burza, pomyślał chłopiec, jedna z tych gwałtownych, letnich nawałnic, które wypruwają flaki z chmur. Cieszyła go ta perspektywa: jeśli spadnie deszcz, cudownie będzie przejść się plażą po południu. Morze umęczone ulewą, z ogłupiałymi mewami piszczącymi na falochronie, zawsze było mrocznie piękne. Poza tym jego przyjaciele wykorzystają dzikie pustkowie, żeby strzelać do czernic topornymi, zaostrozonymi gałęziami grabu. Może nawet stary zechce im towarzyszyć...

- To ty, Smyku?

Uśmiech ulatniał się z twarzy dziecka, w miarę jak ustępowały przed nim drzwi. Błady i oblany potem, jak topiąca się świeca bez płomienia, stary patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma. Po gwałtownym potoku jego słów domyślił się, że jest pijany.

- Wejdz, Smyku.

- Co ci jest, dziadku?

- Wejdz...

Stary zamknął drzwi i ruszył przodem. Weszli w świat pachnący wiórami, zamieszkały przez straszliwe narzędzia i słodkie milczące drewno. Świat mebli bez twarzy, jak nienarodzone dzieci. Sypialnię starego, po drugiej stronie warsztatu, jego „pustelnię samotnika” - sam ją tak nazywał - objęły w całkowite posiadanie butelki po winie oraz puszki z lakierem i olejem kreozotowym. Karafka wydzielala ciężki zapach alkoholu, a ślady na stojącej obok szklance zdradzały, że jej właściciel musiał zacząć pić jeszcze przed świtem.

Stary kręcił się po pokoju z miejsca na miejsce, wyglądając przez okna i sprawdzając drzwi. Potem pochylił się nad chłopcem, przytrzymując go za ramiona.

- Chcę cię prosić o przysługę, Smyku. O wielką przysługę... Musisz sprawdzić, i to jeszcze dzisiaj, gdzie zatrzymała się kobieta, która przyjechała do miasteczka wczoraj wieczorem... Słuchaj, nie przerywaj mi... Chcę znać jej imię i wiedzieć, skąd przybywa... Jest młoda i piękna, na pewno wszyscy zwrócili na nią uwagę. Nie zawieź mnie, Smyku... Tylko mnie nie zawieź...

- Kobieta, dziadku?

- Tak. Młoda, wysoka i piękna. Przyjechała wczoraj wieczorem. Muszę wiedzieć

skąd... I... Poczekaj! Nie idź jeszcze! Zapomniałem o najważniejszym! A raczej o dwóch najważniejszych rzeczach: sprawdź, czy nosi na szyi medalion, wiesz, taką złotą ozdobę... A jeśli tak jest, upewnij się, jaki ma k s z t a ł t. Tylko na wszystkie świętości błagam cię... Jeśli natkniesz się na nią... Słuchaj uważnie: jeśli ją zobaczysz... Zapamiętaj, Smyku, nie rozmawiaj z nią, nie zbliżaj się do niej, nawet jeśli cię zawoła... Nawet, jeśli zawoła... Zrozumiałeś?

- Dziadku, nie ściskaj mnie tak mocno...

- Zrozumiałeś?

- Tak, dziadku.

- Idź już i wracaj jak najszybciej.

Nie widział przeszkód, żeby spełnić pierwszą część polecenia. Marzył nawet o tym, aby jak najszybciej wyjść. Zachowanie dziadka przeraziło go. Nie wiedział, co mu się stało, ale samo patrzenie w jego oczy przeszywało dreszczem.

Wrócił po dwóch godzinach. Tym razem warsztat był otwarty. Z głębi dobiegł głos starego, zachęcający go do wejścia. Dziadek siedział w swoim bujanym wiklinowym fotelu.

- Nikt, dziadku.

- Słucham?

- Nikt nie przyjechał do miasteczka. Ani wczoraj, ani w ciągu całego tygodnia.

- Jesteś pewny?

- Najzupełniej. Pytałem w pensjonacie, w hotelu... I zajrzałem do baru La Trocha. Tam wiedzą wszystko. Nikt nie przyjechał. Nikt.

Nie chciał powtarzać tego, co prawie wszyscy dodawali na koniec, i co dla niego też było jasne: że stary powinien przestać tyle pić. Nie byłby w stanie tego powiedzieć. Kochał do szaleństwa tego człowieka o siwej, gęstej brodzie, postępującej, wyszlachetnionej symetrią łysinie i oczach, w lepszych czasach przypominających z pewnością okna otwarte szeroko na świat, który pragnął poznać.

Myślał, że dziadka ucieszy przyniesiona wiadomość, ale tak nie było: wydawał się jeszcze bardziej zgnębiony. Nagle jednak wyraz jego twarzy uległ zmianie. Uśmiechnął się i puścił do niego oczko.

- Wstyd mi prosić cię o kolejną przysługę. Jeśli nie masz ochoty, po prostu powiedz, i damy sobie spokój. Dobrze?

- Dobrze, dziadku.

- Jesteś wspaniałym chłopcem. Chciałbym... żebyś poprosił rodziców o zgodę i przyszedł do mnie na noc. Pogramy sobie w karty albo w coś innego... Potem, jeśli nie

będziesz musiał wracać do domu, odstąpię ci łóżko, a sam prześpię się na kanapie... Nie będę cię męczyć, przysięgam...

- Ależ, dziadku...

- Wiem, że to nudny plan, ale...

- Nudny?! Jest fantastyczny! Powiem mamie!

Nie będzie miał żadnego problemu, z góry to wiedział. Jego rodzina, podobnie jak wszyscy w Roquedal, zrozumieli w końcu, że stary jest nieszkodliwy. Wprawdzie matka nie chciała nic wiedzieć o stolarzu, od którego dostała zaledwie jeden uśmiech, jeden pocałunek i sporą sumkę pieniędzy, lecz nie sprzeciwiała się częstym odwiedzinom chłopca.

Jednak kiedy nadszedł czas, pewne wydarzenie niemal unicestwiło cały plan. Gorąca gruda podtrzymywana przez niebiosą runęła salwą na morze, przetaczając uliczkami tumany piachu i kurzu. Chłopiec przezornie wyszedł wcześniej, żeby rodzice nie zdążyli mu tego zakazać. Mimo to kiedy dotarł do warsztatu, lało już potężnie. Coś, co przypominało żarzenie świetlika uwięzionego w lampionie, kołysało się w oknie. Stary wpuścił go do środka.

- Jesteś przemoczony, Smyku. Wejdz, osusz się.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był jego zmieniony głos. I już nie drżał, nie widać po nim było ani strachu, ani żadnych innych emocji. Zalaływało od niego alkoholem, choć nie bardziej niż rano. A jego ruchy były dokładne, wyważone i pewne. Potem, dużo później, chłopiec zda sobie sprawę z popełnionego błędu. Ale wówczas nie wiedział jeszcze, że istnieją stany opilstwa wykraczające poza drzenie, jąkanie się i drwinę: upojenie absolutne, jak szaleństwo, możliwe do ukrycia przed wzrokiem.

Stary ani razu nie tracąc równowagi, doszedł do swojej „pustelni”, oświetlonej kilkoma świecami ulokowanymi w pustych butelkach, i usiadł sztywno w bujanym fotelu. Jego oczy patrzyły w pustkę.

- Zdejmij koszulę i rozwiś, żeby przeschła. Mam trochę sera, jeśli chcesz wrzucić coś na ruszt.

- Niedawno jadłem kolację, dziadku.

Przez chwilę patrzyli na siebie w zupełnej ciszy, nie licząc szumu deszczu w tle. Chłopiec zwrócił uwagę na wyjątkową błądź starca. Jakby w czasie tej krótkiej przerwy, kiedy się nie widzieli, cała krew nadająca koloryt jego twarzy wyciekła przez jakiś otwór. Wreszcie usłyszał, jak mówi:

- Tak bardzo jestem ci wdzieczny, że przyszedłeś... Chciałem z tobą porozmawiać, opowiedzieć ci o czymś... A właściwie... - Nachylił się do niego i uśmiechnął. - Właściwie chcę ci opowiedzieć w s z y s t k o. - Umilkł, ale uśmiech nie ustąpił mu z warg: jakby był

swego rodzaju inkrustacją w jego twarzy, podobną do tych, jakimi sam ozdabiał meble w warsztacie. - Wiele razy pytałeś mnie, czy nadal pisuję wiersze, prawda? Zdradzę ci pewien sekret... - Sięgnął ręką ku półce wiszącej tuż za nim i wyciągnął zeszyt z pogiętymi kartkami. - Nikomu tego nie pokazywałem. Te stronicie zawierają wszystko, co ostatnio napisałem... Wszystko.

Zachwycony chłopiec właśnie miał się uśmiechnąć, kiedy nagle coś go tknęło.

Była to myśl tak gwałtowna, tak dojrzała, że zaboląa go jak policzek.

Jego dziadek był chory. Bardzo chory. I nie zachorował nagle, w tej chwili: być może pozwolił tylko, żeby nieokreślona choroba, której udzielał schronienia, utworowała sobie w końcu drogę do wyjścia: pośród zmęczonych zmarszczek, przez oczy, nieodgadnione tunele światła, i usta posrebrzone warstwą śliny.

Siedział na krześle jak sparaliżowany. Miał wrażenie, jakby to pomarszczone, obserwowane przez niego oblicze należało do kogoś obcego, do starca, który całkowicie postradał rozum, do jakiegoś pomyłonego dziwaka. Jego dziadek jest pomyłony, to wszystko.

- Chcesz przeczytać poemat swojego dziadka, Smyku, poemat, który piszę o d l a t? Nie zaprzeczaj, chłopcze, zawsze chciałeś przeczytać wiersze swojego sławnego dziadka Alejandra! Chcesz przeczytać? - I nagle, między dwoma grzmotami, ten krzyk: - Odpowiadaj, łobuzie! - Chłopiec odpowiedział „tak”, choć nie słyszały tego nawet jego własne uszy. - No to masz!

Zeszyt nie trząsł się, zaczął drżeć dopiero, kiedy trafił do rąk dziecka.

- Przeczytaj go. Przeczytaj mój poemat, chłopcze.

Z dygotem, ostrożnie, chłopiec otworzył zeszyt na pierwszej stronie. Nie było na niej słów, tylko niezdamny rysunek wykonany kredkami: żółty kwiat. Na następnej niebieski ptak. Na trzeciej kobieta z rozkrzyżowanymi nogami przywiązana do łóżka, a

dam

na następnych ludzkie głowy z czerwonymi wyrostkami wystającymi z czaszek; twarz z oczyma zasnutymi bielmem; jasnowłosa dziewczynka z amputowanymi dłońmi przeszywająca jednym z kikutów

dam jest trzynaście

dziewczynkę o ostrych jak szpilki zębach; kij od szczotki zagłębiony po uchwyt w

czyichś genitaliach

dam jest trzynaście:

ta z numerem pierwszym Zaprasza

zamazane plamy, otwarte usta; jakaś twarz, którą oblażyły robaki; jakiś wisielec;
kobieta z rozprutym brzuchem; zmija ześlizgująca się po oku niemowlęcia

dam jest trzynaście:

ta z numerem pierwszym

Zaprasza, ta z numerem drugim Czuwa

- Podoba ci się wiersz, chłopcze?

Dziecko nie odpowiedziało.

- Podoba ci się mój wiersz? - nalegał starzec.

- Tak.

- Czytaj dalej. Najlepszy jest koniec.

Przewrócił kartki z trzepotem tak szybkim, jak bicie własnego serca. Świat wielokolorowego szaleństwa owionął mu twarz. Ostatnia strona nie była wpięta do zeszytu. I była jedyną zapisaną stroną. Rozpoznał pismo dziadka. Wiersz był dziwny. Wyglądał bardziej na listę nazwisk.

Dam jest trzynaście:

Ta z numerem pierwszym Zaprasza,

Ta z numerem drugim Czuwa,

Ta z numerem trzecim Karze,

Ta z numerem czwartym Omamia,

Ta z numerem piątym Rozkochuje,

Ta z numerem szóstym Przeklina...

- Ta z numerem siódmym Zatrzuwa - recytował starzec, wtórując czytającemu chłopcu, bez najmniejszego zająknięcia, bez najmniejszego błędu. - Ta z numerem ósmym Zaklina...
Ta z numerem dziewiątym Wzywa... Ta z numerem dziesiątym Wykonuje... Ta z numerem

jedenastym przewiduje... Ta z numerem dwunastym Wie. - Przerwał i uśmiechnął się. - To damy. Jest ich trzynaście, zawsze jest ich trzynaście, ale wymienia się tylko dwanaście, widzisz? Możesz wymienić tylko dwanaście. Nigdy, nawet we śnie, nie waż się mówić o ostatniej... Biada ci, jeśli wspomnisz o tej z numerem trzynastym! Sądziś, że kłamię? Stary pomylenieć. Twój dziadek jest starym pomyleniećem. Przyglądając się tej twarzy naznaczonej szaleństwem, odpowiedział z wysiłkiem:

- Nnnie...

Starzec rozparł się w fotelu, jakby odpowiedź sprawiła mu przyjemność lub przynajmniej w jakiś sposób uspokoiła. Przez chwilę milczał. Burza wyła jak rozwścieczony tłum. Potem przemówił znowu, szeptem:

- Poznałem jedną z nich w Paryżu... A raczej ona zechciała mnie poznać. To one zawsze wybierają. Nazywała się Leticia Milano. Oczywiście to nie było jej nazwisko, nie wyglądała też w ten sposób. - Gestem magika wyciągnął skądś pogiętą fotografię i wręczył ją chłopcu. - Widzisz mnie na nim? To zdjęcie zrobiono wiele lat temu na wybrzeżu bretońskim. To Leticia Milano. Dużo mógłbym ci opowiedzieć o tej kobiecie, ale nie zrobię tego. Opowiem ci tylko o jej oczach. Wiesz, co było w jej spojrzeniu, Smyku? To, co przed chwilą oglądałeś w zeszyście. T o w s z y s t k o tam było.

Chłopca ogarniał coraz większy strach. Nie rozumiał, o czym dziadek mówi, wiedział tylko, że popełnił poważny błąd, przychodząc tego wieczoru do jego domu. Coś bardziej niepokojącego niż bladość spowijało oblicze starca, napinało jego rysy, wprawiało w ruch gałki oczne, a kiedy mówił, wykrzywiało kąciki jego ust w przelotnych grymasach.

- Każda dama może być wieloma różnymi kobietami, ale ci, którzy do nich należą, potrafią je rozpoznać. Noszą symbol. Medalion na szyi. Widzisz? - Wskazał na zdjęcie. - Ta nosiła medalion Akelos, ta z numerem jedenastym, ta, która Przewiduje... Spójrz na zdjęcie. Jaki kształt ma ten medalion, chłopcze?

Dziecko nie odrywało oczu od zdjęcia. Czulo wilgotny ziąb przenikający jego nagi tors.

- Wygląda... jak jakiś robak.

- Pająk - uściślił starzec. Rozparł się ponownie w fotelu i zachichotał. - Chcesz być poetą, prawda? Czyżbyś nie wiedział, czym jest poezja? W szkole pewnie ci mówią, że polega na komponowaniu ładnych, rymujących się zdań... Ale wiele, wiele lat temu kapłan kładł niemowlę na ołtarzu, otwierał jego mały okrągły brzuch jak arbuz i wyciągając zeń wnętrzności, jak długą, długą, długą dżdżownicę, recytował „ładne” wiersze... Prawdziwa poezja to czysty horror: mówi to twój własny dziadek... - Nagle chłopiec zrozumiał jedno: na

starość ludzie płaczą, patrząc w taki właśnie sposób, dokładnie tak jak teraz patrzył na niego dziadek. - Nie wiesz... Nie wiesz, co o n a mi pokazała... Nie masz pojęcia, chłopcze... Jak ci to wyjaśnić? Istnieją dwa poziomy. - Podniósł dłoń do wysokości oczu, wewnętrzną stroną ku dołowi, bez drżenia. - Jeden, górny, na którym żyjemy. Ale jest jeszcze drugi, głębszy, dużo głębszy. - Chłopiec zahipnotyzowanym wzrokiem podążał śladem opadającej dłoni. - Warstwy i warstwy ciemności, podziemia, w których wiersz jest bytem o czerwonych oczach... - Raptem przerwał i odwrócił głowę. - Słyszałeś to? - Podniósł się i zerknął przez szparę w zamkniętych okiennicach. Wyglądał, jakby zachłysnął się przerażeniem. Błyskawica odbiła się światłem na jego napiętej twarzy. - Obiecała, że po mnie przyjdzie. Chce moich wierszy! Z jakiegoś powodu wybierają cię i sieją w twoim umyśle potworności, po to... żebyś wyprodukował parę linijek. - Naraz, pochylając się z szeroko otwartymi ustami, zawył przeciągle. Ten jęk wstrząsnął chłopcem od stóp do głów. - Dlatego wróciłem. Myślisz, że mnie to z a w s z o n e miasteczko cokolwiek obchodzi? Ale ona tu jest. Widziałem ją wczoraj przez to okno, przysięgam! Ma teraz czerwone włosy i oczy jak zimowa noc... I pożąda moich wierszy! Boję się tego, co mi może zrobić. - Osunął się, wstrząsany szlochem bez łez, szlochem, który zmieniał jego twarz w gumową maskę ciągniętą przez kogoś za policzki. Nagle podniósł wzrok. - Nieszczęsny chłopcze...! - zasyczał. - Mówisz, że chcesz być poetą?! Ty głupcze!

Miał wrażenie, że starzec skoczy na niego. Nerwy mu puściły, jak zerwana struna, cisnął zeszyt, złapał swoją koszulę i rzucił się do ucieczki. Kiedy opuszczał warsztat wśród nocy i deszczu, znowu usłyszał jego głos. Nigdy nie zapomni uczucia, jakie go wówczas nawiedziło: jakby rozmowa trwała nadal, jakby to nie on wyszedł, jakby to nie on był osobą, do której starzec kierował wciąż swoje słowa:

- Musisz mi wybaczyć... Błagam cię, przebacz mi... Musisz mi wybaczyć...

- Nazajutrz warsztat nie został otwarty. Ani następnego dnia. Ani kolejnego. Cztery dni później zielone wielkie fale, jak grzbiety śpiących dinozaurów, wyrzuciły jego ciało na plażę. Rodzice nie chcieli mi przekazać szczegółów, powiedzieli tylko, że nie żyje. Ale jeden z moich rówieśników, obecny przy tym, jak wyciągali topielca, opowiedział mi, co zrobiły z nim ryby, o kolorze jego języka i krwi, o sposobie, w jaki morze pozbawiło go rysów twarzy i człowieczeństwa. To ciało długo mi się śniło. Potem zapomniałem. Ludzie mówili, że w tamtą burzową noc dziadek się upił, poszedł na falochron i rzucił się do morza. Nie potrzebowałem sędziów ani żandarmów, żeby wiedzieć, że był do tego zdolny. Później, kiedy oddano nam jego rzeczy osobiste, znalazłem zeszyt, ale brakowało fotografii i kartki z listą

dam. Podejrzewałem, że skoczył do morza razem z nimi. Teraz ty, Salomonie, jesteś niczym morze, zwracasz mi je... Mam nadzieję, że wyjaśnisz mi, gdzie je znalazłeś...

- To absurd - powiedziała Susana.

Wróciła z jakąś paczuszką i bibułkami do robienia papierosów, lecz ani César, ani Salomón nie okazali zainteresowania. Usiadła więc na dywanie i przygotowała skręta tylko dla siebie. Palila w ciszy, z głową opartą o fotel, patrząc w sufit. Godziny światła kurczyły się wyraźnie. Przestało padać, ale chmury nadal gilotynowały horyzont ponad parkiem Retiro.

- To kompletny absurd. Na pewno istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie tego, co się stało, Salomonie...

Rulfowi przypadł do gustu ten głos rozsądku. Godzinę wcześniej, kiedy słuchał historii Cesara, był na granicy wytrzymałości nerwowej; ale po opowiedzeniu swojej własnej przygody (która w miarę upływu czasu wydawała mu się coraz bardziej nieprawdopodobna) pomyślał, że świat zwariował w nieodwracalny sposób. Jak to możliwe, żeby te dwa wydarzenia, które dzieliło prawie pięćdziesiąt lat, były ze sobą powiązane? Wstrząsnęło nim to, że César wspomniał o medalionie w kształcie pająka i wymienił imię Akelos, choć nie mniej obaw budził w nim fakt, że w tym nieznanym domu odnalazł zdjęcie i kartkę dziadka Cesara. Co oznaczały te wszystkie zbiegi okoliczności? Był wdzięczny, że Susana wystąpiła w obronie zdrowego rozsądku, chociaż miał pewność, że sama nie wierzy w to, co mówi.

- Dajcie spokój... Naprawdę myślicie, że Lidia Garetti kontaktowała się w snach z Salomonem i tą dziewczyną? I że Leticia Milano i Lidia Garetti mają cokolwiek wspólnego z jakąś tam „Akelos”? Ekscytujące, lecz absurdalne. Zgoda, zdjęcie i kartka były w jej domu. I co z tego? Może Leticia była jednym z jej przodków. Poza tym na jakiej podstawie, Cesarze, twierdzisz, że to ta sama kartka, którą pokazywał ci dziadek? Minęło tyle lat...

- O pewnych sprawach nigdy się nie zapomina.

- I nie mów, jak widać. Nigdy mi o tym nie wspomniałeś.

- Nie przywiązywałem do tego wagi. Zawsze myślałem, że dziadek zwariował... dopóki nie wysłuchałem historii Salomona.

- Historia Salomona może mieć niejedno wytłumaczenie. Podobnie jak twoja.

- Ja nie podaję w wątpliwość jego słów.

- Ani ja. Moje wątpliwości dotyczą sposobu, w jaki je interpretujesz. - Przeniosła wzrok na Rulfa i uśmiechnęła się. - Wybacz, ale ktoś musi powiedzieć w końcu coś sensownego, prawda?

- Oczywiście - zgodził się Rulfo.

- Wierzę, że naprawdę miałeś sny i znalazłeś w tym domu owe przedmioty, tylko po pierwsze, dziewczyna, która ci towarzyszyła...

- Raquel.

- Właśnie. Nie sądzisz, że mogła coś przed tobą zataić? Teraz pewnie śmieje się z twojej naiwności.

- Nie sądzę. - Rulfo próbował ukryć irytację, jaką zrodziła w nim ta sugestia. Nie chciał podawać wielu szczegółów dotyczących Raquel, ograniczył się do przedstawienia jej jako „świadka”. - Była nie mniej przejęta niż ja. Jej śniło się to samo i przyszła tam z tego samego powodu.

- I nagle, przypadkiem, obydwójce trafiaacie tam tego samego wieczoru i... trach, dom staje przed wami otworem? Daj spokój, Salomonie...! - Zaciągnęła się papierosem i obgryzła paznokcie. - To wszystko... czysty zbieg okoliczności, a ty zinterpretowałeś go na swój sposób... - Uśmiech dzielonej wspólnie tajemnicy dzierżyła niemal jak sztandar. - Znam cię, zawsze byłeś romantyczny. Marzyłeś o tym, żeby coś takiego ci się przytrafiło, p r a w d a?

Dziwne sprawy, pomyślał Rulfo. Takie, których nie lubił Ballesteros. Ale Susana się myliła: on również ich nie lubił.

- César nie jest romantykiem - zaoponował. - A potwierdził moją historię. Nawiasem mówiąc, zwróciłem się z tym do ciebie, Cesarze, ponieważ coś sobie przypominałem... Czy przypadkiem nie wspomniałeś kiedyś o damach?

Sauceda przyświadczył z tajemniczą miną.

- Owszem, i to jest drugi aspekt tej dziwnej historii, którego jeszcze nie znacie. Przypomnij sobie: kongres na temat Gongory, przed pięcioma laty, tutaj, w Madrycie... Przyjechali ludzie z różnych stron...

- Teraz pamiętam: obiad z tym austriackim profesorem...

- Herbertem Rauschenem. Niesamowity był gość z tego Rauschena. W czasie posiłku siedzieliśmy naprzeciwko siebie, wdał się ze mną w rozmowę na temat inspiracji poetyckiej. Jego teoria mnie zaintrygowała. Uważał, podobnie jak Grecy, że poeta bywa „nawiedzony” z zewnątrz. Nie miał na myśli demonów, oczywiście, tylko „zewnętrzne wpływy”. W pewnym momencie zapytał mnie, czy znam legendę o trzynastu damach. To było jak *déjà vu*:

przypomniałem sobie nagle tamten wieczór z moim dziadkiem. Byłem... „Oszołomiony” to za mało powiedziane. Wyznałem, że coś niecoś o niej słyszałem. Siedziałeś wtedy obok, Salomonie. Spytałeś, o co chodzi.

- I żaden z was mi nie wyjaśnił.

- Zgadza się. Rauschen zmienił temat, a ja byłem tak skonfundowany, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Nigdy też nie zdradziłem ci dalszego ciągu. Po obiedzie zaproponował mi przechadzkę. Wyraziłem zgodę, zaintrygowany, spodziewając się wielkich rewelacji. Z początku jednak rozmowa mnie rozczarowała: mówił o tym, jak dobrze czuje się w Hiszpanii, o tym, że pragnie osiąść w naszym kraju (mieszkał w Berlinie), o znanych mu hiszpańskich profesorach... Najwyraźniej krążył wokół różnych tematów, jakby nie mógł się zdecydować, czy zaatakować ten, który (jestem pewny) interesował nas obu. Wreszcie spytał, co wiem na temat legendy. Odpowiedziałem, że prawie nic, zresztą tak właśnie było. Zawsze uważałem, że to fantazje mojego dziadka. Spojrzał na mnie w dziwny sposób i obiecał przysłać pewną książkę. „Błudniarczy i zabawny esej”, stwierdził. „Sądzę, że będzie pan potrafił zrobić z niego użytek”. Pożegnaliśmy się tego samego dnia, a w tydzień później otrzymałem egzemplarz książki anonimowego autora, *Poeci i ich damy*, opublikowany w oryginale w języku angielskim i niemieckim w połowie dwudziestego wieku... Nadal go gdzieś mam, później poszukam... Mogę was zapewnić, że Rauschen nie przesadzał: dzieło jest nedorzeczne. Porzuciłem je w połowie, nieco oburzony. Przedstawiono w nim, przytaczając odpowiednie przykłady z dziejów, dziwaczną teorię o istnieniu sekty zajmującej się potajemnym inspirowaniem wielkich poetów. Autor nie tłumaczył pobudek, jakie nią kierowały, opisywał jedynie poszczególne przypadki. - Przerwał, żeby nalać sobie koniaku. Napełnił również kieliszek Rulfa słuchającego z wielką uwagą. - Tworzy ją trzynaście członkiń, zwanych „damami”. Każda dama zajmuje konkretne miejsce w sekcie i otrzymuje symbol oraz coś w rodzaju tajemnego imienia. Jej misją jest inspirowanie poetów. W jakim celu?, zastanawiałem się. Ale, powtarzam, moim zdaniem książka tego nie wyjaśnia. Niektóre z dam przeszły do historii: Laura, która natchnęła Petrarke, Czarna Dama Szekspira, Beatrycze Dantego, Diotyma Hölderlina... Przeczytałem kilka pierwszych rozdziałów. Pamiętam, że Laura, inspiratorka *Pieśni* Petrarcki, była, według tej książki, damą numer jeden: „tą, która Zaprasza”, a jej tajemne imię brzmiało Baccularia. Miała postać jedenasto- czy dwunastoletniej, jasnowłosej, ślicznej dziewczynki, chociaż autor przestrzegał, że była to jedynie p o s t a ć, jaką przyjmowała... Bo, chociaż nie tłumaczył, skąd pochodziły, twierdził, że były istotami nadprzyrodzonymi... W sumie historie te wydały mi się stekiem bzdur. W tydzień później zadzwonił do mnie ponownie Rauschen. Chciał poznać moje zdanie na temat

książki. Postanowiłem być ostrożny. Powiedziałem, że teoria o tajemniczej grupie zajmującej się inspirowaniem światowych poetów wydaje mi się co najmniej dziwna. Wtedy zaczął nalegać na kolejne spotkanie. Dodał, że jest coś, o czym książka nie wspomina, a co muszę wiedzieć. Zapytałem, co to takiego. „Dama numer trzynastie”, powiedział. Przypomniałem sobie opowieści dziadka i spytałem, dlaczego nie można wymieniać tej damy i dlaczego jest tak ważna. Ale Rauschen chciał porozmawiać na spokojnie. Wyjaśniłem, że jestem bardzo zajęty, i odłożyliśmy nasze następne spotkanie.

- I co się potem stało?

- Nie zadzwonił do mnie więcej. Zapomniałem o sprawie i o Herbercie Rauschenie. W tamtym okresie przymierzałem się do porzucenia pracy na uniwersytecie, i straciłem go całkowicie z pola widzenia. Przypuszczam, że nadal mieszka w Berlinie. Niemniej sędzę, że tego, co się przytrafiło Salomonowi, nie musimy tłumaczyć czynnikami nadprzyrodzonymi... Może, na przykład, chodzić o jakąś sektę, która przetrwała do naszych czasów. Różokrzyżowcy, masoni - i wiele innych grup - wywodzą się przecież z dawniejszych bractw... Całkiem możliwe, że coś podobnego stało się z damami. Może to grupa trzynastu kobiet. Jedną z nich mogła być Lidia Garetti.

- Taka teoria wydaje mi się bardziej do przyjęcia - powiedziała Susana. - Żyjemy w wieku sekt.

César potarł rękę, bardzo ożywiony.

- Proponuję zebrać wszystkie dostępne na ten temat informacje. Postaram się znaleźć tę książkę i ustalić obecne miejsce pobytu Rauschena... Susano, znasz różnych dziennikarzy: może udałoby ci się zdobyć jakieś dane, niepublikowane w prasie, na temat Lidii Garetti. Tak czy inaczej, ta kobieta miała w domu zdjęcie i tekst napisany własnoręcznie przez mojego dziadka... To nie do wiary! Choćby tylko dlatego chciałbym się o niej czegoś dowiedzieć...

- Hmm... - mruknęła Susana. - Zgoda. Wcielę się w rolę śledczego. - I uśmiechając się do Rulfa, dodała: - Choćby ze względu na stare czasy...

Wyszedł wcześniej, o zmierzchu. Opowiedziana przez Cesara historia dźwięczała mu w uszach. Przyszło mu na myśl coś dziwnego: może zdjęcie i kartka znalazły się tam, w domu Lidii, żeby on się na nie natknął i żeby César przypomniał sobie wszystko, co przytrafiło się jego dziadkowi i Herbertowi Rauschenowi. Jakby wydarzenia - to, co się działo od czasu, kiedy zaczął miewać koszmary - były elementami układanki, które należało połączyć, aby uzyskać właściwy obraz.

Na Lomontano dotarł w środku nocy. Zaparkował przy chodniku i ruszył do domu

pustą ulicą. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Raquel, żeby zapytać, jak się czuje, czy może lepiej zaczekać z tym do jutra. Był wyczerpany.

Wyjął klucz od bramy,

góra, dół

kiedy go usłyszał: monotony odgłos, jakiś

góra, dół, góra

stukot za swoimi plecami, jakiś zwykły dźwięk, jeden z wielu.

Góra, dół, góra, dół...

Odwrócił się i zobaczył dziewczynkę stojącą na przeciwległym chodniku. Miała bardzo jasne włosy, kilka kosmyków przesłaniało jej część twarzy. Ubrana była jak żebraczka. Odbijała czerwoną piłkę. Na jej piersi coś błyszczało, jakiś pozłacany medalion.

Dziewczynka patrzyła na niego.

Uśmiechała się.

Piłka podskakiwała od jej ręki do chodnika: góra, dół, góra, dół...

Nagle chwyciła piłkę i się oddaliła.

Jasnowłosa dziewczynka, chociaż jest to tylko postać, jaką przyjmuje.

Nie był pewny, czy nie traci rozumu, jednak postanowił za nią pójść.

Wąskie uliczki w centrum Madrytu były jak fatamorgana identycznych, a zarazem zupełnie różnych miejsc. Mimo to dziewczynka wydawała się doskonale znać swój cel. Z Lomontano skręciła w boczną ulicę, omijając motocykl zaparkowany na chodniku i grupę młodzieży podążającą w przeciwnym kierunku.

Rulfo trzymał się w bezpiecznej odległości. Raptem skręciła za kolejny róg i stracił ją z oczu. Rozejrzał się w jedną i w drugą stronę. Po chwili zauważył ją przy sklepie spożywczym, na którego wystawie piętrzyły się słoiki z miodem. W tym momencie ruszyła dalej. Czekala na mnie, pomyślał. Nie ma wątpliwości, chce, żebym za nią szedł.

W świetle latarni włosy dziewczynki lśniły jak iryd, a jej obraz rozszczepiał się w niklu kałuż. Rulfowi przemknęła przez głowę szaleńcza myśl, że tylko on widzi tę postać, ale nagle jakaś para starszków zaczęła ją wołać, pewnie po to, żeby zapytać, czy się nie zgubiła i nie potrzebuje pomocy. Dziewczynka nie zwróciła na nich uwagi i szła dalej. Nie był to więc żaden wytwór jego wyobraźni, żadne urojenie: to była prawdziwa dziewczynka, a on podążał za nią.

Przecięli jakiś skwerek i zagłębili się w mało uczęszczaną uliczkę, a potem w kolejną, jeszcze bardziej opustoszałą. Naraz mała znikła w rozpadającym się budynku z zielonkawej cegły. Rulfo przyjrzał mu się uważnie i doliczył się czterech pięter. Wszedł do korytarza i nacisnął stary plastikowy przycisk, zapalając jedyną żarówkę. Ze schodów dobiegł go tupot bosych stóp. Wychyliwszy się ponad poręczą, zdążył jeszcze dostrzec włosy dziewczynki. Ruszył za nią. Kiedy dotarł na trzecie piętro, namacał na ścianie kontakt i ponownie uruchomił oświetlenie. Dziewczynki nie było... Słyszał jednak jej kroki. Wszedł na czwarte piętro i stanął jak wryty. Było puste. Ale schody się nie kończyły. Kroki również. Może jest jeszcze jakiś taras. Albo poddasze.

Pokonawszy schody, znalazł się na półpiętrze pograżonym w mroku. Nie dojrzał

żadnego kontaktu, ale w resztkach żółtej poświaty z dolnych pięter zauważył w głębi jakieś drzwi. Otwarte.

Stało się to nagle.

Banalne wydarzenie, które wzbudziło w nim irracjonalny strach.

Z czeluści drzwi wypadła piłka, podskoczyła kilkakrotnie, potoczyła się obok jego nóg, jak mały kociak, odbiła się od ściany i barierki schodów. Rulfo śledził jej trajektorię, jak gracz tor bili decydującej o losie rozgrywki. Myślał, że kiedy kula się zatrzyma, dziewczynka wynurzy się za nią. Ale tak się nie stało.

Panowała absolutna cisza.

Nie wiedząc, co robić, schylił się i podniósł piłkę.

- Podaż mi ją? - Z ciemnej otchłani dobiegł go pozbawiony najmniejszej chropowatości głos. Tak musiałyby brzmieć światło, gdyby dało się je słyszeć.

Był to, bez wątpienia, głos dziewczynki.

Rulfo słyszał własny oddech, jakby uszy miał zatkane stoperami.

- Podaż mi ją? - spytała ponownie.

- Nie widzę cię. Gdzie jesteś?

- Podaż mi ją? - powtórzyła.

Przestrzeń za progiem była czernią bez odcieni. Musiało to być zamknięte pomieszczenie, może strych.

- Dlaczego nie chcesz mi się pokazać?

Nie odpowiedziała. Zrobił krok i wszedł w ciemność, czując, że jego żołądek staje się językiem lodowca.

Wtedy ją zobaczył, a raczej sądził, że widzi ją przed sobą: niewyraźny zarys włosów na wysokości jego piersi. Wyciągnął rękę, w której trzymał piłkę - czerwona kula, lewitując w powietrzu, poszybowała od jego palców do jej znacznie drobniejszych dłoni.

Nie widział rysów dziewczynki, ale teraz poza jej włosami (fala światła) dostrzegął coś na kształt białego cienia poniżej głowy - być może pelerynkę brudnej starej sukienki, którą nosiła - jakieś połyskiwanie (medalion?) i okrągłość piłki.

Jej milczenie było perfekcyjne. Nie słyszał nawet jej oddechu.

- Szukasz ich? - zapytała niespodziewanie.

- Słucham?

- Szukasz ich?

Zastanowił się nad dziwnym pytaniem. Czego właściwie szukał? I czy w ogóle czegoś szukał? Czy szukał czegokolwiek, od kiedy się to wszystko zaczęło?

Liczba mnoga kazała mu założyć, że istnieje tylko jedna poprawna odpowiedź.

- Tak, szukam dam - powiedział. Lodowaty pot spływał mu po plecach.

Szopa włosów poruszyła się, minęła go i zatrzymała się na podeście. Schody jęknęły ponownie pod naciskiem bosych stóp.

Światło zgasło i Rulfo musiał zejść na czwarte piętro w zupełnej ciemności. Kiedy nacisnął przycisk i spojrzął w dół klatki schodowej, dostrzegł wątłą dłoń sunącą po poręczy.

Dziewczynka miała sporą przewagę, zaczął więc przeskakiwać po dwa stopnie naraz, ale kiedy dotarł do korytarza, i tak nie mógł jej nigdzie znaleźć. Klnąc pod nosem, wypadł na ulicę. Zgubił ją, to niewiarygodne.

Zdezorientowany, cofnął się do klatki schodowej. Za skrzynkami na listy dostrzegł drugie schody ginące za zamkniętymi drzwiami. Była to zapewne mała piwniczka wykorzystywana jako schowek na liczniki, jeśli sądzić po tykaniu chronometru dochodzącym ze środka. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl: zadała mu pytanie na najwyższym piętrze budynku, może teraz oczekuje go na najniższym?

Góra, dół.

To było irracjonalne. Dziewczynka nie mogła zejść do piwnicy, niezauważona przez niego. Zresztą miał niemal pewność, że drzwi są zamknięte na klucz.

Góra, dół.

Mimo wszystko uznał, że nic nie straci, jeśli to sprawdzi. Zszedł po schodkach i przekreślił gałkę. Drzwi nie były zamknięte.

Pomieszczenie rzeczywiście okazało się schowkiem na liczniki. Jakiś mechanizm tykał, zaprogramowany na szybkie wyłączenie światła w korytarzu. Izba była niewielka i w przeciwieństwie do poddasza dobrze oświetlona dzięki zarówno zwisającej z sufitu. W kącie ustawiono wiadro i inne akcesoria do sprzątanania. Pachniało środkami czystości i stęchlizną.

Dziewczynki nie było.

A za jego plecami?

Odwrócił się, przygotowany na to, że ją zobaczy. Ale i tym razem się mylił. Nikogo nie było. Odetchnął głęboko, pchnął drzwi, żeby je zamknąć

i zobaczył

dziewczynkę

stojącą na środku, zasłaniającą mu swoim filigranowym ciałkiem widok na to, czemu jeszcze ułamek sekundy wcześniej przyglądał się bez żadnej przeszkody. Zdusił krzyk, jakby w jakimś dobrze znanym sobie miejscu natknął się na tarantulę. Miał wrażenie, że powietrze stężało, tworząc tę drobną postać.

Dziewczynka już się nie uśmiechała.

- Po co ich szukasz?

Światło żarówki pozwoliło mu teraz przyjrzeć się jej lepiej. Była nieco starsza, niż zakładał, miała jakieś jedenaście, dwanaście lat, jasne włosy spływające gęstymi falami na ramiona oraz chabrowe oczy, niemal pozbawione tęczy. Ciemnozielona sukienka z białą pelerynką rozdarta w kilku miejscach, zwłaszcza na spódnicy, ukazywała w prześwitach chude nóżki. Złoty medalion miał kształt gałązki laurowej. Czerwona piłka w jej ręce kontrastowała wyraźnie z zielenią sukienki i białą jak zimny minerał, jak kwas borowy skórą - bielszą niż cokolwiek, co Rulfo widział do tej pory - na której nitki żył rysowały się niczym pęknięcia na posklejanej, rozbitej porcelanie.

Była niewymownie piękna.

- Po co ich szukasz? - powtórzyła beznamiętnym głosem o miłym brzmieniu.

- Chcę je poznać - wyszeptał.

Dziewczynka poruszyła się. Podeszła do niego, a on ją przepuścił. Przypomniał sobie otrzymany kiedyś od rodziców prezent: zestaw podstawowych pytań z maleńką figurką, która - dzięki obecności magnesu - za pomocą pałeczki pokazywała na kartonie właściwą odpowiedź. Pomyślał, że dziewczynka zachowuje się podobnie. Nie dostrzegając w jej gestach żadnych emocji: odpowiadał, a ona przechodziła z miejsca na miejsce. Różnica polegała na tym, że teraz nie wiedział, czy odpowiedzi są właściwe.

Baccularia. Ta, która Zaprasza.

Dziewczynka wyszła na ulicę. Rulfo udał się za nią. Było zimno. Zobaczył, jak zatrzymuje się na chodniku, przyciskając do siebie piłkę.

- Jak do nich trafisz? - spytała, kiedy się zbliżył.

To rutynowe pytania. Jakby sprawdzała, czy może być „zaproszony”.

- Podążając za tobą - powiedział bez chwili wahania. Nagle dziewczynka przeszła na drugą stronę i pchnęła ogromne podwójne drzwi znajdujące się w stojącym naprzeciwko budynku. Rulfowi przypominał on stary garaż, ale kiedy podniósł wzrok, zobaczył wiszący nad wejściem rząd zgaszonych żarówek tworzących napis: „Teatr”.

Wszedł do środka. Rozejrzał się po zakurzonej hali. Dziewczynka znikła. W głębi spostrzegł wahadłowe drzwi, zza których biła słaba poświata. Skierował się w tę stronę, otworzył drzwi i znalazł się w sali z niewielką sceną całkowicie zaanektowaną przez rusztowania i metalowe pręty. Oświetlenie sceny zostało wyłączone, jarzyły się słabo jedynie światła na widowni. W teatrze był ktoś jeszcze: jakiś mężczyzna siedział w pierwszym rzędzie, z brzegu, po prawej stronie. Panowała złowieszcza cisza. Rulfo ruszył przejściem, a

kiedy dotarł do pierwszego szeregu foteli, przyjrzał się nieznajomemu. Był to mężczyzna w średnim wieku, o gęstych, przyprószonych siwizną włosach, twarzowej bródce i okularach w złoczonej oprawie. Ubrany elegancko: niebieska tweedowa marynarka, koszula w błękitne paski i żółty krawat.

- Proszę usiąść, panie Rulfo - zaproponował grzecznie mężczyzna, nie patrząc na niego, i wskazał sąsiedni fotel.

Nie zaskoczyło go zbytnio, że wiedzą, jak się nazywa, i zachowują się tak, jakby na niego czekali. Wykonał polecenie. Wyprostowany, siedzący sztywno mężczyzna mówił dalej beznamiętnym tonem, nadal na niego nie patrząc.

- Czego pan od nich oczekuje?

Rulfowi wydawało się, że zaczyna rozumieć tę grę w pytania i odpowiedzi.

- Nie wiem - odparł. - Chyba chciałbym je poznać...

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Ależ nie! To one chcą pana poznać. Tak to działa: to one zawsze chcą, my jesteśmy im tylko posłuszni... I zapewniam, że to wielki zaszczyt. Nikt tak szybko jeszcze go nie dostąpił. Ale przed panem otworzą drzwi. Dla obcego to niespotykany honor.

- Co pan ma z nimi wspólnego?

- W s z y s c y mamy z nimi coś wspólnego - oznajmił mężczyzna. - A raczej, one są częścią wszystkiego. Jednak, w pana przypadku, nie robiłbym sobie zbytnich nadziei: ma pan coś, co należy do nich, a one chcą to odzyskać. To proste.

- Co pan ma na myśli? - spytał, choć domyślał się, o co chodzi.

- Imago.

- Figurkę, którą wyjęliśmy z akwarium?

- Oczywiście. Cóżby innego? Zdziwiał mnie pan. - Mężczyzna uśmiechał się, ale po zastanowieniu Rulfo doszedł do wniosku, że był to wymuszony grymas: jakby ktoś przystawiał mu lufę do pleców. - Mogę pana spytać, co zrobiliście z imagiem, panie Rulfo?

Zwlekał z odpowiedzią. Nie zamierzał zdradzić, że figurka znajduje się w domu Raquel.

- Skoro wszystko wiecie, dlaczego nie wiecie również i tego?

- Imago musi być przechowywane w woreczku z materiału, pod wodą - oświadczył mężczyzna, unikając odpowiedzi. - Całkowicie zneutralizowane. To istotne. Proszę zwrócić figurkę, a wszystko będzie dobrze... Same powiadomią pana, gdzie i kiedy się spotkacie. Ale musi pan pamiętać o jednym - kontynuował równie bezosobowym tonem. - Na spotkanie może się stawić tylko pan i ta dziewczyna z figurką. Czy to zrozumiałe, panie Rulfo? Swoich

przyjaciół proszę w to nie mieszać. Ta sprawa dotyczy tylko pana, tej dziewczyny i dam. Wyraziłem się jasno?

- Tak.

Wzdrygnął się. Skąd wiedzieli, że rozmawiał z Cesarem i Susaną?

W tym momencie mężczyzna po raz pierwszy na niego spojrział.

- Chcą, żebym panu powiedział, że je kiedyś zdradziłem... moja córka za to zapłaciła. Nazywam się Blas Marcano Andrade. Impresario teatralny.

Jak na jakiś wcześniej umówiony sygnał paradna orkiestra niewidzialnych muzyków rozświetliła scenę instrumentami dętymi, a światła ramp rozbłysły oślepiająco. I wtedy z boku pojawiła się jakaś postać. Była to nastolatka o kasztanowych włosach i szczupłej figurze. Miała na sobie obcisły kostium w cielistym kolorze i wyglądała na jakieś piętnaście, szesnaście lat. Rysy jej twarzy wykazywały lekkie podobieństwo do rysów Marcana. Przyjęła wdzięczną pozę, po czym pochyliła się w ukłonie, jakby teatr pękał w szwach.

- To była moja córka - powiedział Marcano innym tonem, jakby dopiero teraz pozwolono mu okazać emocje.

Rulfo patrzył, jak dziewczyna kłania się i posyła na widownię pocałunki, dygając efektownie w rytmie przenikliwego walca. Wtem jego umysł zachłysnął się niezachwianą, przerażającą pewnością.

Była martwa.

Kłaniała się, uśmiechała, całowała powietrze,

ale była martwa.

Ta dziewczyna nie żyła. Dotarło to do niego w tej właśnie chwili.

Artystka przestała się kłaniać i zeszła ze sceny tym samym bocznym wyjściem, przez które na nią weszła. Jednocześnie ostre uderzenie talerzy obwieściło finał i scena pograżyła się ponownie w ciemnościach.

- Ich kary są potworne - obwieścił Marcano w zapadłej nagle, wszechogarniającej ciszy. - Niech pan zwróci figurkę, panie Rulfo.

Światła na widowni zaczęły gasnąć, a Marcano nieruchomiał, jakby jakiś wewnętrzny mechanizm przestał w nim funkcjonować.

Rulfo wstał, odnalazł wyjście i wypadł na ulicę, z trudem łapiąc powietrze.

V. FIGURKA

Tego wieczoru dziewczyna wróciła do domu późno. Przeszła przez podwórko, stukając obcasami, wsunęła klucz do zamka, otworzyła drzwi i poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. W saloniku paliło się światło. Lampa kempingowa była włączona. I pachniało papierosami, ale nie gatunkiem, który palił Patricio.

Wiedziała, kto przyszedł, zanim usłyszała jego głos.

- Nie sądziłem, że lubisz nocne życie. Czekam na ciebie już od dwóch godzin.

Stojąc w progu, nabrała powietrza i zacisnęła powieki. Próbowwała zebrać siły. Ta wizyta była okrucieństwem po wyczerpującym dniu, ale wiedziała, że klienci mogą przychodzić, kiedy tylko zechcą. Patricio dał duplikaty kluczy wszystkim, którzy dobrze płacili, a ona była zobowiązana ich przyjąć bez względu na godzinę.

Wzięła się w garść, zamknęła drzwi i skierowała się do saloniku.

Mężczyzna siedział na sfatygowanej kanapie z szeroko rozłożonymi nogami. Ubrany jak zwykle: ciemny garnitur, koszula w szare paski i perłowo-szaro-niebieski krawat. Koszula i krawat uwypuklały się na wystającym brzuchu. Unosił dłoń, trzymając w palcach papierosa. Jego miękką, szarawą twarz przecinały okulary przeciwsłoneczne i uśmiech, niezmiennie od zawsze. Nigdy nie zdejmował okularów. Nigdy nie przestawał się uśmiechać. Nie znała jego imienia.

Przywitała się, nie otrzymując odpowiedzi. Zrobiła jeszcze kilka kroków i stanęła przed nim.

- Nie zamierzasz się usprawiedliwić?

- Przykro mi.

Rozumiała, że to jeden z elementów ulubionej gry mężczyzny w czarnych okularach: poniżenie. Nie czuła się, oczywiście, winna z powodu późnego powrotu. W piątki i soboty spotkania się spiętrzały, poza tym miała obowiązek meldować się w klubowym lokalu - norze o czerwonych ścianach w piwnicy burdelu na obrzeżach miasta - żeby ustalić kolejne terminy.

Na koniec marzyła jedynie o tym, żeby zamknąć oczy i odpoczywać tak długo, jak się da. Ale jej życie nie należało do niej. Jej odpoczynek również.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

Nagle jej myśli pobiegły w innym kierunku.

Zamknięty pokój.

Mężczyzna twierdził, że długo na nią czekał. Ale czy ograniczył się do czekania w saloniku? Nie. Najprawdopodobniej obszedł małe mieszkanie i zajrzał do tamtego pokoju. A jeśli tak... Co zrobił?

Umierała z niecierpliwości, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Lecz nie mogła tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

Czubkiem buta dotknął jej lewej stopy.

- Powtarzam: czy tak się przeprasza? Mówiąc: „przykro mi”?

Mężczyzna nadal siedział spokojnie, trzymając papierosa w grubych palcach władczym gestem kamiennego pantokratora, uśmiechając się i przemawiając łagodnie, prawie serdecznym tonem. Wiedziała jednak, j a k i j e s t naprawdę. Jego maniery jej nie zwioda. W rzeczywistości był chyba n a j g o r s z y ze wszystkich.

Miał zwyczaj zjawiać się niespodziewanie, w środku nocy, a jego wizyty należały do niezapomnianych. Większość klientów szukała jedynie rozrywki, ale mężczyzna w czarnych okularach zdawał się pragnąć jej cierpienia. Dziewczyna bała się go bardziej niż Patricia.

Uklękła na podłodze i pochyliła głowę. Nie musiała odgarniać włosów, w pracy zawsze zbierała je w koczek na karku.

- Przykro mi - powtórzyła.

Okulary, zawisłe nad uśmiechem jak kruk, przyglądały się jej uważnie.

- Rozczarowujesz mnie. Mój posokowiec robi to lepiej od ciebie...

Dziewczyna odetchnęła głęboko, zdjęła kurtkę, ściągnęła przez głowę sweter i zaczęła rozpinać spódnice. W ciemnych szklach okularów jej ciało odbiło się jak płomień. Pozbyła się także butów, pończoch i majtek w tempie na tyle szybkim, żeby nie zniecierpliwic mężczyzny, ale na tyle uważnie, żeby nie zniszczyć garderoby. Kiedy się rozebrała, położyła się na podłodze, z prostotą, przyzwyczajona robić to tysiące razy. Czując chłód płytek posadzki na ciele i metaliczną twardość kółeczek oraz naszyjnika od Patricia, których nigdy nie wolno jej było zdjąć, odszukała ustami luksusowe buty. Pachniały nową skórą. Wysunęła język.

Gwałtowne, niespodziewane szarpnięcie za włosy kazało jej podnieść głowę.

- Otwórz oczy - powiedział mężczyzna zmienionym głosem.

Uśluchała go. Ręka ciągnęła ją za włosy, uniosła się więc trochę, tylko trochę, na tyle, by uklęknąć. Tuż przed sobą zobaczyła kołyszący się woreczek ze sztywnego materiału.

- Gdzie jest?

Jej wzrok przesunął się powoli z woreczka na okulary przeciwsłoneczne. Uśmiech znikł z twarzy mężczyzny.

- Znalazłem tylko filakterię. Gdzie jest figurka?

Mężczyzna nadal trzymał ją za włosy, a drugą ręką machał jej woreczkiem przed oczyma. Z początku nie wiedziała, o czym mówi. Potem przypomniała sobie wszystko. Poczula, jak w jej ciało wgrzyzają się zęby strachu.

- Nie wiem - powiedziała.

- Ależ wiesz. - Mężczyzna szarpnął ją za włosy. Raz, potem drugi. - I nie próbuj kłamać. Nawet o tym nie myśl.

- Nie kłamię. Nie wiem, naprawdę.

Nie kłamała. Zupełnie zapomniała o tej głupiej figurce. Podejrzewała, że ten brodaty facet (jak on się nazywał...? Rulfo. Salomón Rulfo) zabrał ją razem z fotografią poprzedniego wieczoru. Najdziwniejsze było jednak to, że ten mężczyzna w i e d z i a ł coś na ten temat. Czyżby znał również jej senne koszmary? Wymienił tę dziwną nazwę: filakteria. Co ona mogła oznaczać?

- Zapytam jeszcze raz. Tylko raz. I chcę otrzymać odpowiedź. - Każde słowo mężczyzna podkreślał pociągnięciem za włosy, zmuszając ją do wyginania się w łuk. - Powiedz natychmiast, gdzie ukryłaś figurkę...

Co ma robić? Milczeniem osiągnie jedynie to, że wyrządzi jej jeszcze większą krzywdę. I chociaż nie przerażał jej ból, jaki mógł jej sprawić, bała się, że może odkryć t a m t o i postanowi ją zniszczyć. W innej sytuacji pewnie by nic nie powiedziała. Nienawidziła tego człowieka ze wszystkich sił i nie chciała wciągać w to Rulfa, lecz nie było wyjścia.

- Jest u niego... Nazywa się Salomón Rulfo. Nie wiem, gdzie mieszka, ale znam jego numer telefonu...

Przez chwilę mężczyzna nie reagował. Wpatrując się z bliska w bezlitosne, czarne szkła, dziewczyna zastanawiała się bez specjalnych emocji, czy ją zabije. Nagle okulary wycofały się.

- Mam nadzieję, że nie kłamiesz. Dla swojego własnego dobra. - Jej włosy zostały uwolnione, mężczyzna wstał. - Liczę na to, naprawdę. Wierzę, że nie próbujesz mnie wykiwać... - W jakiś sposób (choć klęcząc, nadal widziała tylko jego buty i nogawki spodni)

wyczuła, że uśmiech powraca na jego oblicze jak lodowate światło. - Cóż, zanim się rozstaniemy, powinniśmy się trochę zabawić. Co ty na to?

figurka

W środku niej był grób.

W tym tysiącletnim grobie nikt i nic nie może jej zranić. Kopnięcie rzuciło ją na podłogę. Na plecach poczuła ciężar rozsuwający jej nogi. Zaciśnęła zęby.

figurka, tam

Z grobu wyłaniały się strzeliste ciemne płomienie. Płomienie przypominające światło dopalającego się księżycy. Jak stos utworzony z gwiazd. Zimny pożar, który spopielając świat, zamienia go w czystą czarną noc.

Wbiła paznokcie w posadzkę, kiedy ten ciężar zagłębił się w niej.

figurka, tam, w rogu

W grobie tym, w tej zamkniętej komorze swojej wyobraźni, chroniła się, żeby móc znieść ból. Wewnątrz nadal była sobą, ale stawała się niezniszczalna.

Otworzyła na chwilę oczy. I zobaczyła ją.

Figurka. Tam. W rogu.

- Pamiętaj: jeśli mnie okłamałaś, wrócę...

Powiedz mu, niech ją zabierze. Powiedz mu.

Nie, nic mu nie mów.

Mężczyzna dodał coś jeszcze. Groził jej. Oszołomiona zrozumiała, że odkrył, co ukrywa w zamkniętym pokoju. Muszę iść i zobaczyć. Muszę iść i zobaczyć. Usłyszała skrzypnięcie drzwi. Potem nastąpiła cisza. Leżała bez ruchu.

Dlaczego mu nie powiedziałaś? Dlaczego?

Muszę iść i zobaczyć. Muszę.

Od chłodu podłogi zdrętwiały jej piersi i brzuch, znieczulając ją jak lodowata maść. Wiedziała, że musi się podnieść, ale zamroczona bólem i zmęczeniem nadal leżała bez ruchu.

Zanim zamknęła ponownie oczy, spojrzała jeszcze raz w kierunku przeciwległej ściany. To nie było złudzenie: leżała tam, na podłodze.

Zamruwała powiekami, w chłodnym, rozproszonym cieniu, taksonomii różnych tonacji mroku, i dostrzegła zarys jednego ze swoich butów w niedużej odległości od jej prawego oka.

Pończocha. Ubranie na podłodze.

Podniosła się. Jakiś drucik spadł na posadzkę: szpilka do włosów. Wyciągnęła pozostałe wściekłym ruchem. Nieprawdopodobnie czarne długie włosy spływały jej na ramiona i plecy. Chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku łazienki, po omacku podniosła klapę sedesu i zwymiotowała. Cierpki smak dławił ją w gardle. Świat był jak karuzela cieni wirujących wokół niej.

Siedziała na podłodze, dysząc, dopóki nie odzyskała spokoju, równowagi i świadomości, że musi się opanować.

Najgorsze, że zawsze wracała do formy. Jej ciało, ten umięśniony, twardy jak kamień worek, nigdy się nie poddawało, nigdy nie kapitulowało całkowicie, chociaż tego pragnęła. Musiało zostać zaprojektowane przez jakiegoś okrutnego boga, jakieś sadystyczne i wyrachowane bóstwo. Nienawidziła go. Każde włókno budziło w niej wstręt.

Wstała, odkręciła prysznic. Zimna jak lód woda otrzeźwiła ją zupełnie. Namydliła się raz i drugi, próbując zmyć z siebie resztki obecności tamtego człowieka. Właściwie mężczyzna w czarnych okularach nigdy nie zostawiał na jej ciele innych śladów niż siniaki i uczucie wzgardliwego ponizenia. Podejrzywała nawet, że tak naprawdę wcale nie p r a g n ą ł jej posiąść. Kiedy wdzierał się w nią, tak jak tej nocy, zachowywał się jak zwykła maszyna, narzędzie, którego celem było jej ustawiczne dręczenie. Woda pozwalała jej przynajmniej uwierzyć, że część budzącego wymioty wspomnienia zniknie na zawsze.

Uświadomiła sobie, że miała coś sprawdzić. Wytrzeła się szybko ręcznikiem i wyszła z łazienki. Zimno przeszło ją na wylot, ale nie chciała tracić czasu na ubieranie się. Otworzyła cicho drzwi do zamkniętego pokoju. Było to maleńkie ciemne pomieszczenie z barłogiem pośrodku i kilkoma rozrzuconymi przedmiotami, z których najbardziej zwracał uwagę talerz z resztkami jedzenia. Pochyliła się i przyjrzała przykrytemu kocami kształtowi. Wpatrywała się w niego, jakby niepewna, co ma zrobić.

W końcu uniosła nieco koce i upewniła się, że nic złego się nie stało. Śpi. Następnie ułożyła je z powrotem i wyszła.

Owinęła się ręcznikiem i wróciła do saloniku, gdzie lampa nie gasła jedynie wysiłkiem woli. Schyliła się i podniosła woskową figurkę.

Akelos.

Nie rozumiała właściwie, dlaczego nie powiedziała mężczyźnie, że figurka tu leży, że z pewnością spadła ze stołu poprzedniego wieczora, kiedy ona z Rulfem oddawali się

pieszczotom (teraz przypomniawszy sobie, że spadła również puszcza z jedzeniem), i potoczyła się w kąt. Gdyby tak postąpiła, problem byłby rozwiązany.

Nie. Dobrze zrobiłaś.

Postawiła przewrócone krzesło i usiadła na nim. W rękę trzymała figurkę.

Dobrze zrobiłaś, milcząc.

Obejrzała ją. Prawie nic nie ważyła. Prawie jej nie było. W woskowych, wypolerowanych brzegach załamywało się lekko światło. Zastanawiała się, dlaczego ten drobiazg, wyglądający na zabawkę, mógł być tak ważny.

Siedziała bez ruchu, przyglądając się figurce.

Łachman przesłaniający okno stawał się coraz jaśniejszy. Dziewczyna nadal tkwiła nieruchomo. Nagle

południe

podjęła decyzję.

południe, zenit

Podniosła się i skierowała do sypialni. Kawalek listwy w rogu ruszał się od dawna. Oderwała go.

Kiedy umieszczała go na swoim miejscu, w rękach nie miała już nic.

Południe. Zenit.

Splukane niedawnymi ulewami powietrze, świeże i czyste, odzyskało swoją błękitną, niemal symboliczną barwę. Po wyjściu na ulicę zmrużyła oczy oślepiąca słońcem. Miała na sobie to, co zwykle: czarną skórzaną kurtkę, minispódniczkę, kozaczki i pończochy. Przeszła przez podwórko pod milczącymi spojrzeniami sąsiadów. W tym budynku nikt z nikim nie rozmawiał, poza członkami własnej rodziny. Pochodzili z różnych krajów, mówili różnymi językami. Nie ufali obcym. I słusznie. Mieszkali na kupie w małych, ukrytych przed wzrokiem innych, izbach. Należała do tych, którym się poszczęściło: miała własne mieszkanie. Patricio często jej to powtarzał.

Weszła do kabiny, wrzuciła monety i wykręciła numer.

Nie miała w domu telefonu. Patricio nie uznał tego za konieczne, ponieważ terminy spotkań ustalano w klubie, a ona nie dzwoniła do nikogo poza nim. Numer, który podała Rulfowi, był fałszywy. Numer Rulfa zaś jednym z dwóch, jakie znała.

Ale nie ten wybierała.

Była tak zdenerwowana, że musiała wybrać go ponownie. Nie wiedziała, co robi. Słuchawka wypadła jej z rąk. Wsluchując się w odległy sygnał, próbowała się uspokoić.

Lęk, jakiego nigdy dotąd nie doznała, sprawił, że trzęsła się od stóp do głów, ale jego powodem nie była możliwość represji ani ze strony człowieka w czarnych okularach, ani Patricia. Za ich przyczyną uwierzyła w piekło, w piekło na ziemi, ale to nie t e n lęk ośmiadł ją w tej chwili. Nawet nie ten, jaki czuła w domu Lidii Garetti lub w swojej sypialni po ciemku. Była to głęboka, odwieczna trwoga, jakby codzienne przerażenie zrzuciło z siebie maskę cherubina i przyglądało jej się oczyma bez źrenic i z czerwonym uśmiechem.

W słuchawce zabrzmiał nareszcie jego głos:

- Słucham.

Odchrząknęła. Zebrała siły.

- To ja, Patricio.

Cisza.

- Ja? Co za „ja”?

- Raquel.

- Czego chcesz tym razem?

Zawsze, kiedy do niego dzwoniła, prosiła go o coś. Patricio czasem się zgadzał, czasem nie. W życiu by się nie odważyła niepokoić go czymś, co nie było naprawdę ważne.

- Odezwiesz się w końcu? A może jakiś klient odgryzł ci język?

- Nie przyjdę dzisiaj do klubu - powiedziała z wysiłkiem. Po tym pierwszym zdaniu reszta okazała się łatwa. - Ani na spotkania... Jutro też nie. Nigdy już nie pójdę na żadne z nich... - Wyobrażała sobie okrągłą twarz Patricia nabierającą coraz ciemniejszych barw. Postanowiła wyrzucić z siebie wszystko. - Odchodzę... Rezygnuję...

- Rezygnujesz? Chwileczkę, moja piękna... Jest ktoś z tobą?

- Nie ma nikogo.

- Możesz to powtórzyć? Ostatnio mam kłopoty ze słuchem. Że niby z czego rezygnujesz?

Powtórzyła. Słuchawka wybuchła. Tryskały z niej ostre nieprzyjemne krzyki Patricia.

- Nie należę do ciebie, Patricio, nie... - szepnęła kilkakrotnie.

Słuchawka uniosła się jeszcze bardziej, kaśliwa, irytująca. Pozwoliła mu mówić. Oczekiwała gorszych rzeczy, przygotowana była na wszystko. Nie chciała się wdawać w dyskusję. Wiedziała, że trudno jej będzie z tego wybrnąć.

Nagle, ku jej zdziwieniu, głos stał się słodki.

- Żartujesz... Po każdej bym się tego spodziewał, ale nie po tobie... Porozmawiajmy rozsądnie. Co się stało? Powiedz, proszę. Na pewno coś poważnego. - Chodzi o klienta, czy tak? Zaufaj mi, wszystko da się załatwić.

- Nic się nie stało. Chcę odejść.

- Tak po prostu?

- Tak.

Bolała ją głowa. Chciała to skończyć. Chciała odejść natychmiast. Ale jeszcze nie mogła tego zrobić.

- Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Dzisiaj. Teraz.

- Masz gdzie spać dziś w nocy?

- Nie. - Zawahała się. - Później o tym pomyślę.

- A ubranie? Masz ubranie?

- Tak. - Znowu się zawahała. - To, co mam na sobie. Nie wezmę niczego więcej.

- Nie zajdziesz daleko bez grosza, zwłaszcza z tym, o czym oboje wiemy. Masz tego świadomość?

- Poradzę sobie.

- Poradzisz sobie, poradzisz... Ależ ty jesteś głupia, Węgiereczko...

Na pobliskim placyku bawiły się dzieci. Jedna z dziewczynek przykuła jej uwagę. Miała na sobie znoszoną, ciemnozieloną, niemodną sukienkę, jakby skradzioną z garderoby jakiegoś teatru, a w ręce trzymała czerwoną piłkę. Ale nie bawiła się z innymi: stała nieruchomo i wpatrywała się w coś z uwagą. Mimo dzielącej je odległości Raquel była pewna, że patrzyła na nią. I uśmiechała się. Na jej piersi połyskiwała broszka, a może jakiś medalion.

- Zresztą, jeśli chcesz umrzeć z głodu, wynoś się... Nie należę do tych, którzy zatrzymują kogokolwiek wbrew woli. Poza tym wyzwoliłaś we mnie dobre odruchy. Dam ci trochę pieniędzy... Tylko na podróż, oczywiście, nie ciesz się na zapas...

Dlaczego ta dziewczynka wzbudzała w niej niepokój? Może traciła zmysły? To przecież tylko dziewczynka, na litość boską! Spróbowała skoncentrować się na słowach Patricia.

- Nie dziękuj. Wywinęłaś mi numer, ale miałaś przynajmniej odwagę, żeby do mnie zadzwonić i powiedzieć... Odwaga to coś, co Patricia Florencio potrafi docenić, słyszysz? Raquel...? Jesteś tam jeszcze, czy dałaś już nogę?

- Jestem, ale muszę się pożegnać. Pieniądze mi się kończą.

- Jasne, że się kończą, Węgiereczko. Zawsze się kończą. Dlatego dam ci kilka banknocików. A przy okazji się pożegnamy.

Chciała mu powiedzieć, że nie przyjmie od niego pieniędzy, lecz rozmowa została przerwana. Kiedy wyszła z kabiny i spojrzała ponownie na placyk, dziewczynki już nie było.

Zaczęła snuć plany. Nie miała co ze sobą zabrać, więc pomyślała, że może rozsądnie byłoby przyjąć propozycję Patricia i kupić to, co najpotrzebniejsze. Potem poszuka schronienia. Będzie jej pilnie potrzebny nowy dach nad głową.

Trzymała w ręku kartkę z numerem telefonu Rulfa.

Wahała się jednak. Czy może zaufać komuś, kogo właściwie nie zna? Prawdę mówiąc, większe zaufanie miała do Patricia. Był wilkiem, ale lata spędzone u jego boku pozwalały jej myśleć, że poznała go stosunkowo dobrze. Wiedziała, że dopóki nie znajdzie się na przegranej pozycji, dopóki nie będzie próbowała go okpić, wilk nie ugryzie.

Złożyła kartkę, ale nie chciała jej wyrzucać. W jakimś sensie, myślała, Rulfo jest inny niż mężczyźni, z jakimi do tej pory miała do czynienia, więc może później będzie mogła się do niego zwrócić. Nie bała się przyszłości: była pewna, że nie zabraknie jej jedzenia ani miejsca do spania.

Najbardziej niepokoiła ją przeszłość.

W jej życiu było wiele luk i nagle zapragnęła je zapłacić. Na przykład miejsca, w których żyła przed przyjazdem do Hiszpanii. Jej rodzinny kraj. Jej bliscy. Cień padł na tamte wspomnienia. Patricio nazywał ją „Węgiereczką”, aczkolwiek sam przyznawał, że tak naprawdę nie wie, gdzie się urodziła. I poza ostatnimi pięcioma okrutnymi latami w jej pamięci przechowały się tylko pojedyncze obrazy: twarze, chwile, anegdoty... Na dodatek wydawały się jej teraz jakieś bezkształtne, jakby nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie są to prawdziwe wspomnienia, że czegoś w nich brakuje, jakiejś przewodniej nici, która nadałaby im spójność.

Kiedyś zapytała Patricia, dlaczego jest jej tak trudno przypomnieć sobie cokolwiek. Wyjaśnił, że dzieciństwo i pierwsze lata młodości nie upłynęły jej w szczęściu, dlatego odsunęła je w niepamięć. Wierzyła mu. Do dziś.

Chciała poznać swoją przeszłość, zwłaszcza w związku z tą jedną konkretną sprawą. T y m, co znajdowało się w zamkniętym pokoju.

Wątpliwości narastały w niej jak jakaś tajemnicza infekcja. Czuła w sobie nowy, nieznan, dziwny niepokój, ale jednocześnie i siłę, jakiej do tej pory nigdy nie zaznała.

Zaskoczona była, że można się tak bardzo zmienić w tak niedługim czasie.

Skierowała się do sypialni. Nie mogła przestać myśleć o woskowej figurce. Musiała ją zabrać, to jasne. Nie wiedziała dlaczego, ale była dla niej ważna. Bardzo. To ta figurka dokonała w niej zmiany, dodała jej sił. Musiała ją zatrzymać i dobrze ukryć. Jeśli się pospieszy, mężczyzna w czarnych okularach nie zastanie jej, kiedy wróci. Będzie już daleko, bezpieczna.

Pochyliła się nad listwą. W tym momencie usłyszała zgrzyt klucza. Zdrętwiała ze strachu, że mężczyzna wrócił. Wyszła przerażona z sypialni i stwierdziła, że to tylko Patricio. Po raz pierwszy, od kiedy go znała, niemal się ucieszyła, że go widzi.

- Przyszedłem się pożegnać i dać ci to, co obiecałem - powiedział Patricio z uśmiechem.

Uniósł pięść i uderzył.

Złożyły mu wizytę, ale nawet go to specjalnie nie zaskoczyło. Spodziewał się tego, prawdę mówiąc.

Brama od ulicy była otwarta, wystarczyło ją lekko pchnąć, żeby się dostać do budynku. Wbrew rozsądkowi, wchodząc, nie zachowywał zbytnej ostrożności. W innych okolicznościach bardziej by się tym przejął, ale po doświadczeniach ubiegłej nocy... Nad wtargnięciem do jego domu można było przejść do porządku dziennego. Zapalił światło i zaczął się przedzierać przez panujący wokół rozgardiasz. Porozrzucane po podłodze książki przypominały martwe ptaki. Nieliczne meble wybebeszono z szuflad, a te ciśnięto na podłogę, żeby ukazać bezmiar beużytecznych papierów, które przywierają do istnień jak ekskrementy. Komputer wydawał się nienaruszony.

Podejrzewał, że wie, czego szukano.

Ta figurka musi je wyjątkowo interesować.

Bardziej jednak niż prawdziwy powód niezwykłego zainteresowania woskową figurką intrygowała go przyczyna, dla której damy (o ile rzeczywiście chodziło o nie, a miał niemal pewność, że tak właśnie było) uznały się za zmuszone do przeprowadzenia rewizji. Skoro były tak wszechwładne, skoro mogły się materializować w powietrzu czy przybierać postać dziewczynki, dlaczego nie potrafiły odzyskać czegoś, co do nich należało? Dlaczego groziły mu w teatrze i grzebały w śmietniku jego życia?

Schylił się i zaczął zbierać książki. Pomyślał, że dobrze by było zadzwonić do Raquel i upewnić się, czy nic jej nie jest. I powinien przekonać Cesara, żeby nie kontynuował śledztwa. Żałował, że poprosił go o pomoc. Damy nie żartowały, bez względu na to, czy należały do sekty, czy też nie. Właśnie to udowodniły.

Nagle, pod tomem wierszy Paula Celana, spostrzegł utkwione w siebie oczy.

Beatriz, spoczywająca pod szkłem, uśmiechała się do niego z jednej z wielu fotografii, jakie oprawił i przechowywał na pawlaczu. Na jej nieoczekiwany widok zapomniał o tym, co się wydarzyło w teatrze, i o tym, w jakim stanie znajdowało się teraz wszystko, włącznie z

nim.

Podniósł portret, czując, jak pamięć zapala się w jego wnętrzu. Wspomnienia nigdy nie giną, co najwyżej pogrążają się w ciemnościach; przed Rulfem ponownie więc wyłoniły się z nich wilgotne, zielone oczy, łagodne meduzy delikatnych dłoni i śmiech jak arpeggio na czeleście. Te piękne, czarne włosy, to słodkie, zielone spojrzenie...

Beatriz patrząca na niego ze swojej wypolerowanej wieczności.

Udawał, że o niej zapomniał, ale stary ból wciąż powracał. Co jeszcze może zrobić? Oplakał ją już, wyrzekł się dla niej wszystkiego. Co jeszcze? Przeczynał, że ból, dużo potężniejszy niż namiętność, wyzbyty jest orgazmu, szczytowania, ostatecznego apogeum, po którym mogłoby nastąpić odprężenie. Życie może się nasycić przyjemnością, lecz zawsze pozostanie spragnione bólu.

Spojrzał na otwarty pawlacz, wspiał się na krzesło i wsunął portret pomiędzy pozostałe zdjęcia. Pragnął upewnić się, czy żadnego nie brakuje, ale jeszcze nie teraz. Znalazł kupioną kiedyś, nietkniętą butelkę whisky. To bardzo uprzejme, dziękuję. Ujął ją w obie dłonie i poczuł chłód szkła. Położył się, nie rozbierając. Nie otworzył butelki, dopóki dłońmi nie przekazał jej ciepła swojego ciała.

Nie wiedział, jak długo dzwonił telefon, zanim podniósł słuchawkę.

- Co się z tobą dzieje, do cholery!?! Od kilku godzin próbuję się z tobą skontaktować...!

Sobota, nabrzmiała słońcem ćwiartującym bezlitośnie jego ból głowy, wlewała się do pokoju.

- To nie do wiary, mówię ci... Znalazłem książkę, którą przysłał mi Rauschen, *Poeci i ich damy*. Całą noc spędziłem na czytaniu... Ale nie będę uprzedzał faktów: musisz przyjść...

Proszę ich do tego nie mieszać.

- Salomonie...?

Proszę nie mieszać do tego swoich przyjaciół.

- Jestem, Cesarze.

- Przyjdiesz czy nie?

- Chyba nie będę mógł. Mam... dzisiaj... dużo pracy.

Kiedy myślał intensywnie nad jakąś sensowną wymówką, usłyszał w słuchawce pomruki niezadowolenia.

- W takim razie my przyjedziemy... Będziemy u ciebie za jakieś...

- Poczekaj. Lepiej...

Wiedział, że podekscytowanym Cesarem Saucedą jest jeszcze trudniej kierować niż zazwyczaj. Przeraziła go przelotna myśl, że mogliby odkryć stan jego mieszkania. I znał swojego byłego wykładowcę na tyle, żeby mieć pewność, że nawet jeśli powie mu bez ogródek, że nie chce się z nim zobaczyć, ten puści mimo uszu jego grubiaństwo i zjawi się na Lomontano razem z Susaną, obwieszczając swoją obecność klaksonem. Uznał, że jedyne, co może zrobić (zwłaszcza w tej chwili, z głową ciężką od kaca po whisky), to udawać, że nic się nie stało.

- Lepiej ja przyjadę. Daj mi godzinę.

Odłożył słuchawkę, usiadł na łóżku i przyjrzał się uważnie rozrzuconym po podłodze książkom. Nie będzie niczego sprzątał. Weźmie prysznic, wypije filiżankę gorącej kawy, pojedzie do Cesara i spróbuje go przekonać, żeby nie babrał się w tym gnoju.

Ale najpierw musiał sprawdzić dwie rzeczy.

Włączył komputer (zainstalowany w sypialni podobnie jak telewizor, żeby wykorzystać powierzchnię w salonie na książki) i wszedł do sieci. W trakcie ładowania się stron na ekranie sięgnął po telefon komórkowy i wyjął z kieszeni kartkę z numerem Raquel, by do niej zadzwonić. Czekał na połączenie, wpisując jednocześnie adresy powszechnie używanych wyszukiwarek, a po chwili usłyszał: „Nie ma takiego numeru...”. Wybrał go ponownie, z takim samym rezultatem: Raquel dała mu nieistniejący numer. Dlaczego?

Nagle na ekranie komputera pojawił się tytuł:

MĘŻCZYŻNA ODBIERA SOBIE ŻYCIE PO ZGWAŁCENIU
I ZAMORDOWANIU SWOJEJ SZESNASTOLETNIJ CÓRKI.

Otworzył stronę, przeczytał kilkakrotnie tekst, obejrzał zdjęcia.

Przeżalenie, jak złodowaciała substancja wsączona w jego żyły, zmroziło mu krew.

- Pomyślmy. Po pierwsze, prosty fakt. Jak już mówiłem, opowiedziane tu historie nie są udokumentowane. Nie ma żadnego obiektywnego dowodu na to, że to prawda, i podejrzewam, że żaden poważny badacz nie dałby temu wiary. Ale sami wiecie: nigdy nie byłem poważny...

- Nie da się ukryć - rzuciła Susana. Jedwabna bluzka i spodnie oraz czarna aksamitka na szyi kontrastowały z barwami perskich wzorów dywanu, na którym siedziała.

Wierny swoim nawykom César wstrzymał się z wyjawieniem tajemnicy aż do deseru. Teraz, kiedy wypili już kawę, przechadzał się po pokoju, spoglądając na nich znad swoich

niebieskich okularów. Dzierżył w dłoni zwykłą, oprawioną w czarną okładkę książkę.

- Opisano tu spotkania kilku znamienitych poetów z istotami będącymi źródłem ich inspiracji. Myśl przewodnia, łącząca różne narracje, zasadza się na przekonaniu, że spotkania te nie były ani przypadkowe, ani odosobnione. Wręcz przeciwnie: zostały p r z y g o t o w a n e przez sektę dam. A istoty, z którymi spotykali się poeci, były nadprzyrodzone.

Susana przesłała Rulfowi kpiący uśmiech, drapiąc się w kolano. César spojrzał na nią z pełnym rozbawienia wyrzutem.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, dopóki nie dowiemy się wszystkiego, droga publiczności... To dopracowany w najmniejszych szczegółach wytwór fantazji, przekonacie się sami. Autor stwierdza, że legenda o damach jest bardzo stara i że posłużyła za kanwę wielu innym legendom. Muzy, Gorgony, Diana i Hekate; Kirke, Medea, Enotea i wiele innych czarodziejek starożytnych poetów; Kybele i Persefona; skandynawska walkiria dosiadająca wilka; renesansowa czarownica latająca na miotle; asyryjska Lilith i biblijna Lilith; Dama Jeziora z legendy arturiańskiej, Biały Wąż, wiedźmy z Makbeta; Wenus z Ille Mériméego; Lamia Keatsa, Czarownica z Atlasu Shelleya; Królowa Nocy Mozarta, Alcyna i Melissa Haendla i Armida Haydna... Zawsze to samo: władcze, perwersyjne postacie kobiece związane w jakiś sposób ze sztuką. Poeta i erudyta Robert Graves w swojej książce *Biała bogini* jako jeden z pierwszych ukazał związki tej legendy z poezją, jednak nigdy nie posunął się do stwierdzenia, że poeci byli inspirowani r e a l n y m i, choć czarodziejskimi stworzeniami... Nie pytajcie mnie, w czym przejawia się ta inspiracja: wystarczy wam wiedzieć, że damy są istotami posiadającymi zdolność pobudzania poetów do tworzenia. Książka niewiele o nich mówi. Stwierdza, że f a k t y c z n i e jest ich trzynaście i że nigdy nie wymienia się tej ostatniej, tak jak wspominali dziadek i Rauschen, chociaż nie podaje przyczyn tego stanu rzeczy. Otrzymują numer, sekretne imię i symbol w postaci złotego medalionu. Imiona pochodzą z łaciny lub greki i przypominają imiona czarownic z tradycji satanistycznej... - Otworzył wolumin na jednej z zaznaczonych stron i przeczytał: - Baccularia, Fascinaria, Herberia, Maliarda, Lamia, Maleficiae, Veneficiae, Maga, Incantatrix, Strix, Akelos i Saga z numerem dwunastym, ostatnia z tych, które mają imię...

- Niczego sobie imiona - wtrąciła Susana.

- To klasyczne imiona czarownic: legenda o czarownicach wywodzi się od dam, dlatego otrzymały te same imiona. Wspominałem wam już, że Laura, kobieta, która inspirowała Petrarke, była w rzeczywistości Baccularia, damą numer jeden. Fascinaria, dama numer dwa, inspirowała Szekspira: to ona była Czarną Damą z jego sonetów. Opisane są

również spotkania Herberii, damy numer trzy, z Miltonem i Maliardy, numer cztery, z Hölderlinem, a także Lamii, numer pięć, z Keatsem i Maleficiae, numer sześć, z Williamem Blakiem... I tak aż do Borgesa z Sagą. Wiem, co sobie myślicie: że to wszystko bajeczka przemieszana z teorią literacką. Ja też tak uważam, oczywiście. Ale, jak mówi poeta: „w tym szaleństwie jest metoda”.

Susana zapaliła kolejnego skręta z marihuany.

- Podsumujmy więc - powiedziała. - Przez całe wieki tajemnicze istoty w postaci pięknych kobiet...

- Lub atrakcyjnych mężczyzn - sprecyzował César - albo starców czy dzieci... Mogą przyjmować różne postaci, być kimkolwiek...

- ...poświęcają się inspirowaniu poetów. Bardzo dobrze. Ale po co? Jaki mają w tym interes?

- To prawdziwy węzeł gordyjski. Wielki sekret. Pamiętajcie, że od nich wywodzi się legenda o Muzach: boginiach, które obdarzały artystów natchnieniem... Tylko... dlaczego? - Uśmiech rozplątał się po całym obliczu Cesara.

- Już to sprawdziłeś - zdiagnozowała Susana z palcami wplecionymi we włosy. César zrobił dwuznaczny gest. - Cholera, ty już wiesz - roześmiała się i rzuciła w niego poduszką.

Traktują to jak kolejną rozrywkę, pomyślał Rulfo. Jedną z tych domowych orgietek improwizowanych w weekendy z przyjaciółmi.

Nie brał udziału w zabawie. Potęgający się lęk pokrywał szronem jego żołądek. A mimo to rozumiał, co się działo: dzięki tej niezwykłej przygodzie César i Susana przypomnieli sobie stare czasy, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, uśmiechy, cały ten zestaw gestów stanowiący prywatny język pary, która po okresie względnego ochłodzenia zaczyna z powrotem czuć się ze sobą dobrze. Nie mógł dopuścić, żeby brnęli dalej w to niebezpieczne bagno.

- Zechcesz nam w końcu łaskawie powiedzieć? - poprosiła Susana.

- Spokojnie, nie bądź niecierpliwa... Rozwiązanie znalazłem w spotkaniu Milтона z Herberią, damą numer trzy: „tą, która Karze”. Wprowadzę was w temat. Angielski poeta John Milton podróżował w młodości, w latach 1638-1639, po Włoszech. To historyczne fakty. Tutaj mówi się jednak o tym, że w czasie pobytu w tym kraju nawiązał kontakt z pewną sektą i uczestniczył w jej najdziwniejszych obrzędach. Oczywiście, jeśli wierzyć książce, niewielu poetów miało z sektą bezpośredni kontakt. Milton był jednym z nich. Udało mu się nawet zobaczyć Herberię pod postacią młodej Toskanki zwanej Alessandrą Dorni. Widział, jak tańczyła w słońcu podczas jednego z obrzędów i jeszcze tej samej nocy

plomienie

był świadkiem rytualnego sądu w jaskini, w której się zbierały... Znowu robisz minę niedowiarka, Susano... Proszę tylko, żebyś wysłuchała do końca,

plomienie tańczące przed oczyma

potem się ustosunkujesz... Przeczytam wam ustęp opisujący cały rytuał... Przygotujcie się na wysłuchanie najdziwniejszej historii, jaką kiedykolwiek słyszeliście...

Plomienie tańczące przed oczyma.

Plomienie. Hipnotyczne, migające jak bicze. Jak tamto zadziwiające ciało, które widział na wyludnionych równinach pod Florencją.

Poprowadzono go przez łąny żyta aż do skał. Tam, pod wartkim srebrzystym potokiem znajdowało się wejście. Przewodnikiem był siedemnastoletni, ubrany w ciemną sukmanę mieszkaniec Rawenny. Na twarzy miał wypisany strach. On - młody angielski dżentelmen, powściągliwy i ułożony - nie był wcale dużo spokojniejszy. Przez całą drogę wyobrażał sobie przeróżne rzeczy, jedne absurdalne, inne straszne, ale wszystkie krążyły wokół tej samej postaci, węża w ludzkiej skórze: Alessandry Dorni. Pomimo odczuwanego strachu pragnął ujrzeć ją jeszcze raz.

Obiecano mu, że ją zobaczy.

I zapewniono jednocześnie, że szybko pożałuje tego, że ją w ogóle widział.

Zeszli po kamiennych schodach do przestronnej jaskini oświetlonej oliwnymi lampkami. Podłoga przy wejściu wyłożona została mozaiką w pompejańskim stylu. Postacie sturękich olbrzymów wznosiły się na ścianach aż po sam sufit. Rozległa pieczara wydrążona była głęboko w skale. Na środku stał kamienny ołtarz ofiarny przykryty czarnymi paramentami i otoczony gibkimi płomieniami. W głębi wisiało ozdobne zwierciadło, a po jego obu stronach znajdowały się schody do wyżej położonych grot. Zamaskowane, milczące postacie formowały krąg. Czując przenikliwy ziąb, młody Milton otulił się szczelniej peleryną.

Panowała pełna wyczekiwania atmosfera. Wszyscy czekali na rytualny sąd.

Skazany i Milton byli jedynymi osobami pozbawionymi masek. Pierwszy z nich stał przy ołtarzu ubrany w białą tunikę. Nie związano go, ale najwyraźniej nie był w stanie się poruszać lub nie chciał tego robić. Miał ogłupiały wyraz twarzy. Był to starszy człowiek o

zmierzwionej brodzie. Milton wiedział, że został skazany za to, iż rozmawiał o Nich z niewłaściwymi osobami. I podejrzewał, że zaproszenie do uczestnictwa w tej ordalii mogło być swego rodzaju poważnym ostrzeżeniem.

Wpatrując się w migoczące płomienie, przypomniał sobie ostatnią rozmowę, jaką odbył we Florencji z jednym z członków sekty, ważnym hierofantem, który mówił mu różne dziwne rzeczy: o imionach i symbolach każdej z dam, tajemniczych początkach sekty, wyrabianych przez nią woskowych figurkach zwanych imago, dzięki którym mogły wiecznie żyć... I o jej działalności polegającej na poznawaniu i inspirowaniu poetów. Przerwał mu, pytając, po co to robią. Hierofant nie odpowiedział: poradził mu tylko, żeby wieczorem wziął udział w rytualnym sądzie.

Przybył tu po to, żeby rozwiązać ostatnią zagadkę.

Jakiś ruch na schodach w głębi przykuł jego uwagę.

Chłopiec o długich czarnych włosach i różowych wargach nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat. Nosił lekką cynobrową tunikę. Prowadził go za rękę jeden z hierofantów. Zeszli po stopniach wśród grobowej ciszy i podeszli do ołtarza. Chłopiec otwierał szeroko swoje wielkie ciemne oczy. Spozrzegłszy skazanego, ruszył w jego kierunku, ale powstrzymały go czyjeś silne dłonie.

- Kto to jest? - spytał Milton zamaskowanego mężczyznę stojącego najbliżej.

- Jego młodszy syn. Zostanie ukarany poprzez syna. Zazwyczaj tak właśnie czynią.

Nikt nie rozmawiał, nikt nie krzychał. Cisza w jaskini była tak wielka, jakby śmierć zajmowała więcej miejsca niż życie.

Kolejne poruszenie. Tym razem dobiegające ze schodów po drugiej stronie.

Milton rozpoznał ją natychmiast. Alessandra Dorni zstępowała po stopniach z absolutną obojętnością, szeleszcząc czarną tuniką ozdobioną srebrnymi arabeskami - uniesiona głowa, piękna, nieprzenikniona twarz, złoty medalion w kształcie węża wijącego się na piersiach. Po zejściu ze schodów, niczym automat, zbliżyła się do ołtarza. Członkowie sekty przyklękali, w miarę jak się przybliżała. Skazany odwrócił wzrok.

Oczy Alessandry Dorni odbijały zielone refleksy, jak słońce zachodzące za morze. Milton na zawsze zapamięta te oczy o nieokreślonym wieku, blade policzki i dziwny uśmiech, jakby namalowany przez artystę, który nigdy nie zaznał szczęścia.

Herberia. Ta, która Karze.

Z chłopca zdjęto tunikę. Jego ciało było jak plama śniegu na tle czarnego stroju przytrzymującego go sekciarza. Kolejny akolita, w ciemnoczerwonym ornacie, podał damie małe naczynie w kształcie rogu. Alessandra zanurzyła w nim palce. Kiedy je wyjęła, spływały

czzerwienią. Zaczęła pisać coś na piersiach chłopca, w zagłębieniach pomiędzy chudymi żebrami, a jej delikatny głos szybował w jaskini, wzbudzając echo. Młody Milton nigdy jeszcze nie słyszał słów włoskich wymawianych w ten sposób. Mimo to rozpoznał wiersz, który recytowała, pisząc na ciele dziecka. Zamaskowany mężczyzna obok niego również go zidentyfikował.

- Dante - wyszeptał, a Milton odnotował wyraźne drżenie w jego głosie. - Dante jest srogą karą dla dorosłego, dla takiego dziecka to prawie obscena...

Alessandra skończyła. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie dzieje: chłopiec, z mokrymi jeszcze wersami na piersiach, próbował wyrwać się przytrzymującym go rękami.

- Radzę dalej nie patrzeć, signor Milton - szepnął sekciarz.

Ale dla niego było już za późno. Jego ciekawość złapała się na tę scenę jak mucha na lep.

Nagle chłopiec otworzył usta i zaczął krzyczeć.

Kiedy patrzył na to, co nastąpiło potem, John Milton utwierdził się w przekonaniu, że przypłaci to pomieszaniem zmysłów.

Lub utratą wzroku.

- Stracił to drugie: oślepl kilka lat później. - César uśmiechnął się. - To wszystko jest czystą fantazją, oczywiście, rodzajem metafory wyjaśniającej powstanie Raju utraconego, który Milton podyktuje, zupełnie już niewidomy, swojej córce i współpracującemu z nim pisarzowi, Andrew Marvellowi. To przedziwny poemat przedstawiający Szatana z pewną pobłażliwością, Boga zaś opisujący jako istotę mściwą. Cała historia kończy się stwierdzeniem, że Milтона uratowało tylko względne pograżenie się w mroku: udało mu się zapomnieć prawie wszystko, co widział w tej jaskini, niemniej jego oczy, pamiętające dużo więcej, postanowiły umrzeć wcześniej.

Susana westchnęła, jakby do tej pory wstrzymywała oddech.

- To idiotyczne. Torturowanie dziecka polegało na wypisaniu na jego piersiach wersów Dantego?

- Oraz ich recytowaniu. Autor nazywa je „filakteriami”: wersami wypisywanymi na jakimś przedmiocie lub osobie i recytowanymi jednocześnie. Efekt trwa wtedy dłużej i jest dużo intensywniejszy... Owszem: „efekt”. Nie przesłyszałaś się, Susano... Wyprzedzam jednakowoż własne wyjaśnienia. Jak mówię, ta historia jest bajką, ale ujawnia metaforycznie „sekret”, który Milton chciał poznać, a który stanowi podstawową zagadkę legendy: dlaczego damy inspirowały poetów. - Z otwartą książką César uczynił znaczący gest w stronę przyjaciół. - O ile dobrze zrozumiałem, „sekret” brzmi następująco: ludzki język nie jest

obojętnym narzędziem. Stwierdzamy to każdego dnia, choćby w przemówieniach fanatyków czy polityków... Słowa w y p a c z a j ą rzeczywistość, tworzą r z e c z y, lecz tylko wtedy, kiedy recytuje się je w odpowiedniej formie i we właściwym porządku. W dawnych czasach kombinacje władczych słów, często pozbawione konkretnego sensu, umieszczane były na tabliczkach lub pergaminach, których przeznaczenie nie miało nic wspólnego ze sztuką czy estetyką. Ale osoby kontrolujące ich moc nie znały wszystkich poszczególnych kombinacji słów we w s z y s t k i c h możliwych językach. Żeby je odkryć, potrzebowały pomocy kogoś z zewnątrz. Postanowiły więc przekształcić swoje poszukiwanie w sztukę, w estetykę. Tak narodziła się poezja, tak narodzili się poeci. - Przerwał i spojrzał na nich. - Poeci, jak wiecie, zajmują się komponowaniem łańcuchów słów zwanych wersami, których sens nawet oni sami nie zawsze do końca pojmują. Damy (istoty, które z czasem przejęły kontrolę nad tą rozległą władzą) są w stanie przewidzieć, którzy z poetów posiadają największy potencjał twórczy. Przyjawszy postać urodziwych istot, inspirują ich, a potem grzebią w ich twórczości, próbując odnaleźć te fragmenty, które mogą przynieść oczekiwany skutek i które określane są jako „władcze wersy”. Autor tej książki porównuje poetów do „ródzki radiestety”, wiecie, do tych pręcików, które teoretycznie drżą, kiedy zbliżają się do ukrytego przedmiotu... To trafna metafora. Damy wykorzystują poetów, żeby wydobywać z głębin zapomnienia najbardziej władcze dźwięki wszystkich języków świata.

- Rozumiem... - Susana robiła wrażenie podekscytowanej. - To fascynująca teoria, nie sądzisz, Salomonie? Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałam: słowa tworzą rzeczy, tak? Jedne stworzą dobre, inne złe, jak sądzę... Poezja przez wieki służyła przekazywaniu tej tajemnicy... Na przykład w jakimś sonecie Nerudy czy wierszu Lorki mogą kryć się słowa, które... Bo ja wiem?! Słowa, które wyrecytowane sprawią, że polecimy w powietrze, czy tak? - Śmiała się, obgryzając jednocześnie kciuk.

- Zauważ, Susano, że nie wszystkie wiersze posiadają tę moc - powiedział César. - Zdecydowana większość poematów, według tej teorii, jest czystą estetyką i stanowi, jeśli można tak rzec, coś w rodzaju „przykrywki” mającej ukryć prawdę. Nawet w poematach posiadających moc tylko niektóre fragmenty kryją ją w sobie. Nie jest jednak łatwo je odnaleźć, a tym bardziej recytować: tylko damy mogą to uczynić. - Z uśmiechem odwrócił się do Rulfa. - Najbardziej zaskakujące jednak są okoliczności towarzyszące twojej historii, Salomonie. Nie uważasz? Przedmiot wyciągnięty przez ciebie i tę dziewczynę z akwarium może być imagiem, figurką, dzięki której żyją wiecznie, a znalezione przez was wersy Wergiliusza i Dantego są pewnie filakteriami i to one spowodowały, że drzwi domu się otworzyły, akwarium rozblęsnęło światłem, a ty odkryłeś zdjęcie mojego dziadka i imago...

Dziwna historia, zaiste. Całkowicie irrealna, ale całkiem niezłe obmyślona. A tak nawiasem... - Oczy Cesara rozmarzyły się. - Czyż nie można tego podeprzeć naukowo? Co my wiemy o materii? A gdyby fale powstałe w czasie mówienia zakłócały orbitę otaczających je elektronów do tego stopnia, że wywoływałyby zmiany w rzeczywistym świecie? Zauważcie też, że tradycyjnie we wszystkich „czarach” występuje element dźwięku, jakieś „abrakadabra” i tym podobne zaklęcia... A gdyby to właśnie ten element był odpowiedzialny za właściwy e f e k t...? Pomyślcie o modłach, o modlitwach do świętych, którzy według ludowych wierzeń mogą spełnić określone prośby... Pamiętajcie, że Bóg jest „Słowem” i tworzy świat za pomocą słowa... A „poezja” pochodzi od *poiesis*, co po grecku oznacza „tworzenie”. Czy w tym wszystkim nie może chodzić o luźne metafory, obracające się wokół ukrytej mocy języka i jego tajemnego przekazu za pomocą poezji...? Widzę, że wyraz twojej twarzy uległ zmianie, Susano. Nie wyglądasz już na tak sceptyczną. - I po krótkiej efektownej przerwie César gwałtownie zamknął książkę. Rulfo i Susana zamrugali powiekami na ten nagły dźwięk. - Ale, jak mówię, chodzi tu tylko o zwykłe fantazje dość przeciętnego pisarza...

- Herberio, piękna i okrutna bogini, wybac swojej niewolnicy Susanie, że musi opuścić to interesujące grono. Co za szkoda! - Wyciągnęła swe chude ramiona. - Nie może mnie jednak zabraknąć wieczorem na kolacji z bossami teatru... Mają wyłożyć forszę na mój projekt. Poza tym przyjdzie pewnie kilku dziennikarzy, a ja zamierzam wypytać ich o Lidie Garrett... Idę pod prysznic. Zobaczą cię jeszcze przed wyjściem, drogi uczniu Rulfo?

- Niewykluczone - powiedział Rulfo.

- Jestem pewna, że teraz i tak będziemy się częściej widywać... Mamy do rozwikłania wielką tajemnicę. Czyż nie tak, Cesarze?

Ten mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi, a Rulf, miał wrażenie, że César poczuł się niezręcznie. Boże, traktuje tę sprawę jak cukierek. Jakby mieszkał z dziewczynką i przekupywał ją słodyczami, żeby przy nim pozostała.

- Możemy chwilę porozmawiać, Cesarze? - spytał, kiedy Susana weszła na górę i zamknęła drzwi do sypialni.

- Przecież rozmawiamy.

- Może dokończymy w naszym pokoju? Czy jeszcze istnieje?

Wyglądało na to, że César zrozumiał. Oczy mu rozblęły.

- Owszem. Chodź.

„Pokój” - jak nazywali go członkowie literackiego koła Cesara - znajdował się obok salonu. Było to małe pomieszczenie, które właściciel pieczołowicie chronił przed

niepowołanym wzrokiem przydymionymi szybami w oknie. Naczelne miejsce zajmował duży telewizor i kasety nagrane w trakcie gier i zabaw towarzyskich. Miękki biały dywan zachęcał do rozebrania się; Rulfo skorzystał z tej pokusy niejedną raz. Teraz należało to już do przeszłości. „Pokój” zapewniał prywatność rozmów, nikt z sypialni czy z salonu nie mógł ich usłyszeć.

Kiedy César zamknął drzwi, izolując ich od otoczenia, Rulfo powiedział:

- Daj sobie z tym spokój, Cesarze.

- Z czym mianowicie?

- Z tym tematem. Koniec i kropka. Zajmij się czymś innym i nie podniecaj tym Susany.

- Oszalałeś?

- Tak - przyznał Rulfo. - Możesz tak myśleć. Oszalałem. Wyobraziłem sobie coś, co nie istnieje. Nigdy nie byłem w domu Lidii Garetti. To były tylko fantazje.

Uśmiech Cesara rozpląnął się, zanim Rulfo skończył mówić. Saucedo z uwagą patrzył mu w oczy.

- Co się stało, Salomonie?

Postanowił mu powiedzieć. Nie wdawał się w szczegóły, zrelacjonował tylko kluczowe wydarzenia poprzedniej nocy: dziewczynka w podartej sukience, teatr, splądrowane mieszkanie. Kiedy opisywał swoją rozmowę z Blasem Marcano, ogarnęły go mdłości.

- Blas Marcano Andrade, impresario teatralny: poszukaj w Internecie... W dziewięćdziesiątym szóstym roku zgwałcił i zamordował swoją szesnastoletnią córkę, Sorayę Marcano, po czym popełnił samobójstwo. Ale ja r o z m a w i a ł e m z nim wczoraj wieczorem i w i d z i a ł e m jego córkę... Nie pytaj o nic... Jestem pewny, że to byli oni. Może Marcano to jeden z sekciarzy ukaranych za niedyskrecję, jak skazaniec, którego widział Milton. Nie rozumiem, w jaki sposób, niemniej...

César zdjął okulary i opadł powoli na olbrzymią sofę z lśniącym oparciem nabitym ćwiekami, która stała pośrodku pokoju.

- Nie do wiary - wyszeptał. - Nigdy nie myślałem, że... Coś takiego! Nawet... nawet kiedy skończyłem czytać tę książkę, nadal wierzyłem, że to tylko bajki, legendy pomieszane ze wspomnieniami mojego dziadka i twoimi doświadczeniami... Coś takiego! Zdajesz sobie sprawę z tego, co to może znaczyć?

- Nie chciałem rozbudzać twojego zainteresowania. Wręcz przeciwnie. To niebezpieczni ludzie.

- Nie wątpię. Wiem, jak bardzo są n i e b e z p i e c z n i. Ale nie zrobią ci

krzywdy, jeśli zwrócisz figurkę. Tego chcą, prawda? Na twoim miejscu bym ją zwrócił. Bez względu na to, w jaki sposób trafiła w twoje ręce, nie należy do ciebie. Jest ich własnością.

- Problem nie polega na tym, czy ją zwrócę. Problem polega na tym, żebyście zapomnieli o tej cholernej sprawie raz na zawsze. Przeklinam godzinę, w której przyszło mi do głowy...

- Jeszcze mogę ci się przydać, kochany uczniu - César powstrzymał go jednym gestem. - Po to, żeby znaleźć Herberta Rauschena, pamiętasz? Tylko on może nam opowiedzieć o tym, czego nie ma w książce, o damie numer trzynastie... Dlaczego twierdził, że jest taka ważna? Dlaczego książka o niej nie wspomina?

- Niewątpliwie zadbały już o to, żeby go uciszyć. Zrobią to samo z wami, jeśli...

- A jeśli tak się nie stało? Jeśli się ukrywa? Jeśli uda nam się porozmawiać z nim albo z kimś, kto wie tyle co on?

- Nie chcę wiedzieć nic więcej - uciął Rulfo. - Chcę tylko, żeby się to wszystko skończyło.

- Salomonie... - César wyciągnął ramię i zapalił lampę górującą nad sofą. W aksamitnym świetle jego twarz wydawała się przecięta na pół, jak faza księżyca. - Poezja była głównym motorem mojego życia. Twojego również, przyznaj sam. Znam cię, wiem, że podobnie jak ja jesteś niedowiarkiem, choć może nie aż tak aroganckim... Powierzchowny hedonista. Ale poezja była dla nas sakramentem, naszym jedynym bogiem, naszą etyką.

- Cesarze...

- Pozwól mi skończyć, mój uczniu. Nauczyłem cię ją kochać, zaprzecz, jeśli masz odwagę. Powiedz, że nie fascynowały cię moje zajęcia czy wieczorki recytatorskie improwizowane w tym oto miejscu, w tym pokoju, z Susaną, Pilar, Alvarem i Davidem... Z tymi wszystkimi, którzy podobnie jak ty już dawno przestali przychodzić do tego domu... Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny: poezja nas rozbraja, niszczy. Dzisiaj trafia w gust mniejszości, ale obaj zawsze wiedzieliśmy, że to otchłań... Coś, co mój dziadek nazywał „czystym horrorem”. I co się stało teraz?

- Posłuchaj, Cesarze...

- Pozwól mi mówić! - César zerwał się gwałtownie i podniósł głos. - Wiesz, co takiego się stało? Otóż znaleźliśmy nareszcie tę otchłań i zajrzeliśmy w jej głębię. Przyglądamy się jej. I wiem, że skoczysz. Dobrze to wiem. Skoczysz. Pokusa jest zbyt silna... Dlaczego więc chcesz uniemożliwić t e n s k o k mnie, dużo starszemu i mającemu mniejsze możliwości?

- A Susana? - spytał Rulfo łagodnie, wskazując na drzwi. - Weźmiesz ją za rękę i

pociągniesz za sobą? - Nagle poczuł, że zaraz wybuchnie. - Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co wyczyniasz?! Robisz z tego interesujący temat, jak na Saucedę przystało...! Ale to jest realne, kochany profesorze! Nie rozumiem na ile ani dlaczego, ale jest r e a l n e i n i e b e z p i e c z n e...! Tym razem to nie zabawa w duchy, zajadanie się hostiami posmarowanymi pasztetem czy wywoływanie diabła z nagą Susaną udającą ołtarz i toba przebranym za Antona Sandora La-Vey. To jest r e a l n e! - Spozrzegł, że się poci. Ściszył głos, dodając: - I bardzo niebezpieczne.

- Oddaj im figurkę, a nie zrobią nam krzywdy - powiedział po chwili śmiertelnie poważny César.

- Skąd ta pewność?

W tym momencie drzwi się otworzyły. Susana, w płaszczu kąpielowym, uśmiechała się do nich.

- Co tu robicie? Konspirujecie?

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią i uśmiechnęli się prawie równocześnie.

- Już idę - powiedział Rulfo. - Dziękuję za obiad.

Jesienne popołudniowe słońce gasło, kiedy wyszedł na ulicę. César miał rację: odda im figurkę. Odda im tę przeklętą figurkę, skoro tego właśnie chcą.

Wsiadł do samochodu, pragnąc z całych sił, żeby udało mu się trafić do domu Raquel.

Patricio Florencio włączył kuchenkę i odkręcił gaz na maksimum. Mimo to niebieski płomień nadal był słaby. Nastawiony dzbanek kawy nie zagrzeje się szybko. Przeklął pod nosem: kuchenka nie różniła się niczym od reszty sprzętów. Raquel nie zasługiwała na nic lepszego, to jasne.

Czekając, nalał sobie kolejny kieliszek rumu z butelki, którą dziewczyna trzymała dla niego w maleńkiej, prawie pustej szafce. Stało tam również kilka konserw. Patricio przyglądał się im przez chwilę, po czym nagle wyjął je - jedną po drugiej - i wyrzucił do śmieci. Jeśli chce jeść, niech mnie poprosi.

Wypił rum i ponownie napełnił kieliszek. Nora była zimna i zatęchła. Od dziś musi dokładniej sprzątać swój dom; już on jej pokaże, jak to robić. Niejedno jeszcze pokaże tej Węgiereczce.

Patricio Florencio był korpulentny i niski. Ogolił sobie całkowicie głowę, pozostawiając jedynie obwódkę czarnego zarostu wokół ust: wąsik i bródkę równie ciemne jak jego gęste brwi. Spod rozpiętej koszuli wystawało krzaczaste owłosienie. I pocił się. Zawsze się pocił. Pot i on nie byli dobrymi przyjaciółmi, ale pogodzili się z tym, że zostali skazani na wspólną egzystencję jak syjamskie bliźnięta zrosnięte trzewiami. Pocił się obficie od dziecka. Miał wrażenie, że przez całe życie pozostawiał za sobą ślad potu, jak ślimak długą nitkę śluzu, od smutnego dzieciństwa na ulicach ponurego gwatemalskiego miasteczka począwszy, a na dorosłym życiu w Europie kończąc. Jego matka, jego kochana matka, wieczny odpoczynek racz jej dać Panie, mawiała, że dobrze jest się pocić, gdyż w ten sposób traci się na wadze. Jego kochana dobra matka, Hiszpanka z pochodzenia, była jedyną istotą w całym jego życiu, którą kochał naprawdę. Mama to była po prostu prawdziwa *señora*, jakich nie ma już dzisiaj, dobrze wychowana, chłodna, szlachetna jak posąg. Patriciowi śniło się czasem, że ofiarowuje jej czerwone róże. Nigdy nie mógł sobie pozwolić na taki gest, a teraz było już na to za późno. Wiedział jednak, że mama nawet w niebie jest mu za to wdzięczna. Wśród tylu kurew na tym świecie uczciwa kobieta jest jak czterolistna koniczynka, Silvino. Z

mamy to dopiero była kobieta, szkoda gadać, Silvino. Mama zasługiwała na różę.

Wrócił do saloniku, spojrzął na nią. Dziewczyna nadal siedziała na podłodze, skulona w kącie. Wolał nie dawać jej takiej nauczki, na jaką zasłużyła, bo mógłby zaszkodzić sam sobie. Zniszczony towar traci na wartości, wszyscy to wiedzą. Ograniczył się do wymierzenia jednego ciosu w szczękę i drugiego w żołądek. Krew płynąca jej z wargi nie pozostawi śladów, a mała ranka będzie tylko podniecać klientów. Niedługo dojdzie do siebie, jest wytrzymała.

Czuł się szczęśliwy i pokrzepiony rumem. Przeszedł do kuchni, marząc o kawie, ale dzbanek nadal był zimny. Zaklął: ten płomień nie rozgrzałby nawet oziębłego faceta. Musiał czekać. Nienawidził tego, zawsze paliła go niecierpliwość, ale jego druga połowa (ta po matce, bez wątplenia) była rozsądna i doradzała mu spokój.

Dzięki rozsądkowi potrafił poprowadzić kwitnący interes. Nie na próżno kierował najlepszym nielegalnym klubem prostytutek w Madrycie. Miał wspólników, oczywiście, ale to on był mózgiem: tamci wykładali tylko pieniądze. Poza tym okazał się jednym z pierwszych, którzy rozpoczęli podbój krajów Wschodu. Jego elitarni klienci twierdzili, że nie są rasistami, lecz Patricio wiedział, że w gruncie rzeczy mieli dosyć Filipinek i Latynosek i pragnęli dziewcząt o białej skórze. Teraz mogli je mieć. I to nie tylko prostytutki, także porządne kobiety, które w swoich krajach skończyły studia, kobiety wykształcone, nauczone dbać o własne ciała, mężatki lub panny, marzące o emigracji w poszukiwaniu lepszego jutra. A nawet takie, które jeszcze nimi nie były: zaledwie załączki kobiet, kilkuletnie dziewczynki sprzedawane przez własne rodziny. Nie robił nic złego: dawał im szansę pracy w kraju, który coraz bardziej ograniczał napływ cudzoziemców. Kilka lat poświęcenia - i mogły wracać do domu z okazałą sumką. Komu to szkodziło?

W tym interesie również, jak we wszystkich innych, zdarzały się wyjątki. I Patricio musiał przyznać, że Raquel do nich należała.

Znał ją od pięciu lat. Była sierotą i przyjechała bez dokumentów. Ci, którzy ją sprzedali, powiedzieli jedynie, że na imię ma Raquel i ma pracować, nie otrzymując w zamian ani grosza. Nie przeszkadzała mu tajemniczość tej sytuacji: przecież większość dostarczanych mu dziewcząt pozbawiano przeszłości, nawet jeśli jej nie zapomniwały. Jakie więc znaczenie miał fakt, że ona swojej nie pamiętała? Gdy tylko ją zobaczył, otoczył opieką i ją, i to, co ze sobą przywiozła, i chociaż początkowo sądził, że zrobił zły interes, okazało się, że wyszło mu to na dobre. Nigdy nie żałował, że ją przygarnął. Raquel była wyjątkowa, dlatego należała do niego. Patricio nie dawał w prezencie obróżki ze swoim imieniem byle komu, nawet Silvinię, swojej obecnej przyjaciółce, sprytniej i potrafiącej okazać wdzięczność dziwce. Ale Raquel...

to złota figurka, uległe piękne zwierzątko... sam miód, co tu dużo mówić. Była droga, ponieważ była doskonała. Miała nie tylko ciało i sylwetkę modelki na wybiegu obdarowanej krągłościami tam, gdzie inne przypominały deskę, lecz również charakter. Jej koleżanki były perwersyjne lub zbuntowane, ale czy choć jedna dorównywała Raquel? Urodziła się, by być posłuszna.

Czego chcesz od tej Węgierki? Nie możesz przestać o niej myśleć.

To fakt. Miał na jej punkcie prawdziwą obsesję. Czasem budził się w środku nocy, bo nawiedzały go sny, w których robił jej straszne rzeczy. Nie wiedział, skąd się biorą te koszmary, ponieważ (o czym, w przeciwieństwie do jego doborowych klientów, matka i Bóg wiedzieli doskonale) nie był żadnym sadystą. W młodości własnymi rękoma zabił człowieka, który oślepił psa. Nie lubił, kiedy ktoś cierpiał bez potrzeby, zwłaszcza zwierzęta i kobiety. Ale z Raquel wszystko wyglądało inaczej.

W gruncie rzeczy był jej wdzięczny za tę próbę buntu.

Nie bardzo. Tylko trochę. Na tyle, żeby wyznaczyć jej granice.

Poszedł do saloniku i stanął przed nią z kieliszkiem rumu w ręce. Dziewczyna opuściła wzrok.

- Co robisz? Nie będę cię więcej bił. Już po sprawie. Wybaczam ci. - Poglaskał ją po włosach. - Po południu przyjdiesz do klubu, zgoda?

- Tak.

- A potem na spotkania. Na wszystkie.

- Tak.

- Nawiasem mówiąc, jak wpadłaś na ten głupi pomysł z odejściem? Ktoś ci poradził, żebyś to zrobiła?

- Nie.

- Nie kłam.

- Nie kłamię.

Ujął ją pod brodę i uniół jej twarz. Dziewczyna zamrugła oczami, lecz nie odwróciła głowy.

- A więc to twój pomysł?

- Tak.

- Dlaczego? Spójrz na mnie... - Ponownie zamrugła. Te chmurne czarne oczy doprowadzały go do obłędu: były jego ulubionymi klejnotami. - Dlaczego chcesz mnie zostawić? Czy nie traktuję cię tak, jak na to zasługujesz?

Nie odpowiedziała. Przez chwilę wpatrywał się w jej nieskazitelne oblicze,

zastanawiając się, czy go nie oszukuje. Ale nie, to niemożliwe. Znał ją wystarczająco dobrze. Raquel - tak samo niezdolna do kłamstwa, jak do latania - była nieśmiałym, zastraszone zwierzątkiem, i właśnie ta cecha jej charakteru najsilniej go w niej pociągała. Tym bardziej więc intrygowała go owa próba buntu. Kiedy rano powiedziała mu o tym przez telefon, dosłownie zaniemówił ze zdumienia. Po prostu nie mógł uwierzyć, że samodzielnie podjęła taką decyzję. Miał do niej całkowite zaufanie. Prawie wszystkie dziewczyny z klubu pozostawały w zamknięciu lub musiały być pilnowane w inny sposób, ale Raquel mogłaby zamknąć w klatce z szympansem i dać jej klucz, a i tak nie wyszłaby bez pozwolenia, był tego pewny. Nie bez powodu pozwolił jej zająć to mieszkanie. A jednak teraz... Co się stało? Wydawało mu się... Przysięgłby niemal, że s i ę z m i e n i ł a. Ledwie dostrzegalna mutacja nie uszła jednak jego uwagi. Czyżby większe zdecydowanie? Większa samowola? Może zaprzyjaźniła się z kimś w tej dzielnicy imigrantów?

Tak czy inaczej należało się upewnić, że to się nie powtórzy. Wiedziała, co ją czeka, jeśli złamie reguły klubu, lecz mimo to nie mógł ryzykować i nie przykręcić jej śrubki. Myśl rozsądnie, Patricio, mawiała matka.

Nagle przypomniał sobie o czymś.

- Cholera, kawa!

Dzbanek na kuchence był zaledwie ciepły.

Gówniany płomień.

Nalał sobie kolejną porcję rumu. Wiedział już, co zrobi. Nie spodoba się jej to, ale będzie musiała wytrzymać. Trzeba podjąć odpowiednie kroki i zdusić w zarodku najmniejszy przejaw rebelii.

Siedząc nieruchomo, zwinięta w kłębek na podłodze, dziewczyna w milczeniu patrzyła, jak Patricio kieruje się do kuchni. Bolały ją rozbita warga i brzuch, ale najbardziej dokuczała jej myśl, że w ogóle uwierzyła, że pozwoli jej odejść. Jak mogła być tak głupia?!

Oczywiście niepotrzebnie informowała go o swoich zamiarach. Teraz chciała tylko, żeby minęła mu złość. Zrobi wszystko, żeby się tak stało. Potem, kiedy zostawi ją w spokoju, będzie kontynuować swój plan. Miała zamiar wyjechać daleko, żyć w ukryciu przez jakiś czas, dopóki nie odechce mu się jej szukać. Potem wyjedzie jeszcze dalej. Patricio nigdy więcej jej nie zobaczy.

Nie było aż tak źle, jak się obawiała. Po pierwszym uderzeniu schroniła się w płonącym grobowcu swojej wyobraźni. Nie broniła się, myślała, że ją zabije, niemal tego pragnęła. Przeobrażona w kobietę spoczywającą w trumnie prawie nie czuła bólu. Teraz tylko

musiał uwierzyć, że wszystko będzie jak dawniej. Była gotowa mu się podporządkować. Na razie.

Zobaczyła, że wraca do pokoju z kieliszkiem w ręce. Spuściła oczy.

- Dużo cię już nauczyłem, ale wiele jeszcze przed tobą. - Mężczyzna zbliżył się do niej. Nie odezwała się. - Jesteś porządną kobietą, Raquel. Nie słuchaj tego, co mówią ci główniani klienci... Uwierz mi. W przeciwieństwie do większości dziewcząt jesteś porządna. I żeby to się nie zmieniło, musisz zaznać cierpienia. Jak się mówi po węgiersku: „porządna”?

- Nie wiem.

- Nie dziwię się. - Patricio przesunął dłonią po głowie, zgarniając strugi potu. - Tymczasem musisz wiedzieć jedno. - I wypowiedział te nieoczekiwane słowa.

Uderzyły w nią jak pięść, którą bił kilka minut wcześniej. Wiedziała jednak, że żaden wyimaginowany grób nie uchroni jej przed tym ciosem. Podniosła głowę i spojrzała na niego oczami pełnymi strachu.

- Nie rób takiej miny, Węgiereczko... Co ty sobie myślałaś? Że Patricio Florencio jest idiotą? Nie ze mną takie numery. Teraz skomlisz jak pies, a jutro spakujesz się i nawiejesz, prawda? Nic z tego. Nie popełnię dwa razy tego samego błędu. Decyzja zapadła.

Nie zapadła. Nie mogła zapaść. Musiała coś zrobić, i to szybko.

Oparła dłonie na podłodze i przemówiła łagodnie, lecz na tyle głośno, żeby mógł ją usłyszeć.

- Proszę cię, Patricio... Przysięgam, że zostanę. Przysięgam.

- Oczywiście, że zostaniesz, ale nie na dotychczasowych warunkach.

- Proszę cię...

- Czym się martwisz? Będę go traktował lepiej niż ty. Przecież wiesz...

- Obiecałeś, że nigdy...

- A ty obiecałaś, że nigdy nie odejdziesz.

- Patricio...

Zobaczyła, jak nachyla się nad nią i podnosi rękę. Chociaż bała się kolejnego uderzenia, nie odsunęła twarzy. Nie uderzył jej jednak: gładził ją po głowie jak psa, jednocześnie do niej przemawiając. Lecz jego słowa zraniły ją bardziej niż cokolwiek, co zrobił wcześniej.

- Cicho, Węgiereczko. Jeszcze będziesz się cieszyć z mojej decyzji. A teraz milcz.

Nie płakała. Jej rozpacz wypełniła wszystko. Nie śmiała się ponownie odezwać, ale nie mogła go również usłyszeć. Jej ciało broniło się przed najmniejszym ruchem, a mimo to nie mogła opanować drżenia.

Zobaczyła oddalające się stopy mężczyzny, usłyszała jego kroki w korytarzu. Gdzieś coś bulgotało: może

grób

dzbanek do kawy... Trzask otwieranych drzwi, jakieś kroki, słowa... Odgłosy docierały do niej pomimo potężniejszego łoskotu uderzeń serca.

grób w płomieniach

Otwierający się grób w płomieniach.

Nagle zapanował ziąb. Gwałtowny i przenikliwy, jak trzęsienie ziemi. Pojawił się w progu, idealnie obrysowany światłem padającym z korytarza, i okrył plecy Patricia niczym peleryna. Kobiety cień, który poczuł na sobie jak lodowate dotknięcie. Odwrócił się instynktownie i zobaczył ją w drzwiach. Skrzywił się.

- O co znów chodzi, Węgierczko?

- Patricio - powiedziała słodko dziewczyna, podchodząc do niego. - Kawa już gotowa.

W tym momencie rozpoznał przedmiot, który trzymała w ręku: wydobywały się z niego kłęby pary i syk węża.

Zanim zdążył zareagować, chlusnęła mu zawartością naczynia w twarz.

Teraz wszystko sprowadzało się do wyścigu z czasem.

Mężczyzna cofnął się, unosząc dłonie do twarzy i wydał ryk zarznanego zwierzęcia.

- Moje oczy! Moje oczy!

Ponownie uniosła ramię i uderzyła go w głowę podstawą dzbanka. Nie za mocno jednak. Nie chciała go zabić, tylko pozbawić przytomności albo chociaż ogłuszyć. Kiedy runął na twarz, upuściła dzbanek na podłogę i wytaszczyła mężczyznę z pokoju, wlokąc go za koszulę, aż odpadło kilka guzików. Pozostawiała za sobą inny krzyk, ale na razie nie miało to znaczenia.

Ciągnęła go po podłodze bez specjalnego wysiłku. Nie czuła się zmęczona. Nie czuła nic. Kiedy dotarła do saloniku, zostawiła go leżącego na plecach. Brzuch mężczyzny sterczał jak owłosiony grzbiet wieloryba. Uderzenie ogłuszyło go, ale powoli odzyskiwał przytomność. Oddychał z trudem, przyciskając dłonie do twarzy. I pocił się.

- Moje oczy! Poparzyłaś mnie!

- Poczekaj.

Schyliła się, przeszukała kieszenie w spodniach mężczyzny i wyjęła złożoną chusteczkę, mimo brudu pachnącą wodą kolońską.

- Ty dziwko! Poparzyłaś mi oczy! Stracę wzrok!

- Nie stracisz.

Poszła do kuchni, zmoczyła chustkę i zwinęła ją w kulkę. Wyciągnęła jedną z szuflad szafki i wyjęła wszystko, co potrzebne. Wróciła do saloniku.

Mężczyzna nadal leżał na podłodze. Przekręcił się tylko na bok, podkurczając nogi. Dłonie wciąż przyciskał do twarzy.

- Boże! Matko Przenajświętsza! Oślepnę! Przynieś wody!

- Już.

Przetarła mu policzek mokrą chustką. Wdzięczny za ten dotyk odwrócił się, szukając po omacku wilgotnej ulgi. Zwilżyła wodą zaognione powieki, wycisnęła chustkę nad twarzą i ponownie delikatnie ją przetarła. Przez chwilę siedziała przy nim, dopóki skargi mężczyzny nie ucichły. Wtedy odchyliła mu jedną powiekę, nie na tyle ostrożnie jednak, żeby uniknąć kolejnego jęku.

- Co robisz, dziwko?!

- Widzisz mnie?

- Tak... - zawył Patricio, zamykając natychmiast oko.

- Nie oślepieś.

- Nie... ale mnie palą, nadal mnie palą...

- Spójrz na mnie.

- Co?

- Spójrz na mnie, Patricio.

Opuchnięte, czerwone powieki otworzyły się z trudem. Nagle Patricio zapomniał o bolesnych poparzeniach.

kobieta

Zmieniła się, momentalnie zdał sobie z tego sprawę. Jej twarz pozostała ta sama, ale zmieniła się, tak jak z m i e n i a s i ę nieznacznie, bez wyraźnych bodźców, anonimowy, amorficzny embrion, bezkształtna, bezpostaciowa istota, która nagle przepoczwarza się w coś konkretnego i określonego; coś, co się urodziło, urosło, rozwinęło i stało się dorosłe. I niebezpieczne.

stojąca kobieta

- Kim... kim jesteś? - spytał zdezorientowany Patricio.

Tyle tylko zdążył powiedzieć. Dziewczyna wcisnęła mu wilgotną chustkę do ust tak gwałtownie, że jeden z jego siekaczy złamał się przy dziąśle z trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu. Usta wypełniła mu krew. Zrobiło mu się niedobrze. Knebel, twardy jak kamień, w zetknięciu z miękkim podniebieniem wywołał odruch wymiotny. Myślał, że się udusi. Nagle zdał sobie sprawę, że odwróciła go i związała mu na plecach ręce kawałkiem sznura. Raquel...? Czy to była RAQUEL?

Próbował stawić opór: rzucał się, kopał i

stojąca kobieta nad grobem

stękał zakneblowany.

Ucichł jednak natychmiast, kiedy zobaczył w jej ręku kuchenny nóż.

stojąca kobieta nad grobem

Wyciągnęła ręce na przyjęcie słów. Emigrujących słów, które wzbily się jak ogniste gołębie.

Zagłębiła ostrze w jego oku.

Do jej umysłu, jak do ziemi w pełni lata, powracały stada słów.

Znieruchomiała na chwilę, przyglądając się krwi. Wytarła się w jego koszulę, zostawiając dziesięć czerwonych bruzd, dziesięć gęstych wilgotnych dróg. Ponownie sięgnęła po nóż.

Słowa o zaostrzonych pazurach, wygłodniałe słowa, które pokryły niebo, zasłaniając słońce.

Zakneblowany mężczyzna bełkotał niewyraźnie, ale wiedziała, że tak naprawdę nie mówi nic konkretnego, bredzi tylko nieskładnie. Mokre spodnie i odór wysłużonej latryny uświadomiły jej, że opróżnił pęcherz i trzewia.

Słowa czepiające się wspomnień.

Odłożyła na chwilę nóż, żeby rozpiąć mu spodnie.

Potem uniosła go znowu.

Rulfo dotarł na miejsce przed zmierzchem, przeszedł przez podwórko i zapukał do

drzwi, mając nadzieję, że zastanie Raquel w domu.

Zastał.

Wyglądała, jakby właśnie wyszła z łazienki: na piersiach miała związany ręcznik, którym się owinęła, a mokre włosy spływały jej kaskadami na ramiona. Ale coś musiało się stać. Jej oczy były szeroko otwarte, z policzków odpłynęła cała krew. Na dolnej wardze widniał krwiak.

- Co się dzieje, Raquel?

Dziewczyna nie poruszyła się, nie odezwała.

- Boję się - wyszeptała po chwili, dygocząc.

- Czego?

Usłyszał odpowiedź, kiedy się do niego przytuliła.

- Siebie.

VI. RAQUEL

Wyznała mu wszystko. Powiedziała, że nie ograniczyła się jedynie do zabójstwa. Rozumiała, że zrobiła coś zakazanego, ale nie miała wyrzutów sumienia. Wiedziała, że odebranie życia temu człowiekowi było dla niego po prostu czymś w rodzaju niezасłużonego prezentu. To, co jej zrobił, to, jak ją dręczył przez te wszystkie lata... To wszystko wymagało odpowiedniej kary. A jednak, chociaż powtarzała sobie, że nie powinna czuć się winna, odnosiła dziwne wrażenie, że w tych najstraszniejszych chwilach inicjatywa nie należała do niej.

- Nie wiem, co mi się stało. Musiałam postradać zmysły. Nie rozumiem tego.

Rulfo natomiast był w stanie to zrozumieć. Nie potrzebował więcej wyjaśnień, krwiak na jej wardze mówił sam za siebie. Patricio eksploatował ją do granic fizycznej i psychicznej wytrzymałości. Postanowiła mu się odplacić. Prosty fakt, że była teraz tak przerażona, świadczył jego zdaniem o tym, że nie jest morderczynią.

- To nie twoja wina - orzekł. - Ty się tylko broniłaś.

Jadalnia pachniała mydłem, jak ona. Wyszorowała ją dokładnie, zanim przyszedł, ale między płytkami posadzki, przy listwach i przy nogach mebli pozostały ślady. Najbardziej zaintrygowało Rulfa kilka wypalonych prawie do końca świec, przyklejonych do talerza na stole. Zaraz po wejściu wyczuł niemożliwy do pomylenia zapach topionego wosku i pomyślał, że dziewczyna mogła potrzebować dodatkowego oświetlenia przy sprzątanu. Chociaż przez kretonową zasłonkę w oknie wpadało jeszcze wystarczająco dużo światła.

Na podłodze, pomiędzy nimi, leżał naszyjnik z imieniem Patricia wygrawerowanym na cienkiej blaszce. Zerwała go z siebie przed chwilą.

- Gdzie on jest? - spytał Rulfo.

- W sypialni.

Poszedł tam. Ciało leżało na podłodze, obok łóżka, przykryte prześcieradłem. Widok był makabryczny, a lustra zwielokrotniające odbicie przerażającej postaci nadawały mu

symboliczny charakter. Niemniej, kiedy się zbliżył i uniósł róg prześcieradła, zrozumiał, że nie widział jeszcze wszystkiego. Chociaż mężczyzna był dla niego obcym człowiekiem, Rulfo nie miał cienia wątpliwości, że nie poznałaby go nawet własna matka.

Przez chwilę patrzył na tę rzecz, zastanawiając się, co robić. Policja nie wchodzi, oczywiście, w rachubę. To mogło wszystko skomplikować, a Bóg wie, jakie zarzuty by jej postawiono, gdyby zdołano udowodnić, że przed śmiercią torturowała swoją ofiarę. Niepokoiła go jeszcze jedna myśl: czy mógł jej zawierzyć? Nie wiedział, ale bardzo tego p r a g n ą ł. Rozumiał nawet, dlaczego podała mu fałszywy numer telefonu: w końcu miała wystarczające powody, żeby mu nie ufać, wzięwszy pod uwagę życie, jakie prowadziła.

Decyzję podjął nagle, tak jak miał w zwyczaju, licząc, że to najlepsze wyjście dla nich obojga. Wyjął chustkę i wytarł wszystko, czego dotykał. Nie martwiły go ślady pozostawione przez dziewczynę: nie miała dokumentów, policja najprawdopodobniej nie dysponowała jej odciskami. Nie dałby jednak głowy za to, że dotyczy to również jego. W żadnym razie nie powinni go więc skojarzyć ze zwłokami.

Kiedy wrócił do jadalni, stwierdził, że nie ruszyła się z miejsca. Pochylona, przyglądała się swoim kolanom. Przytłaczająco długie, białe, gołe nogi, czarne włosy opadające ciężko na ramiona, ręcznik służący za jedyne okrycie. Jej uroda nadal budziła jego niepokój. Musiał się długo mobilizować, zanim udało mu się oderwać wzrok od tropizmu jej ciała.

- Myślisz, że sąsiedzi mogli coś usłyszeć? - spytał.

- Nie wiem.

- Posłuchaj, co zrobimy: pójdziesz ze mną. Ukryjesz się w moim domu. Nie możesz czekać, aż ktoś stęskni się za Patriciem i zda sobie sprawę, że wizyta u ciebie była jego ostatnią czynnością.

- Dobrze.

- I jeszcze jedno. Masz figurkę, którą wyjęliśmy z akwarium?

Zwlekąca z odpowiedzią.

- Tak.

- Chcą ją z powrotem. Potem ci wszystko wyjaśnię. Chodzi o swego rodzaju sektę. Przeszukali moje mieszkanie, grożą mi. Zapewniam cię, że wiedzą, co robią.

- Wiem. - Opowiedziała mu o wczorajszej wizycie mężczyzny w czarnych okularach i odnalezieniu figurki. Chciała być szczerą: wyjawiała mu nawet, że musiała wymienić jego imię.

- Postąpiłaś właściwie - powiedział Rulfo. - Oboje jesteśmy w to zamieszani. Na razie

ograniczają się tylko do pogroźek. Na wszelki wypadek daj mi figurkę. Musimy im ją zwrócić.

- Dlaczego?

- Przecież ci mówię, chcą ją z powrotem.

- Nie możemy jej tego zrobić.

- Komu?

Dziewczyna przez chwilę wyglądała na skonfundowaną, szukała jakiejś odpowiedzi.

- Jej... Lidii Garetti... Nie wiem... Figurka należała do niej.

- Tego nie wiemy.

- Należała - powtórzyła z uporem. - A teraz chcą ją jej odebrać.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Oczy dziewczyny iskrzyły. Przez moment wydawało się, że mu odmówi. Zobaczył jednak, że wstaje z krzesła i wychodzi z pokoju. Wróciła, trzymając w ręce jakiś przedmiot. Położyła go na otwartej dłoni Rulfa. Popatrzył na figurkę bez twarzy i napisem „Akelos” wrytym na plecach, po czym schował ją do kieszeni marynarki.

- Nie będę dla czegoś takiego narażał naszego życia. Chcesz zabrać coś jeszcze?

- Tak - powiedziała, wpatrując się w niego z uwagą. - Jest w pokoju po drugiej stronie korytarza.

- Idź po to, ubierz się i chodźmy stąd.

Nadal na niego patrzyła.

- Pójdę się ubrać, a ty przynieś to, jeśli mogę cię prosić.

- Co to jest? Walizka?

- Nie. Zorientujesz się sam, jak tylko wejdziesz.

Rulfo wyszedł do przedpokoju i stanął przed zamkniętymi drzwiami. Myślał, że prowadzą do drugiej, mniejszej sypialni. Przekręcił gałkę przez chustkę. Przyjęła go nieoczekiwana ciemność. Chciał wejść, ale powstrzymał go odgłos drapania, jakby w środku chroniło się jakieś zwierze. Zaskoczony, znieruchomiał w progu. Kiedy źrenice przystosowały się do ciemności, dostrzegł na podłodze barłóg i jakieś porozrzucone przedmioty.

Cała jego uwaga skupiła się jednak na tym, co znajdowało się w głębi pokoju.

Dziecko odwzajemniło mu się zimnym spojrzeniem.

Chociaż stanowili trio zwracające na siebie uwagę, w takiej dzielnicy jak ta mogli przejść niezauważeni. Mimo wszystko zdecydowali wymknąć się nocą.

Mężczyzna pojawił się pierwszy. Był krzepki, niezbyt wysoki, a zaniedbana czarna broda i kręcone włosy nadawały mu nieco niechlujny wygląd, co nie czyniło go jednak mniej atrakcyjnym fizycznie. Koszula, którą miał na sobie, nie była dostosowana do temperatury panującej pod koniec października. Ale ci, którzy wyszli za nim, wyglądali jeszcze bardziej ekstrawagancko. Dziewczyna o czarnych długich włosach, bardzo młoda, ubrana była w skórzaną kurtkę, pończochy i kozaczki sięgające poza kolana, wszystko mocno znoszone. Szła, przytulając niewyraźny kształt, najpewniej dziecko w tenisówkach, owinięte w męską czarną marynarkę.

W milczeniu przeszli przez podwórko. Chłód niedawnego zachodu słońca nasącał powietrze ponad przepełnionymi śmietnikami aromatem oraz zapachem jedzenia dochodzącym z maleńkich mieszkań.

- Urodziłam go bardzo młodo. Byłam jeszcze dzieckiem. Nie wiem, kto jest ojcem.

Rulfo w lusterku wstecznym dostrzegał cienie Raquel i chłopca. Rozproszone światła samochodów, stanowiące jakby przedłużenie miasta, odbijały się w otwartych oczach dziecka.

- Zawsze ze mną mieszkał. Nie chciałam, żeby go ktoś zobaczył, ponieważ myślałam, że... że ludzie, którzy mnie odwiedzali... mogli mu zrobić krzywdę. Nauczyłam go nie wychodzić z tego pokoju...

Rulfowi trudno było się skupić na prowadzeniu samochodu. Kiedy słuchał Raquel, jego myśli powracały raz i drugi do tego straszego obrazu niespełna sześciolatniego dziecka zamkniętego w nędznym pokoiku z kilkoma plastikowymi żołnierzami rozrzuconymi po podłodze i dwiema miseczkami z jedzeniem i z wodą. Włos zjeżył mu się na głowie, jakby przekonał się na własne oczy, że piekło istnieje naprawdę. Chociaż gazety i telewizja każdego dnia informowały o tego rodzaju wydarzeniach, zrozumiał, że ich odbiór poprzez pryzmat papieru czy ekranu to nie to samo, co zetknięcie się z nimi w codziennej rzeczywistości jego własnego miasta.

- Tylko Patricio o nim wiedział, zmuszał mnie do posłuszeństwa, grożąc, że coś mu zrobi... Dzisiaj chciał mi go odebrać. Nie pozwoliłam na to. Jest jedynym powodem, dla którego jeszcze żyję. Jedynym. Zabiłabym się, gdyby go zabrakło, zapewniam cię. Nikomu nie pozwolę go sobie odebrać. Przysięgam.

Nagle zdał sobie z czegoś sprawę. Głos dziewczyny nie różnił się zbyt od tego, który znał, za to jej słowa - tak. Wyrażała się dużo płynniej, jakby jej słownictwo stało się bogatsze. A w jej tonie słychać było niezwykłą stanowczość. Robiła wrażenie silniejszej,

mniej uległej.

Jego mieszkanie nadal przypominało trzęsawisko przedmiotów. Przeprosił i zabrał się do sprzątanía. Raquel pomagała mu w skrzętnym milczeniu. Potem Rulfo poszedł do kuchni i przygotował lekką kolację, złożoną z omletu i sałaty. Kiedy nakrywał do stołu, zauważył, że matka i dziecko siedzieli - milczący, przytuleni do siebie - dokładnie tam, gdzie ich zostawił. Nie miała ubrania na zmianę, więc Rulfo pożyczył jej płaszcz kąpielowy. Chłopczyk miał na sobie swoją własną, brudną, czerwoną piżamkę; w jednej ręczce ścisnął garść plastikowych żołnierzyków, które zabrał z tamtego mieszkania.

- Nie wiem, czy jesteście głodni, ale ja jestem - powiedział Rulfo.

Sprawiło mu przyjemność spożywanie z nimi posiłku, siedzenie we trójkę przy stole. Przyglądał się chłopcu. Jadł rękami, w skupieniu, nie podnosząc wzroku. Miał słomkowe, złe obcięte, choć wyglądające na czyste, włosy. Wyrazistych, wielkich, niebieskich oczu i delikatnych, różowych ust nie odziedziczył po Raquel. Był, na swój sposób, śliczny, ale nie ulegało wątpliwości, że jest podobny do ojca, kimkolwiek on był. I zwracał uwagę jeszcze jeden szczegół. Po tym, jak opowiedziała mu o strasznych przeżyciach, jakie miał za sobą, Rulfo spodziewał się pustych oczu i przygaszonego temperamentu potulnego baranka. Niemniej z buzi i gestów dziecka emanował tłumiony, lecz niewątpliwy charakter, swego rodzaju g o d n o ś ć, która go zaskoczyła. Melancholijny wyraz jego twarzy nie zdołał przytłumić otaczającej go niemal majestatycznej aury, nawet wtedy gdy połknąwszy w mgnieniu oka kawałki omleta, nachylił głowę i zaczął łapczywie wylizywać talerz.

W pewnym momencie chłopiec podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Rulfa. Ten odwrócił oczy, ale czuł, że dziecko „nadal na niego patrzy. Uśmiechnął się do niego. Na próżno: powaga dziecięcych warg była absolutna. Twarzyczce brakowało śladu nieśmiałości czy lęku; była w niej za to przerażająca samotność i wspomnienie dotkliwego cierpienia. Na myśl o życiu, jakie zrodziło to spojrzenie, ścisnęło mu się gardło. Zdał sobie sprawę, że nie zna imienia dziecka. Spytał o nie Raquel.

- Laslo - powiedziała po chwili wahania.

Po zabezpieczeniu drzwi łańcuchem i ustawieniu przed nimi komody - w przewidywaniu niespodziewanych wizyt, takich jak ostatniego wieczoru - Rulfo zaproponował Raquel, żeby spała z synem w łóżku, dodając, że jemu wystarczy kanapa. Ale dziewczyna odmówiła.

- Nie jest przyzwyczajony do spania z kimś w jednym łóżku. Lepiej się wyśpi na

kanapie.

Tak też zdecydowali. Nie chciał jednak zostawiać chłopca samego w salonie. Wyciągnął pościel, zdjął kilka poduszek z kanapy i przygotował posłanie w sypialni, na podłodze. Chłopiec czekał, aż legowisko będzie gotowe, po czym położył się, ściskając w dłoniach żołnierzyki. Zasnął natychmiast. Kiedy Raquel wróciła z łazienki i wsunęła się pod prześcieradło, Rulfo zgasił światło.

Cisza rozszerzyła się w ciemnościach jak żrenica.

Miał jej tyle do opowiedzenia: spotkanie z dziewczynką, teatr, groźby i zapowiedź kolejnego spotkania, na które powinni udać się oboje (choć nie wiedział jeszcze ani kiedy, ani gdzie się odbędzie), ale uznał, że nie jest to właściwy moment na takie rozmowy. Szybko jednak zorientował się, że nie zaśnie. U j e j boku to było niemożliwe. Chociaż jej nie dotykał, czuł jej bliskość, słyszał, jak oddycha, czuł linearne ciepło jej doskonałego ciała. Zastanawiał się, czy to, co zamierza zrobić, będzie w porządku przy dziecku leżącym u ich stóp, i czy ona ma na to ochotę. Ale poddał się impulsowi. Sięgnął dłonią do ciała spoczywającego kilka centymetrów od niego dłonią niepewną jak pytanie.

Dziewczyna, jakby na to czekała, odwróciła się w planetarnej ciszy i pocałowała go.

Wszystko się dla niej zmieniło.

Nie oddawała się już jak żywe drzewo, z uniesionymi konarami ramion, żeby owoce jej ciała znalazły się w zasięgu nacierających na nią palców, świadoma, że może być wykorzystana na wiele sposobów, łącznie z biciem czy chłostaniem. Uwolniła się od odwiecznych kóleczek, którymi Patricio inkrustował jej ciało, podobnie jak od obróżki. Dała się porwać pożądaniu. Było jej dobrze, kiedy pieściła Rulfa i kiedy poddawała się jego pieszczotom, kiedy całowała go i była całowana. Nie wiedziała, czy było coś więcej w tym uczuciu czystej przyjemności, ale na razie zadowolili się doświadczeniem słodkiego, odwlekanego długo szczęścia dzielenia się rozkoszą z innym ciałem.

Starł się być delikatny i ostrożny. Rozumiał, że potrzebowała przede wszystkim czułości. Po pieszczotach i pocałunkach leżeli przytuleni, próbując zharmonizować swoje oddechy. Rulfo zastanawiał się, czy kocha tę dziewczynę. Nie sądził, żeby tak było, nie chciał tego nawet. Doświadczenie z Beatriz nauczyło go, że miłość bywa bolesna. Niemniej z Raquel czuł się jak z nikim do tej pory. Może to nie miłość, ale nie było to również ślepe egoistyczne pożądanie.

Przytulony do niej, uniósł głowę i oparł ją na wydmach jej piersi. Wsłuchiwał się w

przerazające bicie jej serca, cielesne jak dudnienie kamieni w uszach.

- Co to było? - spytała nagle.

- Co?

- Nic nie słyszałeś?

Podniósł się. Wokół panowała cisza.

- To tylko twoje serce - powiedział.

Ona jednak wyraźnie się zaniepokoiła. Uniosła się i badała wzrokiem nieprzenikniony mrok. Rulfo uczynił to samo. Pokój wyglądał jak przedtem: cichy, pogrążony w ciemnościach.

- Co słyszałaś?

- Nie wiem...

Kiedy ją przytulił, poczuł jej zimne, pokryte gęsią skórką ciało. Ponownie usłyszał bicie jej serca. Ale teraz nie wydobywało się ono z piersi dziewczyny.

stamtąd

Były to głuche rytmiczne odgłosy. Dochodziły z jadalni. Słuchali, zdjęci grozą, jak dudnienie zbliża się do nich. Bum, bum...

Nagle Rulfowi wydało się, że widzi coś niewiarygodnego.

stamtąd spokojnie

Serce Raquel, czerwone, olbrzymie, przeniknęło do sypialni, skacząc i pulsując, objijając się o nocną szafkę.

Piłka odbiła się jeszcze trzy razy. Potem się zatrzymała. Bezszelestnie jak nadchodząca śmierć,

stamtąd spokojnie, z cienia

wynurzyła się dziewczynka.

Stamtąd spokojnie, z cienia.

W tej samej podartej sukience. Z jej oczu emanowała delikatna poświata startych na miazgę świetlików.

- Nie patrz na nią. Odsuń od niej dziecko.

Raquel usłuchała, nie zadając żadnych pytań: zsunęła się z łóżka i otoczyła śpiące dziecko ramionami. Głowa dziewczynki obróciła się w ich kierunku, by po chwili powrócić do pierwotnej pozycji.

- Idźcie do łazienki - polecił Rulfo i sięgnął ręką do lampki na szafce nocnej.

Nareszcie mógł zobaczyć dokładnie to, co miał przed sobą.

Stojąca na progu sypialni dziewczynka tkwiła nieruchomo z oczami wlepionymi w jego oczy i rozciągniętymi szeroko wargami. Jej uśmiech i twarz były przerażająco piękne, ale Rulfo pomyślał, że tysiąc razy bardziej wolałby oglądać rozkładającego się trupa niż tę fałszywą maskę martwej lalki. Zdał sobie bowiem sprawę z czegoś, czego nie do końca był świadom przy ich poprzednim spotkaniu: to coś nie było dziewczynką.

Nie wiedział, czym to właściwie mogło być, ale nie było dziewczynką, nie było żadną ludzką istotą ani niczym, co by ją przypominało. Gdyby nie te niebieskie, puste, bezosobowe oczy, postać, jaką przyjęła, podobnie jak to czyni gaśienica na gałęzi, byłaby właściwie do zaakceptowania.

Oczy wyprowadzały z b ł ę d u.

- O dwunastej w nocy trzydziestego pierwszego października - oznajmiła dziewczynka bezbarwnym głosem, starannie wymawiając słowa. Potem podała adres: opuszczony magazyn znajdujący się przy jednej z bocznych dróg na obrzeżach Madrytu. - Tylko ty i dziewczyna. Z imaniem. Nikt nie może o tym wiedzieć.

Mówiła z niezmiernym spokojem, nie spuszczać z niego wzroku. Rulfo miał wrażenie, że oczy chcą jej wyskoczyć z orbit. Wyglądały jak źle osadzone ozdoby. Wypadną, pomyślał. Wyobraził sobie okropną scenę: jej gałki oczne roztrzaskujące się na podłodze - jak małe, szklane kule - po których zostają dwa oczodoły, dwa otwory, przez które dałoby się zgłębić czeluść jej mózgu (o ile ta r z e c z miała mózg). Może wtedy poczułby powiew tej okulistycznej nocy. Może owionęłoby go nieprzyjemne tchnienie jej spojrzenia.

Powoli ześlizgnął się z łóżka i stanął na nogi, próbując opanować drżenie. Dziewczynka przerażała go bardziej, niż był gotów przyznać, ale obecność Raquel i dziecka (przynajmniej poszła za jego radą i schowała się w łazience) dodawała mu odwagi.

- Posłuchaj uważnie... kimkolwiek jesteś... Przyjdę sam... Dziewczyna nie pójdzie... A kiedy oddam wam tę przeklętą figurkę... zostawicie nas w spokoju... Słyszysz? - Dziewczynka nie odpowiedziała; patrzyła na niego i uśmiechała się. - S ł y s z a ł a ś m n i e?

Poczuł, że nie jest w stanie wpatrywać się w te oczy ani chwili dłużej. Klnąc pod nosem, wyciągnął rękę w kierunku najbliższego przedmiotu: nocnej lampki.

Ale zanim zdołał ją podnieść, usta dziewczynki poruszyły się i nie przestając się uśmiechać, wyszeptały jakieś zdanie.

Słowa wypłynęły z lekkością gazy, choć zadziwiająco przejrzyste, obydwa „r” podkreślone leciutką wibracją, drugie „nie” przedłużone, a zaraz potem krótka przerwa.

Rulfo puścił lampę i upadł na podłogę. Runął w ciszy, jakby przyciągnięty jądrem Ziemi. Chciał się poruszyć, ale zeszywniały mu mięśnie, a właściwie całe ciało, nawet zmysły; bębunki skrzyły się jak pod wpływem gwałtownych zmian ciśnienia, zdrętwiały struny głosowe zamilkły, porażone oczy wysyłały do mózgu nieruchomy obraz bosych, dziecięcych stóp.

Mała przemówiła znowu: kolejnym melodyjnym wersem deklamowanym z nagłymi pauzami.

Nie kręty świder ziemi

Nie bezdroża, nie wertepy, nie kręty świder ziemi. Jakiś zakamarek jego przerażonego umysłu rozpoznał utwór: poemat Gongory.

Wtem jego ręce drgnęły, bez udziału jego woli. Najpierw wczepiła się w podłogę jedna, potem druga, w automatycznej, bolesnej pracy stawów, wlokąc jego sztywne ciało. Przestał walczyć o to, żeby się podnieść, i spróbował odzyskać kontrolę nad ramionami. Wydawało się jednak, że nie są im już potrzebne jego rozkazy. Były jak drewniane wiosła, którymi posługiwał się ktoś inny. Płytki posadzki raniły mu brzuch i genitalia, kiedy czołgał się z bezwładnymi nogami, jak insekt, któremu rozgnieciono tylne odnóża. Ręce zatrzymały się, kiedy jego głowa znalazła się w odległości pół metra od stóp małego intruza. Wtedy uniosły się jak ramiona dźwigu, rozchyliły palce i wczepiły się w jego własne włosy, i zaczęły je szarpać z dziką furją. Rulfo obawiał się, że kręgi szyjne zaraz mu pękną, z trzaskiem kruchego herbatnika. W karku czuł przeszywający ból. W trakcie tej niekończącej się, pionowej agonii jego oczy, nieruchomi pasażerowie, wznosiły się do góry jak winda, przesuając się stopniowo po goleniach, kolanach, szczupłych udach pod strzępami materiału, talii, medalionie w kształcie laurowego liścia, pelerynce, aby w końcu, po szarpnięciu, które kazało mu sądzić, że sam pozbawił się głowy,

spocząc na twarzy dziewczynki

patrzącej na niego z góry z niezmiennym uśmiechem.

- Na wypadek, gdybyś o tym jeszcze nie wiedział - wyszeptał łagodny beznamiętny głos - musimy ci coś wyjaśnić: dla nas jesteś psim gównem, Rulfo.

Ze sparaliżowanych ust Rulfa kapłała ślina. Ból kręgow był tak silny, jakby ktoś za pomocą młotka wbijał mu w kark śrubę. Pragnął stracić przytomność, bezskutecznie. Nie zdołał nawet zamknąć oczu: ciągnąc się za włosy, zmuszał się do patrzenia w górę, na tę pomalowaną twarz, na tę plastikową buzię uśmiechającą się ze słodyczą niedorozwiniętej madonny.

- Ona i ty, trzydziestego pierwszego października, o dwunastej w nocy, we wskazanym miejscu, z imagiem - powtórzyła dziewczynka jak automat. - Nikt nie może o tym wiedzieć.

Uniosła nogę, przekroczyła ciało Rulfa, wzięła piłkę, i odwróciwszy się, wtopiła w mrok.

Dopiero wtedy jego dłonie się rozwarły, głowa opadła na podłogę, a świadomość pogrążyła w ciemności.

Obudził się pod osłoną pościeli. Morze ognia wpadające przez okno uświadomiło mu, że jest południe. Usiłował się podnieść, ale powstrzymało go nagłe strzyknięcie w karku. Czuł się tak, jakby ktoś wyżywał jego mięśnie, próbując otrzymać jakiś tajemniczy sok. Jednak cudownym zrządzeniem losu kości wydawały się całe.

Jakiś cień w cielistym kolorze pojawił się w polu jego widzenia. Dziewczyna, wciąż naga, siedziała na łóżku i patrzyła na niego.

- W życiu nic mnie tak nie bolało, ale chyba mogę się ruszać.

Pokiwała głową.

- Użyły władczych słów. Chcą, żebyś wiedział, kto tu rządzi.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak dziwnie zabrzmiało to stwierdzenie. Pragnął się jedynie podnieść. Torturowały mnie poematem Gongory, przypomniał sobie. Nie mógł uwierzyć, że *Samotności*, pomnik barokowej poezji, czytany przez niego dziesiątki razy, zmieniły jego ciało w strzęp sterowany cudzą wolą.

- Co się potem stało? Nic nie pamiętam.

- Odeszła tak, jak przyszła. Kiedy zorientowałam się, że jesteś tylko nieprzytomny, zaniósłam cię do łóżka.

- Dziękuję - powiedział Rulfo z wdzięcznością.

Zebrał siły i udało mu się usiąść. Dziewczyna odsunęła się i skierowała do drzwi, jakby fakt, że się podniósł, był dowodem na to, że jej obecność nie jest już potrzebna. Spytał ją o syna.

- Je śniadanie - odparta.

Rulfo przetaił oczy, usuwając zaschniętą ropę. Ból karku zelżał. Wargi miał spierzchnięte. Jakby całą noc przeleżał z wysoką gorączką. Skręcił głowę i zobaczył, że odwrócona plecami dziewczyna zbiera z podłogi poduszki i pościel, w której spał chłopiec. Widok jej ciała jak zwykle sprawił mu radość: próbował się nim nacieszyć. Zauważył, że błyszczące, czarne jak smoła włosy opadły na jedną stronę i po raz pierwszy miał okazję

przyjrzeć się w świetle dziennym linii jej kręgow i symetrii pośladków w kolorze śmietany.

I przyciągającym uwagę okrągłym arabskom tatuazu nad kością ogonową.

- Nie powinniśmy iść na to spotkanie. To pułapka.

Podniósł wzrok znad filiżanki kawy i spojrzał na nią zaskoczony pewnością, z jaką mówiła.

- Zabiorą nam imago i zabiją nas. Ale nie zrobią tego szybko. Zabiją nas po swojemu.

Wszystko jej opowiedział, łącznie z teorią Cesara o sekcie i mocy poezji. Wtedy przypomniał sobie, co powiedziała mu chwilę przedtem, w łóżku.

- Wspomniałaś o władczych słowach. Skąd to wiesz, skoro ci o tym nie mówiłem?

- Śniło mi się - odparła po chwili wahania.

- Miałaś jeszcze jakieś sny?

- Tak.

Ograniczył się do patrzenia jej prosto w oczy. Raquel wytrzymała to spojrzenie ze spokojem. Zmieniła się, pomyślał Rulfo. Jest niemal inną kobietą.

Wrażenie to mogło wprowadzić częściowo w błąd i dobrze o tym wiedział. Dziewczyna nadal była sobą i w dalszym ciągu hipnotyzowała go imponującą urodą. Tyle tylko, że stała się jakaś obca. Była tu, mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej ciała, ale osoba, która kryła się pod tymi kształtami, w y c o f a ł a s i ę z p o w i e r z c h n i i ukryła w głębi. W pewnym sensie, dużo wyraźniej niż wczoraj, przypominała swojego syna: teraz u obojga dostrzegał ten sam przejaw wewnętrznej siły.

Siedzieli przy stole w jadalni, kończąc śniadanie. Chłopczyk bawił się żołnierzkami na kanapie, nie czyniąc żadnego hałasu, prawie nie gestykulując. W pokoju panował półmrok, rozjaśniony jedynie stojącą lampą, mimo że było już dość widno. Rulfo zasłonił okno na prośbę Raquel: chłopiec do tej pory nie przebywał co prawda w całkowitych ciemnościach, jednak jego oczy nadal były wrażliwe.

- Gdyby chciały nas zabić, dlaczego dotychczas tego nie zrobiły? Zapewniam cię: mnie mogły się pozbyć już wczoraj wieczorem: mam delikatny kark, sam się o tym przekonałem.

- Chcą odzyskać imago.

- Wiem. Tylko dlaczego nam go nie odbiorą?

- Nie mogą - odparła. - C o ś się zdarzyło, kiedy wyciągnęliśmy je z wody. Mogą je odzyskać tylko wtedy, kiedy oddamy je dobrowolnie.

- To również ci się przyśniło?

- Tak.

- Tutaj akurat się mylisz! Przeszukały moje mieszkanie. Chcą je ukraść.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie mogą go ukraść. Przeszukały twoje mieszkanie, ponieważ powiedziałam, że imago jest u ciebie. Wtedy tak myślałam. Chciały się tylko upewnić, że j e d n o z n a s jest w jego posiadaniu. Teraz już wiedzą. Dlatego chcą, żebyśmy przyszli na spotkanie i zwrócili je. Jeśli nie pójdziemy, nie będą go mogły odzyskać. Nawet gdyby je znalazły przypadkowo, nie będą mogły go wziąć. - Nagle ton jej głosu złagodniał. - Jestem pewna tego, co mówię. Nie pytaj, dlaczego, ale tak jest... Nie mogą wziąć imaga, dlatego pozostawiły nas przy życiu. Ale zabijają, jak tylko je oddamy.

To, co mówiła, brzmiało nielogicznie, lecz Rulfo wiedział, że to prawda. Ani przez moment nie wątpił w jej słowa i pomyślał, że owo przeświadczenie zrodziła w nim przede wszystkim szczerość przebijająca z jej głosu. Niemniej wnioski, jakie mu się nasuwały, nie były zgodne z oczekiwaniami dziewczyny. Postanowił jej to wyjaśnić.

- Zgadzam się, że nie powinnaś iść na to spotkanie: musisz uciec, ukryć się, choćby ze względu na niego. - Wskazał głową na chłopca. - Jeśli damy się złapać razem, żadne z nas nie będzie miało najmniejszej szansy. Ale jeśli pójdę sam i zwrócę im to, czego chcą... może o tobie zapomną...

- Nie zapomną - zaprzeczyła z absolutną pewnością. - Nalegały na to, nie rozumiesz? Chcą, żebyśmy przyszli o b o j e. Nie zamierzają pozostawić mnie przy życiu.

- W każdym razie będziesz miała możliwość...

- A ty?

Czyżby jej na mnie zależało?, pomyślał.

- Jestem pewny, że jeśli każe im wybierać pomiędzy figurką a moim życiem, będą ją chciały odzyskać, a mnie zostawią w spokoju.

Dziewczyna patrzyła na niego osobliwym pełnym spokoju wzrokiem.

- To absurd. Jeśli wciągną cię w grę, zginiesz, Salomonie. Dobrze o tym wiesz.

- Mamy jakieś inne wyjście, Raquel?

- Uciec razem - odpowiedziała tak cichym szeptem, że przez ułamek sekundy wydawało mu się, że to pocałunek. - Dokądkolwiek. Ukryć się. Może nas w końcu znajdą, ale nie będzie im łatwo... A jeśli figurka pozostanie w naszych rękach, nie odważą się zrobić nam krzywdy...

- Raquel... - Rulfo odetchnął głęboko, szukając właściwych słów. Chciał uniknąć sentymentalizmu, absurdalnych teorii o poświęcaniu się. Wiedział, że i tak by tego nie

zaakceptowała. Postanowił zachować rozsądek, nieubłaganą logikę. - Jak długo moglibyśmy tak żyć? - Ponownie wskazał na dziecko. Zdawało się również słuchać jego słów. - Jak długo o n mógłby tak żyć? Staniemy się dla nich celem zarówno wtedy, kiedy oboje pójdziemy na spotkanie, jak i wtedy, kiedy razem uciekniemy. Mamy szansę tylko wówczas, gdy się rozdzielimy. - Nagle zdał sobie sprawę z pewnego faktu: wygłaszał kolejną mowę pożegnalną. Przypomniawszy sobie chwilę, kiedy wysiadając z samochodu, spojrzał na Ballesterosa: niemal widział go siedzącego za kierownicą i słyszał, jak lekarz mówi mu, że dalej będzie musiał iść sam, zstąpić w głąb samotnie i samotnie wkroczyć w świat dziwów. Teraz jednak było inaczej i to upewniało go, że podjął właściwą decyzję: nie chodziło tylko o jego życie. - Musisz się ukryć na jakiś czas - kontynuował. - Nie zapominajmy o tym, co się stało z Patriciem. Być może nie znaleziono jeszcze jego zwłok, ale kiedy policja to zrobi, zacznie cię szukać. Mój dom nie jest odpowiednim miejscem. Pozostanie w Madrycie jest dla ciebie w ogóle niebezpieczne, tak więc trzeba się zastanowić... - Spojrzał w gwiazdną ciemność oczu dziewczyny. Ścisnął jej zimną gładką dłoń. - Do trzydziestego pierwszego października mamy jeszcze tydzień: przy odrobinie szczęścia wyjdę z tego z życiem i dołączę do was, jak już będzie po wszystkim.

Nie odpowiedziała, a on był jej wdzięczny za milczenie. Patrzył, jak podnosi się i kieruje ku sypialni, nadal ubrana w niepasujący na nią szlafrok. Wstał i poszedł za nią. Leżała na łóżku.

- Chcę spać - powiedziała.

- Doskonale.

Z oparcia krzesła zdjął marynarkę i wyszedł, zamykając drzwi. Upewnił się, czy imago nadal znajduje się w kieszeni. Pomyślał, że teraz musi go dobrze strzec.

Aż do dnia spotkania.

Kiedy Raquel spała, Rulfo podszedł do dziecka i pogłodził je po głowie. Mały nawet nie drgnął: siedział ze skrzyżowanymi nóżkami na kanapie i w półmroku jadalni przyglądał się żołnierzom rozrzuconym na poduszce.

- Nie lubisz mówić za dużo, prawda?

- Nie - przyznał chłopiec.

Z jego głosu, niezwykle przejrzystego, przebijała ta sama pewność siebie, co ze spojrzenia. Nie podniósł głowy, żeby odpowiedzieć, nadal skupiony na swoich figurkach. Patrząc na jego bladą twarz z bliska, Rulfo pomyślał, że może mieć anemię. Usiadł obok niego i się uśmiechnął.

- Wiesz, co? Myślę, że jesteś mądrym chłopcem...

Jego mały rozmówca puścił tę uwagę mimo uszu. Zareagował jedynie lekkim drżeniem powiek, jakby Rulfo nic nie powiedział, tylko dmuchnął mu dymem w twarz. Pochłonięty był układaniem żołnierzyków w szeregu. Potem palcami przesunął po głowach figurek, jakby próbował je policzyć, Rulfo nie sądził jednak, żeby potrafił to robić. Jego palce, o zbyt długich, brudnych paznokciach, zatrzymały się na ostatniej. Podniósł ją i odwrócił się do Rulfa.

- Ta jest najgorsza - powiedział.

- Najgorsza?

Chłopiec przytaknął:

- Najgorsza ze wszystkich.

Na jego nieskończenie smutnej twarzy zagościł teraz cień strachu. Z początku Rulfo nie zrozumiał, co miał na myśli. Policzył figurki: było ich dwanaście. Chłopiec trzymał w dłoni ostatnią... Saga? Ta, która Wie?

- Chcesz powiedzieć, że ta jest najbardziej groźna?

Kiwnięcie głową.

- Masz na myśli damy?

Chłopiec milczał.

- Znasz je, Laslo? Znasz damy?

Na to pytanie również nie otrzymał odpowiedzi.

- Jednej brakuje - oświadczył po chwili chłopiec.

Rulfa przeszył dreszcz. Numer trzynaście.

Przypomniał sobie, co César mówił o austriackim profesorze i jak obstawał przy tym, żeby mu opowiadać o tej właśnie damie. „Tej najważniejszej, której imienia nigdy się nie wspomina”. Nie wiedział, czy daje się ponieść absurdalnemu fantazjowaniu wywołanemu przez niezborny język dziecka, ale czuł, że to właściwa droga (absurdalnego fantazjowania), żeby poznać prawdę. Postanowił zebrać się na odwagę i zadać mu pytanie, które wciąż go dręczyło.

- Gdzie ona jest, Laslo? Gdzie jest ta z numerem trzynastym?

Chłopiec skierował wzrok na żołnierzy.

- Nie wiem - powiedział.

Motel znajdował się przy bocznej drodze, w prowincji Toledo. Wybrał go bez żadnego konkretnego powodu; może dlatego, że nie był położony ani zbyt blisko, ani zbyt daleko od

Madrytu. Dwupiętrowy budynek - z czerwonej cegły, z oknami w białych ramach - wyglądał dość nowocześnie. Posiadał maleńką restaurację na parterze, skromny parking, a co najważniejsze: odpowiednią liczbę pokoi, ani zbyt dużą, ani zbyt małą, jeśli oceniać po zaparkowanych samochodach. Rulfo zameldował się pod swoim nazwiskiem i wręczył dowód osobisty tęgiej kobiecie w wyzywającym niebieskim kostiumie. Dali mu przestronny pokój z małżeńskim łóżkiem i przystawką. Upewnił się, że pomieszczenie jest wygodne i czyste, po czym zwrócił się do nich:

- Będzie wam tu dobrze.

Trudno było ich rozpoznać w nowych ubraniach, które kupił im tego dnia rano. On sam zrezygnował ze swojego codziennego stroju i włożył skórzaną kurtkę i dżinsową koszulę. Chciał, żeby wyglądali na rodzinę, zatrzymującą się w trakcie podróży celem zregenerowania sił. Z tego powodu czekali do zmierzchu, żeby się tu zjawić.

Noc spędzili razem. I chociaż wydawało mu się to niemożliwe (wiedział przecież, że na drugi dzień rozstaną się, być może definitywnie, co napawało go lekkim rozgoryczeniem), zapadł w głęboki sen. Obudził się o świcie, poczekał, aż dziewczyna wstanie, i wręczył jej kopertę z gotówką. Włożył do niej prawie wszystko, co przechowywał w domu, i dużą część tego, co znajdowało się na jego koncie. Jak na skąpe oszczędności bezrobotnego była to rażąca rozrzutność, ale wiedział, że dla Raquel pieniądze są absolutnie niezbędne do przeżycia.

- Postaraj się zachowywać naturalnie - poradził. - Chodź na spacer, nie przesiaduj całymi dniami w pokoju... Możesz poprosić, żeby przynosili ci posiłki na górę. Postaram się wpaść do was w tygodniu, choć sądzę, że byłoby lepiej, gdybyśmy się nie spotykali. Masz mój numer, więc zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

- Dobrze - szepnęła. Zmusiła się do uśmiechu, który zgasł prawie natychmiast, jakby jej wargi potrafiły mrugać. - Dziękuję za wszystko.

Rulfo już szedł, żeby ją pocałować, ale zatrzymał się w połowie drogi, obserwując przez chwilę nieokreślone cienie, jakieś nowe smugi ciemności zasnuwające jej spojrzenie: każdego dnia zmieniała się bardziej, oddalała od Raquel, jaką znał. Trudno mu było określić, czy była to korzystna zmiana. Z jednej strony wydawała się silniejsza, z drugiej zaś wyglądała na bardziej wystraszoną niż kiedykolwiek: jakby zamieniła swój spokój na żelazny, zdecydowany charakter.

Stwierdziwszy, że dziecko nie śpi, nachylił się ku niemu.

- Dbaj o mamusię. Wiem, że jesteś bardzo dzielny.

Odpowiedź go poraziła.

- Ona nie jest moją mamą.

Zapatrzył się w te oczy bez wyrazu, śledzące go z mroku.

- Słucham?

- Nie jest moją mamą - powtórzył chłopiec.

Instynktownie Rulfo odwrócił się do Raquel. Stała w drugim końcu pokoju, pochylona, chowając pieniądze do torby, w której trzymała część ubrań. Chyba ich nie słyszała.

- Nie jest twoją mamą? - wyszeptał Rulfo.

Chłopiec pokręcił głową. A potem dodał:

- Trochę jest, ale nie cała.

Rulfo zmarszczył brwi i spojrzał jeszcze raz na dziewczynę, która nadal stała w tej samej pozycji. Zebrała włosy, więc tatuaż nad kością ogonową był doskonale widoczny. Zdał sobie sprawę, że zupełnie zapomniał o tatuażu. Nagle coś przykuło jego uwagę. Podszedł do niej niezauważenie i pochylił się. Stwierdził, że to, co początkowo wziął za okrąg wypełniony arabeskami, było rozłożonym geometrycznie rzędem zwartych angielskich słów. Udało mu się je odszyfrować, zanim się odwróciła. *A sepal, a petal, and a thorn.* „Listek, płatek i kolec”.

N i e c a ł a.

- Kiedy to wytatuowałaś? - spytał.

- Co?

- Napis na plecach. Kiedy go zrobiłaś?

Dziewczyna wyprostowała się, zdumiona. Jej twarz wyrażała zaskoczenie.

- Nie pamiętam. - To prawda. Nie wiedziała nawet, że ma na ciele tatuaż. Podobnie jak wiele innych rzeczy, których ostatnio się o sobie dowiadywała, pozostawało to dla niej tajemnicą. - To było dawno temu...

Pożegnali się. Rulfo opuścił motel, upewniwszy się, że w recepcji siedzi inna kobieta, nie ta, która przyjmowała go wieczorem. W czasie drogi do Madrytu rozmyślał nad tym, co powiedział chłopiec. I nad tatuażem. Ustalenie pochodzenia słów, po powrocie do domu, zajęło mu zaledwie kilka minut.

Był to pierwszy wiersz poematu Emily Dickinson.

Nadszedł piątek, nic się nie wydarzyło. Kupował gazety i codziennie oglądał dzienniki w telewizji regionalnej, i każdego dnia myślał, że tym razem podadzą jakąś informację. Ale nic się nie działo. Z jednej strony cieszyła go ta zaskakująca cisza, z drugiej jednak nie bardzo

mu się to wszystko podobało. Tłumaczył sobie, że skoro Patricio prowadził nielegalny interes, jego kumple ze zrozumiałych względów nie stawiają się ochoczo na policji, żeby zgłosić jego zniknięcie. Ale czy to możliwe, żeby po czterech dniach nikt nie zauważył jego nieobecności? I żeby nikt nie znalazł jego zwłok?

Usiadł na chwilę w jadalni, zastanawiając się, co robić. Do trzydziestego pierwszego października pozostały cztery dni i to oczekiwanie irytowało go bardziej niż wszystko, co przeżył podczas ostatniego weekendu. Pomyślał, że nie wykorzystał należycie czasu: ograniczył się do wegetacji i dzwonienia do Raquel, by się upewnić, że ona i dziecko czują się dobrze. Termin spotkania się zbliżał, a on nadal nie wiedział, co robić. Poczł gwałtowny przyływ gniewu i walnął pięściami w stół. Postanowił jeszcze raz skontaktować się z Raquel, choćby po to, żeby z nią porozmawiać. Wtedy zadzwonił telefon, jakby był wzmowie z jego pragnieniami:

- Salomonie... Jesteś dziś wolny? - Rulfo rozczarowany przymknął oczy, ale w tym samym momencie César dodał: - Spotkaj się ze mną jak najszybciej, jeśli tylko możesz. Zlokalizowałem Rauschena.

Rauschen. Austriacki profesor, jedyne źródło informacji na temat sekty, jakim dysponowali.

Trzeba koniecznie porozmawiać z Rauschenem.

VII. RAUSCHEN

Spadali w ciemność. Z powodu tajemniczej paralaksy ziemia - masywna, zbita - wydawała się bardzo bliska. Samolot przebił ją bezdźwięcznie... była to bowiem jedynie warstwa burzowych chmur.

- Jeśli postanowisz kiedyś zniknąć, nie pozostawiwszy po sobie śladu, odradzam ci stanowisko wykładowcy uniwersyteckiego... My, profesorowie, jesteśmy najlepszymi szpiegami na świecie, przynajmniej jeśli chodzi o naszych kolegów: wiemy o nich prawie wszystko, a to, czego nie wiemy, zwykle sobie dopowiadamy...

Zgodnie ze swoim zwyczajem, najważniejsze szczegóły zostawiał na koniec. W samolocie, złapanym naprędce w piątkowe południe, dawkował Rulfowi informacje dotyczące poszukiwań Rauschena. Podniesienie kurtyny odsłaniającej ostatnie niespodzianki zbiegło się z lądowaniem w Barcelonie.

- Znajomi Rauschena wiedzieli dużo, a dopowiadali sobie jeszcze więcej... Niestety, niektóre elementy nadal są niejasne. Zreasumuję pokrótce: Rauschen porzucił pracę na uniwersytecie przed dwunastu laty, żeby poświęcić się... Czemu? Uczestniczeniu w kongresach podobnych do tego w Madrycie. Przenosił się z miejsca na miejsce. Najwyraźniej nawykł do zrywania z przeszłością i zaczynania wszystkiego od początku: do trzydziestego roku życia pracował jako profesor zwyczajny na Wydziale Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Wiedeńskiego, ale rzucił to i wyjechał na sześć lat do Paryża. Potem przeniósł się do Berlina, gdzie ponownie otrzymał stanowisko wykładowcy. Ni stąd, ni zowąd popadł w głęboką depresję, czy coś w tym stylu, poszedł na zwolnienie i zrezygnował ostatecznie z kariery w szkolnictwie. Tak zaczęła się jego wędrówka po kongresach w całej Europie, jednocześnie... zwróć uwagę... interesował się miejscem pobytu studentów i wykładowców z różnych uniwersytetów niemieckich i zbierał o nich informacje. Tak, tak, informacje: adresy, krótkie życiorysy... Nikt nie wie, po co. Pięć lat temu przyjechał do Madrytu i rozmawiał ze mną. Pamiętasz... mówił, że chciałby zamieszkać w naszym kraju... Otóż kłamał: już wtedy tu

mieszkał. Kupił dom w Barcelonie, w Sarria, i zajął się... Zgadnij! - Popatrzył na Rulfa sponad niebieskich okularów. - Wyciąganiem informacji na różnych wydziałach uniwersytetów hiszpańskich, zwłaszcza na naszym.

- Jakiego rodzaju informacji?

- Takich samych, jakie zbierał na uniwersytetach niemieckich... Życiorysy profesorów i studentów... Jego działalność była oczywiście tajna, ale miałem szczęście, mogąc liczyć na nieopisaną pomoc mojej byłej sekretarki Montse, dla której nie ma nic tajnego na tym świecie. Ta dobra kobieta ma niezwykle dar plotkowania. Pamiętała doskonale Rauschena, sama przekazała mu wiele danych. Jako wymówkę podawał domniemane stypendia, w ogóle nieistniejące. Sprawdzał nawet mnie! Dysponował wtyczką na Complutense w osobie mojego starego przyjaciela. Domyśliłem się, o kogo mogło chodzić, przycisnąłem go. Podał mi aktualny adres Rauschena, nie znał jednak przyczyny jego zainteresowania profesorami i studentami. Rauschen zachowywał się, jakby kogoś szukał. Poświęcił na to dziwne zajęcie kilka miesięcy.

- A potem?

- Potem miał miejsce kongres na temat Gongory, na którym rozmawiał ze mną... a potem nic więcej już nie robił. - César westchnął z miną magika, który najlepszą sztukę chowa w kapeluszu na sam koniec. - Herbert Rauschen zapadł w śpiączkę pięć lat temu, dlatego nigdy więcej do mnie nie zadzwonił. Opiekuje się nim zespół pielęgniarzy w jego własnym domu.

Dom był duży, miał białe ściany i przeciekający dach. I najwyraźniej jego właściciel nie miał skłonności do zadęcia: zwykła metalowa brama umożliwiała mu dostęp do drzwi ze złożoną kołatką i dzwonkiem, który po naciśnięciu rozbrzmiał słodko, sprowadzając korpulentnego asystenta w białym uniformie strażnika. Goście powołali się na wieloletnią przyjaźń i zażyczyli sobie zobaczyć chorego. Przyjrząwszy się im dokładnie, mężczyzna oddalił się. Wrócił po chwili, może nieco zbyt długiej.

- Mogą panowie wejść.

Znaleźli się w minimalistycznym wnętrzu, w którym oryginalne ozdoby robiły spektakularne wrażenie: fuksje na chińskiej wazie, kryształki sfalerytu w pojemniczku na ser, obrazy przedstawiające nagie postacie w maskach... Sypialnia Rauschena znajdowała się na parterze, w połowie korytarza. Kiedy tam weszli, młoda pielęgniarzka w nienagannym białym fartuchu zdjęła z krzesła stopy w sportowym obuwiu. Przeglądała jakieś czasopismo. Miała jasne włosy i atrakcyjny wygląd, ale jej wzrok był, w pewnym sensie, nie mniej przenikliwy

niż wzrok strażnika.

- Pan Rauschen nie rusza się ani nie mówi od lat - oświadczyła z silnym obcym akcentem. Rulfo pomyślał, że powiedziała to, żeby dać im do zrozumienia, że chociaż nie sprzeciwia się wizycie, nie ma ona jej zdaniem większego sensu.

- Nie zabawimy długo - zapewnił ją César i podszedł do łóżka.

Posągowy Herbert Rauschen wystawiał się na spojrzenia z przerażającą potulnością właściwą psom i umierającym. Prześcieradło okrywało go po same piersi. Pergaminowa, zwiedła skóra przybrała barwę zadziwiającej bieli podbrzusza jaszczurek, ale jego rysy zachowały wspomnienie silnego mężczyzny o magnetycznej osobowości. Hełm z przewodów nasadzony na jego czoło łączył się z aparatem, który wydawał się wyłączony.

- Biedny człowiek. - César obszedł łóżko i pochylił się nad Rauschenem. - Mam nadzieję, że w nocy ktoś się nim opiekuje...

- Przychodzi druga pielęgniarka - odpowiedziała kobieta.

Sauceda ujął Rauschena za rękę - szczupłą i sztywną - i wygłosił krótkie, wruszające przemówienie upstrzone serdecznymi słowami. Potem wydobyl chusteczkę i przepraszając uprzejmie, wydmuchał nos, po czym dodał, że potrzeby fizjologiczne dają o sobie znać, a na lotnisku nie miał na to czasu. Czy byłby to duży kłopot...? Pielęgniarka zwróciła się do strażnika:

- Proszę zaprowadzić pana do łazienki.

- Bardzo dziękuję. - César się zarumienił.

Kiedy strażnik wrócił do pokoju, Rulfo wskazał na aparat, do którego wiodły przewody.

- Przepraszam, chyba zabrzączał. Słyszeli państwo?

Pielęgniarka i strażnik wymienili spojrzenia.

- Ekran da sygnał jedynie w przypadku, gdy w stanie pana Rauschena nastąpi jakaś zmiana - wyjaśniła pielęgniarka.

- Przed chwilą słyszałem jakieś brzęczenie.

- To niemożliwe.

- Może się mylę, przepraszam.

Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić. Nawet wzięwszy pod uwagę, że César Saucedo jest starszą osobą, jego nieobecność trwała stanowczo za długo. Zauważył, że strażnik zaczyna zerkać w stronę drzwi.

Jednak, ku wielkiej uldze Rulfa, César niebawem wrócił. Idąc, wycierał szkła okularów.

- Nie będziemy państwu dłużej przeszkadzać. Czas na nas.

Kiedy wychodzili z domu, już nie padało. Jego były profesor wydawał się uszczęśliwiony. Numer z łazienką zaplanowali przed przyjazdem, a rezultaty najwyraźniej musiały być pozytywne.

- Zdołałem znaleźć tylne drzwi. Wychodzą na mały ogródek, do którego można się dostać z ulicy. Były zamknięte tylko na skobel. Wyjąłem go. Jeśli nasi przyjaciele nie są zbyt przezorni, nawet tego nie zauważą. Będziemy mogli wejść do domu. Narazisz się na ryzyko, że zostaniesz złapany w trakcie nocnego przeszukiwania biblioteki pana Rauschena?

- Po to tu przyjechaliśmy - odpowiedział Rulfo.

- Teraz pójdziemy coś zjeść, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Potem poczekamy na drugą zmianę... Może strażnika nikt nie zastępuje, a wtedy jedynym zmartwieniem będzie nowa pielęgniarka...

Stali pod gołym niebem przez kilka godzin. Na szczęście nie padało. César był jakiś nadąsany i nie przestawał chodzić tam i z powrotem. Rulfo wołał odpocząć: wyszukał niski murek i oparł plecy o ścianę jednego z domów. Kierowcy samochodów i przechodnie mijali ich, nie zwracając na nich uwagi. Wraz z zapadnięciem wieczoru okolica opustoszała. Nadal było dość ciepło. Zmieniali się podczas obserwacji. Kiedy Rulfo odpoczywał po raz kolejny, usłyszał głos Cesara:

- Salomonie...

Z początku było to dla niego zabawą, teraz stało się emocjonującą przygodą, pomyślał, widząc swojego dawnego profesora dającego mu znaki, żeby się wychylił. Przed domem zatrzymał się ciemny samochód. Główne wejście otworzyło się i ukazały się w nim dwa cienie. Wybuchnęły śmiechem. W świetle lamp pod płaszczami można było dojrzeć uniformy pielęgniarki i strażnika.

- Co to ma znaczyć? A zmienniczka? - wyszeptał César. Kobieta i mężczyzna wsiedli do samochodu. Sądząc po ich śmiechu, musieli być pijani. Rulfowi nie przypadło to do gustu. Przypomniał sobie nagle wzrok pielęgniarki, zimny jak płyn wypełniający dwa małe lodowate akwaria, i identyczny wzrok strażnika: oba spojrzenia przenikające go na wylot. Nie podobało mu się to.

Samochód odjechał. Dom pogrążył się w ciemnościach. Wiatr o zapachu morza uczesał liście drzew przy wejściu.

- Nie przyszła - oznajmił César. - To nam ułatwia sprawę.

Rulfo nie był tego pewny, ale nic nie powiedział.

Plan, mimo wszystko, sprawdził się doskonale. Okrążyli dom i były uczeń skorzystał z gałęzi niskiego drzewa, żeby przedostać się przez ogrodzenie i wciągnąć byłego profesora. Skutki wieloletniego siedzącego trybu życia przytłoczyły swym ciężarem Saucedę, ale jego entuzjazm wystarczył, by pokonać niewielkie trudności, którym nie zdołały zaradzić silne mięśnie Rulfa. Kiedy zeskoczył do ogrodu, prawie wybuchnął śmiechem, stwierdziwszy, że nie poniósł żadnego szwanku. Dotarli do tylnych drzwi.

- Eureka - powiedział César, otwierając je z cichym kliknięciem.

Zanurzyli się w ciemność. César pamiętał dobrze kierunek i zaproponował, żeby nie zapalać światła, dopóki nie będzie to absolutnie niezbędne.

- Przede wszystkim musimy obejrzeć ciało Rauschena. - A kiedy Rulfo spojrział na niego ze zdziwieniem, César dodał: - Pamiętasz torturowanie chłopca, przy którym był obecny Milton?

Nagle Rulfo zrozumiał, o czym mówi César. Dziwił się nawet, że sam na to nie wpadł. Stary profesor mógł być w nie najlepszej formie, lecz trzeba było przyznać, że jego umysł pracował z dawną błyskotliwością.

Szli długim korytarzem, zbliżając się do pokoju chorego. Jednak César zatrzymał się nieco wcześniej, przed jakimiś drzwiami.

- Poczekaj. Chcę ci coś pokazać.

Ustąpiły pod lekkim pchnięciem, bez najmniejszego hałasu, w mrugającym świetle zapalających się automatycznie plafonów na suficie. Zobaczyli mały pokój bez okien, o gołych, pobielonych wapnem ścianach. Rulfowi przypominał on błękitny pokój Lidii Garetti - z tym że nie było w nim niebieskich zasłon ani dywanów, a prawie całą powierzchnię podłogi zajmował rodzaj okrągłego basenu czy wanny. Wyglądało to na pozbawione kranów jacuzzi o niskich ściankach, wyposażone w duży, okratowany otwór znajdujący się pośrodku. Panowało przenikliwe zimno.

- Co ty na to? Odkryłem je przypadkowo dzisiaj po południu. To stosunkowo nowe urządzenie.

Rulfo przyświadczył. Wydawało się zbyt cichym i znacznie późniejszym dodatkiem, jakby usunięto ściankę działową i zaburzono symetrię domu tylko po to, żeby zaprojektować to pomieszczenie, przeznaczone do Bóg wie czego. Wielka krata na dnie z odpływem ginącym w ciemnościach budziła niepokój. César zamknął drzwi. Światło zgasło.

Zanim weszli do pokoju Rauschena, upewnili się, że oprócz chorego nikogo w nim nie ma. Pomieszczenie wyglądało tak samo jak poprzednio. Nawet cisza, głęboka, cmentarna, nie różniła się niczym od tej, jaka panowała podczas wcześniejszej wizyty. Ale kiedy César

zapalił jedyne światło (lampkę na szafce nocnej), mogli stwierdzić z osłupieniem, jak bardzo się mylili.

N i c nie było takie samo.

- Boże mój - wyszeptał Rulfo.

Przez chwilę żaden z nich nie zbliżał się do łóżka. Ograniczyli się do patrzenia szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma, próbując znaleźć w tym jakiś sens.

Ciało Rauschena było odkryte, koszula podwinięta na wysokość lędźwi. Cienką rurkę kroplówki usunięto z jego przedramienia, kable i przewody spowijające głowę - również.

Jednak chociaż wiele narzędzi odłączono, d o d a n o ich znacznie więcej.

Nożyczki, lancety o różnych kształtach i rozmiarach wgrzyzały się w jego chude nogi. Golenie zostały wielokrotnie przewiercone. Oprawca użył z pewnością małej wiertarki leżącej teraz na podłodze. Ten, kto dopuścił się tego bestialstwa, zagłębił w otworach liczne gwoździe, przeborował też w wielu miejscach kolana. Ale najgorsze było krocze: zadziwiający miszmasz chirurgicznych narzędzi - wepchniętych na siłę w cewkę moczową i odbył - sterczał z monstrualnie spuchniętych i poszarpanych zwieraczy jak metalowa wiązanka. To, czego nie udało się okaleczyć, przypalono. Nadpalone zapalki i papierosy leżały porozrzucane na łóżku jak niemi świadkowie. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystko przebiegło ze złowieszczą opieszałością, niemal ze spokojem: nie były to raptownie zadawane rany, tylko powolna, sadystyczna gra, inwersyjne puzzle wykonane z bezbronnego ciała.

Pielęgniarka. Strażnik. Ich uważne spojrzenia. Śmiech.

Rulfo, nachyliwszy się nad twarzą starca, cofnął się z grymasem. Poczuł, że żołądek staje się najważniejszą częścią jego trzewi, dużo ważniejszą niż jego mózg niezdolny do myślenia.

- Chyba... obcięli mu język.

Nagle poczuł, że będzie wymiotował. Zrobiło mu się zimno, dłonie miał mokre od potu. Spojrzał na Cesara i stwierdził, że i on nie jest w lepszym stanie.

- Wyjdźmy na chwilę - zaproponował Saucedo. Miał woskową twarz. W korytarzu poradził: - Odetchnijmy głęboko kilka razy. Czasem to skutkuje.

Tak uczynili. Pozbawiony widoku Rauschena, w stosunkowo „odmiennej” atmosferze panującej na korytarzu, Rulfo poczuł, że mdłości ustępują. Kręciło mu się w głowie. Odczuwał silną potrzebę napicia się czegoś, choćby tylko wody, ale za whisky oddałby wszystko.

- Musimy sprawdzić jeszcze jedną rzecz. - César nabrał powietrza i wypuścił je wolno, jakby wykonywał ściśle polecenia instruktora gimnastyki.

Ponownie stawili czoło potwornemu widokowi. César podciągnął koszulę Rauschena, odkrywając jego brzuch. Ponad lędźwiami ślady dręczenia zanikały, ale pojawiło się coś innego.

- Jest - powiedział dziwnym głosem.

Wiersz przycupnął wokół pępka, otaczając go podwójną spiralą. Wypisany był czarnym, jeszcze mokrym tuszem, małymi wersalikami, niewyrobnym, lecz czytelnym pismem.

MIXT WITH TARTAREAN SULPHUR AND STRANGE FIRE.

- Milton - oznajmił César. - *Raj zaginiony*, dzieło zainspirowane przez Herberię. Co za straszliwa ironia! Od czasu do czasu muszą poprawiać napis, farba jest świeża... To właśnie ta filakteria wywołała u niego stan śpiączki... - Pochylił się i przyłożył ucho do piersi Rauschena. - Nic. Jest martwy. Wszystko było bujną: opieka medyczna, „pielęgniarka” nocna... To sekciarze, bez wątpienia... Dzisiaj postanowili go zlikwidować, ale najpierw nieźle się z nim zabawili... - Westchnął i odsunął się od zwłok. - Przynajmniej biedny Rauschen spoczywa nareszcie w pokoju... o ile istnieje cokolwiek, co można określić „pokojem” w świecie, w którym poezja stała się formą tortury - dodał ponuro.

Rulfo, przyjrzawszy się udręczonemu ciału austriackiego profesora, odwrócił się do Cesara.

- Poszukajmy tej biblioteki.

Trzeba znaleźć sposób, żeby ich powstrzymać, myślał. Sposób na zniszczenie sekty dam. Był przekonany, że Rauschen go znał. I drogo za to zapłacił.

Znaleźli ją na drugim piętrze. Biblioteka pełniła również funkcję gabinetu. Po upewnieniu się, że zasłony są zasunięte, zapalili lampę na biurku. Półki pełne książek, popiersie Rauschena i komputer przyciągnęły ich uwagę. César usiadł przed komputerem, uruchomił go i wyjął przyniesioną z sobą czystą płytę kompaktową.

- Doskonale - powiedział, obejrzawszy urządzenie. - Ma nagrywarkę. - Zaczął pisać. - Nie spodziewam się cudów, pewnie usunęli to, co najważniejsze, potrzebuję jednak trochę czasu, żeby się o tym przekonać...

Rulfo tymczasem rzucił okiem na książki. Były to przede wszystkim dzieła wielkich poetów, jak w domu Lidii Garetti. A także eseje z dziedziny teorii literatury. Nic osobliwego, nic, co choćby z daleka pachniało czarami. Ale przecież to nic innego jak czary, pomyślał

nagle, czytając kolejne nazwiska: Goethe, Hölderlin, Valéry, Mallarmé, Alberti, Propercjusz, Machado... Natknął się na wersję *Samotności* i poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu policzek. Szukał nadal. Nie znalazł ani jednego egzemplarza *Poetów i ich dam*.

Zostawił Cesara przy komputerze i poszedł sprawdzić pozostałą część górnego piętra: sypialnię, łazienkę, pokój gościnny... Prawie wcale nie było w nich ubrań ani przedmiotów osobistych, jakby Rauschen postanowił się tu sprowadzić tylko ze swoimi książkami i tym, co miał na sobie. Potem udał się na parter. Chciał obejrzeć cały dom. Przeszedł przez pogrążoną w ciszy jadalnię i skierował się do pokoju Rauschena. Ale zanim do niego dotarł, stanął jak wryty.

Lampka była włączona. A przecież pamiętał, że César ją wyłączył, kiedy wychodzili. Był p r a w i e pewny.

Nie. Mylił się. Zastanowił się i przypomniał sobie, że zapomnieli ją zgasić. Światło się paliło, ponieważ sami zostawili je włączone. Po prostu widok tego torturowanego ciała wyprowadzał go z równowagi. Nigdy nie widział nieboszczyka w takim stanie. Postanowił się uspokoić... To tylko nieżywy człowiek. Poza tym nie wejdiesz tam, sprawdzisz jedynie pozostałe pokoje... Odetchnął głęboko i ruszył dalej. Przechodząc obok pokoju, zapuścił do środka ukradkowe spojrzenie.

Herbert Rauschen siedział na łóżku ze spuszczone nogami.

Rulfo zdusił krzyk i odskoczył do tyłu, aż zatrzymała go ściana korytarza. Pod wpływem przerażenia skamieniał naprzeciw wejścia do pokoju, niezdolny do niczego poza patrzeniem.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że miał absolutną pewność, że siedzący Rauschen jest martwy: nożyczki, lancety i gwoździe nadal inkrustowały jego nogi i genitalia, otwarte usta ziały pustką, a oczy były zamknięte. Na jego cienkiej szyi mógł nawet zauważyć zgrubienie od na wpół połkniętego języka. Z jego przerażających ran nie ciekła krew. Był martwy.

A jednak wyciągnął chude jak patyk ramię i oparłszy się o nocną szafkę, wstał.

Przez chwilę zachowywał się jak małe dziecko, które nie w pełni opanowało jeszcze sztukę chodzenia. Zrobił krok, potem drugi, w prostej linii, w kierunku drzwi, jakby poruszał się wbrew swojej woli, przyciągany jakąś potężną siłą. Oczy nadal miał zamknięte, a głowa kołysała mu się na ramionach, niczym u zepsutej kukły. Narzędzia wbite w jego nogi wydawały przy każdym ruchu osobliwy brzęk wiszących ozdób.

Rulfo, który tkwił w miejscu nieruchomo jak żywa zaporą, nie był w stanie się odsunąć, kiedy staruszek się do niego zbliżył. Wtedy Rauschen otworzył oczy

drzwi

i spojrzął na Rulfa.

- Pozwól mu przejść - wybełkotał jakiś głos dobiegający z nieskończoności. Był to głos Cesara. Saucedo zszedł z góry przed chwilą i przyglądał się tej scenie z przerażeniem. - Nie dotykaj go! Przepuść go!

Rulfo cofnął się automatycznie, prawie nieświadomie, przekonany, że zapadł na niego wyrok. Ponieważ spojrzenie skierowane nań przez to martwe oblicze na zawsze już pozostanie - zrozumiał to w tej właśnie chwili - jedną z negowanych przez logikę i język tajemnic (on żyje), przechowywanych bezużytecznie w pamięci przez całe życie (Boże, on żyje, żyje). Tajemnic, które nigdy nie będą wyjawione, wyrażone ani nawet wspomniane w świadomy sposób.

Wyrok zapadł, wiedział to: posiadał bowiem sekret.

Ciało Rauschena przeszło obok niego z powolnością rodzącego się dziecka i kontynuowało swoją przerażającą pielgrzymkę.

Nagle zrozumieli, dokąd podąża.

drzwi zamknęły się

Poszli za nim jak akolici uczestniczący w dziwnym obrzędku, którego jedynym kapłanem był Rauschen. Wreszcie zobaczyli, jak zatrzymuje się przed tajemniczym pokojem i otwiera drzwi. Światła na suficie zapaliły się. Rauschen wszedł do środka.

Drzwi zamknęły się cicho.

Panująca wokół cisza wydała im się dużo gorsza niż wszystko to, co do tej pory przeszli. César, blady jak śnieg na cmentarzu, postąpił dwa kroki w kierunku drzwi. Jednak Rulfo go powstrzymał.

Radzę dalej - Poczekaj, nie...
nie patrzeć, signor Milton.

Jego były profesor wybełkotał coś w odpowiedzi, coś, co choćby nie wiem jak dziwnie zabrzmiało, nie miało nic wspólnego z Rauschenem, tylko z poezją. Potem gwałtownym ruchem odsunął z drogi Rulfa, podszedł do drzwi i pchnął je. Rulfo podejrzewał, że to nie los Rauschena interesował teraz Cesara: chciał z s t ą p i ć, zajrzeć w głąb przepaści (przepaści, o której sam wspominał), a może nawet rzucić się głową w dół.

otchłań

Nagle ujrzał, jak zatrzymuje się i zagląda do wnętrza oświetlonego pokoju, podnosząc jednocześnie dłoń do ust, żeby zdusić krzyk lub mdłości, i wiedział, że to, co dzieje się teraz z Herbertem Rauschenem (którego przenikliwe milczenie było dla niego trudniejsze do zniesienia niż widok jego ożywionych zwłok), jest kolejną formą umierania. Uświadomił sobie również, że jakkolwiek próba uniknięcia widoku tej sceny będzie w jego przypadku bezcelowa. Wyrok zapadł

otchłań, ciemność

dożywotnio, podobnie jak na Cesara.

Otchłań. Ciemność.

- Posłuchaj: musimy chronić Susanę. Miałaś rację. Powinniśmy ją chronić. Coś wymyślę... Coś, co ją urazi. Zmuszę ją, żeby mnie zostawiła.

Wnętrze kabiny samolotu, którym o świcie wylecieli do Madrytu, pogrążone było w mroku. Pasażerowie korzystali z okazji, żeby się zdrzemnąć przed konfrontacją z miastem, ale oni nie byli w stanie zamknąć oczu.

Nie mogli tego uczynić, ponieważ wiedzieli, że pod powiekami czatował na nich Herbert Rauschen.

Rulfo przypuszczał, że zostanie już tam na zawsze, w organicznych ciemnościach ich źrenic, w zakamarkach i fałdach ich mózgow, wyczekując co noc, aż nadejdzie rozstrzygający moment, kiedy sen ich pokona, a on będzie mógł odrodzić się znowu ze swoim smutnym zawodzeniem i cierpieniem potępieńca, wiecznego skazańca.

- Miałeś rację... - powtórzył César. - Musimy ją od tego odsunąć.

Obok Rulfa siedział obcy człowiek.

Były profesor, były przyjaciel, były diabeł.

César, grający markiza de Sade, którego bawiły bluźnierstwa w trakcie narkotycznych ceremonii i rosady par w ciemnościach, który uśmiechał się z ogniem w oczach, czując się „wybrańcem”. César tajemnic i cudów, łatwego ateizmu i sadyzmu rodem z alkowy. Ten człowiek nagle gdzieś się ulotnił. Pobladła twarz mężczyzny siedzącego obok Rulfa wyrażała zaskoczenie, jak twarze ofiar ginących w niemożliwym do przewidzenia momencie: w trakcie miłostki, na środku ulicy, na progu domu. W jednej chwili czas przyprószył jego włosy i twarz śniegiem zmarszczek, postarzając go o dziesięć lat.

- A ty, co zamierzasz? - spytał Rulfo.

César spojrzał na niego, jakby pytanie nie wymagało wyjaśnienia.

- Ja? Chyba to samo, co ty: spróbuję się bronić... W domu Rauschena przegrałem na płytę wszystkie pliki, jakie udało mi się ściągnąć z twardego dysku... Kara, na jaką go skazały... Ta straszna kara jest dowodem, musi nim być, że stanowił dla nich z a g r o z e n i e ... Dlaczego? Postaram się tego dowiedzieć. Może znajdę jakiś sposób na... Nie wiem... Postaram się być dla nich trudną do przełknięcia ością, chociaż nie sądzę, żeby to był dla nich jakiś problem... - Jego głos osłabł, przeszedł niemal w szept. - To nie są ludzkie istoty, Salomonie. Może były nimi kiedyś, ale utraciły tę właściwość. Może i są piękne, może tańczą w słońcu Toskanii, ale nie są ani kobietami, ani mężczyznami, ani żadnymi innymi żywymi istotami...

- Czym więc są?

César robił wrażenie, jakby poważnie zastanawiał się nad pytaniem.

- Wiedźmami - mruknął. - Sądzę, że można je tak nazwać. Nie mają nic wspólnego z kultem diabła, choć taka nazwa określi je chyba najtrafniej. Słowo „muzy” przeraża mnie

dużo bardziej. Nie, nie... - Potrząsał głową energicznie. - Nie mogę myśleć o nich jak o „muzach”... Jakkolwiek, niezależnie od wszystkiego... teraz jestem już pewny, że poezja nas zdradziła...

Głos kapitana poinformował, że zbliżają się do Madrytu, lecz ani César, ani Rulfo nie dali temu wiary. Podana informacja musiała być błędna. Zbliżali się donikąd: nadal tkwili w ciemnościach, w przestrzeni, w której nie było czym oddychać.

Przed oczami ciągle mieli Rauschena stojącego nad basenem wyłożonym płytkami. Nożyczki i lancety odrywały się jak pędy z jego nóg, krwiaki znikwały, a rany się zablizniały. Jego kości wypływały zagłębione w nich gwoździe, a ślady po nich zamykały się samoistnie. Serce zaczynało ponownie bić. Krew spływała obficie i znikła w odpływie, a rany zasklepiały się pod naporem krwi, jak luki pod wpływem uderzenia fal. Wężowym ruchem Wpełzał do ust obcięty język. Płuca, ze szmerem suchego listowia, ponownie zaczynały oddychać. Herbert Rauschen, po niezgłębionej c i s z y swojej setnej śmierci, odzyskiwał głos i mógl w końcu

jęczeć,

i wracał do łóżka, i kładł się na plecach, żeby zanurzyć się na powrót w nieubłagalności nowego dnia.

Torturowano go nie po raz pierwszy, nagle to zrozumieli. Nie po raz pierwszy go z a b i j a n o.

Pograżony w rozpacz Rulfo próbował coś z tym zrobić, ale César uniemożliwił mu nakrycie twarzy starca poduszką. „Nie uda ci się go zabić - powiedział. - To znaczy, owszem, udusisz go... lecz wiersz Milтона ożywi go za każdym razem. Nie rozumiesz?”

Za każdym razem. Łącznie ze świadomością. Łącznie z przytomnością umysłu. Wrażliwością wszystkich komórek ciała. Gotowych na ponowne pożarcie.

Co czujesz, kiedy wiersz niszczy cię bez końca?

- Poezja nas zdradziła - kontynuował César beznamiętnym głosem. - Wyobraź sobie bawiące się pociskiem dzieci, które nie wiedzą, do czego on służy. Mogłyby powiedzieć na przykład: „Jakie ma ładne kolory”. I zacząć tworzyć podobne przedmioty. Nadal nie byłyby świadome, do czego one służą, ale wcale by im to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, z radością bawiłyby się ładnymi mechanizmami. - Umilkł. Samolot podchodził do lądowania. - Te dzieci nazywały się, między innymi, Wergiliusz, Dante, Szekspir, Milton, Hölderlin, Keats... A one obserwowały ich zabawę i zachęcały je, by bawiły się dalej... ponieważ nagle jeden z tych mechanizmów z a d z i a ł a ł ... A chłopiec, który go stworzył, nawet o tym nie wiedział... Zainteresowały się też moim dziadkiem, nie mam co do tego wątpliwości... Bo

czyż władcze wersety muszą być najlepsze, najbardziej harmonijne...? Nie. Śmierć jest materią, nad którą pracujemy zawsze, kiedy tworzymy poezję. Kokietujemy zło zawsze, kiedy przemawiamy... Słowa i słowa, wymawiane na chybił trafił. Pomyśl, ile ich jest: słowa szaleńca, słowa dziecka, aktora w teatrze, kryminalisty i ofiary... Słowa tworzące rzeczywistość... Dźwięki, które mogą niszczyć lub kreować. Gleba słów, świat słów, w którym poezja ma najwyższą władzę... Co by było, gdyby któryś z nas był w stanie kontrolować ten kruchy świat, Salomonie? To prawie jakbyś zapytał, co by było, gdybyśmy stali się bogami. I one tym właśnie są. - Lekki wstrząs uświadomił im, że wylądowali. Mimo to głos Césara syczał w powietrzu jeszcze przez chwilę. - Wiesz... Mieli rację ci, którzy wierzyli, że poezja jest darem od bogów...

Spotkanie miało się odbyć za trzy dni, lecz mu tego nie powiedział. Rozstając się z nim na lotnisku, dał mu nawet do zrozumienia, że może się już nimi nie zainteresują. Wiedział jednak, że César mu nie uwierzył.

Całą sobotę spędził zamknięty w swoim mieszkaniu. Po południu położył się do łóżka z butelką whisky w ręce, ale wstawał wielokrotnie i - zataczając się - zaglądał do kieszeni marynarki, żeby upewnić się, czy figurka nadal tam jest. Nie rozstawał się z nią: miał wrażenie, że tylko ona może go uratować.

Mogą ją odzyskać tylko wtedy, kiedy oddamy ją dobrowolnie.

A jeśli tego nie zrobi? Jeśli wykorzysta ją jako kartę przetargową i zmusi je, żeby zostawiły go w spokoju? A gdyby posunął się dalej i nie stawiał na wyznaczone spotkanie?

Zabijają nas. I nie będzie to szybka śmierć.

Co czujesz, kiedy wiesz niszczy cię bez końca?

A gdyby dołączył do Raquel i uciekł razem z nią, zabierając ze sobą imago? A gdyby im zagroził, że zniszczy figurkę? Jak długo by to wszystko wytrzymał?

To nie są ludzkie istoty. To wiemy.

Po raz kolejny uniósł butelkę do ust. Świat zaczynał nabierać przyjemnego bursztynowego koloru.

Jeśli pójdziesz na to spotkanie, zabiją cię.

A gdyby zaczął walczyć? Gdyby się im przeciwstawił? Tylko w jaki sposób, na Boga?! Jakikolwiek wiesz uczyni go bezbronnym. Dlaczego Lidia Garrett nie pomoże mu teraz?

Rauschen. Jego śledztwo. To, co być może odkrył, powód, dla którego został skazany na taką mękę... César ma rację: jedyną ich szansą jest dotarcie do tego, czego dowiedział się

Rauschen, i wykorzystanie tych informacji w l e p s z y s p o s ó b. Teraz wszystko zależy od tego, czy jego stary nauczyciel trafi na jakiś ślad w zdobytych plikach.

Zamknął oczy w nadziei, że tak się stanie.

Chodziło bez wątpienia o jakąś prywatną klinikę. Na straży po obu stronach szklanych drzwi, otwieranych na niemy rozkaz fotokomórki, stały dwie jodełki przypominające bożonarodzeniowe drzewka. Rulfo wszedł do holu. Ktoś jeszcze wszedł razem z nim. Spojrzał w jego kierunku i zobaczył samego siebie, odbitego w wielkim lustrze. Stwierdził, że jest kompletnie nagi, ale wcale go to nie zdziwiło. To sen, pomyślał.

Dotarł do końca westybulu i wybrał jeden z korytarzy. Zatrzymał się przed pokojem numer trzynaście (numer widniał na drzwiach). Otworzył je.

Pokój był mały. Z jakiegoś nieokreślonego miejsca w suficie docierało mdłe światło. Nie było mebli ani żadnych dekoracji. Panował chłód. Dziwny chłód: zimno nasilające się w miarę, jak wchodził do środka. Dlaczego ten pokój, nagi jak on sam, napawał go taką trwogą? Przypuszczał, że niska temperatura nie jest jedynym powodem, lecz nie potrafił znaleźć innej, widocznej przyczyny. Pomieszczenie było puste i nie wydawało się groźne.

Kolejne zwierciadło w głębi powieliło jego postać. Potarł ramiona, a ręciovoy Rulfo powtórzył po nim ten gest. Z ich ust wydobyły się bliźniacze chmurki pary.

Podszedł do lustra i stanął tak blisko tafli, że oddech zamazał jego własne rysy mgielką czystej platyny. Wstrzymał oddech. Obłok pary zaczął się kurczyć, nie wyjrzała jednak spod niej jego twarz, tylko twarz Lidii Garetti. Kobieta miała na sobie wieczorową suknię w kształcie tuby z wyłogami w kolorze fuksji, tę samą, w której pozowała do portretu, a złoty pajak błyszczał w zagłębieniu jej drobnych piersi.

- Pacjent z trzynastki wie wszystko - powiedziała, patrząc na Rulfa uważnie. Jej błękitne oczy emanowały takim światłem, że wydawały się wtapiać w tafle lustra.

- Lidio... - Rulfo wyciągnął dłoń, ale palce nie natrafiły na jej ciało, tylko na niedostępną szklaną powierzchnię.

- Pacjent z sali numer trzynaście - powtórzyła, cofając się. - Odszukaj go.

- Poczekaj! Co masz na myśli?

Lidia Garetti oddalała się w ciemność, w głąb odbicia.

Rulfo zrozumiał nagle, że chciała jeszcze zostać, wyjaśnić mu wiele spraw, lecz coś jej w tym przeszkodziło. Czyjaś obecność, kogoś, kto znajdował się tutaj, z a j e g o p l e c a m i, w pokoju.

Lęk sparaliżował mu mięśnie. Bał się tak bardzo, że nie mógł odwrócić głowy. Nie był w stanie spojrzeć do tyłu. Ktoś tu jest. Za mną. Pacjent z sali numer trzynaście.

szloch

Naraz odniósł wrażenie, że jakaś dłoń dotyka zlodowaciałymi palcami jego ramienia.

gwałtowny szloch

Odwrócił się i zobaczył to, co stało za nim.

Gwałtowny szloch.

Znajdował się w swoim pokoju. Opróżniona do połowy butelka whisky leżała na podłodze.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie był to tylko sen, podobnie jak sny o domu z białym perystylem.

Lidia Garetti przekazała mu nową wiadomość.

Ubierała się przed lustrem. Stroje, które jej kupił, były bardzo twarzowe. Tego ranka włożyła fioletowy wełniany sweter i džinsy. Dla chłopca wybrała ciemnobrązowe polo i welwetowe spodnie. Potem rozczesała swoje długie czarne włosy. Nie zwiąże ich, bo przypominało jej to złe chwile. Teraz wszystko się zmieniło.

Lustro ukazywało obraz wysokiej, ładnej dziewczyny. Jak zawsze. Ale ona nie żyła już w tej postaci.

Zajrzała w głąb swoich oczu.

W nich mogła dojrzeć swój prawdziwy obraz. Nikt i nic jej więcej nie skrzywdzi, nie poniży. Patricio nie żyje. Ona i jej syn są wolni.

Popatrzyła na dziecko. Bawiło się plastikowymi figurkami na podłodze, zwrócone plecami do jeszcze niepewnego światła padającego z okna. Nigdy się nie uśmiechał, ale ona tego nie potrzebowała. W pewnym sensie był również lustrem: w jego błękitnym spojrzeniu i rysach, tak niepodobnych do jej własnych, mogła się przejrzeć. Zauważyła też, że mały widzi ją w ten sam sposób. Nie ograniczał się już do patrzenia na nią w milczeniu, jak na kogoś obcego. Chwilami przemawiał do niej czule. Najwyraźniej odbierał jej przemianę tak samo intensywnie jak ona.

Teraz najbardziej martwiło ją to, czy Lidia powie jej w snach, co powinna zrobić. Miała pewność, że stanowi część jakiegoś planu, i chciała wiedzieć, na czym on polega. Skłamała mężczyźnie, żeby uniknąć pytań: w rzeczywistości nie śniło jej się nic więcej. Była jednak pewna, że intuicja jej nie zawodzi, podobnie jak była pewna tego, że posiada twarz, nawet gdyby nie było luster, które by to potwierdziły. Skłamała także w innej sprawie, dużo ważniejszej.

Przyjrzała się sobie ponownie, upewniając się, że nie różni się niczym od innych dziewcząt. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. Z tyłu za sobą, odbite w lustrze, widziała otwarte okno, parking, szosę w brzasku poranka i zarysy małego miasteczka wytyczające horyzont. Pokój znajdował się na pierwszym piętrze motelu. Był bardzo skromny, ale w

porównaniu z miejscem, w którym mieszkała do tej pory, wydawał się jej królewskim apartamentem. Minęło już pięć dni, ale do tej pory nie odważyli się wyjść. Prawie. Idąc za radą Rulfa, codziennie o zmierzchu odbywała krótki spacer i szybko wracała do pokoju. Dzisiaj rano postanowiła jednak wyjść z dzieckiem. Oczy małego przyzwyczajały się do światła, więc delikatne poranne godziny nadawały się do tego idealnie. Nacieszy się spacerem z synem, zanim słońce wstanie nad polami. Niewątpliwie będzie to dla obojga cudowne doświadczenie.

Właśnie miała mu to zaproponować, kiedy

nie mógł

w lustrze zobaczyła za sobą jakąś postać.

Zamarła w napięciu. Dziecko również musiało wyczuć, że dzieje się coś dziwnego, ponieważ odwróciło głowę i spojrzało na dziewczynę.

ponownie

Czując, że znalazła się w jakimś koszmarze, podeszła powoli do okna i wyjrzała na zewnątrz. Parking był pusty.

Rytm serca wyrównywał się. A przecież przez chwilę (mimo że jego odbicie widziała w lustrze szafy zaledwie przez ułamek sekundy), przez jedną straszliwą chwilę, wydawało się jej, że zobaczyła mężczyznę, który...

Nie. Musiała się pomylić. To było niemożliwe.

Nie żyje. Nie myśl o nim więcej. On nie żyje.

Skończyła się ubierać, wzięła dziecko za rękę

nie mógł ponownie zasnąć

i poszła z nim na krótki spacer wokół hotelu. Nie zauważyła nic dziwnego: miejsce wyglądało na opustoszałe. Wkrótce uznała, że nerwy splątały jej figła. Z pewnością musiała go pomylić z kimś podobnym. On nie żyje. Sama go zabiłaś.

Jednak po powrocie do pokoju nadal była niespokojna.

Nie mógł ponownie zasnąć.

Wziął prysznic, przebrał się w czyste ubranie, sięgnął po marynarkę i upewnił się, że

figurka znajduje się na swoim miejscu. Była niedziela. Pozostały dwa dni. We wtorek wszystko się nareszcie skończy, dobrze lub źle - ta myśl uspokajała go.

Próbował skupić się na tym, co mu się śniło, ale zadzwonił telefon. Dobiegł go głos Cesara, jak światło pośród nocy.

- To fantastyczne, Salomonie... Raporty detektywów, biografie uczniów i wykładowców z różnych uniwersytetów... Stanowią zawartość prawie wszystkich plików, jakie zdążyłem przejrzeć. A tu i ówdzie odkrywcze komentarze samego Rauschena... Połączyłem niektóre wątki. Masz czas, żeby wysłuchać jeszcze raz swojego kochanego profesora? Wprowadzę cię w temat. Jesteśmy w Wiedniu początku lat siedemdziesiątych. Naiwny i dość przeciętny wykładowca literatury, Herbert Rauschen, przyłącza się do grupy poetyckiej zwanej Die Sphinx. Jej członkowie zajmowali się recytowaniem i komentowaniem utworów poetów niemieckich, ale była to bez wątpienia przykrywka umożliwiająca rekrutację adeptów. Jedno jest pewne: od tej chwili życie naszego przyjaciela zmienia się całkowicie. Porzuca pracę, wyjeżdża do Paryża, a jego konto pęcznieje, chociaż są to lata, kiedy gospodarka europejska przeżywa kryzys. Publikuje artykuły, podróżuje... Potem wyjeżdża do Berlina. Jego przyjazd do tego miasta zbiega się z wypuszczeniem przez jedną z niemieckich drukarni pierwszych egzemplarzy *Poetów i ich dam*, anonimowego autora... Hipoteza, jaka ci się nasuwa?

- Rauschen jest autorem *Poetów i ich dam* - powiedział Rulfo.

César parsknął stłumionym śmiechem.

- Zawsze miałeś intuicję, mój drogi uczniu. Ja do tej samej konkluzji doszedłem drogą dedukcji. W moim przekonaniu wstąpił do sekty w Paryżu, ale nie spodobało mu się to, co zobaczył, i postanowił o niej opowiedzieć. Napisał książkę, kazał ją wydrukować i ruszył w świat, rozdając ją wszystkim znajomym, głównie ekspertom w dziedzinie poezji, takim jak on sam. Myślę, że z początku ograniczył się do informowania ludzi, co tak naprawdę kryło się pod płaszczykiem „legendy”. Ale w dziewięćdziesiątym szóstym roku, po okresie dziwnej depresji, przeszedł do akcji: zaczął prowadzić śledztwa na różnych uniwersytetach europejskich, zamienił się w wytrawnego szpicla... Podążał za konkretnym śladem. Jakim?

- Tym razem się poddaję.

- Ostatnia dama. Dążył do spotkania z numerem trzynastym. - Zapadła cisza. Rulfo natężył uwagę. - Oto wytłumaczenie poniesionej przez niego przerażającej kary... Posłuchaj. Ostatnia dama ukrywa się lepiej niż pozostałe, lecz nie dlatego, że jest najpotężniejsza, tylko dlatego, że jest najbardziej w r a ż l i w a. Pięta Achillesa tej sekty, Salomonie. To ona gwarantuje jedność grupy. Bez niej pozostałe byłyby tylko zbiorem rozproszonych istot. „Kto

odnajdzie damę numer trzynaście, może zniszczyć całą grupę”, mówi sam Rauschen. Zapoczątkował jej poszukiwania, zamierzając bez wątpienia zlikwidować sektę. Co kazało mu do tego dążyć?, spytasz. Co się zdarzyło sześć lat temu, co popchnęło dawnego sekciarza, świadomego strasznego niebezpieczeństwa, na jakie się wystawia, do tego, żeby się i m przeciwstawić? To najmniej jasny fragment całej historii. - Zasześciły kartki. Po chwili César kontynuował: - Na początku dziewięćdziesiątego szóstego roku *coven* stał się areną poważnych tarć. Tak się nazywa grupa trzynastu dam, rdzeń sekty: *coven*. Tym samym terminem w Renesansie określało się w języku angielskim tajne konwentykle czarownic. Nawiasem mówiąc, legenda o sabatach czarownic wzięła się właśnie od n i c h... - Nagle zachichotał. - Wiesz, co jest w tym wszystkim najstraszniejsze, Salomonie? Nie różnią się od nas: są zwykłymi oportunistkami, ambitnymi i tchórzliwymi... Są oczywiście czarownicami, choć w nowoczesnym stylu. Chcą się piąć po szczeblach hierarchii, poszerzać zakres władzy, kontrolować podwładnych... Podejrzliwe wobec siebie, jak *yuppies* wielkich firm. Kontynuując... Jak wspomniałem, w owym okresie doszło w sekcie do swego rodzaju skandalu: Saga, numer dwanaście, przywódczyni całej grupy, została o coś oskarżona, skazana i wydalona. Jej miejsce zajęła inna Saga. Rauschen nie precyzuje, jaki błąd popełniła dawna liderka ani jaki ją spotkał koniec, ale nie szczędzi epitetów jej następczyni: określa ją jako „najgorsze, co przytrafiło się sekcie od wieków...”.

Najgorsza ze wszystkich. Rulfo ponownie zobaczył chłopca trzymającego dwunastego, plastikowego żołnierzyka. Ścisnął z całych sił słuchawkę, gdy tymczasem César kontynuował niemal śpiewnym głosem:

- Dojście do władzy nowej Sagi było powodem, dla którego nasz przyjaciel poświęcił resztę życia, dążąc do zniszczenia dam. Jego zdaniem istota ta stanowi niemożliwe do przewidzenia zagrożenie. Pragnęła zostać przywódczynią, a teraz syci się zwycięstwem, wyładowując swą furię na każdym żywym stworzeniu... Rozumiesz? Całe wieki poezji sprowadzone do takiej błahostki: kariery jednej parweniuszki. Czegoś w rodzaju: „chcę być szefem na miejscu szefa”... Chociaż czemu ja się w ogóle dziwię? Czyż nie tak się właśnie dzieje od czasów Zeusa i Szatana? Nawet ten idiota Hitler jest dobrym przykładem... - Znowu zaśmiał się falsetem, jakby śmiała się za niego jakaś maszyna. Rulfo przeraził się. On wariuje, pomyślał. Głos Cesara płynął dalej, na nieco wyższym tonie. - Powinienem ci powiedzieć, drogi uczniu, na wypadek gdybyś o tym jeszcze nie wiedział, że damy są istotami z krwi i kości, a przynajmniej takie się wydają... Niezameżne, piękne i przebogie, otaczające się luksusem i samotnością, jak twoja sławna Lidia Garrett. Spotykają się tylko po to, żeby odprawić swoje tak zwane ceremonie w swojej tak zwanej siedzibie głównej, posiadłości na

południu Francji, w pięknej okolicy znanej pod nazwą przełomu rzeki Ardeche... Odpowiednie miejsce dla bogiń poezji, prawda? Południowa Francja, trubadurzy, kolebka poezji lirycznej, góra Ventoux, na którą wspinał się Petrarca... I przełom... Nie ma lepszego miejsca dla tych, którzy panują nad nami za pomocą głosu. - Wybuch śmiechu zmusił Rulfa do odsunięcia słuchawki. - Rauschen przypuszczalnie brał udział w kilku takich ceremoniach. Obchodzone są w szczególne dni roku, ponieważ władza całego zgromadzenia przewyższa sumę poszczególnych jego składników, ale żeby tak się stało, muszą s i ę z b i e r a ć w określone dni, zgodnie z kodeksem czarownic i sabatów, takich jak przesilenie, zrównanie dnia z nocą i wigilie świąt tak starych jak człowiek... na przykład noc trzydziestego pierwszego października, Halloween, dzień przed Wszystkimi Świętymi, to znaczy pojutrze. - César zrobił znaczącą pauzę. - Nawiasem mówiąc, umówiły się z tobą właśnie w tę noc. Chyba się nie mylę? - Rulfo uznał, że nie ma sensu kłamać dalej. Wtedy usłyszał kolejny wybuch śmiechu. - Ha, ha, ha... Może poproszą cię o cukierki... To miłe, że starałeś się ukryć to przede mną, Salomonie. Wiem, dlaczego tak postąpiłeś, ale nie martw się: po tym, jak zobaczyłem język Rauschena powracający samoistnie do jego ust, niczym wypluty żywy pstrąg, nie towarzyszyłbym ci na to spotkanie, nawet gdybyś mi związał nogi i ręce... - Wybuch śmiechu. - I jeszcze raz ci radzę: oddaj im tę figurkę, a będziesz miał spokój. Tylko tego chcą. Powtarzam: nie mieszaj się w ich sprawy związane z „wewnętrznymi awansami”. - Kolejny wybuch śmiechu. - Błagam cię na wszystko: oddaj figurkę... i niech sobie robią, co chcą...

- Czy Rauschen wspomina o Akelos?

- O mało nie zapomniałem. Dama numer jedenaście, Akelos, zdradziła *coven*, pomagając starej Sadze. Rauschen nie precyzuje, w jaki sposób. Nie dodaje nic więcej, lecz... Ostatnia hipoteza, drogi uczniu?

- Nowa Saga rozkazała wykluczyć także i ją - zasugerował Rulfo. Zaczynał powoli rozumieć.

- Właśnie! Mało tego: kazała wyeliminować ją na zawsze. Łącznie z jej imagiem, dzięki któremu mogą żyć wiecznie, przechodząc z ciała do ciała. Wiesz, dlaczego figurka była zanurzona w akwariu? Rauschen wspomina o tym mimochodem, przy omawianiu różnych rodzajów ceremonii: istnieje rytuał zwany Anulowaniem, który może odebrać określonej damie władzę poprzez zanurzenie w wodzie jej imaga z odpowiednią filakterią... Ale to dopiero pierwszy krok. Aby zniszczyć imago, muszą odprawić kolejny rytuał, dużo bardziej skomplikowany... a do tego niezbędne im jest imago... - Ponownie zachichotał. - Miguel Robledo, morderca Lidii Garetti, z pewnością nie należał do sekty, jednak sterowany

przez n i e wszedł do domu, załatwił pokojówki i w wyrafinowany sposób torturował właścicielkę po uprzednim zanurzeniu jej figurki w akwarium.

A my odnaleźliśmy ją pod wpływem naszych snów, pomyślał Rulfo.

- Co wiadomo o damie numer trzynastie, Cesarze? Czy Rauschen dowiedział się o niej czegoś?

Usłyszał brzęk szkła. Pije, pomyślał.

- To pytanie na piątkę, mój drogi uczniu... Mamy za mało danych, żeby na nie odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, chyba nikt nie potrafi udzielić takiej odpowiedzi. Rauschen pozostawił jedynie informacje o studentach i wykładowcach... To oczywiste: podejrzewał, że tajemnicza dama związana była z kimś z uniwersytetu. Ale z kim? Gdzie? Może w Hiszpanii? Pamiętaj, że tu zamieszkał... Niemniej to tylko hipoteza... Wiesz, co mnie najbardziej niepokoi? Fakt, że pozwoliły mu zachować tyle plików. Podejrzewam, że damy czują się dużo pewniej niż niejeden skorumpowany... - Przerwał, po czym kontynuował innym tonem.

- Wiem, że wyjdę na podłego tchórza, nie towarzysząc ci we wtorek wieczorem... Cóż, powiedzmy, że wolę narażać życie w wygodniejszy sposób... Sprawa Susany już załatwiona. Wczoraj mieliśmy tu niezłą kłótnię, lecz osiągnąłem to, czego chciałem: wyjechała z Madrytu, chyba do swoich rodziców. Oddalenie dobrze zrobi nam obojgu. Oczywiście nie przyjęła tego z uśmiechem, ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby...

- Rozumiem - powiedział Rulfo.

- Salomonie, mówię poważnie: nie udawaj bohatera i zwróć im figurkę. To ich sprawa, nawet jeśli chcą załatwić Akelos... W każdym razie, życzę ci szczęścia, drogi uczniu. To prawdziwa przyjemność i zaszczyt, że mogłem być twoim mistrzem i przyjacielem, pomimo dzielących nas różnic... Tak czy inaczej nie ma się co nad sobą użalać: obaj uważaliśmy, że warto umrzeć dla poezji, pamiętasz?

- Nie umrzemy, Cesarze - odparł Rulfo, nie przyłączając się do chichotu Saucedy. Czuł, jak wilgotnieją mu oczy i coś drapie go w gardle.

- One nie zostawiają świadków - głos byłego profesora dyszał wolno, ponuro. Rulfo przypominał sobie, że takim tonem Saucedo miał zwyczaj kończyć swoje zajęcia. - Teraz rozumiem przerażenie, jakie ogarniało mojego biednego dziadka... Modłę się, żeby chociaż nie dopadły Susany... Ona prawie nic nie wie... Może uda jej się uciec... Żegnaj, mój drogi... Uważaj na siebie.

Rozmowa na linii została przerwana, ale w głowie Rulfa trwała nadal. Nie zostawiają świadków. Poczul dławienie w gardle, zrozumiał jednak, że to nie własny los martwił go najbardziej, tylko Cesara Saucedo, starego profesora, człowieka, który wierzył, że życie jest

poezją.

A teraz wszyscy zginą, ponieważ miał rację.

Resztę niedzieli i poniedziałek spędził w podobny sposób: kręcąc się w kółko nieopodal Lomontano. Wybierał na zmianę wąskie uliczki centrum lub anonimową przestrzeń Gran Via i przyglądał się spieszącym gdzieś przechodniom. W tych skupionych twarzach, w tym potoku tak różniących się od siebie ludzi, zmagających się z przyprawiającym o tachykardię Madrytem, nie natrafił na najmniejszy ślad niezwykłego świata dam. Jakby stały się nierealne, jakby nigdy nie istniały. Zaczął się nawet zastanawiać, czy to wszystko nie jest jedynie fantazją wysnutą przez takich szaleńców jak on czy César. Niemniej obecność woskowej figurki w kieszeni przywracała go co rusz do rzeczywistości. Nie, nie do rzeczywistości, uściślał. Do prawdy.

W poniedziałek po południu, po powrocie do domu, zaniepokojona portierka zatrzymała go w holu.

- Jakaś dziewczyna jest u pana. Właśnie weszła na górę.

Chyba wiedział, o kogo chodzi. Dlaczego przyszła?, zastanawiał się, pokonując w pośpiechu schody. Czyżby w motelu coś się wydarzyło? Dotarłszy do mieszkania, stwierdził jednak, że bardzo się mylił.

- Ale masz minę - uśmiechnęła się Susana. - Kogo się spodziewałeś?

Obgryzała paznokcie. Ukrywany przez nią nawyk ujawniał się zawsze, kiedy była zdenerwowana. Tak jak teraz.

- Powiedział, że moja praca dziwki dobiegła końca... Nie ujął tego w ten sposób, oczywiście... Nazywa to „koniecznością przemyślenia swojego życia”. Zwolnił mnie bez prawa do odszkodowania. „Wyjedź na jakiś czas do rodziców”. Skurwysyn. Zapewniam cię: tego, co wczoraj przeżyłam, nie życzę najgorszemu wrogowi. Wysłałam, oczywiście, bez słowa, nie zniżyłabym się do tego, żeby go o cokolwiek prosić... Ale nie wyjechałam do rodziców, zatrzymałam się u koleżanki...

Miała na sobie ciemnobrązowy dwuczęściowy kostium, rajstopy w migdałowym kolorze, sandałki na obcasie i muślinową przepaskę na szyi. Pachniała perfumami i alkoholem. Rulfo zdał sobie sprawę, że przed przyjściem do niego musiała pić.

- Nawymyślałam mu, oczywiście, powiedziałam wiele głupstw, a on ograniczył się do stwierdzenia, że nie jest to ostateczne rozstanie, tylko „przemyślenie”. Na jedno wychodzi: chce być sam. Rozpraszam go. Szczerze mówiąc, bardzo mnie to przygnębiło. Ale dzisiaj obudziłam się dużo spokojniejsza i spojrzałam na to innymi oczyma. Wydaje mi się, że

dobrze go znam, więc biorę pod uwagę dwie możliwości: albo spodobała mu się inna, albo ma poważne kłopoty. - Uśmiechała się, a jej oczy błyszczały figlarnie. - Ja stawiam na to drugie. A ty? - Rulfo nie odezwał się. Pociągnął łyk whisky. Susana poszła w jego ślady. - Nagle przypomniałam sobie, że przez ostatnie dni zajmował się głównie tobą i twoimi przygodami... Knujecie coś razem, zamykacie się w pokoju i szepczecie między sobą jak dwie kumoszki. W każdym razie pomyślałam, głupia, że to wszystko ma coś wspólnego z tą błyskawiczną podróżą, jaką odbyliście w piątek do Barcelony, a o której szczegółach César nie chciał ze mną rozmawiać. Dlatego przyszedłam, żeby zapytać ciebie. Nie bój się, nie poproszę o nocleg... Powiedz tylko, że się mylę.

- Nie wiem, co się dzieje z Cesarem. To jego powinnaś zapytać, nie mnie.

Jej reakcja była zaskakująca. Odstawiając opróżnioną właśnie drugą szklanekę, trzasnęła nią o stół. Przez chwilę Rulfo myślał, że szkło rozprysło się jej w palcach.

- Za co wy mnie, do cholery, uważacie?! Za piłkę do tenisa?! Teraz jestem po twojej stronie, więc odbijasz mnie na jego pole? - Pochyliła się, utkwivszy w nim niebieskie oczy; misterna fryzura falowała nad jej głową. Nagle złagodziła ton. - Coś ci zdradzę: kiedyś mi się to podobało. Uwielbiałam, jak się o mnie kłóciliście. Poważnie... I zapewniam cię, nie chodziło o zaspokojenie własnego ego. A przynajmniej nie tylko o to. Chciałam zobaczyć, jak wysuwacie pazury, ponieważ... Wiedziałam, że kiedy zawrzecie pokój, spojrzycie na mnie i powiecie: „Jeszcze tu jesteś, Susano...?”. Dawno zrozumiałam, że potrzebujecie mnie tylko wtedy, kiedy jesteście wrogami... - Rulfo opuścił wzrok na szklanekę. Susana mówiła dalej, coraz bardziej poruszona. - A co zaszło teraz? Otóż, zjawiasz się ze swoją wspaniałą historią, a on mówi: „Fantastycznie! Prawdziwa pociecha dla emeryta...!”. I znowu podajecie sobie dłonie, a ja jestem zbyteczna, tak? A tu niespodzianka: nie pozwolę wam dłużej się mną bawić. W głębi serca César uważa, że należę do kobiet sypiających z tymi, którzy mają więcej pieniędzy. Ale udowodnię mu, że jego pieniądze mam w dupie, podobnie jak jego dom i przygody. - Milczała przez chwilę, a raczej tylko przestała mówić; nie zachowała bowiem ciszy: siąkała nosem i oddychała głęboko. Rulfo przypomniał sobie, że César nazywał te odruchy „neumami bólu”. - A teraz powiedz mi szczerze, czy to wszystko ma coś wspólnego z waszą cudowną podróżą przez tunel strachu. To by mnie uspokoiło.

Rulfo wolał odpowiedzieć na inne pytanie, którego jednak nie zadała.

- César nie przestał cię kochać, Susano. Jestem pewny, że chce się rozstać tylko na jakiś czas.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Nagle dopadło Rulfa wspomnienie tamtego dnia, kiedy kochali się na podłodze w mansardzie, wykorzystując nieobecność

Cesara, a on całował ją po szyi, obejmując ją od tyłu i pieszcząc jej piersi.

- Czy to ma jakiś związek z waszymi konszachtami? - nalegała.

- Z tego co wiem, nie. W Barcelonie odwiedziliśmy jedynie chorego znajomego.

Niczego się nie dowiedzieliśmy. César zapomniał już chyba o całej sprawie.

- A jak myślisz, co się z nim dzieje?

- Nie wiem, ale chyba niczego przed tobą nie ukrywa.

Nie patrzył na nią, kiedy to mówił. Wierzył, że przełknie jego słowa, tak jak przełknęła słowa Cesara. Obaj muszą ją chronić. Po chwili ciszy powiedziała jednak nieoczekiwanie:

- Zebrałam informacje na temat Lidii Garetti. - Patrzyła na niego uważnie. Rulfo całą siłą woli udawał obojętność. - Uznasz je za rewelacyjne. Rozmawiałam z jedną z zaprzyjaźnionych dziennikarek. Wyjaśniła mi, że nieszczęsna Lidia była młodą milionerką, która spełniała wszystkie warunki typowej ukochanej córeczki tatusia: samotna, bogata, spadkobierczyni bajecznej fortuny, z którą nie wiedziała, co robić, podatna na narkotyki i załamania nerwowe, szukająca pomocy u psychologa... Wyobrażasz sobie neurotyczną czarownicę? Daj spokój, Salomonie, Lidia nie była żadną istotą nadprzyrodzoną, tylko samotną milionerką czekającą na swojego księcia z bajki. Niestety, odwiedził ją książę piekieł. A potworne rzeczy, które z nią wyprawiał ten psychopatyczny ćpun, nie różniły się niczym od podobnych przypadków, jakie miały miejsce w przeszłości. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Niczego więcej... Zapewniam cię, że... - Wtem, jakby opadła z niej jakaś maska: brwi się zmarszczyły, a usta zmieniły w drżące śluzówki. - Boję się, Salomonie... - Wyciągnęła ramiona, jakby chciała, żeby ją złapał, zanim runie w przepaść. Rulfo przygarnął ją bez wahania. - Bardzo się boję... Czuję... Nie wiem dokładnie co... ale zapewniam cię, że w głębi serca nie śmieję się z tego, co się dzieje... tego, co dzieje się z nami w s z y s t k i m i... Nie chcę, żeby coś złego przytrafiło się Cesarowi. Ani tobie...! Ani tobie...!

- Uspokój się, Susano... - Odsunął jej twarz i spojrzał prosto w oczy. - Nikomu nic złego się nie stanie.

Nagle, znienacka,

wszedł

zobaczył jej zbliżające się usta.

wszedł przez drzwi

- Nie, Susano... - wyszeptał w głąb jej ust.

Ale zrozumiał, jak bardzo potrzebował zdusić swój własny strach

wszedł przez szklane drzwi

drżeniem cudzego ciała.

Wszedł przez szklane drzwi z dwiema jodełkami stojącymi na ich straży, przeszedł przez hol i ciemne korytarze i znalazł się przed drzwiami z wypisanym na nich numerem trzynastym. Wtedy zrozumiał. Jeśli to jest klinika, jak przypuszczał, musiał to być pokój pacjenta z łamigłówni Lidii.

Otworzył pospiesznie drzwi i wszedł.

W środku czekał na niego nie kto inny, tylko ta sama (piękna), znana mu już istota (straszna) o aparycji dziewczynki. Tym razem nie miała na sobie nic poza symbolicznym liściem laurowym, rzucającym blask na jej nagą aseksualną pierś.

- Witam, panie Rulfo.

Pomyślał, że patrząc na jej twarz, mógłby stworzyć tysiące poematów. Jednak z nie mniejszą pewnością wiedział, że wrzuciłby je do ognia zaraz po napisaniu, gdyby zdał sobie sprawę, podobnie jak w tej chwili, z przerażającego braku jakiegokolwiek sensu kryjącego się w tym pięknie. To jakby obudzić się pewnego dnia i odkryć, że osoba, która śpi obok, ma drewnianą skórę lub że twarz, o jakiej śniło się tysiące razy, okazuje się kartonową maską.

- Jutro wieczorem przyjdę na spotkanie - powiedział Rulfo z pogardą. - Oddam wam imago i zostawicie nas w spokoju. - Dama patrzyła na niego z niezmiennym uśmiechem. - Ale jeśli zrobicie nam krzywdę... Jeśli skrzywdzicie Raquel lub jej dziecko, Cesara lub Susanę, zniszczę was. Możesz zakomunikować to swojej uroczej przełożonej.

- Jesteśmy wiekuiste, panie Rulfo - wyszeptała dziewczynka. Jej głos przypominał echo kamieni poruszanych przez fale. - Istniejemy *ab initio*. To sen, ale nawet we śnie nie wolno się panu łudzić, że może pan nas zniszczyć.

- Posunę się dalej niż do snów: znajdę numer trzynasty, wasz słaby punkt. Znajdę ją i to będzie wasz koniec.

- Łatwo ją znaleźć. Jest t u t a j.

Nagle coś się wydarzyło. Dziewczynka znikła. W lustrze pojawiła się znowu postać Lidii Garetti. Jej ciało było okaleczone.

- Tutaj - powiedziała Lidia. Jej oczy broczyły krwią. - Pacjent z sali numer trzynastie.

Odszukaj go.

Naraz Rulfo poczuł, że w pokoju jest j e s z z e ktoś poza nim. Czuł jego obecność, jak się czuje zimno po włożeniu dłoni do zamrażalnika. Pacjent z sali numer trzynastie. Odwrócił się powoli, niezdolny przypomnieć sobie, jak się oddycha, ani co trzeba zrobić, żeby zacząć myśleć. Sama możliwość spojrzenia na ten obcy byt, czymkolwiek był, przerażała go bardziej niż wszystko, co do tej pory przeszedł.

Za swoimi plecami znowu zobaczył dziewczynkę. Teraz zwisała nogami z sufitu, jak delikatna lampa. Jej włosy przypominały złotą wertykalną rzeźbę. Wpatrywała się w niego oczyma jak dwa księżycy otoczone płonącym pierścieniem lub jak podświetlona planisfera. Nagle otworzyła usta (mógł nawet dojrzeć jej czarny niby ciemne winogrono języczek).

- Niech pan nie omieszka stawić się na spotkanie, panie Rulfo. Czekamy na pana.

I jej ciało przekształciło się w coś innego.

Rulfo nie pamiętał jej nowej postaci; samo patrzenie na nią odebrało mu na moment przytomność umysłu. Obudził się z krzykiem, przekonany, że oszalał i że nie jest nawet w stanie sprawdzić, czy to prawda.

Był sam w sypialni. Susana już wyszła, chociaż pościel zachowała jeszcze woń jej perfum. Świtało.

Pozostały niespełna dwadzieścia cztery godziny.

VIII. SPOTKANIE

W poniedziałek dziewczyna postanowiła nie wychodzić z pokoju. Popołudnie zastała ją jeszcze w łóżku, z twarzą ukrytą w dłoniach. Zamówiła kolację na górę i nie zgodziła się na sprzątanie pokoju. Wiedziała, że pracownicy motelu zaczynają o niej mówić, ale było jej wszystko jedno. Jej udreka była bezgraniczna.

Zwykła, całkowicie nierealna ewentualność, że mógł pozostać przy życiu, okazała się nie do zniesienia. Sama myśl o jego zniechęconym obliczu wywoływała mdłości i przyprawiała o dreszcze. Zdawała sobie jednak sprawę, że daje się ponieść absurdalnej obawie: osoba, którą widziała poprzedniego dnia w lustrze, była do niego podobna, lecz n i e m o g ł a być nim. Sama go przecież zabiła.

Niemniej wiedziała już, że istnieje coś gorszego od Patricia.

Wspomnienia utorowały sobie drogę do jej wnętrza z siłą słońca wdzierającego się do zakurzonego pokoju. Na początku myślała, że to są sny, podobnie jak te o Lidii, ale potem zaczęła je kojarzyć ze wspomnieniami z życia - odległego, lecz prawdziwego. Jej własnego życia.

Nie tylko Patricio był za to odpowiedzialny: ktoś nim sterował, żeby wyrządzić jej krzywdę, ktoś, komu tak bardzo zależało na jej cierpieniu, jak kochankowi zależałoby na spełnianiu jej zachcianek. Jakiś l a l k a r z pociągał za sznurki w ciemnościach, postawiwszy sobie za cel nie dać jej nigdy spokoju, prześladować i dręczyć ją, gdziekolwiek by się ukryła. Jego główna rozrywka w ostatnich latach polegała na oddawaniu jej w ręce bezimiennych „klientów”, którzy znajdowali przyjemność w poniżaniu jej. Dla tego, który wszystko kontrolował, była to świetna gra.

Czas zagrać w coś bardziej interesującego, nie sądzisz, Raquel?

Nie wiedziała, kto (lub co) był jej prawdziwym oprawcą, ale bała się go.

Chłopiec położył się obok niej. Dziewczyna ujęła jego drobną dłoń, przytrzymując ją przez dłuższą chwilę, w ciszy, czując, jak ciepło i siła jej syna rozchodzą się po jej ciele, jak

gdyby zostały wprowadzone do jej krwiobiegu. Podniosła głowę i obdarzyła go uśmiechem. Chłopiec zrewanżował się tym samym. Zamrugła powiekami, jakby poraziło ją światło.

Przez moment leżeli nieruchomo, połączeni słabym węzłem splecionych dłoni, i dziewczyna czuła, że nie jest sama. Patrząc na smutną bladą twarzyczkę zwróconą ku sobie, wiedziała, że będzie walczyć z całych sił, bez względu na zagrożenie. Przeszła z małym wiewle, przejdzie jeszcze więcej. Zdecydowała, że muszą wytrwać. Już nikt nie zrobi im krzywdy.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Pewnie przynieśli kolację, pomyślała. Usiadła, odsunęła włosy z twarzy.

- Tak?

Znowu zapukano.

- Kto tam?

Pukanie ustało, ale nikt nie odpowiedział.

Nie otwieraj.

Zapadł zmierzch. Zimno i ciemność wypełniły przestrzeń. Dziewczyna wstała z łóżka, nie odrywając wzroku od drzwi. Chłopiec, napięty jak łuk, skulił się i objął rączkami brzuch.

Największy strach budziła w niej ta cisza. Brała pod uwagę każdą możliwość: mogła to być nawet policja. Ktokolwiek jednak to był, dlaczego nie odpowiadał?

- Kto tam jest? - krzyknęła bliska płaczu.

Nie otwieraj. Nie otwieraj.

Nagle drzwi

noc

rozchylły się.

Powoli i bezszelestnie, jak kartki książki. Dziewczyna i chłopiec wpatrywali się szeroko otwartymi oczyma w ciemny prostokąt.

Nikogo nie było.

Chce nas nastraszyć.

Przełknęła ślinę. Czas był jak wieczność. W końcu zebrała odwagę, żeby się poruszyć. Przytulając do siebie dziecko, stanęła w progu. Serce biło jej mocno. Zlustrowała wzrokiem korytarz, schody, drzwi pozostałych pokoi.

Nikogo. Wszędzie ciemno.

panowała głęboka noc

Pomyślała, że może ktoś się pomylił: zapukał do niewłaściwego pokoju, a kiedy się zorientował, odszedł. Drzwi, prawdopodobnie niedomknięte, ustąpiły pod wpływem pukania. Zamknęła je i zabezpieczyła zasuwką. Chłopiec nadal był spięty. Próbowwała go uspokoić, przytulając mocno do siebie.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Wszystko w porządku.

Panowała głęboka noc. Zakłócały ją jedynie światła samochodu, malując pokryte sadzą ściany, okna z powybijanymi szybami i metalową bramę. To był stary opuszczony magazyn tekstylny - przy szosie wiodącej na południe - przeznaczony zapewne do rozbiórki, być może dlatego, że jakiś czas temu został zniszczony przez pożar. Odnalezienie go nie zajęło mu dużo czasu. Zatrzymał się przy bramie i wysiadł z auta.

Pijacka ciemność zaległa nad światem: ocieźlała, niezdarna czerń rozdarła srebrnym pazurem mdłego plastra księżycy. Ani śladu światel czy zabudowań w okolicy. Jeden jedyny samochód przejechał szosą - w momencie kiedy wysiadał - jakby go śledził. Rulfo spojrzął w jego kierunku, ale pojazd pojechał dalej, oślepiając go na chwilę.

Brama zamknięta była na łańcuch. Tablica obwieszczała liczne zakazy, lecz on nie miał nic przeciwko łamaniu prawa. Wrócił do samochodu, zaparkował jak najbliżej bramy, wskoczył na maskę auta i manewrując tak, żeby przedostać się górą bez zbyt mocnego opierania na siatce, znalazł oparcie dla stopy i zsunął się na drugą stronę, uczepony metalowych rombów.

Zanim wyszedł z domu, pił przez dłuższy czas. Nalewał sobie coraz większe porcje whisky, mieszając je z odpowiednią ilością wody, i przełykał je szybko, żeby nie powstrzymało go nieuniknione pieczenie w gardle. Teraz wydawał się wystarczająco pijany, aby przyznać, że trochę się bał. Jego pijaństwa, podobnie jak obawy, zawsze były dość ograniczone: tej nocy jednak sięgnęły zenitu. Mimo to był przytomny i rześki. Jakby zamiast whisky zaaplikował sobie jakiś środek znieczulający. Czuł się odrętwiały, ale nie otepiały.

Do magazynu wiodły szerokie metalowe przesuwane drzwi, narobiły więc piekielnego hałasu, kiedy zaczął je otwierać.

Ostatnie wejście. Ostatni krok. *Lasciate.*

Przed chwilą, kiedy się z nimi mocował, prawie wybuchnął śmiechem. Przypomniawszy sobie nagle swoją matkę, potem Ballesterosa. To znaczy, tok jego myśli był następujący: matka, siostry, potrzeba, żeby ktoś go chronił, i Ballesteros. Wychował się wśród kobiet, lubił

kobiety, kobiety lubiły jego. I zawsze intensywnie przeżywał związki z kobietami. Kiedy dorastał, umawiał się na niezliczone randki z dziewczynami. Teraz czekała go kolejna. Tym razem nie z jedną, a z trzynastoma.

Te myśli przywiodły mu na pamięć Ballesterosa. Zastanawiał się, co powiedziałyby ten dobry racjonalny medyk na to, co się działo. Jakie wytłumaczenie znalazłby dla tych trzynastu dziwnych spraw.

Kiedy zardzewiałe echa drzwi rozproszyły się ostatecznie, otrzepał sobie dłonie i stanął, by w nikłym świetle docierającym z zewnątrz przyjrzeć się magazynowi.

Było to obszerne zakurzone pomieszczenie, podzielone na wpół zburzonymi ściankami na kilka części, przesiąknięte nieopisanym zapachem popiołu. Nic bardziej nieodpowiedniego na miłosne spotkanie. Niezbyt odpowiednie także na sabat, musiał przyznać.

Zaczął je obchodzić, posługując się ścianą znajdującą się po jego prawej stronie jak przewodnikiem. W powietrzu, oprócz kurzu, unosił się odór starych ekskrementów. Odgłos jego kroków po ciemnym gruzowisku przywoływał na myśl coś groteskowego, surrealistycznego: jakby przeskakiwał z łóżka na łóżko w domu starców, deptając pensjonariuszom po piersiach, a oni rzęzili chrapliwie. Ale nawet to go zbytnio nie obchodziło. Whisky pomagała też stawić czoło niewidzialnym emerytom.

Postanowił zatrzymać się gdzieś w połowie ściany. Pomieszczenie było duże, a one nie powiedziały mu, g d z i e dokładnie ma czekać. Pomyślał, że każde miejsce będzie właściwe.

Jego stopy rozpoczęły szczegółową inwentaryzację, próbując wyznaczyć czworobok odpowiedni dla jego pupy: nie przeszkadzało mu, że usiadzie na odchodach, choć pomimo wypitej whisky czuł, że zakończenie sabatu na izbie przyjęć, ze szwami na tyłku pociętym szkłem lub drutem, byłoby przesadą. Wreszcie ześlizgnął się plecami po ścianie, usiadł ostrożnie na podłodze i oparł się o mur. Natychmiast wpadł w panikę, w obawie że może zasnąć. Ale nie: nie zaśnie, mimo upojenia alkoholowego. Był zbyt czujny, zbyt podekscytowany, jak dziecko w noc Trzech Króli.

Rzucił okiem na fluorescencyjną tarczę zegarka. Za trzydzieści pięć minut nadejdzie dwunasta. I ich trzynaście.

Cień zbliżył się bezszelestnym krokiem. Popatrzył na samochód zaparkowany pod bramą i odgadł, jak Rulfo dostał się do środka.

Podszedł do samochodu i wspiął się na jego maskę.

W jaki sposób się zjawia? Na miotłach? W limuzynach? Pod postacią kotów? A może szczurów?

Lewą dłonią namacał imago w kieszeni brudnej marynarki. Jeszcze raz przeanalizował nakreślony przed wyjściem plan: odda im figurkę w zamian za swego rodzaju układ, zobowiązanie, że uszanują jego życie i życie jego przyjaciół. Jeśli naprawdę nie mogą mu jej odebrać, dysponował ważnym atutem i nie zamierzał go zaprzepaścić.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Po lewej stronie.

Wstrzymał oddech, odwrócił się. Słabe, księżycowe światło wpadające przez duże okna nie pozwoliło mu dojrzeć nic nadzwyczajnego. Może chodziło o jakąś mniejszą formę życia. A może to były one... Pozostało jednak jeszcze dwadzieścia minut. Wstał i czekał, ale nic się nie wydarzyło.

Nie, nie zaśnie.

Kiedy usiadł ponownie, usłyszał kroki, tym razem niebudzące żadnych wątpliwości, i jakiś cień wzniósł się nad nim jak kolumna zakrzepłej nocy.

- Co tu, u diabła, robisz?

- Mówiłeś przez sen. Wczoraj, w swoim cholernym domu, przez swój cholerny sen... Nie spałam, słyszałam cię. Chciałam cię obudzić, ale nie mogłam. W życiu nie widziałam, żeby ktoś miał takie koszmary. Przysięgam. Kiedy się rzucałeś, krzyczałeś i tak dalej, myślałam, że... Myślałam, że się zsikasz do łóżka albo że sama się zsikam. Wtedy usłyszałam, jak mówisz, że dzisiaj w nocy stawisz się na spotkanie... Nie wiem, z kim, do diabła, rozmawiałeś, a może raczej myślałeś, że rozmawiasz, ale nie fatyguj się, nie musisz mi mówić... Napędziłeś mi stracha, więc ulotniłam się czym prędzej. - Włożyła wskazujący palec do ust i nagryzła skórkę w charakterystyczny dla siebie sposób. Rulfo zrozumiał, że kryje w sobie więcej strachu i alkoholu niż on sam. Nikła pajęczyna światła kreśliła linie na jej czerwonym płaszczu. - Potem jednak postanowiłam dowiedzieć się, co zamierzasz zrobić... Wróciłam pod twój dom i śledziłam cię zza rogu... - Uśmiechnęła się nerwowo w ciemnościach. - Czułam się jak w jednej z tych komedii, które odgrywaliśmy przed Cesarem... Zobaczyłam, że się wymykasz po kryjomu, wsiadłam do samochodu i ruszyłam za tobą. Kiedy zaparkowałeś, pojechałam dalej, żeby nie wzbudzić twoich podejrzeń. - Rulfo przypomniał sobie jadący za nim samotny pojazd. - Potem zatrzymałam się i wróciłam piechotą... Po drodze myślałam... Myślałam o tym, co zrobiliśmy wczoraj, i zrozumiałam, dlaczego tak postąpiłeś, dlaczego o d w z a j e m n i ł e ś moje pocałunki i zaprowadziłeś do łóżka... - Teraz w jej głosie słychać było lodowatą wściekłość. - Chciałeś, żebym

zapomniała o waszej s p r a w i e, tak? Chciałeś, żebym nadal wierzyła, że chodzi o zwykłą kłótnię pozostającej w związku pary. Ale alkohol, jak mawia César, jest... hagiograficzny! Chyba tak się mówi. Alkohol wymyśla niestworzone historie i odkrywa tajemnice. Dziś po południu dzin z tonikiem wyjawiał mi wasz wspaniały plan... I już wiem, że od powrotu z Barcelony robicie wszystko, żeby mnie c h r o n i ć. - Ostatnie słowo wymówiła z wyrachowaną pogardą, chuchając dzinem i wypluwając kawałeczek skórki. - Boże, co za durnie! Wszyscy faceci to durnie!

- Nie powinnaś tu przyjeżdżać. Nie powinnaś mnie śledzić.

- Myślisz, że mnie obchodzi, co knujecie za moimi plecami? - wybuchnęła Susana. Jej słowa budziły we wnętrzu hali rozproszone echa. - To pusty magazyn, Salomonie! Co, do cholery, masz nadzieję znaleźć w tym pieprzonym miejscu?! Czy wy obydwaj oszaleliście?!

Nagle Rulfo zdał sobie sprawę, że kłótnia w tym ciemnym, ponurym pomieszczeniu, śmierdzącym mysimi ekskrementami, jest żalosna. Nie tak wyobrażał sobie najbardziej decydujące spotkanie w swoim życiu. Ogarnęło go wrażenie nierealności, towarzyszące mu podczas ostatnich dni. Susana, w czerwonym płaszczu, pachnąca perfumami, była jak głos rozsądku, codziennej prozy: żadna czarownica nie byłaby w stanie stawić temu czoło. Czego tak naprawdę spodziewał się wraz z wybiciem godziny dwunastej?

Wtedy przypomniał sobie Rauschena torturowanego w pustym pokoju.

Coś mu mówiło, że to, co niemożliwe, może się wydarzyć w każdej chwili, a kiedy to nastąpi, ona nie powinna się tu znajdować.

Cyfry na jego zegarku błyskały z przeraźliwą wyrazistością: jedenasta pięćdziesiąt siedem...

- Posłuchaj: wsiądziesz natychmiast do samochodu i wrócisz do Madrytu. Słyszysz? Odjedziesz, i to już! Możesz jechać do Cesara, jeśli chcesz, i pogodzić się z nim... Tylko odejdz stąd.

- Przerażasz mnie - stwierdziła.

- Właśnie o to mi chodzi.

Jedenasta pięćdziesiąt osiem... Rozejrzał się po otaczających ich ciemnościach. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło.

- Salomonie... - Głos Susany złagodniał. - Wiesz co? Nie przejmuję się kłótnią z Cesarem. Wiem, że dał się ponieść twoim ekstrawagancjom... Ale nie opuszczę cię teraz. Wczoraj... kiedy to robiliśmy... wszystko to, co robiliśmy... miałeś straszny sen... Nie wierzę w czarownice, ale wiem, że z tobą dzieje się coś niedobrego... i nie zostawię cię... Powiem ci coś, o czym nie wiesz: wielu znajomych wspominało mi o tobie przez te wszystkie lata... Ta

dziewczyna, którą miałeś... - Rulfo siedział, wpatrując się w nią nieruchomo. - Coś się z nią stało, prawda? Coś tragicznego, co bardzo przeżyłeś. Zmieniłeś się. Dlatego cię nie zostawię. Możesz zacząć szukać jakiegoś usprawiedliwienia na wypadek, gdyby duch się nie pojawił.

- Susano...

Objął ją, nie zastanawiając się, co robi. Przytulił ją do siebie i poczuł, jak wstrząsa nią szloch. Zastanawiał się, czy prawdą jest to, co powiedziała. Czyżby śmierć Beatriz uczyniła go podatnym na absurdalne fantazje o czarownicach?

- Nie zostawię cię... - mówiła. - Już nigdy cię nie zostawię.

Ciche piknięcie zegarka powiadomiło go, że wybiła godzina. Przytulając Susanę, rozejrzał się dokoła ze strachem wypisanym na twarzy. Pomieszczenie jednak nadal tonęło w ciemnościach i ciszy. Słyszał było jedynie ich oddechy. Jeśli damy krążyły wokół, musiały być tak ulotne jak promienie księżyca. Ujął twarz Susany w swoje dłonie i uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała uśmiechem, jej oczy błyszczały.

- Dobrze. Powiem ci, co zrobimy. Wyjdziemy stąd razem... Pojedziemy do Cesara, porozmawiamy z nim i... - Naraz twarz Susany stężała pod jego dotykiem, uśmiech znikł, oczy zapadły się pod powiekami, ukazując biel białek. - Susano?

- Panie Rulfo - powiedziała nagle obcym głosem.

Rulfa przeszła gwałtowna seria dreszczy; odsunął się. Rozpoznał ten głos: fale, jakie wysyłała do niego dziewczynka, nasycone niekończącymi się echemi.

- Proszę za mną, panie Rulfo.

Drżące ciało Susany wykonało półobrót (trzepoczące białka pozbawione źrenic) i zaczęło poruszać się chwiejnie, jakby było lalką, którą gigantyczna dziewczynka zapragnęła przesunąć z jednego miejsca na drugie. Rulfowi przyszedł na myśl sposób poruszania się zwłok Rauschena.

- Proszę za mną - powtórzył głos.

Podążył za tą kukłą w głąb magazynu. Pokonał tę straszną, doprowadzającą do obłędu trasę jak w jakimś koszmarze. Wtedy je zobaczył. Tak po prostu.

Krag nagich kobiet stojących na spopieliałych zgliszcach, trzymających się za ręce, nieruchomych w ciemnościach.

Fakt, że w końcu po raz pierwszy widzi je na własne oczy, nie przyniósł mu ulgi. Wręcz przeciwnie, zrodził w nim poczucie niemocy, bezbronności, jakby nagle pojął, że żadna wymówka nie zda się już na nic: ani szaleństwo, ani koszmary, ani oszustwo. Były tam, przed nim. Damy. Realne jak poezja. Nie miał wyjścia.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że pozbawione są twarzy i włosów, a ich stawy

znaczą głębokie nacięcia. Zrozumiał, że to manekiny, lalki naturalnej wielkości, figury z wystaw bez ubrania i włosów ustawione w krąg pośrodku magazynu. Zdezorientowany odwrócił się do Susany.

- Gdzie jesteście?

- W realnym świecie, tutaj - odparł głos, w równym stopniu pozbawiony ekspresji, co usta, z których się wydobywał. - Ale rzeczywistość jest bezkresna, panie Rulfo. Proszę nam oddać imago.

- Skąd mam wiedzieć, czy potem puścicie nas wolno?

- Proszę nam oddać imago - powtórzyło to c o ś i wyciągnęło dłoń skierowaną wewnętrzną stroną ku górze.

- Nie - powiedział Rulfo. - Dopóki nie opuścicie ciała Susany i nie pozwolicie jej odejść.

Usłyszał trzepot słów. Subtelny, piękny, francuski wiersz (może Mallarmego, nie zdołał rozpoznać) wijąc się, ześlizgnął się ku niemu jak jadowita żmija. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, woskowa figurka wyskoczyła z jego kieszeni i spadła na dłoń Susany, która zacisnęła się w pięść. Zdumiony Rulfo zrobił krok do przodu.

- Nie możesz mi jej odebrać... Nie możesz zatrzymać imaga, jeśli sam ci go nie oddam.

- To prawda. - To coś, co mówiło ustami Susany, rozchyliło palce: maleńki ogień trawił figurkę. - Tyle tylko, że to n i e j e s t imago.

W świetle płomienia Rulfo dostrzegł roztapiający się wosk.

Kontury świata rozmywały mu się przed oczyma, a on patrzył na figurkę wylaniającą się spod spodu, przypominającą do złudzenia plastikowego żołnierzyka.

IX. POSIADŁOŚĆ

Hałas obudził ją natychmiast. Delikatny dźwięk, ale wyraźny, jakby ktoś wszedł do pokoju.

Przypomniała sobie, że zarówno okno, jak i drzwi są zablokowane: po tym, co się stało poprzedniego dnia, sama je zabarykadowała krzesłami i małym biurkiem. Nikt nie mógł niespodziewanie wdrzeć się do ograniczonej przestrzeni hotelowego pokoju, wiedziała to z całą pewnością.

Podniosła jednak głowę i zatopiła wzrok w ciemnościach. Dawniej Raquel nie przejęłaby się tym zbyt i starałaby się zasnąć ponownie, ale teraz nie była już tamtą Raquel: teraz była kimś, kto wiedział, że odgłosy dobiegające z ciemności są niebezpieczne.

Lustrowała wzrokiem pomieszczenie na tyle, na ile pozwalał nieprzenikniony mrok. Nie chciała zapalać światła, żeby nie obudzić dziecka śpiącego u jej boku. Nie zauważyła nic dziwnego, pomyślała więc, że hałas mógł dobiegać z innego pokoju. Nagle poczuła, że chłopiec unosi się, cały spięty. Jego sen był równie lekki jak jej sen.

- Ciii... - szepnęła, głaszcząc go. - Nic się nie dzieje.

Nie chciała go straszyć bez potrzeby. Najprawdopodobniej to tylko fałszywy alarm. Wołała się jednak upewnić.

Ostrożnie, nie przestając głaskać dziecka, drugą ręką sięgnęła do nocnej lampki. Zamrugła powiekami pod wpływem nagłej jasności.

Naprzeciwko nich stał z założonymi rękoma Patricio. Ubrany jak zwykle: sportowa kurtka i dzinsy, wszystko nowe i stosunkowo czyste. Okolony wąsami i bródką szeroki uśmiech wykrzywił się jak brzytwa.

Paradoksalnie, po początkowym przerażeniu, świadomość, że widzi go całego i zdrowego, przywróciła jej niemal spokój. Śnię, to była jej pierwsza myśl. Próbowała się podnieść, ale (sen to był czy też nie) zjawa wyciągnęła rękę, złapała ją za stopę z niespodziewaną, brutalną siłą i ściągnęła z łóżka. Uderzenie o podłogę okazało się bardzo

realne; przez chwilę dziewczyna nie reagowała.

Wtedy usłyszała krzyk dziecka.

Podparła się na łokciu i zobaczyła, że Patricio łapie chłopca za szyję, tak jak chwytają się węże, podnosi do góry i obserwuje, jak dziecko szamoce się w powietrzu.

Dziewczyna nie miała pewności, czy to nadal nie jest sen, ale nie wahała się dłużej: wstała, chwyciła nocną lampkę i na ułamek sekundy światło w jej dłoniach zamieniło się w niemą błyskawicę, odbijając się od ścian. Mężczyzna odparł jej atak z łatwością, abażur poszybował w powietrze.

- Dobrze uderzenie - powiedział Patricio z uśmiechem.

Jednocześnie wymierzył jej cios, który zaparł dziewczynie dech w piersiach. Łapiąc powietrze, zatoczyła się pod ścianę i osunęła na podłogę. Patricio zbliżył się i nie puszczając chłopca, pochylił się nad nią. Światło przewróconej lampy nadawało jego obliczu teatralny wygląd diabła.

- Próbowalaś nas oszukać, Raquel. Dałaś temu głupcowi fałszywą figurkę, a prawdziwą schowałaś. To niewłaściwa pora na takie gierki.

Dziewczyna patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczyma, bezskutecznie usiłując się doszukać jakiejś maski, jakiegoś przebrania.

- Dziwi cię mój widok? No cóż, pozostawiłaś mnie w nie najlepszym stanie, przyznaję. Ale nie ma sytuacji bez wyjścia: po twojej ucieczce odwiedził mnie przyjaciel i przywrócił mi... stabilność. Co nie znaczy, że n i e b o l i mnie to, co mi zrobiłaś... - Wtem jego twarz nabrała rubinowej barwy dobrego wina i pokryła się bąblami po świeżym oparzeniu. - Bolało mnie bardziej, niż myślisz... - Jego oczy strzeliły jak balony na przyjęciu, zalewając oczodoły krwią i opryskując Raquel. Na jej spodniach wykwitł płynny goździk. - Dlaczego odsuwasz twarz? Sama mi to zrobiłaś. - Gruba szyja otworzyła się jak drugi uśmiech, tuż poniżej pierwszego. Wytrysły arterie, nerwy i ścięgna. Krew ścięła się, ciało napuchło i nabrało nowego odcienia. Zaczął cuchnąć. - Ale wiesz, co? - Trup Patricia rozkładał się na jej oczach w zawrotnym tempie. Siny, obrzękły język z trudnością poruszał się w ustach. - Ktś pomógł mi wrócić... - Jedną ręką rozpiął kurtkę. Dziewczyna zobaczyła słowa wypisane na jego piersiach: „Niech narzeczeni narzeczonymi pozostaną na wieczność”.

Nagle w pokoju, obok Patricia, pojawił się ktoś jeszcze. Czarne okulary i uśmiech przecinały jego twarz. Kiedy wyciągnął rękę w jej kierunku, dziewczyna wydała ostatni krzyk.

Przez moment myślał, że stoi. Zdziwił go więc widok krzeseł stojących na ścianach. Po chwili rozbudził się do końca i przekręcił na stabilnym oceanie łóżka. Słyszał bicie własnego serca i dobiegające z daleka rytmiczne kryształowe dźwięki fortepianu.

Nie odczuwał bólu ani żadnych innych dolegliwości. Miał na sobie to samo ubranie, co zwykle. Znajdował się w dużej, starej sypialni. Brudny, mroczny magazyn na obrzeżach Madrytu był ostatnim miejscem, jakie zapamiętał; nie wiedział, gdzie teraz jest ani w jaki sposób mógł tu trafić. Wstał i podszedł do okna. Gęsta ściana drzew opanowała cały jesienny ogród. Poza nimi lśniło słońce.

Myślał, że drzwi będą zamknięte, ale tak nie było. Kiedy je otworzył, do jego uszu wdarła się muzyka Chopina. Spozrzegł schody prowadzące na dół. Zszedł po nich i znalazł się w salonie. Jakaś dziewczyna, odwrócona do niego tyłem, zmagала się z zawilościami klasycznej klawiatury. Jej włosy spływały jasną kaskadą, zasłaniając taboret, na którym siedziała. Drugą osobą w pomieszczeniu była starsza korpulentna kobieta, w okularach w metalowej oprawce, kremowym sweterku i gładkiej spódnicy, próbująca rozruszać stary bujany fotel. Na widok Rulfa podniosła się pospiesznie.

- Pan Rulfo! Miło pana poznać!

Wyciągnęła do niego rękę. Ucisnąwszy ją, spostrzegł pokrywające ją owłosienie. Kobieta przypominała transwestytę. Jej makijaż z gęstej bieli ołowiowej, krwistoczerwone wargi i rzęsy ociekające tuszem ocierały się o kicz. Ciemnokasztanowa peruka układała się w drobne loczki. Na jej okazałej piersi błyszczało coś w rodzaju broszki: coś na kształt głowy kozy. Mówiła płynnie po hiszpańsku, z lekkim francuskim akcentem i piskliwą, zniewieściałą nutą.

- Poświęci mi pan trochę czasu i obejrzy dom? Proszę za mną... Proszę uważać na krzesło...

Dziewczyna przy fortepianie przestała grać i patrzyła na Rulfa w milczeniu. Rulfo, wciąż zdezorientowany, podążył śladem pospiesznych kroczków otyłej kobiety. Przeszli przez salon i znaleźli się na swego rodzaju kamiennym ganku z kasetonowym, drewnianym stropem. Wychodził na przepiękny ogród. Nieskończona ilość motyli zwiedzała go we wzniosłej ciszy. Były ich całe chmary. Słońce w zenicie zdradzało południe.

- Nadal jest pan trochę nieprzytomny, prawda? To rozumiałe... Ale proszę się pospieszyć... Mamy tyle do obejrzenia! To ogromna posiadłość... Moim zadaniem jest zajmować się gośćmi, przyjmować ich, wprowadzać i ukierunkowywać. Jestem kapłanką, można by powiedzieć. Proszę spojrzeć: tutaj - pokazała - rosną drzewa pomarańczowe. Mamy bardzo dobre pomarańcze. I dużo kamiennych płaskorzeźb. Nimfeum i fontanny. Tablice. I

obelisk przy wejściu, po drugiej stronie, z reliefami w języku koptyjskim. Otaczające nas krajobrazy są najpiękniejsze w całej południowej Francji...

Południowa Francja, pomyślał Rulfo. Posiadłość, w której się zbierają. Nie wiedział, w jaki sposób go tutaj przeniosły ani ile minęło dni.

- W ogrodzie mamy bukszpan przycięty techniką *topiary*, lecz stąd go nie widać. Rośnie obok obelisku. Jest także pomnik siedzącej, długowłosej bogini z wyrytym na postumencie wierszem Rosettiego. I, oczywiście, antyczna świątynia... W tym skrzydle znajdują się rapsodomusy. Widział pan, ile motyli? W piwnicach mamy komnaty przeznaczone do indywidualnego użytku, ale w czasie uroczystości zbieramy się zazwyczaj w ogrodzie, wokół przepięknej altany... A propos, dziś wieczorem mamy bal. Prawdę mówiąc, rzadko tu przyjeżdżamy. W przeciwnym razie to wszystko byłoby lepiej utrzymane.

- Gdzie jest Susana? - spytał Rulfo, usiłując zrozumieć, co się wokół niego dzieje.

Kobieta zatrzymała się i spojrzała na niego z niemal komicznym przerażeniem.

- Proszę o tym nie mówić. Bądźmy dyskretni. Dziś wieczorem będziemy mogli porozmawiać spokojnie. Tymczasem... - Włożyła palec do ust. Paznokcie miał kolor truskawki. - Cicho sza! Lepiej się powstrzymać. Tutaj ściany mają uszy. Czasem nawet odpowiadają. - Zaśmiała się, odsłaniając zęby poplamione szminką. - Mogę się oprzeć na pana ramieniu? Dziękuję. Okropnie bołą mnie nogi. Te buty mnie wykończą... Proszę spojrzeć, to rapsodomus. - Wskazała komnatę pozbawioną okien, której jedyne drzwi otwierały się na galerię. W środku panowały ciemności, ale można było dostrzec ciężkie kotary i wyłożoną dywanami podłogę. Rulfo pomyślał, że jest to dość wierna kopia błękitnego pokoju Lidii Garetti. Motyle wlatywały do pomieszczenia i wylatywały z niego jak wielobarwne konfetti. - Wewnątrz rapsodomusów recytacja przynosi lepsze efekty, dźwięk jest dużo czystszy... Ten dom jest plastrem pustych pomieszczeń... Podoba mi się pana bródka, kawalerze. Chciałabym mieć taką bródkę, a także mniejsze piersi. Niestety jedyne, co mi się udało osiągnąć, to dość przyzwoity zadek. Miło jest z panem spacerować. Powinien się pan przygotować do balu. Oczekuję, że zaprosi mnie pan do pierwszego tańca. Zgoda?

- Do jakiego balu?

- Przecież mówiłam! - Kobieta robiła wrażenie poirytowanej. - Czy pan mnie nie słucha? Nie znoszę, kiedy ktoś mnie nie słucha. Do balu, który wydajemy dziś wieczorem.

- Raquel też tu jest?

- Ależ z pana uparciuch! Przystojny, lecz uparty. Proszę, żeby pan więcej nie nalegał.

Kobieta skrzywiła się, ściskając Rulfa za ramię. Ogród i galeria ciągnęły się dalej, ale jego przewodniczka zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami, wyjęła klucz i otworzyła

je, ukazując jego oczom niewielką izbę cuchnącą jak szalet publiczny: wyglądała na łazienkę niesprzątaną od miesięcy. W zalegających w głębi ciemnościach poruszał się jakiś cień.

Susana.

Odsunąwszy się od ekstrawaganckiej otyłej kobiety, Rulfo wszedł do środka i uklęknął obok niej.

- Wyrządzili ci krzywdę?

Susana pokręciła przecząco głową. Obgryzała paznokcie. Miała brudne ubranie, czerwony płaszcz leżał rzucony na podłodze, ale chyba nic jej się nie stało.

- Niechętnie państwa zostawiam - powiedziała kobieta śpiwnym tonem, stojąc w progu - ale... obowiązki wzywają. Moim zadaniem jest wszystko przygotować. Strasznie mi gorąco w tych halkach... Zobaczymy się wieczorem, na balu. Proszę pamiętać, że obiecał mi pan pierwszy taniec - dodała i odeszła. Zamknęła drzwi, przekręcając dwukrotnie klucz w zamku.

Szparry w ścianach przepuszczały trochę światła, dzięki czemu ciemność nie była całkowita, natomiast stęchłe powietrze wypełniające niewielką izbę okazało się nie do zniesienia. Rulfo zdjął marynarkę i usiadł na podłodze obok Susany.

- Jest obrzydliwa - wyszeptała, gryząc palec. - Robi mi się niedobrze na jej widok.

- Mnie również.

- Jest obleśna! Odpychająca! Jest...! - Przerzuciła się na drugi, tym razem mały palec. Gryzła go rozpaczliwie.

- Nic nam nie zrobią, Susano. Uspokój się. Chcą tylko odzyskać figurkę... Tę, którą wyciągnąłem z akwarium. Pamiętasz, co wam opowiadałem? Tylko tego chcą. Potem nas uwolnią.

Zastanawiał się, dlaczego Raquel go oszukała. Był pewny, że to ona sfabrykowała fałszywe imago za pomocą jednego z żołnierzyków syna i roztopionego wosku. Przypomniawszy sobie wypalone świece, które widział w jej domu, i słowa chłopca wpatrzonego w figurki: „Jednej brakuje”. Tylko dlaczego to zrobiła? I dlaczego nic mu nie powiedziała?

Odwrócił się do Susany, świadomy, że przede wszystkim musi ją teraz uspokoić.

- Przestań gryźć palce, zrobisz sobie krzywdę...

- Niecee...

- Musisz nad sobą panować! - Rulfo odciągnął jej rękę od ust.

Reakcja Susany zaskoczyła go: uwolniła się gwałtownym szarpnięciem i ponownie uniosła palce prawej dłoni ku zębom, jak wygłodniały drapieżnik, któremu ktoś próbuje odebrać pożywienie.

- Zrobili mi ccccoś - wymamrotała niewyraźnie, wskazując drugą ręką na brzuch.

Lodowaty cios przeszył wnętrzości Rulfa. Uniósł brzég swetra Susany i pochylił się. Pomimo mroku wers, czarny i błyszczący, uczepony białej skóry jak kleszcz, był całkowicie czytelny.

O rose thou art sick.

William Blake. César zachwycił się Blakiem, tajemniczym poetą i rytownikiem angielskim. Czyżby inspirowała go Maleficiae, numer sześć, androgeniczna dama z symbolem kozła? Czy nie ten symbol widział na szyi przesadnie wypacykowanej kobiety? Nie to jednak interesowało go w tym momencie.

- Kiedy ci to napisali?

Pojękując i wbijając zęby w paznokcie dwóch palców, odpowiedziała:

- ...kiedy się obbbbudziłam... Tutaj...

- I od tamtej pory nie możesz... przestać... się gryźć? - Rulfo namacał pozostałe palce jej dłoni i zatrząsł się: krwawiąca, spuchnięta miazga pod paznokciami przypominająca żywe mięso była dosłownie na wierzchu; palce poruszały się jak małe, ślepe zwierzątka.

Starał się myśleć szybko. Bóg jeden wiedział, jak daleko sięga moc filakterii. Bóg jeden wiedział, kiedy u s t a n i e. Strumień lodowatego potu spływał mu po plecach.

- Posłuchaj mnie uważnie, Susano... Uspokój się i słuchaj. - Skinęła głową, nie porzucając swojego misternego zajęcia. - Wiersze wywołują różne skutki. Pamiętasz, co César opowiadał nam o mocy poezji? Wypisali na tobie wiersz i to zmusza cię do... do tego, co robisz. Zrozumiałaś? - Nie wiedział, czy jasno jej to tłumaczy, nie wiedział też, czy powinien to robić. Ale uważał, że powinna mieć świadomość tego, co się dzieje. Susana ponownie skinęła głową. - Dobrze. Zrobimy tak: zwiążę ci ręce na plecach, zgoda? Nie zrobię ci krzywdy, obiecuję.

Mówiąc do niej, podniósł swoją marynarkę. Rękawy były za krótkie. Wtedy spojrział na jej płaszcz leżący na podłodze. Miał pasek. Nada się doskonale.

- Daj ręce, Susano... Słyszysz mnie? Daj mi ręce...

Kiwała głową, nie wykonując polecenia. Zrozumiał, że musi użyć siły. Z trudem oderwał jej palce od ust. Słabe światło przenikające do celi wystarczyło, by się przekonać, że uszkodzenia sięgały już kostek. Susana musiała odczuwać wściekły ból, a mimo to desperacko broniła się przed jego pomocą. Szarpała się, sięgając otwartymi ustami do dłoni. Przytrzymał ją za ręce i przekreślił twarzą do dołu. Paskiem związał jej nadgarstki na plecach i

zacisnął dobrze węzeł, upewniwszy się, czy nie tamuje przepływu krwi. Kiedy było po wszystkim, pogłaskał ją po spoconej twarzy i odgarnął włosy z czoła.

- Lepiej ci?

- Rozwiąż mnie.

- Susano...

- Rozwiąż mnie rozwiąż mnie rozwiąż mnie rozwiąż mnie rozwiąż mnie rozwiąż mnie

r o z w i ą ż m n i e!

Przerwał jej nagły szloch.

- Posłuchaj, Susano: musimy porozmawiać. Porozmawiajmy, zgoda? - Podwinął jej sweter, poślinił rękę i próbował zetrzeć wers. Wiedział, że to daremny wysiłek, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. - Mów do mnie, powiedz mi coś...

- Nie chcę się gryyyyżć... - zaszlochała.

- Naturalnie. I nie będziesz tego robić. Zaufaj mi.

- Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie - wyszeptała. - Najlepszym ze wszystkich. Jesteś... Na Boga! Uwolnij mi choć jedną rękę! Proszę... Bo oszaleję! Tylko jedną rękę!

- Ciii, uspokój się. Rozmawiajmy dalej. Nie zgadzam się z tobą, jestem egoistą... - Udało mu się prawie całkiem zetrzeć napis, mimo to nadal wątpił, czy to odniesie jakikolwiek skutek. Uważał, że przede wszystkim należało ją czymś zająć. - Ty natomiast nie jesteś egoistką. Udowodniłaś to. Wiesz, dlaczego tu jesteś? Ponieważ martwiłaś się o mnie. Słyszałaś, co ci mówiłem przez sen, i posta... - głos załamał mu się w połowie słowa. Zdusił szloch. - Postanowiłaś mnie śledzić... Niepokoiłaś się o mnie...

- Kocham cię... - powiedziała Susana słabym głosem, trzęsąc się jak narkomanka na odwyku. - Żyłam z Cesarem przez te wszystkie lata, lecz nie mogłam o tobie zapomnieć... Problem w tym, że on zapewniał mi życie, jakiego pragnęłam... Rozumiesz? Czy to aż takie złe?

- Nie jest złe. Wcale.

- Musiałam wybierać. Wybrałam jego. Ale zapewniam cię, że od tamtej chwili... codziennie... myślę, że nie byłam szczerą. Teraz chcę być szczerą i chcę, żebyś mnie zrozumiał... Zwłaszcza żebyś mnie zrozumiał! - Nagle uniosła głowę i zaczęła mówić w zaciekłym pośpiechu. - Rozwiąż mnie, Salomonie, bo cię zabiję. Nie wytrzymam dłużej. Potrzebuję tego. Słyszysz? To moje cholerne palce i mogę z nimi robić, co mi się podoba!

- To twoje palce, ale ty nie jesteś sobą - odpowiedział Rulfo ze spokojem.

- Rozwiąż mnie, cholerny draniu! Rozwiąż, ty draniu, ty sukinsynu!

Krzyki ogłuszyły go. Obserwował, jak rzuca się po podłodze, wbijając zęby w

powietrze. Przypominała wściekłego psa, jedną z tych dzikich bestii, które łapią naukowcy, aby je oznakować. Czyniła nadludzkie wysiłki, żeby się uwolnić, i Rulfo był pewny, że uda jej się to wcześniej czy później. W końcu przestała walczyć: leżała na plecach, dysząc. Jej oczy ciskały błyskawice w jego kierunku.

- Tylko jeden palec... Tylko jeden... Ulituj się, uwolnij choć jedeeen...!

- Zgoda - powiedział Rulfo i pochylił się nad nią. - Jeden palec, dobrze? Tylko jeden.

Bez uprzedzenia wymierzył jej cios pięścią prosto w podbródek.

światło

Obliczył siłę ciosu. Miał nadzieję, że nie zrobił jej krzywdy. Straciła przytomność. Przyglądając się jej, zaniósł się płaczem.

Światło.

Oślepiające.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, jak jego oczy. Obok niego Susana nadal leżała ze związanymi rękoma. Prostokąt światła intarsjowany jakimś cieniem przebił ciemności od strony drzwi. Rulfo zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć.

To była dziewczyna, która przedtem grała na fortepianie. Miała na sobie prostą białą sukienkę, była bosa. Na jej piersi błyszcziała złota róża z kolcami. Jej gęste gładkie włosy przywodziły na myśl tombak. Patrzyła tak urokliwie, że nagle ogarnęła go żal. Jej twarz i ciało wydały mu się tak piękne, że bał się, iż straci wzrok, kiedy znikną.

- Potrzebujemy imaga, żeby całkowicie zniszczyć Akelos - dobiegła go muzyka jej głosu.

- Nie mam go - powiedział przez łyż. - Przykro mi, naprawdę... Nie mam go... Myślałem, że mam, ale mnie oszukano.

Nienawidził Raquel. To oczywiste, że ta przebiegła lisica go oszukała. Przez jej knowania nie mógł teraz sprawić przyjemności jedynej istocie na świecie, jaka na to zasługiwała.

Dziewczyna patrzyła na niego z melancholią. Nic, co znał lub był w stanie sobie wyobrazić - pierwsze wspomnienie o matce, nawet Beatriz Dagger - nie dało się porównać z pięknem tej twarzy, w którą się teraz wpatrywał. Oddałby własne życie, żeby się uśmiechnęła. Własną krew. Wszystko, o co by poprosiła. Cokolwiek, byle tylko jej wargi się rozchyliły. Nie uczyniły tego jednak. Drzwi celi zostały zamknięte.

Ponownie pogrzył się w ciemnościach. Susana uwolniła się z paska. Teraz ogryzała

lewą dłoń. Palce prawej ręki, nawet w nikłym świetle wpadającym przez szpary w ścianach, wyglądały na wyraźnie krótsze. Sweter poplamiony był krwią.

- Boże mój - jęknął Rulfo.

Jego wysiłki zmierzające do uchronienia zdobyczy przed siekaczami tym razem okazały się bezowocne, podobnie jak zadany jej cios. Zrozpaczony wykrzykiwał jej imię w różnych tonach, błagalnym, autorytarnym, dopóki się nie zorientował, że nic w niej na to słowo nie reaguje. A kiedy przyjrzał się

z bliska jej twarzy,

zrozumiał, że cokolwiek powie lub zrobi, będzie daremne.

Twarz i oczy Susany Blasco zostały całkowicie wyzute z tego, co ludzkie. Rulfo widział jedynie miażdżące usta.

Ouroboros, wąż gryzący własny ogon.

Podszedł do drzwi i kopał w nie, aż skaleczył się w nogę. Krzyczał. Wygrażał. Uświadomił sobie, że kiedy hałasuje wystarczająco głośno, nie słyszy chrzęstu przeżuwania, tych doprowadzających do szału młaśnieć...

Po jakimś czasie opadł z sił. Przykucnął na podłodze, dysząc. Zasłonił sobie uszy dłońmi i zamknął oczy. Próbował przed tym uciec, myśleć o czymś innym.

O rose

Jego myśli pobiegły ku dziewczynie z medalionem w kształcie róży. Czy to była Lamia, numer piąty, ta, która Rozkochuje, inspiratorka Keatsa i Becquera? Nie był pewny, ale miał wrażenie, że zahipnotyzowała go, żeby mówił. Przesłuchiwały go i dlatego torturowały Susanę. Ale co takiego mógł im powiedzieć? Nie wiedział nawet, co Raquel zrobiła z figurką.

thou art sick.

Ouroboros.

Nie myśl o tym. Zastanów się, jak możemy się stąd wydostać, co zrobić, żeby...

Naraz usłyszał, odmienne od wcześniejszych, młaśniecie. Musiał otworzyć oczy. I natychmiast tego pożałował.

bal

Susana obgryzła już całe lewe przedramię, teraz wbijała zęby w okolice łokcia. Rulfo dostrzegł osobliwy błyszczący punkcik w zagłębieniu odartej ze skóry kończyny. Mały diament.

Ząb.

o rose thou art sick o rose thou art sick sick sick sick sick sick sick sick

Nagle cały świat zapadł się w ciemność.

Bal.

Dziś wieczorem wydają bal.

Pokój był luksusowo umeblowany. Sypialnia. Stał nagi, wymuskany na środku dywanu. Nie wiedział, jak się tu dostał: ostatnim miejscem, jakie zapamiętał, była tamta przyprawiająca o mdłości cela i... Pomyślał, że to, co przytrafiło się Susanie, musiało być sennym koszmarem. Od chwili przybycia do posiadłości, przestał się nawet dziwić temu, jak bardzo prawdziwe wydawały się jego sny w porównaniu z rzeczywistością.

Na łóżku, poskładana jak odświętny obrus, leżała biała koszula. Czarna muszka spoczywała na niej jak jakiś niezwykle motyl. Na wieszaku wisiał smoking. Zapewne chciały, żeby się w to ubrał. Tak też uczynił. Ubranie leżało na nim jak ulał.

Kiedy otworzył drzwi, fala staromodnych melodii, rozmów, wybuchów śmiechu i dźwięków fortepianu dotarła do jego uszu. W miarę jak schodził po schodach, oczom jego ukazywał się teatr cieni: cieni męskich i damskich głów rzucanych przez kandelabry. To był ten sam salon, w którym kilka godzin, a może kilka dni temu (nie był pewny, ile czasu upłynęło) przyjęła go otyła kobieta. Teraz pękał w szwach. Panowie mieli na sobie smokingi, kobiety długie suknie. Kelnerzy obojga płci nosili tace. Panowała atmosfera luksusowego przyjęcia.

Zszedł na dół i wmieszał się w tłum. W głębi dostrzegł szklane, dwuskrzydłowe drzwi otwierające się na młodą noc, nad którą wstawał księżyc. Noc poezji. Za drzwiami widniał taras z balustradą. Jakiś mężczyzna stojący tyłem do Rulfa rozmawiał z kobietą, której przyprawiający o zawrót głowy dekolt tworzył w dolnej partii jej pleców maleńkie „v”. Kiedy Rulfo podszedł, mężczyzna odwrócił się i spojrzał na niego.

Mężczyzną tym był César.

- Jestem tu *ad honorem*, mój drogi uczniu. Nie prosiłem o to, ale oczywiście umieścili mnie na liście.

Tłumaczenie wydało mu się absurdalne, lecz postanowił nie dziwić się niczemu i czekać na rozwój wypadków. Nagle naszła go ochota, żeby zapalić. A także napić się czegoś i coś zjeść. Zobaczył tacę trójkątnych kanapek orbitującą tuż przed nim. Wybrał dwie tartinki z pastą, która wyglądała jak *sobrasada**. Jak się okazało, mylił się, ale i tak były smaczne. César zaopatrzył go w kieliszek szampana, jednocześnie pochłaniając w całości, bez gryzienia, jakieś ciastko.

- Chciałem się z tobą zobaczyć - powiedział z fantasmagoryczną szybkością, jakby *bayonesa** znikła w jego ustach wessana przez szeroki ciemny otwór. - Musimy porozmawiać, Salomonie. Nie sądzisz? Podsumować wszystkie wydarzenia. Odtworzyć je. Wrócić do początku. To wymaga przemyślenia. Przejdziemy się?

Obsadzona bugenwillą ścieżka zachęcała do zgłębienia ciemności. W smokingach, z kieliszkami musującego złota w ręku, wyglądali jak dwaj ludzie interesu świętujący sukces nowego przedsięwzięcia.

- Znasz to miejsce? - César napuszonym gestem wskazał na ogród. - Jest ogromne. Pobuszowałem tu i tam. Niezliczone salony, rapsodomusy... Goście przyjeżdżają ze wszystkich stron świata. Każdy ma określone miejsce w grupie, choć powiedziano mi, że istnieje możliwość awansu...

- Mam to traktować jak ofertę pracy? - zainteresował się Rulfo.

César przyglądał mu się przez chwilę, po czym parsknął śmiechem.

- Ależ nie! To zwykłe drobiazgi. Drobiazgi! - Odzyskał powagę, nie w pełni jednak, jakby w głębi ducha nie przestał się śmiać. - Nawiasem mówiąc, jak się czuje Susana?

Rulfo, który właśnie unosił do ust kieliszek, z trudem przełknął łyk szampana.

- Źle. Bardzo źle. Czyżbyś tego nie wiedział?

· *Sobrasada* - ostra kielbasa wieprzowa popularna na Balearach.

* *Bayonesa* - ciastko z nadzieniem z dyni i karmelu.

- Cóż... Wiem tylko tyle, ile mi powiedziano. - César ściał kopniakiem chwasty rosnące na ścieżce. Czubek jego buta rozsypał wokół iskry lakieru. - Wiem, że ją gdzieś zamknęto, za głupotę. Wiem, że to nie najlepszy etap jej życia. I wiem, że nie powinna iść z tobą na to spotkanie. To wszystko, co wiem. Ale mówię ci *ad pedem litterae*, niektórzy płacą rachunki, inni je wystawiają. Może jej jednak wybaczą. Ostatecznie nie jest niczemu winna. To zależy od nas. Każde wypowiedziane słowo ma swoją wagę.

Ostatnie zdanie sprowadziło ciszę. Posuwali się naprzód, poza promienie cieni zbiegających się w domu. Dwóch innych gości (dwa białe gorsy balansujące w ciemnościach) minęło ich - zmierzając w przeciwnym kierunku - jak ich własne odbicia w ruchomym lustrze.

- One jeszcze nie przyszły - stwierdził César. - Ale przyjdą. Zawsze zjawiają się na końcu.

- Chyba miałem przyjemność niektóre z nich poznać.

- Ja również. To te najsympatyczniejsze, uprzedzam. Pozostałe są w gorszym nastroju. Choć to zrozumiałe. Są trochę zdenerwowane. Mają spore kłopoty. Kiedy przedstawiły mi je pokrótce, nie mogłem wprost uwierzyć. Cieszę się, że nie jestem jedną z nich, zapewniam cię. To byłoby straszne! Przechodzą teraz poważny kryzys. - Nachylił się do ucha Rulfa. Jego oddech był jak szampan w aerozolu. - Podejrzewają zdradę... Takie tam matactwa, wiesz, jak to jest. Nikomu nie mogą ufać... - Odsunął się i puścił do niego oko. Rulfo zastanawiał się, co próbował w ten sposób dać mu do zrozumienia. - Ale jest coś, co możemy zrobić, żeby wyjaśnić nasze sprawy. A po wszystkim będziemy mogli pójść do domu, żeby to uczcić. Lub jeśli wolisz, możemy tu zostać i przyjąć „ofertę pracy”, *ad libitum*... - Znowu się zaśmiał, jakby echo słów Rulfa wywoływało w jego wnętrzu nieuniknione łaskotki. - Możemy chyba nawet liczyć, że powrócimy do naszego poprzedniego, skromnego trybu życia. Łącznie z Susaną, oczywiście. Wszyscy zdrowi i weseli. One nam na to pozwolą. Potrzebna jest tylko współpraca z naszej strony.

Na wspomnienie o Susanie ścisnął mu się żołądek. Zaczynał rozumieć, że to, co widział w celi, nie było snem.

Ouroboros.

Nie myśl o tym.

- Ja już poszedłem na współpracę, w miarę swoich skromnych możliwości - kontynuował César. - Powiedziałem im o tym, co znaleźliśmy w domu Rauschena, tego błazna, zdrajcy i zbrojnego... - W oczach miał iskierki radości, nawet ton jego głosu był wesoły, jakby nie obrażał Rauschena, tylko z niego podkpiwał, stosując czułe określenia. -

Dołożyłem swoje ziarenko. Teraz twoja kolej. Wspólnym wysiłkiem zapanujemy nad sytuacją. Dlatego jeśli nie masz nic przeciwko, spróbujemy to zreasumować. - Zatrzymał się. Rulfo również. Rosnące wokół żywopłoty były irrealnymi przestrzeniami, gęstymi, karłowatymi czarnymi dziurami, osobliwościami ogrodnictwa. - Mielście absurdalne sny, poszliście do tego domu pod ich wpływem, potem dziewczyna podmieniła figurkę na sfabrykowaną przez siebie i wystrychnęła cię na dudka... Tak było?

Rulfo przyświadczył. Rozmawianie o Raquel wydawało mu się zwykłą nikczemnością, ale nagle dotarło do niego, że one z n a ł y już odpowiedzi. Przeczuwał, że tymi pytaniami próbowały jedynie ustalić stopień jego w s p ó ł p r a c y.

- Miałeś wrażenie, że dziewczyna zmieniła się z dnia na dzień? Miałeś wrażenie, że nie jest s o b ą?

- Owszem. Kiedy spotkałem się z nią po raz drugi, była zupełnie inna.

- Wyższa? Niższa? Grubsza?

- Chodzi o jej spojrzenie. Patrzyła jakoś inaczej. I o jej zachowanie. Wyglądała na bardziej... zdeterminowaną.

- To ważne - zachęcił go César. - A potem?

Rulfo opowiedział o śmierci Patricia i o jej pragnieniu, by uciec.

- Czy Lidia Garrett nadal wam się śniła?

- Nie - zaprzeczył i wydawało mu się, że César (czy ktokolwiek, kto się w nim krył) nie zauważył kłamstwa.

- Widziałeś, żeby Raquel kiedykolwiek p o s ł u ż y ł a s i ę p o e z j ą?

- Nigdy.

- Wiesz, co mam na myśli? Władcze słowa.

- Wiem, co masz na myśli, ale wygląda na to, że ona nie ma o tym pojęcia.

- Dlaczego więc wiedziała tyle o figurce?

- Nie wiem. Nie powiedziałem również, że wiedziała cokolwiek na jej temat.

Nagle César otworzył szeroko oczy. Sprawiały wrażenie świeżo wypolerowanych: dwie marmurowe, pomalowane kule, które przypominały Rulfowi oczy dziewczynki.

- Tylko nie próbuj kłamać - powiedział łagodnie. - Wszystko, tylko nie to. To byłby poważny błąd, Salomonie. One czytają w twoich myślach. Rozkładają cię na słowa i czytają. Każdy z nas jest dla nich wierszem.

- To dlaczego nie mogą się dowiedzieć tego, co interesuje je najbardziej? - spytał Rulfo, wytrzymując jego spojrzenie.

- Nie są jasnowidzami. To znaczy są, ale w skromnym tego słowa znaczeniu. Istnieją

luki, których nie są w stanie zappełnić, obszary ciszy, do których nie mają dostępu...

- Nie są więc tak wszechwładne, jak sądziłem.

- Mylisz się, kochany, są bardziej wszechwładne, niż mogłeś przypuszczać; po prostu wychodzą z całkowicie odmiennego od naszego punktu widzenia. Ich widzenie świata jest logiczne, twoje emocjonalne. Ty czujesz, one rozumieją. Ty widzisz tylko cegły, one projektują dom i zamieszkują w nim. Logos wszechświata przyznaje im rację, ponieważ wszechświat to słowa. Jak poemat.

Daleki wybuch śmiechu przypominający pirotechniczną niespodziankę rozproszył na chwilę uwagę obu mężczyzn. Pośród wesołej botaniki światła wokół domu kręcił się rój jedwabnych strojów, gęstych włosów i gołych nóg. Dźwięczny, męski głos przewodził wybuchom śmiechu.

- Logos wszechświata przyznaje im rację - powtórzył Rulfo z sarkazmem. - Szkoda tylko, że nie mogą znaleźć ukrytej woskowej figurki.

- Już ci to wyjaśniałem: istnieją wyspy milczenia... Poza tym, wiesz, co się kryje pod logos? Ślepy traf. Słowa rodzą rzeczy, to prawda, ale bez związku z ich znaczeniem. To, co naprawdę się liczy, to przypadkowa kolejność. Jak gra w domino wśród ślepych graczy: rząd kostek może nie być właściwie ułożony, lecz i tak utworzy jakiś obraz. I to właśnie nas martwi... A raczej, martwi je. Ponieważ każde zdanie wypowiedziane przypadkiem może mieć katastrofalne skutki. Nie wymówiono jeszcze na świecie wystarczającej ilości słów, by poznać do końca to, co mogą one wywołać. Wysiłek zmierzający do narzucenia pewnej hierarchii jest godny uznania, ale niemożliwością, nie-moż-li-wo-ścią jest kontrolować wszystko. Nie tylko składnię, również fonetykę czy prozodię... - César ruszył dalej, kontynuując wypowiedź. - Świat jest szronem poezji, a one wiedzą, że każdy krok może się dla nich zakończyć upadkiem w nicość. Myślałeś może, że są katami? A one są ofiarami...! Takimi samymi jak ty czy ja!

Dotarli do polany ozdobionej fontanną. Pośrodku wznosił się, jak okaleczona herma, posąg starego satyra. Jego granitowe oblicze było płataniną mroku.

- Ofiarami... - powtórzył César. - Reszta to banał. Tylko jeden werset z całego Kawafisa może wywołać ropne owrzodzenie z wysoką gorączką, tylko jedna strofa Keatsa potrafi zrodzić węże, tylko jeden fragment Nerudy może wybuchnąć jak elektrownia atomowa, a jedna linijka Safo wywołać potężne i przemożne pragnienie zgwałcenia małej dziewczynki. Ale jakież znaczenie mają te drobnostki w porównaniu ze s z r o n e m? - Uderzył w brzeg fontanny, jakby zwracał się do niej. - Jakie to ma znaczenie w porównaniu z pokrytym kruchym lodem jeziorem, w który możesz się pogrążyć w najmniej oczekiwanym

momencie? Rzeczywistość to drwa, poezja to płomienie, a one odkryły, jak rozniecić ogień. Doskonale. Tylko co z tego? Żyją prehistorią. Musisz porzucić myśl o wszechmocnym bogu. Są kruche. Tak słabe jak ty, tylko bardziej wystraszone. Widziały z b l i s k a oblicze rzeczywistości... Wiesz, jak wygląda oblicze rzeczywistości?

César mówił teraz, gestykulując z ożywieniem: otwierał i zaciskał dłonie, wznosił ręce do góry, wyginał się. Grymasy wykrzywiały mu twarz, jak plastikową torbę, w której schronił się szczur.

- Podejrzewam, że podobnie jak twoje - zasugerował Rulfo.

- To krab - odparł César, nie zwracając uwagi na kpinę. - Oblicze rzeczywistości jest jak krab: łapie cię, rozszarpuje szczypcami na strzępy, ty zaś tymczasem... próbujesz... rozpaczliwie... zrozumieć cokolwiek, doszukać się jego ust, jego oczu... A widzisz jedynie fragment czteropłatego stwora, coś, co otwiera się i zamyka, i co równie dobrze może być odbytnicą. Jak możesz się bronić, skoro nawet nie wiesz, któredy cię połknie? Pamiętasz dowcip o psie i ślepcu? Niewidomy raczy psa łakociami, a potem kopie go w tyłek. Widzi to jakiś mężczyzna i pyta: „Dlaczego najpierw daje mu pan łakocie, a potem kopie go w tyłek?”. A na to ślepiec: „Gdybym mu nie dał łakoci, skąd bym wiedział, gdzie ma tyłek?”. Otóż to, nikt z nas nie wie, gdzie rzeczywistość ma tyłek, a one nie mogą zrobić nic innego, jak poczęstować ją łakociami. Myślimy, że są wszechwładne, a wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nikt nie jest tak naprawdę w s z e c h w ł a d n y - jego głos, podniósłszy się o kilka półtonów, zmienił się w nieprzyjemny pisk zarzynanego prosiaka. Nagle uniósł dłonie do twarzy, jakby chciał zdusić szloch. - Ty nic nie wiesz! Nie masz pojęcia, co to znaczy tak żyć! Należy się przyzwyczać. Potrzebna jest ścisła hierarchia. Sztwywny porządek! Są jak westalki! Nie mogą wchodzić w związki z obcymi, chyba że w celu inspiracji poetyckiej. Nie mogą mieć dzieci! Nie może być dwóch pełniących tę samą funkcję, przewagę zawsze ma więc najstarsza. Tylko reguły, reguły i reguły...! Albo tracisz całkowicie rozum, albo... - Raptem opuścił dłonie i podszedł do Rulfa. Jego wargi błyszczały dziwną czerwienią, a źrenice zwęziły się do kocich szparek. - Wiesz, co zrobiła Akelos? Wiesz, na czym polegała jej z d r a d a? Próbowwała ukryć dziecko tej niewdzięcznicy, tej ulicznicy, tej nędzniczy...!

Wtedy zrozumiał.

- Poprzednia Saga miała dziecko... - mruknął. - Dlatego ją wypędziłyście. Prawda? Na tym polegał błąd, jaki popełniła. Akelos jej pomogła...

Dziecko. Części łamigłówek zaczęły się układać. Raquel. Tatuaż.

César zamilkł i znieruchomiał, wpatrując się w Rulfa. Pomalowane wykrzywione usta.

Spieniona nitka śliny ściekająca mu z kącika ust.

- Nie masz nic więcej do powiedzenia? - wyjąkał po chwili.

- Owszem, mam. - Rulfo odetchnął głęboko. - Zdejmij w końcu tę maskę, pajacu. Nie przypominasz Cesara nawet w najmniejszym stopniu.

Nagle, tak szybko, że jego umysł zarejestrował to niemal jak mrugnięcie okiem, zdał sobie sprawę, że zamiast Cesara miał przed sobą otyłą kobietę, która przyjęła go w teatralnym makijażu, okularach, swetrze i spódnicy. Oczy kobiety były jak dwa burgundowe światła przecinające ciemności.

- Osioł! Źle wychowany osioł! Jeszcze nie skończyłam! Przerwać dżentelmenowi w pół słowa to nietakt, a jeszcze większym nietaktem jest przerwać damie. A ja jestem jednym i drugim! Podwójny nietakt! Straszliwy!

- Bardzo mi przykro, proszę pani.

Rulfo miał już opracowaną strategię, toteż jej transformacja nie zaskoczyła go. Chlusnął jej resztką szampana w twarz i rzucił się na nią, zaciskając dłonie na gardle... Wtedy usłyszał, jak maleńki, zwinnie robaczek łagodnych francuskich słów wyslizguje się niczym oddech z jej pomalowanych ust.

Nagle ból, jakiego nigdy nie doznał, najeżony, krystaliczny, czysty, tnący jak błyskawica przeszył mu żołądek: odrzucony na kolana na trawnik nie był zdolny wydać z siebie nawet krzyku.

- Baudelaire - usłyszał z oddali głos kobiety. - Pierwszy wers Albatrosa.

Kłujący ból ustał tak szybko, jak się pojawił, a Rulfo pomyślał - wiedział to z całą pewnością - że jeśli się powtórzy, umrze.

Powtórzył się jednak.

Nie raz, tylko dwa, trzy razy.

I n a s i l a ł s i ę. Podchodził w kierunku przełyku, smagając miejsca, przez które przenikał bolesnymi snopami iskier, tak niewiarygodnie silnymi, że ich echo docierało do jego głowy i nóg, odbijało się w zębach i kolanach, w kostnych zagłębieniach czoła i potylicy, i malowało świetlne eksplozje na siatkówce oka.

Wił się na trawie, jęcząc. Nigdy nie doświadczył tak niezbitej pewności, że umrze. Pory jego skóry otworzyły się, wydzielając strugi potu. Ale bardziej niż ból przerażało go coś innego.

To jeżące włosy na głowie doznanie,

że coś żywego
pełźnie przez jego przewód pokarmowy.

Próbował to coś zwymiotować, bez powodzenia.

- Zna pan ten poemat, kawalerze? Ułożony w tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym roku na Mauritiusie, zainspirowany przez siostrę Veneficiae... Recytowany tak, jak to zrobiłam przed chwilą, przynosi dość zabawny efekt, ale gdyby zadeklamować go jako bustrofedon, z prawej ku lewej i odwrotnie, wtedy dopiero byśmy się uśmieiali! Słyszysz mnie pan, kawalerze? Na tym etapie powinien pan już wiedzieć, że nienawidzę, kiedy się mnie nie słucha!

Rulfo nawet nie poczuł wymierzonego kopniaka. Coś znacznie gorszego przykuwało jego uwagę. T a r z e c z przechodziła teraz przez jego krtań, kłując przeraźliwie. Przestał oddychać. Dławił się. Przez moment myślał, że się udusi. Przyprawiającą o utratę zmysłów sekundę później poczuł, jak wyskakuje mu na język - niczym jakaś ostra kula - razem z gorzką falą żółci. Towarzyszyło jej kolejne ukłucie bólu, tym razem w języczku. Domyślił się natychmiast, co to było: olbrzymi robak. Wyrzucił go z siebie, otwierając usta najszerzej, jak tylko zdołał.

Czarny skorpion, absurdalnie duży, spadł na ziemię brzuchem do góry, przekreślił się i poszedł swoją drogą, ginąc wśród traw. Rulfo splunął kilkakrotnie, wydalil z siebie treść żołądka i od razu poczuł się lepiej. Nadal bolały go ukąszenia, ale starał się myśleć, że to wszystko było halucynacją. Powtarzał sobie w kółko, że to niemożliwe, aby taka kreatura spacerowała po jego przewodzie pokarmowym.

But na wysokim obcasie wystukiwał rytm tuż przed jego nosem.

- Niecierpliwie czekam na to, żeby mnie ktoś wysłuchał. Upominam się o swoje p r a w o, by zostać wysłuchaną.

Podniósł głowę. Góra piersi i spódnica nachylała się nad nim z gniewną miną i kołyszącym się, zwisającym z potężnej szyi symbolem kozła.

- Po pierwsze: proszę n i e p r ó b o w a ć tego ponownie. Po drugie, co jest dużo ważniejsze: proszę mnie zawsze uważnie s ł u c h a ć, z pasją, z przyjemnością... - Nagle twarz kobiety złagodniała. Karminowe wargi rozciągnęły się w uśmiechu, a oczy oklejone tuszem otworzyły się szeroko. - Baudelaire powiedział kiedyś, że kiedy pije biber, czuje, jakby jakiś skorpion urządzał sobie wędrówki po jego wnętrznościach. Okazuje się, że to prawda! - Wybuchnęła krystalicznym śmiechem. - Zechce się pan oprzeć na moim ramieniu? Strasznie pan błąd! Może odrobinę ponczu? Ma pan ochotę? Zapraszam...

Chwiejnie stanął na nogi i wsparł się na potężnym, owłosionym ramieniu. Skierowali się w stronę domu, wybrawszy inną ścieżkę.

- Liczę, że powiedział nam pan p r a w d ę - stwierdziła kobieta, posuwając się

szybkimi kroczkami i ciągnąc za sobą Rulfa. - Powiem więcej: jestem pewna, że powiedział nam pan prawdę. Teraz musimy przesłuchać królową prostytutek. Jestem bardzo ciekawa, co też nam powie...

Poprzez opary bólu Rulfo dostrzegał niewyraźnie miejsce, do którego zdążali: małą altankę na wolnym powietrzu oświetloną kandelabrami, otoczoną metalowymi łukami porośniętymi bluszczem. Girlandy kwiatów tworzyły dach. Wokół tańczyły ćmy.

W środku stała Raquel.

X. PRZESŁUCHANIE

Motyle przesłaniają jej widok, siadają na twarzy i na włosach. Może je odgonić, poruszając głową, ale nie robi tego. Ręce ma związane na plecach girlandą kwiatów, w której przeważają nagietki i niezapominajki. Chociaż węzły są słabe, wiersz Verlaine'a uniemożliwia jej rozluźnienie palców. Zanim przyprowadzono ją do altany, rozebrano ją i obleczono w prostą, ciemnoczerwoną tunikę sięgającą stóp. Jej rozpuszczone włosy spływają gęstymi czarnymi falami na plecy. Stoi niewzruszona, milcząca, nieruchoma. Mruga powieką tylko wtedy, kiedy powiew skrzydła motyla porusza jej długimi rzęsami.

Wybiła godzina, myśli.

Martwi się tylko o syna. Nie widziała go od chwili, w której Patricio (choć to nie był Patricio, teraz już to wie) i mężczyzna w czarnych okularach znaleźli ich w motelu. Wie, że chłopiec jest jej słabym punktem i że one spróbują to wykorzystać. Nie ma pojęcia, czy zdoła to wytrzymać. Coś jej jednak podpowiada, że nie odważą się zrobić mu krzywdy. Teraz, kiedy to wszystko analizuje, wie, że podjęły decyzję i że jedność grupy wymaga, by respektować decyzje większości. Wykorzystają jej syna, żeby jej grozić, zmusić do mówienia, ale go nie tkną. Jest tego pewna. Musi tylko wytrzymać.

Zbliżają się dwie postaci. Rozpoznaje je. Maleficiae prowadzi pod rękę mężczyznę, który pomagał jej, od kiedy się to wszystko zaczęło. Mężczyzna jest blady, zatacza się przy każdym kroku. On także musi przechodzić udrękę. Nie wie, dlaczego został w to wciągnięty, jest przecież obcym. Próbowwała odwieść go od zamiaru stawienia się na spotkanie, ale i tak wie, że sprawy nie wyglądałyby inaczej, gdyby jej usłuchał. Czuje litość, lecz nie może już nic zrobić.

Marzy jedynie o tym, żeby w s z y s t k i e zjawiły się jak najszybciej.

A z nimi ta, którą pragnie zobaczyć, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobi. Ta, która zamieniła jej życie w piekło.

Chce zobaczyć ją jeszcze raz, stanąć z nią twarzą w twarz, chociaż jednocześnie sama

myśl o tym napawa ją przerażeniem.

Rulfo postanowił nie stawiać oporu. Osobnicy ubrani w liberie majordomusów założyli mu ręce do tyłu i jeden z nich wyrecytował jakiś wiersz po francusku, paraliżując jego nadgarstki, które potem owinęli wianuszkiem kwiatów.

Stojącą obok niego dziewczynę skrupowano w podobny sposób. Nie zaskoczył go jej widok; podejrzewał, że wysłały któregoś z sekciarzy, żeby ją tu sprowadził. Dostrzegł nieposkromioną, zimną determinację emanującą z jej ciemnych oczu: była więźniem, ale wyglądała jak królowa. Byłby szczęśliwy, posiadając połowę jej odwagi. Zastanawiał się przez chwilę, gdzie może być chłopiec.

Zabijają ich. Co do tego nie miał wątpliwości. Kwestią była wyłącznie f o r m a.

Nigdy nie był odważnym człowiekiem, teraz mógł to jedynie potwierdzić. Jego pozorne męstwo sprowadzało się raczej do wściekłości lub zobojętnienia. Ale nie mógł już dłużej odwracać się plecami do strachu. Od tej chwili - zrozumiał - nie przestanie być tchórzem, aż do końca.

A może koniec się odwlecze. Może nie nadejdzie nigdy.

Ouroboros. Rauschen.

Nie myśl o tym.

Rozejrzał się dokoła. W altanie poza dziewczyną i nim byli tylko lokaje. Za to na rozległym tarasie, widocznym doskonale z miejsca, w którym się znajdował, gromadziło się hałaśliwe odświeżne mrowie wieczorowych strojów. Nie wiedział, gdzie się podziała otyła kobieta.

Nagle zamrugał oczami

jedna

i zobaczył je przed sobą. Przypuszczał, że tym razem to naprawdę one, nie manekiny. Stały w rzędzie: wieczorowe suknie w różnych kolorach i rozmiarach, buty na obcasie, misterne fryzury,

jedna, dwie, trzy, cztery, pięć

makijaż, satynowe pończochy, całe te parafernalia kobiety Zachodu. Złote symbole błyszczały na ich piersiach.

jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem

Pluton egzekucyjny. Trybunał oskarżycielski.

Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

Mogły być czarownicami, ale w ich wyglądzie nie było nic dziwnego: ani czerwonych źrenic, ani zakrzywionych nosów, ani rogowych narośli, ani spiczastych ogonów.

Osiem, dziewięć.

Poza otyłą kobietą wszystkie były nieskończenie piękne, a przynajmniej takie mu się wydawały. A jednocześnie w pewien sposób mdłe, żalosne, bezosobowe (wybory Miss Uniwersów, pomyślał i zachciało mu się śmiać z własnej gry słów). Jeśli to naprawdę były damy, poeci całego świata kochali być może jedynie złudzenia.

Dziesięć, jedenaście.

Niektóre, co prawda, posiadały charakterystyczne cechy. Dziewczynka nadal była wyjątkowo piękna. Panna stojąca obok niej miała oczy pełne cieni. Z twarzy dziewczyny z symbolem róży biła osobliwa jasność. Otyła kobieta przypominała pięćdziesięciolatka, którego ulubionym zajęciem jest noszenie po kryjomu ubrań żony. Ta z numerem jedenastym, o czerwonych włosach i w krótkiej, dopasowanej sukience, nosząca medalion w kształcie pająka, musiała być nową Akelos, zastępczynią Lidii Garetti.

Jedenaście. Brakowało dwóch.

Rozpętała się głęboka cisza: nie słychać było śmiechu ani muzyki, ani rozmów. Jakby nie było żadnego balu. Dom, pogrążony w ciemnościach, wydawał się pusty. Kandelabry w altanie stanowiły jedyną wyspę światła w morzu nocy. A na brzegu tej wyspy - rząd dam.

Brakowało dwóch.

Kolejne nieme poruszenie wśród motyli, zawirowanie powietrza... i jeszcze jedna postać pojawiła się, stając przed szeregiem. Była to bardzo młoda drobna kobieta, o ciemnych, krótkich włosach, w krótkiej sukience z czarnego aksamitu i w płaskich butach. Wyglądała jak początkujący dyrygent orkiestry - z głupawym uśmiechem na miłej, kościstej twarzy - który oczekuje na oklaski.

- Witaj, Raquel... - Mówiła po hiszpańsku z francuskim akcentem, podobnie jak otyła kobieta. - Miło mi, panie Rulfo. Na imię mam Jacqueline. Mam nadzieję, że czuje się pan dobrze w naszym domu. - Ani Rulfo, ani dziewczyna nie odpowiedzieli. Młoda kobieta sprawiała wrażenie lekko skonfundowanej ciszą, jaka zaległa po jej miłym powitaniu. Przez chwilę zdawało się, że nie wie, co powiedzieć. Rękawy jej sukienki były za długie, sięgały

niemal palców; poruszyła nimi, i w powietrzu rozproszył się kwiat motyli. - Z każdym rokiem jest ich więcej. Ale czy to komuś przeszkadza? Nieszkodliwe, urocze istoty... - Wydawała się ponownie czekać na jakąś reakcję. Wreszcie zwróciła się do dziewczyny: - Odzyskałaś wspomnienia, prawda? Wiesz już, kim byłaś. Nie bardzo to rozumiemy. Nie rozumiemy wielu spraw dotyczących ciebie. Może potrafisz je wyjaśnić? - Uczyniła przyjazny gest, jakby chciała zachęcić ją do mówienia. - Powiedz, odzyskałaś wspomnienia, prawda?

- Tak, odzyskałam.

Raquel patrzyła na nią zmrużonymi oczyma, marszcząc brwi. W jej zachowaniu Rulfo dostrzegł nie tylko ogromną pogardę, lecz także odrazę: jakby przyglądała się odpychającemu insektowi krążącemu tuż przy jej twarzy.

- Szkoda... Czasem najpiękniejsze jest misterium zapomnienia.

- Otóż to. Zwłaszcza po tym, co mi zrobiłaś.

Przyglądały się sobie w milczeniu - młoda kobieta z uśmiechem na ustach, Raquel ze zmarszczonymi brwiami - jak dwie nastolatki obrażone na siebie za jakiś brzydki, trudny do wybaczenia kawał. W tym momencie uwagę Rulfa przykuł medalion w formie okrągłego lusterka, błyszczący na dekolcie dziewczyny: był to symbol Sagi, według *Poetów i ich dam* numeru dwunastego. A więc to ona była „najgorsza ze wszystkich”. Nikt by jej o to nie posądził. Robiła nawet wrażenie stremowanej, jak początkująca aktorka, której z powodu choroby gwiazdy trafiła się wielka rola.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, porozmawiajmy o teraźniejszości - zaproponowała młoda kobieta. - Dlaczego nie widzę imaga, Raquel?

Cisza. Brak odpowiedzi.

- Wyjaśnij, czemu go nie widzę, a puszcze cię wolno.

Znowu cisza. Brak odpowiedzi. W altanie nikt się nie poruszał. Damy wyglądały jak pionki jakiejś niezrozumiałej gry. Tylko młoda kobieta gestykulowała dyskretnie, mówiąc:

- Nawet nie wiesz, jak bardzo nas to zbija z tropu. Wiemy, że je ukryłaś, ale nie chcę wiedzieć d l a c z e g o a n i g d z i e j e s t... Chcę tylko, żebyś mi wyjaśniła, czemu nie możemy go zobaczyć... Jakaś wielka... Jak to określić? Jakaś wielka pustka, otacza go jakaś ślepa plama, poezja go nie dosięga. Co się dzieje?

- Gdzie jest mój syn? - spytała z kolei Raquel.

- Teraz śpi, ale niedługo przyjdzie. Był bardzo zmęczony.

- Puść go wolno.

- Nie martw się o niego. Nic mu nie zrobimy: już kiedyś podjęliśmy tę decyzję, pamiętasz?

- W takim razie uwolnij go.

- J e s t wolny. Ale ty nadal tu jesteś. Chcesz, żeby odszedł sam? Odejdzie, kiedy i ty odejdiesz. Tak powinno być, prawda?

- Chcę go zobaczyć, proszę...

- Zobaczysz go. Odpoczywa w odosobnieniu, żeby nie przeszkadzały mu odgłosy balu.

- Powiem ci, gdzie ukryłam imago, jeśli zapewnisz, że...

- Czy ty nic nie rozumiesz? - ucięła młoda kobieta. Po raz pierwszy Rulfo usłyszał w jej głosie nutkę zimnej irytacji, tak delikatną jak skrzydła motyli mącących powietrze. - Chcemy oczywiście wiedzieć, g d z i e się znajduje, ale nie to jest najważniejsze... Wiem, że jesteś zdenerwowana, Raquel, ale skoncentruj się, proszę: chcemy się dowiedzieć, dlaczego nie możemy go zobaczyć. Innymi słowy: kto sprawia, że go nie widzimy?

- Nie wiem.

- Kto ci pomaga?

- Nikt. Jestem sama.

- A Lidia?

Nagle słowa spęczniały jej w ustach. Raquel wypluła je z mrozącą krew w żyłach szybkością, jakby ich powstrzymywanie było dla niej nie do zniesienia.

- Nie pytaj mnie o nią. Dobrze wiesz, co jej zrobiłaś. Wślizgnęłaś się w pierwsze lepsze ciało, w obcego, sterowałaś nim, weszłaś do jej domu, zmusiłaś do oddania imago, zanurzyłaś w akwarium z filakterią Anulowania, wyniosłaś akwarium na poddasze, a ją zamęczyłaś torturami na śmierć... Wiem, że to twoja ulubiona zabawa, Jacqueline... Zachęcałaś obcego, Patricia, żeby poniżał mnie do granic wytrzymałości... Przyjmowałaś też inne postacie, prawda? Byłaś mężczyzną w czarnych okularach... Kim jeszcze, Sago? Pod iloma postaciami rozkoszowałaś się mną osobiście?

- Nie mówmy o drobiazgach, proszę...

- Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć.

- Wyroki powinno się wykonywać.

- Uwielbiasz takie zadania.

Młoda kobieta zignorowała uwagę i mówiła dalej, nie przestając się uśmiechać.

- Potem miałaś te sny... Lidia zainspirowała je filakteriami, które uaktywniły się po jej śmierci... Poszłaś do jej domu, wyjęłaś imago z wody, gdzie powinno pozostać aż do tego spotkania, żeby ulec zniszczeniu, i ukryłaś je. Jej wersety uniemożliwiały nam jego odzyskanie, chyba że sama byś je zwróciła... To nas jednak nie zaskoczyło: typowa próba

przeżycia starej pajęczycy. Dopiero tutaj zaczynają się problemy. Dlaczego odzyskałaś swoje wspomnienia? Dlaczego nie możemy zobaczyć imaga? Jak udało ci się wydostać z tego prozaicznego ciała, na jakie cię skazałyśmy, i zabić Patricia?

- Którego potem ożywiłaś - odparowała Raquel.

- Tylko nim poruszyłam. Chciałam ci zrobić niespodziankę. Wzbraniałaś się przed przyjściem na nasze spotkanie, musiałyśmy przyciągnąć cię za uszy... Poza tym nie chciałyśmy, żeby obcy oskarżyli cię o zbrodnię. Zapomnij jednak choć na chwilę o d r o b i a z g a c h, Raquel. Skoncentruj się na tym, co ważne. Kto ci pomógł ukryć imago? Kto umieścił wersety? Ty nie mogłaś tego zrobić: odzyskałaś pamięć, ale nadal jesteś Anulowana. Lidia jest Anulowana i martwa. A więc... kto?

- Nie widzisz w moich myślach, że tego nie wiem?

Młoda kobieta pokręciła przecząco głową.

- Widzę tylko ciszę. Nie mogę przebić ciszy wersami. Żadna z nas tego nie potrafi. Wszystko, co się wiąże z imagiem dawnej Akelos, jest ciszą wód, nieprzeniknioną. W głębi może być twoja odpowiedź, jak również wiele innych rzeczy. - Głos Jacqueline był jak szmer. Rulfo musiał się wysilać, żeby ją słyszeć. - Może zdrada. Może kłamstwo. Może jakaś zasadzka...

- Nie ma. Przysięgam.

Młoda kobieta roześmiała się łagodnie.

- Przysięgasz? - Najwyraźniej znalazła w tych słowach coś zabawnego. - Skoro p r z y s i ę g a s z, muszę ci chyba uwierzyć. - Wyzywającym kpiącym wzrokiem zmierzyła Raquel. - Życie wśród pospólstwa uczyniło cię pospolitą.

- Do czego ty znacznie się przyczyniłaś.

- Gdzie się podziała dawna potężna Saga?

- Nieważne. I tak nigdy bym się z tobą nie zamieniła.

- Kłamiesz jak obca - wyszeptała Saga z czułością. - Niemniej cieszę się, że to słyszę: gdyby jakkolwiek wiersz był w stanie spowodować twój powrót, musiałabym odejść. Nie może być dwóch dam o tej samej pozycji w hierarchii...

- ...starsza ma przewagę, wiem.

- Niestety nawet ja nie mogłabym sprawić, żebyś wróciła. Wersety zostały wyrecytowane, wydalone cię raz na zawsze.

- Kto tu mówi o powrocie tej dziwki? - Otyła kobieta podskoczyła na swoim miejscu w szpalerze.

- *Petrus in cunctis* - wyszeptała stojąca po jej lewej stronie dama z bujnymi jasnymi

włosami, wywołując śmiech wśród pozostałych.

- Cóż... Jeśli nikt nie jest łaskawymnie wysłuchać... - Otyła kobieta zaczęła się bawić swoim symbolem.

- Bądźmy rozsądne - powiedziała Saga głośno. - To delikatna sytuacja... Przede wszystkim jednak musimy pamiętać o przyjęciu. Co powiedzą nasi goście... Obchodzimy dziś Noc Fortuny: powinniśmy być weseli, tańczyć i śmiać się... Mamy dużo czasu. Zalecam spokój. Najważniejsze, żebyśmy się dobrze bawili.

Nagle atmosfera wyraźnie się rozluźniła. Z okien z elegancją gada popłynęła muzyka: jedna z tych salonowych melodii służących za podkład wielu przyjęć. Posiadłość zapłonęła światłem, zaludniając się na powrót postaciami. Damy skierowały się ku tarasowi. Ostatnia odeszła Saga.

Niezależnie od tego, czego stał się świadkiem, Rulfa nie przestawało dręczyć jedno pytanie. Choć możliwe, że był to szczegół bez znaczenia.

Naliczył tylko dwanaście.

Gdzie była dama z numerem trzynastym?

A, noir corset velu des mouches éclatantes!

Dobiegające z wnętrza domu, deklamowane zgodnym chórem słowa te dały początek nowej atmosferze. Muzyka przycichła: w tle słychać było skrzypce, rozkołysany, wibrujący podkład, którego intensywność zsynchronizowała się z odgłosami przyjęcia; kiedy ponownie rozbrzmiewała, wybuchały także salwy śmiechu; następnie wszystko cichło, żeby powrócić za chwilę. Wrażenie było osobliwe, a potęgowały je światło i wiatr. Jakby posiadłość była pociągiem mijającym na zmianę wesołe stacje i ciemne pogrążone w ciszy tunele. Pęd powietrza zdmuchnął kilka świec w altanie. Wszystko upodobniło się do pulsującego serca: światła, śmiechy, walce i podmuchy wiatru migotały jak cyklorama, potem następował czas niemych ciemności, a po niej ponownie uroczysty skurcz. Przez okna można było dojrzeć kłębowisko postaci, twarzy i rąk wznoszących do góry kieliszki.

Znowu zabrzmiał chór,

E, frissons d'ombelle!

po czym nastąpiła milcząca eksplozja jasności. Rulfo musiał odwrócić wzrok.

- Bawią się - powiedziała Raquel.

Oboje odwracali twarz od brutalnej poświaty. Była jak świetlny skrzep, jak fotografia pożaru. Śmiechy nie ustawały, zelżały jedynie, podobnie jak muzyka. Wszystko tonęło w niekończącej się łunie, która wydłużała cienie łuków altany, majordomusów, Rulfa i Raquel, upodabniając je do ścieżek z czarnego aksamitu. Ochłodziło się. Zimno wydawało się pochodzić z tego samego źródła, co światło: jakby posesja zamieniła się w gigantyczny sople lodu. *Samogłoski* Arthura Rimbauda, rozpoznał Rulfo.

Nie była to właściwa chwila na czynienie jej wymówek, miał tego świadomość, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie poprosić jej o wyjaśnienia, zanim to wszystko się skończy. W arktycznym świetle jego słowa skondensowały się w mgłę.

- Dlaczego dałaś mi fałszywą figurkę?

Dla oczu Rulfa jej oblicze nadal pozostawało zakazane. Docierający do niego głos był czysty, nacechowany niezbitą stanowczością.

- Ponieważ zmusiłbyś mnie do oddania tej prawdziwej i już byś nie żył. Poza tym czułam, że musimy ukryć przed nimi oryginalną figurkę, choć nie umiem powiedzieć dlaczego...

- Akelos poradziła ci to w snach?

- Nie. Oszukałam cię. Nie miałam więcej snów. To tylko przeczucie.

Rozumiał ją, chociaż zabolalo go, że nie miała do niego zaufania.

- Naszą jedyną szansą, żeby wyjść z tego z życiem, jest zatrzymanie figurki - dodała Raquel. - Kiedy ją dostaną, zabiją nas.

- Wierzę ci.

Z domu dobiegły okrzyki. Przypominały dziecięcą wrzawę, ale trudno było stwierdzić, czy są wynikiem radości, czy przerażenia. Mieszały się z całkiem dorosłymi wybuchami śmiechu.

Bawią się.

- Mają mojego syna - kontynuowała. - Nie odważą się mu nic zrobić, ponieważ postanowiły pozostawić go przy życiu, lecz wykorzystają go przeciwko mnie. Nie zniosę tej presji. Przeszłam wiele, ale t e m u nie podołam.

Krzyki ucichły. Słyszeć było jedynie skwierczenie palącego się listowia. Wszechobecne, absolutne światło tyranizowało powietrze. W tym odświętnym blasku wirowały czarne płatki śniegu, wielokątne cienie: rój oszołomionych motyli, które po początkowej powściągliwości wracały chmarami, pogrążając się w majestatycznej poświacie.

- Na imię miałam Raquel - ciągnął głos z lodowatej świetlistości - podobnie jak Sage nazywają Jacqueline, a dawną Akelos Lidią, ale miałam inną aparycję. Mój syn jest podobny do mnie takiej, jaką jestem n a p r a w d ę: mam jego kolor włosów i błękitne oczy. Filakteria, którą noszę na plecach, zmieniła mnie w to, czym jestem. W t o. - W jej tonie brzmiała odraza. Rulfo chyba ją rozumiał. Bo czyż César nie mawiał, że wspomnienia niektórych osób, zdeformowane poezją, stawały się mylnie piękne? - Jacqueline była jedną z moich adeptek, kiedy byłam Sagą - mówiła dalej. - Służyła mi. Potem mnie zastąpiła.

I, sang craché!

Białe światło znikło pozarte przez lubieżną, monarchiczną, odurzającą czerwień, która

pomalowała okna, jakby ktoś zaciągnął karmazynowe zasłony we wszystkich pokojach. Postać dziewczyny została oblamowana krwią.

Mówiła przerywanym głosem, jakby z wahaniem. W miarę wypowiedzanych słów zagłębiała się w labiryncie swojej pamięci.

Nie wszystko mu jednak opowiedziała.

Wyznała, że nie zrobiła tego z miłości. Mogła postąpić zgodnie z regułami „akceptowanymi” przez grupę, ponieważ istnieją wersety, mówiła, pozwalające poczuć to, czego się pragnie, wersety, które dokładnie odtwarzają twoje marzenia, choć w rzeczywistości pozostają kolejnymi marzeniami. Ona, natomiast, chciała poczuć b e z s ł ó w. Nigdy żadna dama nie pragnęła czegoś podobnego, bo odczuwanie bez słów wydawało się prawie niemożliwe: było równoznaczne z ciszą w głębi morza. Wierzyła, że może to zrobić (choć wiedziała, że to niedozwolone), ponieważ była Sagą i nikt nie mógł kwestionować jej decyzji. Żyć tysiące lat, poznawać epoki i lądy, oglądać najprzeróżniejsze gwiazdne dachy: wszystko to tylko zwiększa ciekawość, nie gasi jej. Krajobrazy zmieniały skórę jak węże, planeta zmieniała swe oblicze, a ona trwała, zamieszkując przelotnie ciała. Postanowiła dać życie nowemu życiu, bo tylko tak mogła spowolnić tę przelotność. Była Sagą i nic, co mówiła, robiła lub czego pragnęła, nie mogło zostać jej zakazane. Miłości w tym nie było, powtórzyła.

Nie powiedziała mu jednak, że kiedy to coś, co było życiem, nie będąc nim, ponieważ pozbawione było słów (a jednocześnie było nim w pełni właśnie dlatego, że było ich pozbawione), rosło w jej brzuchu, bała się i doświadczyła pokusy, żeby je zniszczyć. Nie zrobiła tego jednak. Nie zamierzała mu również powiedzieć, że kiedy to coś się urodziło, długo przyglądała mu się w milczeniu. Zawsze myślała, że cisza jest czymś złym. Cisza była pustką, brakiem piękna i wieczności. Kiedy jednak zobaczyła swój rozszczepiony precyzyjny obraz w tych oczach, tak bardzo podobnych do jej oczu,

cisza wybuchła

w jej ustach.

Wiedziała, że popełnia poważny błąd, niewybaczalną pomyłkę. Pomimo to czuła jednocześnie, niezależnie od wszelkiej poezji, w sposób niemożliwy do wypowiedzenia słowami, że już nigdy nie będzie mogła się z tym czymś rozstać. Ona i to coś z niej zrodzone razem stawiają czoło wyrokowi, jakikolwiek on będzie.

- Akelos przez jakiś czas pomagała mi ukrywać dziecko... Nadal nie wiem, dlaczego to zrobiła... Nie z litości, jestem pewna. Czasem jej plany miały dalekosiężne cele. Była „tą, która Przewiduje”, doskonale znała przyszłość... Tak czy inaczej, jej pomoc okazała się nieskuteczna. Grupa nakryła mnie i postanowiła wydalić: zatapiając moje imago w urnie z wodą, owinięte w filakterię. Anulowały mnie. Jednak Jacqueline, która została nową Sagą, uznała, że to za mało: postanowiła zastosować bardziej w y r a f i n o w a n ą karę. - Przerwała na chwilę. Poczula falę mdłości, jakby wspomnienia przekształciły się w zgniłą materię. - Zmusiła mnie do zabicia mężczyzny, z którym sypiałam, zwykłego obcego... Potem chciała także zniszczyć dziecko. Wtedy Akelos interweniowała ponownie, jej głos zdecydował o pozostawieniu przy życiu mojego syna. Jacqueline wpadła w furję. Zadbała o to, żebym żyła w nieludzkich warunkach. Wytatuowała mi filakterię i stworzyła Raquel, jaką znałeś: postać obcej... kuszącą, ale głupią i tchórzliwą... Wymazała mi pamięć, wydała na łup sekciarzom... Moim własnym adeptom. - Rulfo wychwycił ból, jaki wywoływało to świeże wspomnienie. - Sprzedali mnie Patriciowi. Przez te wszystkie lata największa przyjemność Sagi polegała na delectowaniu się moim poniżeniem...

Gęste, czerwone warstwy, jak płynne story, nadal zasłaniały szyby w oknach. Przez ten swoisty przyływ, przez chmary motyli zadreńczających światło przebił się melodyjny odległy chór.

U, vibrations dwins des mers virides!

Zielone światła zastąpiły czerwień.

- Saga znenawidziła Akelos za to, że okazała mi pomoc... Nie spoczęła, dopóki nie namówiła grupy, żeby oskarżyły ją o zdradę, i naciskała, żeby w jej przypadku kara była bardziej sroga niż w moim: skazały na całkowite unicestwienie zarówno jej ciało, jak i nieśmiertelnego ducha... Dlatego szukają imaga. Zapewniam cię jednak, że nie ukryłam go, żeby się zrewanżować Akelos. Chociaż wiem, że powinnam była to zrobić... Nadal nie rozumiem...

Przerwał jej śpiew chóru,

O, l'Oméga...

po czym zielone światła znikły. W ciemnościach rozbłysło dwoje oczu.

... rayon violet de Ses Yeux...

Oczy Sagi. Z tyłu za nią, w szeregu, znowu nieme, nieruchome i nieprzewidziane stały pozostałe damy.

Przyjęcie najwyraźniej dobiegło końca.

Teraz były nagie i pokryte krwią.

Nie.

Czerwone suknie. Nosiły bardzo krótkie, dopasowane, prawie przezroczyste sukienki z siatki, w błyszczącym czerwonym kolorze, jak zakrwawione pajęczyny. Miały pozbawione źrenic, białe oczy. Także nie. Ich półprzymknięte powieki pomalowane były na biało. A ich zęby wcale nie wyglądały groźnie: dwie cienkie linie w kolorze kości słoniowej namalowane w kącikach ust udawały kły, ale i tym razem był to tylko makijaż. Dwanaście ekstrawaganckich kobiet. Przynajmniej na takie wyglądały.

Znowu cisza i ciemność. Tylko wiatr, poruszający otaczającą ich roślinnością, szeleścił jak ktoś przedzierający się przez szuwary.

- Jest w tobie coś, co zawsze mnie dziwiło. Ten twój uparty i jednocześnie wyniosły charakter, wznoszący się ponad wszystko jak samotne drzewo... Ta siła woli, której nikt i nic nie jest w stanie złamać... Potwierdziło się to, kiedy cię wyrzuciłyśmy. Mężczyźni profanowali twoje ciało, bat palił twoją skórę, a od ciebie nadal biło dostojeństwo. Chciałabym wiedzieć, jak to działa... - Młoda kobieta patrzyła w oczy Raquel z taką uwagą, że Rulfo naprawdę miał wrażenie, że pragnie zrozumieć ten mechanizm. - Kiedy zabiłaś obcego, uwidoczniło się t o przez chwilę... Napawa mnie strachem, przyznając: boję się tego, co w t o b i e tkwi, i podejrzewam, że t y również się tego boisz. Ponieważ to coś jest ciszą. Nie odkryłam jeszcze wersów, które byłyby w stanie ją z ciebie wyrwać. Może istnieją, może właśnie powstają. W którymś momencie jakaś kombinacja słów sprawi, że drgniesz, i to coś wybuchnie. Teraz jesteś Anulowana i mogłabym cię zabić w prozaiczny sposób, ale gdybym tak zrobiła... co by zostało z tego, co widzę...? Jeśli nie mogę tego zdobyć, nie zyskam niczego, nurzając cię w błocie. - Przerwała i niemal z czułością odgarnęła włosy z czoła Raquel. Dziewczyna odsunęła twarz. - Spróbuję jeszcze raz. Raz i drugi. Dowiem się, z czego jesteś zrobiona. Wyciągnę to z ciebie i zrzucę cię z tego tronu. Sprawię, że to, co tkwi

w tobie, będzie trawiło i mnie... Chcę tym płonąć. - Przesunęła dłonią po policzku dziewczyny. - Mogę zrozumieć, dlaczego Akelos cię uwielbiała i chciała ci pomóc... Bo wiesz... W okresie mojego pobytu w jej domu... straciła swoją... nazwijmy to: nieugiętość. Stała się popiskującym szczurem... W końcu tylko cierpienie r ó ż n i ł o ją od ludzkości. Wobec cierpienia bogowie i ludzie są równi.

Dziewczyna odwróciła się do niej. Jej głos brzmiał bardzo słabo.

- Błagam cię, Sago... Wiem, do czego zmierzasz... Błagam cię... nie rób mi krzywdy...

Młoda kobieta cofnęła się z urażoną miną. Jej drobne białe ciało prześwitywało przez delikatną siatkę sukienki. Miała nie całkiem jeszcze rozwinięte piersi. Wzgórek łonowy był plamą owłosienia.

- Nigdy. Decyzja została podjęta. Nie wierzysz mi? Powiedz. Nie wierzysz?

- Wierzę.

- Twój syn jest poza tym wszystkim. Nasza dyskusja go nie dotyczy.

- Gdzie on jest!? Chcę go zobaczyć! Proszę...

- Jeszcze śpi. Niedługo go zobaczysz.

- Nigdy tak długo nie śpi. Oszukujesz mnie.

Wtem Rulfo dostrzegł ledwo wyczuwalną zmianę: lekką, acz nagłą modyfikację, jakby ktoś w środku zimy otworzył okno w nagrzanym pokoju, żeby wpuścić do wnętrza lodowaty prąd powietrza.

- Twój syn ma się dobrze, śpi - młoda kobieta wymawiała wolno każde słowo. - Niedługo go zobaczysz. Nie... rób... tego... więcej.

Raquel opuściła wzrok, drżały jej wargi.

- Mogę mówić dalej? - spytała Saga.

- Tak.

- Tylko nie próbuj mi przerywać.

- Nie przerwę.

- Doskonale.

Oblicze młodej kobiety złagodniało.

- Stoimy przed poważnym problemem. Coś ci wyznam. - Zniżyła głos do szeptu. Rulfo prawie jej nie słyszał. - To ponad moje siły. Przerasta mnie... Kiedy uczyniły mnie Sągą, nie wiedziały... Niedoświadczona ze mnie dyletantka, skarbie. Spójrz na nie. - Wskazała na damy tkwiące sztywno w szeregu, niemal nagie, jak baletnice na scenie. - Wszystkie są stare, niezwykle przebiegłe i czekają na odpowiedni moment... Dopiero od pięciu lat stoję na czele tego zaprzęgu złożonego z jedenastu kobył... I współczuję ci. To takie

trudne, takie dziwne... Niektóre za szybko rosną w siłę... Maga używa Lorki w taki sposób, że włosy stają mi dęba. Strix bez końca recytuje Poego... choć na razie jej zakusy mieszczą się w granicach moich możliwości. Ja stosuję całego Eliota, Cernudę i Borgesa, tak jak ty... Ich wiersze nadal mają moc. Jednak sama wiesz najlepiej, czym to wszystko jest: światem, który rozrasta się w niekontrolowany sposób... Gdzieś, w tym momencie ktoś pisze wiersz, który zupełnie bezwiednie może mnie zrzucić z piedestału... Jedno zdanie w jakimkolwiek języku... Boję się. Przeraza mnie ten bezkresny rak. Eliot, Cernuda i Borges n a r a z i e mi wystarczają. Ale jutro...? Za pięć minut? Zdajemy się na łaskę w y o b r a ź n i. Jeden wiersz może nas stworzyć, inny zniszczyć. Jesteśmy bardzo słabe. Jesteśmy tym, co osiągną poeci...

Poruszenie w szeregu dam. Jedna z najmłodszych odłączyła się od grupy i zaczęła sunąć z beznamiętną ospałością, jakby znajdowała się na wybiegu dla modelek. Zajmowała dziewiąte miejsce, licząc od dziewczynki: Rulfo przypomniał sobie, że nosiła imię Incantátrix. Z niepokojem patrzył, jak zbliża się do niego.

- Dlatego cisza w twoim umyśle doprowadza mnie do rozpacz, napawa mnie strachem - kontynuowała Saga. - Już raz zdradziłyście nas z Akelos...

- Ja nikogo nie zdradziłam.

- Chciałaś nas oszukać, jeśli wolisz. Akelos zaś zdradziła, pomagając tobie. Teraz może się to powtórzyć. Gdybyś chociaż była w stanie mi cokolwiek wyjawic...

Incantátrix stanęła kilka kroków od Rulfa. Miała ciemnobrązowe włosy, trójkątną twarz i atrakcyjne ciało, które lekka sukienka uwidaczniała w najdrobniejszym szczególe. Dwa masywne kolczyki ozdabiały jej uszy. Jej usta pęczniały jak róże. Poruszyła nimi w uśmiechu. Na jej młodzieńczych piersiach falowała maleńka złota harfa. Czy to o niej mówiono w *Poetach i ich damach*, że inspirowała Lautréamonta i surrealistów? Rulfo nie mógł sobie przypomnieć. W owej chwili interesowały go tylko jej zamiary.

Pochyliła się przed nim. W harmonijnym, niemal tanecznym geście. Przez moment miał wrażenie, że chciała mu się pokłonić, ale zobaczył, jak opuszcza swoje smukłe ramię, wyciąga dłoń i pociera palcem o ziemię.

- ...jedno imię, Raquel. Tylko jedno. Jakiegokolwiek. Ochronię cię przed ewentualnymi represjami.

- Nie znam żadnego imienia, Jacqueline... Nie znam.

- W takim razie, co kryje cisza twojego umysłu?

- Nie wiem...

- Dlaczego odzyskałaś pamięć?

- Tego też nie wiem... Uwierz mi.

- Tak... Oczywiście „przysięgasz”.

- Chcę współpracować, Sago. Proszę cię...

Rulfo przysłuchiwał się rozmowie, nie odrywając wzroku od damy z symbolem harfy. Widział, jak się podnosi i przysuwa do jego twarzy palec ubrudzony ziemią. Chciał się cofnąć, ale dziewczyna przytrzymała go za brodę drugą ręką. Miała siłę niedźwiedziej łapy. Jej wskazujący palec ześlizgnął się po prawym policzku Rulfa. Teraz nie widział nic, co się działo wokół, i mógł tylko słuchać.

- Dobrze... - Głos Sagi mówiącej po francusku. - Nadal mamy problem, siostry. Zastanówmy się.

- Nie rób nic temu mężczyźnie... - Głos dziewczyny. - To obcy. Miał te same sny, co ja, ale nic nie wie...

Dama w dalszym ciągu pisała na jego twarzy. Rulfo czuł lodowate sidła jej palców, szorstkość ziemi pokrywającej policzki i oddech pachnący zwiędłymi kwiatami. Jej twarz (o centymetr od jego twarzy) należała do pięknej dziewczyny, lecz widniał na niej odpychający grymas, jakby była lunaticzką lub narkomanką. Rozsunęła wydatne wargi i nie przerywając pisania, zaczęła recytować:

Beaux... dés... pipés...

Wymówiła te trzy słowa w różny sposób, jakby w oderwaniu od języka, z którego pochodziły. Ostatnie zabrzmiało jak gwizd.

- On nic nie wie! - powtórzył głos Raquel. - Nie ma nic wspólnego z...!

Dama skończyła pisać i puściła twarz Rulfa. Wytarła palec o jego smoking, odwróciła się i skierowała na swoje miejsce.

Rulfa ogarnęło przerażenie.

To filakteria. Boże, wypisała na mojej twarzy filakterię.

Przypomniał sobie wiersz Blake'a na brzuchu Susany. Nie był pewny, kim posłużyły się w jego przypadku: może Lautréamontem. Bał się tak bardzo, że nie mógł mówić ani oddychać. Zlodowaciał: nie tylko zziębły mu kończyny, dosłownie cały zamienił się w sopel lodu. Czuł, że zaraz zdarzy się coś strasznego. Właśnie został skazany - nie miał co do tego wątpliwości - chociaż nie wiedział jeszcze na co. Przez chwilę liczył nawet, że puszcza go wolno, ale teraz miał się okazać przekonanie, jak bardzo dał się ponieść bezsensownej nadziei. A najgorsze było to, że wyrok został wydany z okrutnym spokojem. Półnaga dziewczyna, która oddalała się teraz od niego, kołysząc wąskimi biodrami, nawet się do niego nie

odezwała: od przesłuchania, jakiemu poddała go otyła kobieta, nikt nie odezwał się do niego ani słowem. Niechybnie uważały go za coś gorszego od zwierzęcia. Będą go torturować i wykonają wyrok w pełnej pogardy ciszy, z obojętnością przewyższającą obojętność ekspedientki rozgniatanej robaka.

Gdzieś z daleka dobiegały go echa dyskusji dam w języku francuskim, pospiesznym, szeleszczącym: A może poddamy ją znowu chłóście batami z morskiej krowy? *Pian, piano... Ne quid nimis...* Nie zaszkodziłoby zaprowadzić tę klaczkę na rżnięcie... Kardynałny błąd. Zróbmy to za pomocą słów... Nie należy wywahać otwartych drzwi... Bądźmy rozsądne... Wiemy o niej wszystko, lub prawie wszystko: brakuje drobnego szczegółu, przyczyny... Prawie wcale ich nie słuchał. Z zamkniętymi oczyma, zlany potem, czekał z drżeniem na efekt wiersza. Wyobrażał sobie przerażające sceny: że twarz rozpadnie mu się na kawałki, a i tak pozostanie przy życiu; że po jego ciele rozleje się fala karaluchów, które zaduszą go, szukając wyjścia; że jego własne organa zaczną się nawzajem pożerać. Wszystko wydawało mu się możliwe. Bał się jak małe dziecko.

Jednak nic się nie działo.

Wiedział, że jest stracony: była to tylko kwestia czasu. Co dziwniejsze, ta pewność pozwoliła mu uwolnić piersi od przygniatającego je ciężaru bezdennego przerażenia. Wciągnął powietrze głęboko do płuc, niespodziewany przyływ odwagi kazał mu otworzyć usta:

- Uciszcie się w końcu!

Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Przyszło mu na myśl stado wilków, które zwęszyły świeżą krew. Ale nie mógł się już zatrzymać.

- Uciszcie się w końcu, stare wiedźmy! Pozwólcie jej odejść. I jej, i dziecku! Wystarczająco długo ją torturujecie! Ona nic nie wie. Została wykorzystana! Ktoś wykorzystał nas oboje! A wy tylko udajecie! Stoicie tam, dyskutując, a raczej udając, że dyskutujecie! Ta dziewczyna nic nie wie, sama wam to powiedziała. Susana także nic nie wiedziała! Uwolnijcie nas lub zabijcie! Ale przede wszystkim, uciszcie się! - Zachowywał się jak szaleniec. Próbował uwolnić ręce skrepowane girlandą kwiatów, lecz to nie kruche więzy czyniły je nieruchomymi i bezużytecznymi. - Uciszcie się, tchórze! Tchórze!

Nagle umilkł.

Był całkowicie pewny, że chwilę temu damy miały na sobie czerwone przezroczyście suknie.

Teraz wszystkie od stóp do głów ubrane były na czarno, a ich twarze ukazywały alabastrową bladość, bladość nieboszczyka na marach. Miały nawet inne fryzury. Tylko

medaliony pozostały te same. Przeobrażenie nastąpiło z tą samą sterylną łagodnością, z jaką wskazówki zegara zmieniają swoją pozycję.

Nie umknęło to również uwagi Raquel. Zwróciła się do Rulfa:

- Uspokój się, pozwól, że to ja będę mówić...

- Nie boję się ich - skłamał Rulfo.

Wtedy podeszła do niego Saga. Wyglądała, jakby po raz pierwszy zauważyła jego obecność. Patrzyła nań z ciekawością, z lekkim rozbawieniem nieomal, ale wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega mętną, nijaką pustkę, zamieszkaną przez niewyraźne cienie: jak szare niebo z fruującymi po nim berniklami. Poczul, że jego mózg jest jak ponakłuwany rysunek, a oczy młodej kobiety barwią go, aby otrzymać doskonałą odbitkę, kalkę najintymniejszych myśli.

Myślał, że umrze. Chciał, żeby tak się stało.

Wówczas Saga uniosła dłoń i pogładziła go czule po twarzy gestem, który przypominał lekkie klepnięcie. Potem odwróciła się

obrót

i przestała poświęcać mu uwagę. Przemówiła do dam:

- Tkwimy w tym samym miejscu. Kręcimy się w kółko... Jak możesz z nas tak kpić, Raquel...

- Nie kpię, zapew...

- Czy nadejdzie ten dzień, kiedy przestaniesz się z nas wyśmiewać!? - przerwała jej Saga, podnosząc głos.

szybki obrót

- Czy doczekamy się tego?! Czy dożyjemy dnia, w którym w końcu przestaniesz się... z nas... ŚMIAĆ?!

Niespodziewany krzyk zaowocował ciszą. Jęcząc, kręciła się na palcach jak baletnica. Czarna sukienka wirowała wokół niej, odsłaniając smukłe nogi.

Szybki obrót.

Pod spódnicą pojawiło się dziecko.

XI. CHŁOPIEC

Ubrany był w czarną tunikę sięgającą stóp. Mrugał oczami, jakby rzeczywiście obudził się z głębokiego snu. Widząc dziewczynę, pobiegł do niej na tyle szybko, na ile pozwalała mu długa szata, i przywarł do jej stóp. Zdziwił się, że nie przygarnia go do siebie. Podniósł wzrok i wtedy zauważył jej łzy.

- Przespał całe popołudnie - powiedziała Saga wesołym tonem.

- Sago - wyszeptała Raquel - proszę cię... - Płacz nie pozwolił jej mówić dalej. Odwróciła twarz od syna. Pragnęła go przytulić; dałaby wszystko, żeby mieć wolne ręce i otoczyć nimi to wątłe kruche ciało.

- Widzisz, jaka mama jest zdenerwowana? - Saga przykucnęła obok dziecka. - Postaramy się ją uspokoić. Powiedz jej, czy zrobiłyśmy ci krzywdę, od kiedy jesteś z nami. No, powiedz... Przykro mi, że cię obudziłam, ale wiesz, jak to jest... Twoja mama dostałaby apopleksji, gdyby cię nie zobaczyła... Myślała, że... Czy ja wiem?! Choćby, że zjadłyśmy twoją głowę. Teraz przekonała się, że nic ci nie jest... I możemy, jak sądzę, powrócić do naszej rozmowy. Zostaw nas na chwilę, dobrze? Nie proszę cię, żebyś nas opuścił, mały mężczyzno, tylko żebyś stanął z boku i pozwolił nam porozmawiać z twoją mamą...

- Zrób, co ci każe - poprosiła Raquel.

Chłopiec patrzył na nią, jakby chciał odczytać jej myśli. Dojrzały smutek spowijał jego delikatną buzię. Nagle odwrócił się i ruszył w kierunku środka altany, ciągnąc za sobą długą czarną tunikę. Jego ruchy siały postrach wśród motyli.

- Sago - powiedziała Raquel pospiesznie. - Będę współpracować... Sama zaprowadzę cię do miejsca, gdzie znajduje się figurka, i oddam ci ją, żebyście zniszczyły to, co pozostało po Akelos...

Uchwyciła się rozpaczliwej strategii. Właściwie nie była to nawet strategia, było to niemal przekonanie. Mówiła prawdę: nie wiedziała, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Ale nie miała już siły, żeby nadal kierować się impulsami. Teraz pragnęła jedynie myśleć o sobie i

ratować życie dziecka, i właśnie to zamierzała zrobić. Przyłączy się do niej, odda się bez reszty swojej prześladowczyni. Budziło to w niej obrzydzenie, ale nie widziała innego rozwiązania.

- Zrobię wszystko, co zechcesz - dodała.

- Wspaniale.

- Możemy pójść tam zaraz. Albo wyślij kogoś, kto to sprawdzi. Imago jest ukryte w moim mieszkaniu, pod listwą w sypialni... Zostawiłam je tam w obawie, że ktoś mi je odbierze...

- Doskonale.

Nagle Raquel przyjrzała się jej uważnie.

Nawet mnie nie słucha. Tylko na mnie patrzy.

- Możesz to sprawdzić, kiedy zechcesz. Proszę, zrób to! Jestem twoim sprzymierzeńcem... Poddaję się twojej woli, cała jestem twoja.

- Trafna decyzja.

- Nie kpij ze mnie, proszę...

- Ja? Kto tu z kogo kpi?

- Powiedziałam, że poddaję się twojej woli.

- A ja powiedziałam: „Trafna decyzja”. - Saga odwróciła się do dam, jakby czekała na jakieś wsparcie. - Która z was sądzi, że kpię? Jak mogłaś w ogóle tak pomyśleć, Raquel? Do wszystkiego podchodzisz w przewrotny sposób! Gdzie w mojej twarzy czy słowach doszukałaś się kpiny?! - Mina Sagi wyrażała lekką naganę. - Chcesz mnie obwinąć za swoje własne błędy? Powiedziałam, że twój syn czuje się dobrze. Oto i on. Powiedziałam, że nie zrobimy mu krzywdy, więc mu jej nie zrobimy. W przeciwieństwie do ciebie dotrzymuję słowa. Nie uważam się za tak ważną, żeby podejmować decyzje z pominięciem grupy. Nie obracam swoich przysięg w proch, jak ty, kiedy odważyłaś się na prokreację...

Raquel załamała się. Jedyne więzy z kwiatów powstrzymały ją przed osunięciem się na ziemię. Kolana ugięły się pod nią. Mimo wszystko próbowała myśleć trzeźwo. Chłopiec, stojący pośrodku altany, patrzył na nią z bezbrzeżnym smutkiem.

Nie daj się ponieść nerwom. Nie odważą się zrobić mu krzywdy.

- Kto zawsze czuł się ważniejszy i silniejszy od innych? Kto gardził nami do tego stopnia, że próbował ukryć swoją zdradę?

Nie dotkną go. Podjęły decyzję. Podjęły decyzję.

- A teraz twierdzisz, że kpię?

Nie jego. Nie odważą się. Nie...

Drżała i płakała, nie panując nad sobą. Postrzegany przez nią świat stał się deszczem kandelabrow i motyli.

- Nie wpadnę w pułapkę, nie uda ci się mnie rozzłościć... - dodała Saga. - Nie wpadnę w złość, jakbyś sobie życzyła. Nie dam ci pretekstu, którego potrzebujesz, żeby sycić swoją nienawiść...

We wnętrzu domu ponownie narodziła się muzyka: delikatne tony walca. Jakby na oczekiwany sygnał damy zaczęły się wycofywać. Saga podeszła do dziewczyny, uśmiechając się.

- Wszystko już zostało powiedziane, wszystko omówione... Wiemy, czego się możemy po tobie spodziewać. Teraz musimy kończyć. Mam nadzieję, że wreszcie zrozumiałas, że z naszej strony nie musisz się obawiać niczego złego... - Przez chwilę patrzyły jedna na drugą. - Pocałuj mnie na pożegnanie... - Dziewczynie polecenie to nie wydało się ani mniej, ani bardziej okrutne od wielu innych. Pochyliła twarz (była dużo wyższa od Sagi) i zbliżyła usta do jej warg. Nie poczuła nic szczególnego. - Pocałuj mnie inaczej - poprosiła młoda kobieta z uśmiechem. Raquel wysunęła język i wpiła się w ciepłą, beznamietną śluzówkę, pieszcząc ją i oddychając oddechem Sagi. Nagle Saga odsunęła się i odezwała innym tonem. - Wiele bym dała, żeby twoje oczy obdarowały mnie tym, czym obdarowują mnie twoje usta. Ale oczy przewyższają cię z nawiązką: nie są tchórzliwe, nigdy nie całują. Trwają niezwykczone, wierne sobie... Wiele bym dała, żeby złamać ich niezłomność. Lub żeby ją osiąść. Co mam zrobić? - Uśmiechnęła się, jakby zachęcając do odpowiedzi na to trudne pytanie. - Powiedziałaś: „Cała jestem twoja”. Co mam więc zrobić?

Nagle to się stało.

Jakiś cień. Jakaś niezbita pewność

runęła na nią

jak jastrząb na ofiarę.

Jakby powieki Sagi rozsunęły się niczym zasłony i pozwoliły jej przez ułamek sekundy dojrzeć, co znajduje się za nimi.

To, co tam zobaczyła, złamało ją całkowicie.

Chce mi zadać ostateczny cios, cokolwiek zrobię lub powiem, będzie bezcelowe. Myśl ta zamroczyła jej umysł. Wszystko na nic. Choćbym się poniżała i błagała. Nie ma wyjścia.

- Straciłam nadzieję - powiedziała Saga z westchnieniem. - Nie ma wyjścia.

Pokręciła ze smutkiem głową. Raquel patrzyła na nią przerażonym wzrokiem.

To bezcelowe.

- To bezcelowe - powiedziała Saga i odwróciła się.

Ogarnęło ją przerażenie. Szarpnęła z rozpaczą więzy.

- Zabij mnie, Sago! Zabij mnie od razu, proszę...! Jacqueline...!

Prawie wszystkie damy już odeszły. Saga podążyła ich śladem i weszła do domu.

Pozostała tylko otyła kobieta, która podkasawszy spódnicę, pochyliła się nad dzieckiem. Medalion z kozłem kołysał się jej na piersiach.

- Za każdym razem, kiedy się zbliżam, ty się odsuwasz! Stój spokojnie w jednym miejscu, chcę z tobą tylko porozmawiać, smarkaczu! Czy ktoś jest w stanie okiełznać tego źrebaka?! Patrzysz jak fryzyjska krowa! Ależ ty masz wielkie oczy! Wiesz, do kogo jesteś podobny? Do swojej mamy, kiedy nam się uważnie przygląda... Cała mama... Nie ta teraz, oczywiście, głupia beksa, tylko ta dawna, prawdziwa... Pamiętasz ją?

- Nie - odpowiedział chłopiec.

- Gdybyś widział to spojrzenie... Jesteś do niej podobny, uwierz mi. Będziesz czarującym młodzieńcem, przekonasz się. Dziewczęta nie zostawią cię w spokoju... Twoja mama lubiła rządzić, trzeba to przyznać... Teraz maże się jak idiotka, ale kiedyś lepiej było na nią uważać...

- Moja mama nie jest idiotką - zaprotestował chłopiec.

- To tylko mój taki czuły sposób mówienia... - Nagle kobieta podniosła się gwałtownie i zwróciła w stronę domu. - Ściszcie z łaski swojej tę muzykę! Nie da się w ogóle rozmawiać!

- Prychnęła, poprawiła na nosie okulary, ponownie pochyliła się nad chłopcem i uśmiechnęła, ukazując zęby poplamione szminką. - Wydaje im się, że wszyscy lubią tańczyć, a wcale tak nie jest. Niektórzy wolą rozmawiać, prawda? Tylko słowa są czyste. Tylko wiersze są cokolwiek warte.

- Maleficiae... - jęknęła Raquel.

Pragnęła, żeby wszystko odbyło się jak najszybciej, ale wiedziała, że nawet to nie będzie jej dane.

Wszystko odbędzie się bardzo wolno.

- Maleficiae, proszę cię...

- Możesz się uciszyć i pozwolić nam porozmawiać przez chwilę...? Twoja matka jest okropnie marudna... Jak ty z nią wytrzymujesz? Cóż, nie zwracajmy na nią uwagi, może wtedy zamilknie. Wiesz o tym, że istnieje taki kraj jak Meksyk? A wiesz, że w tym kraju żyje wąż, który ma cztery nosy?

- Nieprawda - powiedział chłopiec.

- Prawda starsza niż świat. Niech mi spadną majtki, jeśli kłamie. Cztery nosy.

Zastanawiam się, po co mu cztery. Może czuje równocześnie cztery różne zapachy? Nazywa się nauyaca, potrafi zjeść sam siebie...

- Ma... małe... ficiaee... Nie...

- Zadam ci jedno pytanie... - Ujęła twarz chłopca w dłonie o pomalowanych paznokciach. - Możesz przestać patrzeć na mamę? Nienawidzę, jak ktoś mnie nie słucha, kiedy do niego mówię, przystojniaczku... Zadam ci jedno pytanie, skup się: czego nigdy nie mógłby zjeść wąż, który potrafi zjeść sam siebie?

- Głowy - odparł chłopiec.

- Doskonale! Jesteś bystry!

- Pro... pro... szę... Pro...

- Zamknij się wreszcie! - pisnęła dama w kierunku dziewczyny i wyszeptała kilka słów po angielsku. Nagle Raquel poczuła, że nie może wydobyć z siebie głosu, chociaż nadal porusza ustami i językiem. Nie wydawała żadnego dźwięku. Jej płacz również oniemiał. - Teraz to co innego. Jaki spokój, jaka cisza... Nie rób takiej miny, maleńki, nie zrobiłam krzywdy twojej mamie... Odebrałam jej tylko dźwięk... Znałam kiedyś jeden stary wers Sasanidów w języku pahlawi, dzięki któremu osiągnęłabym ten sam efekt w znacznie krótszym czasie, ale jestem już stara i nie pamiętam go. W każdym razie lepsze to niż nic. Tylko na nią popatrz! Teraz, kiedy nie może krzyczeć, nawet nie chce się z nami zadawać, zauważyłeś? Zamykanie oczu to zwykły brak szacunku! - Wyrecytowała kolejny wiersz, tym razem po francusku. Górne powieki Raquel uniosły się i napięły z siłą stalowych sprężyn, jakby były przywiązane do balkonów brwi. Spod nich wyłoniły się oczy, wielkie, przerażone i nieruchome, jak oszlifowane onyksy.

Nie mogła ich zamknąć.

Nie mogła przestać patrzeć.

Nie mogła krzyczeć.

- Tak jest znacznie lepiej - powiedziała kobieta i ponownie odwróciła się do dziecka.

Rulfo potakiwał głową. Miał wrażenie, że wszystko jest w porządku. Ogarnęło go nie tyle poczucie szczęścia, ile swego rodzaju odrętwienie, letarg, jaki następuje po orgazmie. Miał ochotę usiąść (od dawna stał już bowiem ze związanymi rękami) i nawet wydawało się to bliskie spełnienia: usłudźni majordomusowie zapowiedzieli właśnie, że zdejmą mu więzy.

Z przyjemnością stwierdził też, że Raquel przestała krzyczeć i płakać. Co za spokój, jak mówiła otyła kobieta w okularach. Naraz zrobiło się wprost sielankowo: nieskończona różnorodność ciem i nocnych motyli urzekła wzrok, pogoda była wymarzona, z domu dobiegały dźwięki walca, rozmów i śmiechu, z ogrodu granie cykad. A na dodatek majordomusowie przystąpili do rozwiązywania węzłów. Czego więcej mógł pragnąć?

Pochylona obok niego kobieta w okularach rysowała lub pisała coś na piersiach nagiego chłopczyka. Zaciekawiony Rulfo przyglądał się im z rozbawieniem.

- Chudzina z ciebie - powiedziała kobieta, w skupieniu kreśląc paznokciem wskazującego palca małe literki, nanoszone z zadziwiająco starannością. - Zapewniam cię, że gdybyś mieszkał ze mną, wyglądałbyś inaczej... Robię taką *bouillabaisse*, że palce lizać! Ale moją specjalnością są pączki z nadzieniem...

Rulfo rozpoznał wiersz, zanim skończyła pisać, i pokiwał głową z aprobatą. Był to jeden z najwspanialszych poematów, jakie znał.

Ukochana w ukochanego przeistoczona

- Jaka biała skóra! Łatwo na niej pisać... Wiesz, co to jest? Najpiękniejsza strofa świętego Jana od Krzyża... Znasz to nazwisko? Był bardzo dobrym, świętym człowiekiem, który układał wiersze w czasie mistycznych uniesień... Zdradzę ci pewien sekret: kiedy miał natchnienie, jego oczy przybierały kształt rombów, czarnych ukośników, i czuł, jakby go rozrywały pazury sokoła... Możesz w to uwierzyć? Był świętym, oczywiście, ale też trochę szalawilą, zwłaszcza w młodości...

Mili majordomusowie skończyli zdejmować więzy. Nie odczuwał żadnego odrętwienia, co było nieco dziwne, ponieważ, o ile pamiętał, przez wiele godzin stał nieruchomo. Wzięli go pod ręce, a on poddał się im bez sprzeciwu: wiedział, że kierują się w stronę domu. Miał ogromną ochotę wziąć udział w przyjęciu. Zatrzymał się tylko na chwilę, żeby zaprosić Raquel, ale kiedy się do niej odwrócił, ogarnęło go zdumienie: dziewczyna patrzyła na dziecko szeroko otwartymi oczyma z dziwną, niepokojącą miną. Pomimo stanu całkowitego zadowolenia, w jakim się znajdował, Rulfo wpadł w lekki popłoch.

- Przepppraszam - wystękał ze skołowaciałym językiem i uczynił gest, jakby chciał do niej podejść, lecz majordomusowie przeszkadzili mu w tym z uśmiechem na ustach.

- Proszę pójść z nami, zobaczymy, co się da zrobić - zasugerował jeden z nich.

Pomysł szukania pomocy w domu uznał za bardzo dobry. Pozwolił się tam zaprowadzić. Za plecami usłyszał głos deklamującej kobiety: *Ukochana w ukochanego przeistoczona*. Chciał się odwrócić, powiedzieć, że niewłaściwie akcentuje słowa, ale dotarli już do skąpanego w świetle tarasu.

Bał osiągnął apogeum. Rulfo, wzięwszy smukły kieliszek szampana, przechadzał się spokojnie po salonach. Nigdy nie brał udziału w tego rodzaju przyjęciu, a najdziwniejsze, że nigdy tego nie pragnął. Teraz, kiedy w końcu znalazł się na jednym z nich, uznał je za bardzo miłe, niemal zmysłowe. Wszystko go pociągało, od wzorów na dywanach począwszy, a na satynowym połysku kobiecych sukni skończywszy. Na początku bał się, że ktoś może go wykić, zorientować się, że nie reprezentuje sobą właściwego poziomu, lecz nic takiego się nie stało. Szybko zdał sobie sprawę, że nie tylko go akceptowano, ale i, co można było wywnioskować po minach i gestach, troszczono się o niego.

W jednym z salonów rozbrzmiewało pianino, na którym mężczyzna w za dużym smokingu wybijał z wprawą dźwięki walca. Goście odstawiali kieliszki byle gdzie, żeby go oklaskiwać. Jakiś inny mężczyzna, któremu wtórowały pełne zadowolenia wybuchy śmiechu, opowiadał dowcipy po francusku. Rulfo zatrzymał się, żeby ich posłuchać. Nagle ktoś do niego podszedł. Była to młoda dziewczyna o kręconych włosach w kolorze mahoni, ubrana w rozciętą z boku suknię naszytą cekinami. W ręku trzymała kieliszek.

- Dobrze się pan bawi?

Przyjrzał się jej wesołym oczom, trzepoczącym rzęsom i drobnym piersiom falującym w wycięciu dekoltu. Uśmiechnął się.

- Bardzo doobbbrze. - Nadal czuł się trochę niezdarnie. Zarumienił się.

Dziewczyny najwyraźniej nie obchodził sposób, w jaki mówił. Podeszła bliżej i ku

jego zdziwieniu zagłębiła swoje mięsiste wargi w jego ustach. Pocałunek był więcej niż przyjemny: wzbudził w nim natychmiastowe pożądanie. Poddał się grze języków i raptem wydało mu się, że mógłby się z nią kochać tutaj, na dywanie, w obecności gości. Objął ją w pasie, ale dziewczyna zaśmiała się perliście, nieco kpiąco, i oddaliła się, kołysząc delikatnie swoimi świecidełkami. Nie uraziło go jej zachowanie. Uważał, że było właściwe, zważywszy na okoliczności. Brali udział w przyjęciu, nie w orgii. Goście się bawili, nie robili jednak niczego niewłaściwego. Mimo wszystko kontakt z dziewczyną podniecił go. Postanowił pójść za nią.

Prześlizgnął się przez drzwi i przeszedł do drugiego salonu pełnego stołów zastawionych przekąskami. Było tu jednak zbyt dużo ludzi, nie mógł jej nigdzie dojrzeć. Zaczął przechadzać się pomiędzy stołami. Palily go policzki. Piekły go. Pamiętał jak przez mgłę, że ktoś coś na nich rysował lub pisał, lecz nie mógł sobie przypomnieć, co to było. Wydało mu się to zabawne.

Nagle dostrzegł dziewczynę za jednym ze stołów, za zigguratem kanapek. Uśmiechała się do niego. Uznał, że jest piękna. Chyba miała lekkiego zęza, ale jej oczy błyszczały jak gwiazdy, a wargi wyglądały jak krwiste peonie. Właśnie podnosiła do nich coś w rodzaju babeczki, z której wyciekała *cidra*. Pogryzała ją, nie odrywając od Rulfa wzroku i postukując delikatnymi palcami o stół, jakby zastanawiała się, jaką przekąskę jeszcze wybrać. Po chwili oddaliła się i znikła za drzwiami w głębi salonu. Tym razem nie odejdzie zbyt daleko, pomyślał rozbawiony.

Ktoś zaczął deklamować: *La elipse de un grito, va de monte, a monte*. Wydawało mu się, że rozpoznaje wiersz Lorki, ale nie przywiązał do tego wagi. Dotarł do drzwi i oczom jego ukazał się wyłożony dywanem korytarz. Kolejne drzwi zamknęły się z migotem cekinów. Uśmiechnąwszy się, ruszył w tamtą stronę. Po ich otwarciu stanął jak wryty.

Całkowita ciemność, głęboka, nieprzenikniona.

Wyjąkał kilka słów, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Z nieokreślonego miejsca dobiegł go szelest jedwabiu osuwającego się na podłogę. Sam dźwięk sprawił, że zaczął dyszeć. Nie zważając na panujące ciemności, wszedł do środka i zamknął drzwi. Był pewny, że pokój jest niewielki. Nie namacał na ścianie żadnego kontaktu. Zrobił jeden krok, potem drugi. Był przekonany, że dziewczyna czeka na niego wewnątrz, naga. Poczuł, że coś porusza się u jego stóp. Wysunął czubek buta i natrafił na jakiś twardy przedmiot. Schylił się i dotknął go: wyczuł fakturę materiału, sztywność cekinów; sukienka się poruszała. Dziewczyna najwyraźniej nie rozebrała się. Pomyślał, że musi to być jej talia, choć była trochę za wąska, za długa i za zimna; ślizgała się pod palcami.

Zaniepokoiło go to. Wyprostował się i próbował odnaleźć drzwi. Za plecami usłyszał nieoczekiwane głos dziewczyny. Towarzyszył mu chichot.

- Dokąd idziesz?

On jednak otworzył już drzwi i chwiejnym krokiem wkraczał w jasność. Nie rozumiał tego, co się stało, ale nie miało to znaczenia. Pragnął nowych doświadczeń. Przyjęcie, ogólnie rzecz biorąc, było niezwykle, aczkolwiek bardzo przyjemne.

Powrócił do salonu. Jakaś kobieta o całkiem białych włosach, staruszka, choć nadal piękna, z oczami jak topazy, ubrana w staromodną suknię z dziewiętnastego wieku, usiadła przy pianinie. Otrzymała brawa, jak tylko jej szczupłe palce wspięły się na klawisze, wydobywając z nich delikatne tony. Od razu rozpoznał *Tenderly*. Zaczęła śpiewać przepalonym głosem, doskonale naśladowując Billie Holiday.

The evening breeze caressed the trees... tenderly.

The trembling trees embraced the breeze... tenderly.

Then you and I came wondering by

and lost in a sigh... were we.

Jej śpiew zafascynował Rulfa. Stał nieruchomo, pragnął słuchać tylko jej. Staruszka najwyraźniej zauważyła jego entuzjazm, gdyż w przerwie pomiędzy zwrotkami mrugnęła do niego jednym ze swoich przenikliwych, lśniących topazów.

The shore was kissed by the sea and mist... tenderly...

Muzyka niosła go na falach rozkoszy, iluzji tak subtelnej jak srebrny filigran. Mimo to, chociaż śledził w skupieniu każdy gest artystki, kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się i stwierdził, że przypadkiem znalazł się tuż przy oknie. Jego uwagę rozproszyło poruszenie w ogrodowej altanie.

Scena, jakiej stał się świadkiem, przykuła jego wzrok na dłużej, niż było to jego zamiarem.

W altanie odbywało się drugie przyjęcie, na pierwszy rzut oka dużo ciekawsze, sądząc po nagich kobietach (o białych pośladkach w kształcie półksiężyców przypominających nieupieczone croissanty), które tłoczyły się pod girlandami. Z niewiadomego powodu uznał za konieczne policzyć je: dwanaście. Stały tak blisko siebie, że trudno się było rozeznaczyć, co właściwie robiły. W prześwitach pomiędzy ich ciałami dostrzegł czarnowłosą dziewczynę w

czerwonej sukience. Miał wrażenie, że ją zna, ale nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

Naprzeciw nich dostrzegł

Your arms open wide

coś jeszcze.

and close me inside...

Usiłował dojrzeć, co to jest. Wyglądało jak kij wbity w trawnik. A na nim, nasadzony na czubek... Wysilił wzrok. Co to może być...?

You took my lips, you took my love

Na Boga, co to może być?! Jakaś zepsuta lalka?

so tenderly...

Utwór zakończył się krystalicznym *arpeggio*, po którym rozległa się burza oklasków - na ten dźwięk Rulfo odwrócił głowę. Staruszka ukłoniła się, przesyłając mu w powietrzu całusa, którego odesłał jej z zachwytem. Kiedy ponownie odwrócił się do okna, ktoś zasunął kotary.

Nadal dręczyła go jakaś wątpliwość. Długo odkładane pytanie. Mające ścisły związek z tym, co przed chwilą widział.

Pragnąc poznać odpowiedź, rozejrzał się wokół i zobaczył grubego, siwowłosego mężczyznę pijącego szampana. Podeszedł do niego, otworzył usta i wydobyl z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków. Osobnik spojrzal nań z pogardą i oddalił się. Rulfo klął na siebie w duchu za to, że zapomniiał, iż stracił zdolność mówienia.

Ktoś w salonie zaczął recytować *Robaka zdobywcę* Edgara Allana Poe. Poczul się skołowany. Światło zostało wyrugowane z jego oczu. Potykając się, zrobił kilka kroków, aż zderzył się z jakimś mężczyzną, który nie był ubrany w smoking, tylko w rodzaj długiego kaftana. Mężczyzna powiedział coś do niego, Rulfo próbował go przeprosić, ale przekonał się, że nawet tego nie potrafi. Upadł na podłogę, na kolana, pośród gradu angielskich słów. Zamykając oczy, myślał o pytaniu, którego nie zdołał zadać.

Odpowiedź na nie wydawała mu się coraz bardziej nagląca, jakby była kwestią życia

lub śmierci, jakby od niej zależało jego szczęście i przyszłość, oraz szczęście i przyszłość wielu takich jak on.

Zawsze było dwanaście.

Dwanaście.

Brakowało jednej.

Chciał, żeby ktoś mu powiedział, gdzie była ta, której brakowało.

XII. PRZEBUDZENIE

Po osłuchaniu staruszka Ballesteros podniósł głowę.

- Nie jest z panem tak źle, jak pan myśli, dziadku. Proszę nie robić takiej miny.

Pacjent uśmiechnął się słabo, a jego żona, drobna babulinka o wyostrzonych rysach i w okularach na nosie, spojrzała w sufit i szepnęła coś w kierunku Boga. Ballesteros pomyślał, że Bóg i tak niechybnie zna prawdę: niewydolność oddechowa pacjenta pogorszyła się trochę, nie na tyle jednak, żeby się trzeba było martwić. To samo dotyczyło pogody. Listopad rozpoczął się posepnie: ciężkie szare chmury, które w żaden sposób nie mogły skropić się w deszcz, paradowały przed oknem gnane lodowatym wiatrem. Takie warunki wpływały niezmiennie na pogorszenie stanu oskrzeli jego podopiecznych. Przypuszczał, że niewielka zmiana w metodzie leczenia poprawi stan zdrowia pacjentów. Jego to, niestety, nie dotyczyło. Potrzebuję czegoś więcej niż niewielkiej zmiany w metodzie leczenia, pomyślał.

Odpowiedział uśmiechem na uśmiechy, którymi obdarzyło go żegnające się małżeństwo. Nagle poczuł na sobie wzrok Any; wpatrywały się w niego uważnie jej oliwkowe piękne oczy.

- Kiepsko pan dziś wygląda - powiedziała pielęgniarka, kiedy para staruszków wyszła.

- Lepiej niech się pan przyzna, co pan robił w weekend...

Olśniewała go uśmiechniętym półksiężycem z kości słoniowej, oprawionym w śniadą twarz. Próbował żartować, jak zawsze, kiedy byli sami.

- Przez całe życie źle znosiłem poniedziałki. To tylko dowód, że się nie zestarzałem.

- Chyba nie jest pan chory?

Zlekceważył pytanie. Zrobił to w niezwykle prosty sposób: pobłażliwym gestem i budzącym zaufanie uśmiechem. Naraz zrozumiał, jak łatwo przychodzi mu kłamstwo. Wszyscy mu wierzyli. Wystarczyło się uśmiechnąć i potrząsnąć głową, żeby nikt nie poznał prawdy, żeby nikt nie odkrył mroku, w jakim się chronił. Takie były przywileje samotności i uprawianego zawodu.

Ucieszył się, kiedy zarówno rozmowa, jak i wejście następnego pacjenta zostały zakłócone dzwonkiem telefonu. Pielęgniarka musiała odebrać, a on zyskał na czasie i zamknął na chwilę oczy. Choć wiedział, że jeśli to zrobi

las

wszystko powtórzy się od początku.

- Doktorze...

- Słucham.

Znowu ją z o b a c z y, jak w ostatnich dniach. I znowu wszystko będzie przerażające.

- Dzwoni doktor Tejera, z miejskiego. Chce z panem porozmawiać o nowo przyjętym pacjencie.

las był snem

Skinął głową i sięgnął po słuchawkę. Często dzwoniono z kliniki, żeby omówić z nim przypadek jakiegoś pacjenta hospitalizowanego z tego czy innego powodu. Toteż dziękował w myślach Tejerze za tę chwilę wytchnienia: oderwie się na moment od otaczających go ciemności.

Szybko jednak przekonał się, jak bardzo się mylił.

To był głos z ciemności.

Las był snem.

Morzem, bezsennością.

Ta osobliwa, dwuznaczna pewność prześladowała go przez jakiś czas. Kiedy zasypiał, wszystko stawało się nieruchome i mroczne. Jakby znalazł się w środku niezgłębionego lasu. Ale kiedy się budził, czuł, że unosi się na morzu, które spełniało wszystkie warunki, żeby nim być (tchnienie fal, światło, kołysanie, nieważkość), tyle tylko, że nie było w nim wody. Nagle, w którymś momencie, światło stało się pamięcią.

I przeszło go.

Jak na ironię losu nastąpiło to w chwili, kiedy Caparrós (nazwisko, które widniało na jednej z wielu prostokątnych Wizytówek unoszących się nad nim) powiedział do Tejery (kolejne nazwisko) coś w stylu: „Czuje się lepiej”. Usłyszawszy to, prawie wybuchnął

śmiechem, ponieważ właśnie tego dnia czuł się po raz pierwszy naprawdę źle.

- Proszę wymienić ostatnią rzecz, jaką pan zapamiętał.

- Ten szpital.

- A zanim pan tu trafił?

- Mój dom.

- Gdzie pan mieszka?

- Na ulicy Lomontano cztery, trzecie piętro, po lewej.

Dobrze, mówili, bardzo dobrze. Potem zorientował się, że wszystko toczyło się w ten sam absurdalny sposób: następnego dnia czuł się jeszcze gorzej, a mimo to Caparrós i Tejera zdecydowali, że go wypiszą; kolejnego dnia jego stan „poprawił się diametralnie”, chociaż tkwił osaczony w przerażającym koszmarze wspomnień. Zdał sobie sprawę, że Caparrós i Tejera - którzy nie byli już Wizytówkami, tylko Twarzami, a ściślej mówiąc Lekarzami - widzieli płomień. Płomień rozmawiał i odpowiadał na pytania, dlatego myśleli, że nic złego się nie dzieje. Nie potrafili jednak dojrzeć człowieka, który spalił się w środku.

Bronił się przed pytaniami, zadając inne. Wyjaśnili mu, że leży w szpitalu miejskim w Madrycie. Powiedzieli, że jest niedziela, czwartego listopada, i że był nieprzytomny przez blisko siedemdziesiąt dwie godziny. Poinformowali, kto go znalazł (jakiś kierowca dostawczego samochodu), opowiedzieli, że człowiek ten zobaczył ciało leżące na dnie przydrożnego rowu, przy lokalnej szosie niedaleko opuszczonego magazynu, i zadzwonił na policję, a ta na pogotowie. Diagnoza wstępna: śpiączka alkoholowa.

Powiedzieli mu wszystko, poza najważniejszym. O to również musiał zapytać.

Tejera, bo to właśnie on miał dyżur owej niedzieli, skinął głową. Był to młody ciemnowłosy lekarz, o gęstych, kręconych włosach. Potakując, zwykł stulać usta w różowy punkcik.

- Tak, była z panem druga osoba, także nieprzytomna. Nie znamy jej tożsamości. Nie ma żadnych dokumentów. Nadal jest w śpiączce.

spojrzał na nią

- Może mi ją pan opisać?

- Przykro mi, nie widziałem jej. Jest na oddziale intensywnej terapii, zajmują się nią koledzy. Myśleliśmy, że będzie nam pan w stanie wyjaśnić...

- Muszę ją zobaczyć - powiedział, przełykając ślinę.

- Zobacz pan.

Są dwie możliwości, pomyślał. Zapewnili go, że nie jest ranna, ale to żaden dowód. Może jednak to, co w jego przekonaniu przytrafiło się Susanie, nie było prawdą (modlił się o to). Druga możliwość wydawała mu się mniej prawdopodobna. Po co miałyby pozostawiać Raquel przy życiu, skoro w ewidentny sposób pragnęły zetrzeć ją na proch?

Nie, to nie mogła być Raquel. To absurdalne. I okrutne. Lepiej by było, gdyby nie żyła.

Spojrzał na nią.

Leżała nieruchomo, przykuta sondami, kroplówkami i przewodami do łóżka. Miała zamknięte oczy. Rozpoznał ją natychmiast.

- Zna ją pan? - spytał Tejera.

- Nie.

I miał wrażenie, że mimo wszystko nie kłamie.

W poniedziałek rano Merche, pielęgniarka o długich rzęsach (znał imiona wszystkich pielęgniarek, lekarzy - tylko nazwiska), zawiadomiła Rulfa, że przenoszą go z sali obserwacyjnej w spokojniejsze miejsce. Krzepki salowy o płaskiej okrągłej twarzy manewrował jego wózkiem z ostrożnością kierowcy. Jego nowy pokój, usytuowany na innym piętrze, z wąskim łóżkiem, szafką i uchylnym oknem (w którego ramach niebo wyglądało jak burzowy obraz), był na tyle przytulny, na ile pozwalał na to charakter tego miejsca. Odmiennosc ciszy sprawiła, że zapadł natychmiast w półsen. Obudził się z krzykiem, kiedy przyśnił mu się wąż, który językiem wypisywał na jego twarzy wiersz świętego Jana od Krzyża i rozciągał tłuste pierścienie, ześlizgując się po pustej orbicie...

Dosyć. Pierdnięcia umysłu.

To nagle wspomnienie przywiodło mu na pamięć pewne nazwisko. Porozmawiał z doktorem Tejerą i poprosił go, żeby do kogoś zadzwonił.

Tego samego wieczoru przyjął niespodziewanego gościa. Myślał, że znowu śni, ponieważ nagle ze złocistych ciemności pokoju (paliła się tylko nocna lampka) wyłoniły się białe włosy, doskonale przycięta bródka, szeroka twarz i korpulentna postać lekarza, który patrzył na niego z tajemniczym spokojem.

- A więc w końcu pan wszedł?

Zrozumiał natychmiast, co ma na myśli, ale nie chciał udzielić odpowiedzi. Ballesteros przysunął sobie krzesło i z ciężkim westchnieniem usadowił na nim swoje ciało.

- Dlaczego przyszedł pan tak szybko? Obawiałem się, że może mnie pan nie pamiętać...

- Nie mam nic do roboty, a nie lubię odkładać do jutra tego, co mogę zrobić dziś. Jak się pan czuje?

- Bywało lepiej. Chociaż teraz nie jest już tak źle - skłamał. - Muszę tylko zapalić.

Ballesteros uniósł brwi i potrząsnął swoją ośnieżoną głową.

- Pan i te pana nałogi - burknął. - Wie pan, że to szpital. A nawet gdyby tak nie było, jak pan w ogóle śmie mówić coś takiego lekarzowi...?

- Cieszę się, że pan przyszedł - uśmiechnął się Rulfo. - Naprawdę. Jestem panu wdzięczny, doktorze.

- Niech się pan nie rozczula i opowie, co się stało.

Rulfo milczał przez chwilę, przeżuając prośbę. Nagle zaczął się śmiać. Ale jego chrapliwy śmiech nie udzielił się Ballesterosowi.

- Prawdę mówiąc, nie umiałbym tego wyjaśnić.

Ballesteros wzruszył ramionami.

- Jeśli pan myśli, że tak będzie łatwiej, mogę zadawać pytania. Doktor Tejera powiedział mi, że jakiś dobry samarytanin znalazł pana w przydrożnym rowie przy lokalnej szosie, obok spalonego, zamkniętego magazynu. Jak pan tam trafił?

Zaległa cisza. Rulfo opadł z powrotem na poduszkę i zapatrzył się w sufit.

Właśnie zrozumiał, że popełnił poważny błąd.

Nie pozostawiają świadków.

Tego popołudnia odczuł przemożną potrzebę podzielenia się z kimś swoim niepokojem i przypomniał sobie nazwisko lekarza, który go przyjął, zanim to wszystko się zaczęło. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że się pomylił: i to nie z powodu, jaki podał (niemożliwość wyjaśnienia sprawy), tylko z dużo, dużo ważniejszej, bardziej złowieszczej przyczyny.

Spojrzał w zmęczone, lojalne, szare oczy Ballesterosa, okolone szeroką twarzą Świętego Mikołaja incognito, i poczuł urazę do samego siebie. Nie może mu udzielić żadnej informacji, ponieważ w przeciwnym razie ten biedny lekarz poniesie konsekwencje: tak samo jak Marcano, tak samo jak Rauschen... może tak samo jak César, który nie odpowiada na jego telefony...

Nie pozostawiają świadków.

Jego samego dziwiło, że do tej pory zachował życie i pamięć. Uczyniły wyjątek - podejrzewał - pewnie dlatego, że nadal go p o t r z e b o w a ł y: może chciały go jeszcze

przesłuchać. Saga powiedziała przecież: „Mamy dużo czasu”.

Nie, nie mógł mówić. Wciągnął w to zbyt wielu niewinnych ludzi.

- A więc? - nalegał Ballesteros.

- Powiem to, co pamiętam... Obawiam się, że owego wieczoru wypilem trochę za dużo. Potem wsiałem do samochodu, wyjechałem z Madrytu i zaparkowałem gdzieś, żeby wytrzeźwieć. Obudziłem się w szpitalu.

Ballesteros utkwiał w nim wzrok, jakby to oczy Rulfa przemawiały do niego.

- Nietrudno to wytłumaczyć - oświadczył. - I jestem w stanie w to uwierzyć. Poziom alkoholu w pańskiej krwi był faktycznie wysoki, kiedy pana przywieźli. Przeglądałem kartę, zanim tu przyszedłem.

- W takim razie wszystko się wyjaśniło. Upiłem się bez sensu.

- A kobieta?

Rulfo patrzył na niego przez chwilę.

- Widzę, że odrobił pan pracę domową.

- Jak zawsze - zripostował Ballesteros. Miał podkrążone oczy. - A teraz proszę mi powiedzieć: kim jest ta nieprzytomna kobieta, którą znaleziono przy panu? Również pijaczką?

- Nie znam jej. Nigdy w życiu jej nie widziałem.

- Ma pan szczęście, jej stan jest poważny. Ścisłej rzecz biorąc: śmierć mózgu. Doktor Tejera twierdzi, że nie przeżyje nocy.

Cała krew odpłynęła z twarzy Rulfa.

- Słucham?!

Lekarz przyglądał mu się ze spokojem.

- Ta niezidentyfikowana kobieta umrze dziś w nocy - powiedział beznamiętnie. - Dlaczego pan tak patrzy? Podobno jej pan nie zna. Może jednak przeżyje. Może jej stan nie jest taki poważny. Wszystko zależy od tego, czy ją pan zna, czy nie.

- Sukinsyn - mruknął Rulfo pod nosem.

Ballesteros obdarzył go jedynym szczerym uśmiechem, jaki udało mu się wypracować w ciągu tych ostatnich długich dni.

- Najwyraźniej niepokoi pana los nieznajomych. Zawsze wiedziałem, że jest pan dobrym człowiekiem.

- A ja zawsze wiedziałem, że jest pan...

- Draniem. Niech się pan nie krępuje, niech pan to powie. Zasłużyłem sobie. Nie powinno się żartować z ludzkiego zdrowia. Prawda jest taka, że stan tej panny nie uległ

zmianie w ciągu ostatnich godzin... Nawet polepszył się nieco: wygląda na to, że zaczęła reagować na bodźce. A teraz, jeśli pan pozwoli, ten drań zada panu jeszcze raz to samo pytanie: kim jest ta kobieta i skąd ją pan zna?

- Mówiłem już, że...

- No dobrze. Widzę, że tracę czas.

Ballesteros podniósł się jak sprężyna, zadziwiająco sprawnie jak na swoje olbrzymie ciało, i wyszedł z pokoju bez słowa. Rulfo odetchnął z ulgą. Przykro mu było, że musiał go zirytować, ale przynajmniej uniknął pytań. Tysiąc razy bardziej wolał znosić jego oburzenie, niż wziąć odpowiedzialność za to, co mogło się wydarzyć, gdyby zaczął mówić.

- Żegnaj, doktorze - powiedział. - Miło było poznać.

W gardle stała mu twarda gruda. Znowu będzie sam, ale nie popełni już błędu, nie wciągnie w to innych. Oparł głowę o poduszkę, wiedząc z całą pewnością, że tej nocy nie uda mu się zasnąć. Nagle, zaledwie minutę po swoim wyjściu, Ballesteros wrócił, zamknął drzwi i podszedł do łóżka. Wyglądał na zdenerwowanego.

- Upewniłem się, że dadzą nam spokój. Proszę mi w końcu powiedzieć prawdę... Czy ta kobieta jest Sagą?

Rulfo spojrział na niego całkowicie zbity z tropu.

Śmierć nie istniała. Istniał grób.

Wszyscy, którzy się nią opiekowali (przychodzili i wychodzili, zapisywali różne dane, notowali cyfry, badali jej ciało delikatnymi instrumentami, czy też po prostu unosili powieki, żeby poświecić jej w źrenice), myśleli, że ich nie słyszy, że nic nie czuje. Mówili o śpiączce i wstrząśnieniu mózgu; poddawali ją niekończącym się torturom, których w imię miłosierdzia dopuszcza się medycyna: wciskali jej w gardło rury, przecierali rogówki gazikami, ostukiwali gumowymi młotkami jej członki.

To nie była ich wina. Skąd mogli wiedzieć, że pod tą cmentarną płytą z żywego ciała leży przytomna, świadoma i czujna? Byli zwykłymi ludźmi: lekarzami, pielęgniarzami, salowymi... Istotami, które wierzą w to, w co wierzą przeciętni zjadacze chleba: że, o ile piekło istnieje, trzeba umrzeć, żeby się o tym przekonać.

Nie, nie mogła ich obwiniać, chociaż czasami (częściej niż pragnęła) czuła, że byłaby zdolna udusić ich własnymi rękoma. Jej bezsilna, zapiekła wściekłość obróciła się przeciwko nim, przeciwko maszynie odliczającej uderzenia jej serca, przeciwko temu bezlitosnemu światłu przeszywającemu jej powieki, i przeciwko powietrzu i życiu, które otaczały ją jak jakaś okrutna kpina.

Nie postradała zmysłów: leżała całkowicie świadoma pod płaszczem szaleństwa, z szeroko otwartymi oczyma pod zamkniętymi powiekami, krzycząc bezgłośnie, skręcając się pośród nieruchomych mięśni, absurdalnie żywa w ciele nieboszczyka.

- Widzę jakiś szpital. Widzę siebie spacerującego po jego korytarzach. Wydaje się pusty. Wtem coś słyszę: echo, odległy pomruk. Odwracam się i dostrzegam pielęgniarkę odwróconą tyłem...

Przerwał. Nie chciał (ponieważ w tym kontekście wydawało mu się to bez znaczenia) mówić o tym, że pielęgniarka była naga, a on miał wrażenie, że rozpoznaje w niej szczupłą ciemnowłosą postać Any, ani o tym, jak bardzo go to podniecało, ani o tym, że nagle pielęgniarka się odwróciła, a on stwierdził, że to nie Ana, że się potwornie pomylił, ponieważ, w rzeczywistości...

- Zdaję sobie sprawę, że to moja żona. Patrzy na mnie.

Jej spojrzenie przypomina mu wzrok, jakim spoglądała na niego w czasie tych przerażających chwil, w poskręcany samochodzie. We śnie jednak nie jest ranna. Ma proste, rozpuszczone, kasztanoworude włosy, takie jak przez całe życie. Ale jest w tym coś więcej niż jej spojrzenie czy włosy: to prawie fizyczne doznanie, że Julia tu jest, stoi naprzeciw niego, i że nic złego się nie stało. Nie umarła, może jej dotykać i całować, przytulać do piersi. Nagle Julia się odzywa:

- „Uważaj na Sage”, mówi... Pytam, czym lub kim jest Saga, lecz mi nie odpowiada. Widzę, jak podnosi rękę i coś wskazuje. Zawsze, kiedy się odwracam, widzę was dwoje.

- „Was”?

- Tak. Pana i... tę dziewczynę.

Widzi oboje w ciemnościach. Dziewczyna jest bardzo ładna, dużo ładniejsza od Julii czy Any: Ballesteros sądzi, że nigdy w życiu nie widział tak harmonijnego ciała, tak budzącej pożądania figury. Ale wszystko to znika, kiedy spogląda w jej oczy. W tych oczach nie ma młodości, nie ma również piękna ani blasku: tylko tysiące minionych lat, światło tak stare jak poświata gwiazd. Jej oczy są smutne, przerażające.

- „Pomóż im”, mówi Julia. I powtarza: „Pomóż im. Pomóż”. „Dlaczego?”, pytam. „Zrób to dla mnie”, odpowiada. Po czym znika. Wy również. Zostaję sam. Korytarze są puste, lecz w głębi widzę dziwne światło. I znowu, dużo bliżej, słyszę to echo czy pomruk: przypomina ujadanie psów, zaczynam rozumieć, że mnie gonią. Biegnę, ale szczekanie zbliża się coraz bardziej. Wtedy zdaję sobie sprawę, że to nie psy, lecz kobiety. Wykrzykują jakieś słowa. Wołają mnie. Wyszczekują moje imię, biegnąc w moim kierunku. Wiem, co chcą

zrobić: rozerwą mnie na kawałki... Budzę się z krzykiem. Od nocy trzydziestego pierwszego października śni mi się to samo. Usiłowałem cię odnaleźć. Dzwoniłem do ciebie wiele razy, ale cię nie zastałem. Próbowałem zapomnieć o całej sprawie, myślałem, że chodzi o wspomnienia o Julii... Teraz rozumiesz, dlaczego zjawilem się natychmiast, kiedy zadzwonili do mnie i powiedzieli, że leżysz w szpitalu i chcesz się ze mną zobaczyć. Fakt, że razem z tobą znaleziono jakąś kobietę, przekonał mnie ostatecznie. Przed chwilą ją widziałem. Byłem u niej, zanim wszedłem do tego pokoju. Zapewniam cię, że nigdy w życiu, nawet za studenckich czasów, nie byłem tak zdenerwowany, wizytując pacjenta... - Spojrzał uważnie na Rulfa. - To ona. Dziewczyna, którą widuję w snach. Ale nie miałem pewności, czy to właśnie ją moja żona nazywa Sagą. Dlatego cię o to zapytałem, prosto z mostu. Od początku wiedziałem, że kłamiesz...

Rulfo odwrócił wzrok od ponurego oblicza Ballesterosa i długo milczał. W końcu powiedział:

- Proszę posłuchać: zostawmy to tak, jak jest. Proszę wyjść i zamknąć drzwi. Pamiętaj pan swoje własne słowa? Dziwne sprawy, w które nie należy się zagłębiać... Więc proszę się nie zagłębiać. Niech pan to zostawi, zanim będzie za późno.

- Nie chcę - odpowiedział Ballesteros poruszony słowami Rulfa, lecz bez cienia wątpliwości. - Tkwię w tym tak samo jak ty... One... One w y s z c z e k u j ą m o j e i m i ę. Pamiętajsz?

Patrzyli przez chwilę na siebie, oszacowując nawzajem strach czający się w ich oczach.

- Nie uwierzy mi pan w najmniejszym stopniu - powiedział Rulfo.

- Skąd ta pewność? - Ballesteros pogrzebał w kieszeni kurtki i wyciągnął paczkę papierosów. Rzucił je Rulfovi razem z zapalniczką. - Jeszcze się zdziwisz. Nawet nie wiesz, jak bardzo doktor Ballesteros ostatnio się zmienił.

Kiedy wypisywali go ze szpitala, obudziła się już ze śpiączki. Ballesteros oświadczył, że byli jego dawnymi pacjentami oraz że nadużywali alkoholu i narkotyków. Przedstawił odpowiednie dokumenty. Jest węgierską imigrantką, powiedział, w trakcie załatwiania stosownych formalności. Teraz należy tylko czekać, aż odzyska siły.

Lekarz, interesujący się bardzo jej stanem, zawiadomił Rulfa, że przewożą ją z oddziału intensywnej terapii na salę obserwacyjną. Kiedy ją zobaczył, leżała nieruchomo na łóżku, tak jak poprzednim razem. Jedyne różnica polegała na tym, że miała otwarte oczy. Cisza otaczała ją jak aureola wieńcząca świętych. Podeszedł i zajrzał jej w oczy, ale szybko się

przekonał, że one także nic nie mówiły: czarne i nieme, jak trupy siebie samych, utkwione były w nieokreślonym punkcie sufitu. Kroplówka z butelki skapywała powoli do jej krwi. Lekarstwo trzymało jej życie w areszcie domowym.

- Raquel - wyszeptał.

Jej imię zabołało go w ustach, jak zmrożona woda w zepsutym zębie. Nie dała mu żadnego znaku, że go słyszy.

- Nie chce jeść ani pić, ani mówić - powiedziała pielęgniarka.

Poprosił, żeby pozwolono mu z nią zostać. W sali nie wolno było przebywać osobom towarzyszącym, ale dzięki kolejnej interwencji Ballesterosa mógł przesiadywać w fotelu dniem i nocą. Przede wszystkim pragnął się nią zająć: pomagał ją myć, od czasu do czasu próbował ją karmić, siedział przy niej, dopóki nie zasnęła. Dwa dni później po raz pierwszy zobaczył uśmiech na jej twarzy. Opiekujące się nią pielęgniarki ucieszyły się i orzekły, że to zapewne skutek „nieprzespanych nocy tego pana”. Kiedy zostali sami, nie przestając się uśmiechać, zwróciła się do Rulfa:

- Zabij mnie.

W odpowiedzi nachylił się nad nią i pocałował ją lekko w wyschnięte usta. Spojrzała na niego. Ugór nienawiści w jej wzroku był tak bezkresny, że poczuł się bezradny. Zrozumiał, że dawna Raquel znikła na zawsze.

Ballesteros odwiedzał ich prawie codziennie. Osobiście nadzorował przebieg leczenia dziewczyny i zawsze znajdował kilka minut, żeby z obojgiem pogawędzić. Wiedzieli, że nie mogą swobodnie rozmawiać, ale Rulfo zdążył jej już wyjaśnić, że Ballesteros „wie o wszystkim” i pragnie im „pomóc”. Nie wydawała się tym zainteresowana. Nadal odmawiała jedzenia, poruszała się jak kukła, odpowiadała monosylabami.

Cztery dni po wypisaniu Rulfa ze szpitala Ballesteros rozmówił się z nim na osobności.

- Psychiatryzy mówią, że jeśli do przyszłego tygodnia jej stan się nie poprawi, zastosują bardziej radykalne leczenie. - A gdy Rulfo nie rozumiał, wyjaśnił: - Elektrowstrząsy.

- Nigdy na to nie pozwolę.

- To wskazane w takich przypadkach - uspokoił go Ballesteros. - Spójrz na to w inny sposób: nie ma nic gorszego niż pozostawienie jej w takim stanie.

- Niech ją wypiszą. Zabierzemy ją stąd.

- Nie opowiadaj głupstw. Dokąd chcesz ją zabrać? Gdzie zadbają o nią lepiej niż w szpitalu? Trzeba zastosować wszelkie środki, żeby przywrócić jej zdrowie. To nie może tak trwać. Patrzę na nią i przechodzą mnie ciarki. Biedactwo... Wygląda, jakby nie tolerowała

nawet otaczającego ją powietrza. Odnosi się wrażenie, że gdyby mogła, przestałaby oddychać. Przeżywa piekło.

- Ma powody - powiedział Rulfo, patrząc uważnie na lekarza.

- Nie obchodzą mnie teraz jej powody - odparł pobladły nagle Ballesteros. - Bez względu na to, kim jest i co jej zrobiono, tkwi w studni, z której nie chce się wydostać. Naszym obowiązkiem jest ją stamtąd wyciągnąć. Potem możemy spokojnie usiąść i porozmawiać o powodach, jakie kierują każdym z was...

Rulfo musiał się w końcu zgodzić. Głos Ballesterosa był jedynym głosem rozsądku, jaki usłyszał w tych pełnych chaosu dniach. W nocy, kiedy drzemał, przyglądając się jej wśród syku tlenu, oddechów i pokasływania chorych, miał sen. Zobaczył dziewczynę i dziecko - stali pod łukiem z klinców w jakimś nieznanym mieście. Trzymali się za ręce, zatopieni w mroku. Wtedy usłyszał jej głos: „Zbliź się i zobacz, co mu zrobiły”.

Zobacz,
co zrobiły mojemu synowi.

Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął, ale wiedział, że musi to uczynić, ponieważ nie powinna sama mierzyć się z tą przerażającą prawdą. Podszedł do niej, drżąc. Tak bardzo się bał... myślał, że oszaleje. Dziewczynę widział wyraźnie, lecz chłopiec nadal był plamą cienia. Choć właściwie nie całkiem: zaczynał rozróżniać wbity w ziemię kij, a na nim... Zbliź się i zobacz. Zobacz, co mu zrobiły... Obudził się o ułamek sekundy wcześniej, nim zobaczył, co kryły cienie, wstrząsany dreszczami przerażenia i przekonany, że Raquel wstała z łóżka.

Ale dziewczyna nadal leżała nieruchomo w ciemnościach.

Owego ranka pozwolił sobie na odpoczynek. Zszedł do kawiarni i zamówił śniadanie, nieco bardziej obfite niż posiłki, jakie jadał ostatnio, jednym słowem niż to, co podawali dziewczynie, która nadal odmawiała jedzenia, a personel nie miał nic przeciwko temu, żeby Rulfo na tym skorzystał. Zaczął odczuwać zmęczenie. Potrzebuje ruchu, musi wyjść z tej bezdusznej sali. Chciał również zadzwonić do Cesara. Nie wiedział, co się z nim stało. Ani z Susaną. Przeczytał wszystkie gazety, jakie wpadły mu w ręce, lecz nic nie znalazł, choć tak właściwie nie wiedział nawet, czego szuka. Zadzwonił do niego. Ale César nie odbierał telefonu. Muszę tam pojechać, pomyślał z ogromnym niepokojem.

Po powrocie do sali czekała go niespodzianka.

- Co pan na to? - spytała salowa z zadowoleniem. - Nie zostawiła ani okruszka.

Pokazywała mu tacę ze śniadaniem - pustą szklankę po kawie z mlekiem i czysty talerz, na którym przedtem leżała grzanka.

- Nie wyrzuciła ani nie schowała - dodała, wskazując palcem na oko. - Pilnowaliśmy cały czas.

Siedząca na łóżku dziewczyna, uśmiechnięta, otoczona pielęgniarkami i salowymi, wyglądała jak grzeczne dziecko, któremu udało się z pewnymi trudnościami zdać wszystkie egzaminy.

- Dzień dobry - powiedział.

W jej oczach nadal snuł się cień smutku, ale zmiana była niewyobrażalna.

Jakby na zamówienie, współgrając z wypisaniem jej ze szpitala, ranek wstał słoneczny, błękitny i spokojny, całkowicie odmienny od ostatnich surowych, szarych dni. Mimo to nagie drzewa i palta świadczyły o tym, że jesień szykuje się do opuszczenia Madrytu. Ballesteros wziął wolny dzień i pojechał po nich samochodem. Nalegał, żeby zatrzymali się u niego. Miejsca starczy dla trojga, powiedział, a teraz, kiedy on również znał prawdę, uważał za stosowne, żeby byli razem. Ani Rulfo, ani Raquel nie mieli zastrzeżeń co do jego propozycji. Niemniej po drodze, kiedy Raquel spała na tylnym siedzeniu, Rulfo poczuł się w obowiązku jakoś to skomentować.

- Goszczenie nas może być dla ciebie poważnym zagrożeniem, Eugenio. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Jestem gotów zaryzykować - Ballesteros zahamował przed żółtymi światłami z ostrożnością przezornego kierowcy. - Mówiłem ci już: tkwimy w tym wszyscy troje, czy nam się to podoba, czy nie. Chociaż - dodał, wpartując się w Rulfa - nie udało się wam jeszcze przekonać mnie do końca. Owszem, miałem dziwne sny, ale to nie znaczy, że stałem się przez to czarownikiem czy egzorcystą... Nie akceptuję historii o wierszach wywołujących podczas recytacji różne skutki ani tym podobnych absurdów... Przyznaję, że zdarzyło nam się coś niezwykłego... Jestem nawet gotów uwierzyć, że istnieje jakaś grupa... grupa... Niech będzie, nazwijmy to sektą. Ale dalej się nie posunę. Problem nie w tym, że wątpię w twoje opowieści: wierzę ci, wierzę, że p r z e z y l i ś c i e cały ten horror, lecz jestem pewny, że gdybym cię teraz zapytał, ile z owych zdarzeń jest twoim zdaniem prawdziwych, tak prawdziwych jak te drzewa, ulica Serrano lub chodniki, zawahałbyś się, zanim byś odpowiedział...

Rulfo przyznawał mu po części rację. Po dwóch tygodniach od domniemanej „wizyty” w posiadłości na południu Francji nadal nie dowierzał swoim wspomnieniom.

- Tego rodzaju sekty mają potężną broń - kontynuował Ballesteros. - Sugestię. Zdarzały się już gorsze rzeczy: choćby pranie mózgów czy syndrom sztokholmski. Nie próbujcie mnie więc przekonywać, że czytanie Juana Ramona Jimeneza uczyni mnie

niewidzialnym albo przyprawi mi rogi i ogon, nie przyjmuję tego bowiem do wiadomości. Jestem racjonalistą, lekarzem. I zawsze wierzyłem, że pierwszym medykiem w dziejach ludzkości był święty Tomasz, który stawiał diagnozę dopiero po zobaczeniu ran na własne oczy. Jesteśmy w domu.

Samochód zsunął się w ciemność garażu. Tam było jego miejsce. Od zawsze. Czekają na niego.

Mieszkanie Ballesterosa, mieszczące się na siódmym piętrze budynku w dzielnicy Salamanca, okazało się dokładnie takie, jak sobie Rulfo wyobrażał: komfortowe, klasyczne, pełne zdjęć i dyplomów. Pomyślał o ewidentnej różnicy, z jaką obydwoj zareagowali na śmierć osób, które kochali: on schował wszystkie fotografie Beatriz, Ballesteros każdy kąt zappełnił portretami Julii. Żona Ballesterosa była bardzo ładna i wesoła. Pojawiała się na fotografiach, roztrwając tę niekończącą się radość w ujęciach zarejestrowanych w najlepszych momentach życia. Były też zdjęcia jego trojga dzieci: córka przypominała matkę, starszy syn był długą, chudą repliką ojca.

- To może być twoja sypialnia - powiedział Ballesteros do Raquel. Pokój, przestronny i dobrze oświetlony, z szerokim oknem, miał własną łazienkę.

- Jest cudowny.

- Zła wiadomość to ta, że ten nudziarz Salomón będzie spał przy tobie na rozkładanym łóżku, przynajmniej przez pierwsze noce. Nie chce zostawiać cię samej.

W rzeczywistości nalegał na to Ballesteros. Psychiatrzy, z którymi rozmawiał, nie liczyli się specjalnie z możliwością nawrotu, ale on miał wystarczająco dużo doświadczenia, żeby nie zapominać o elementarnych środkach zapobiegawczych.

Dziewczyna spojrzała na Rulfa, potem na Ballesterosa i uśmiechnęła się. Ta przezorność nie zdawała się jej martwić. Gospodarz zaproponował, że przygotuje obiad, i skierował się do kuchni, ale Raquel powstrzymała go:

- Ja coś przygotuję.

- To niekonieczne. Mogę...

- Naprawdę. Z przyjemnością się czymś zajmę.

- Czujesz się dobrze?

- Na tyle, na ile to możliwe. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Dzięki wam.

Jej uśmiech był dla Rulfa jak światło.

Ballesteros, który prawie nigdy nie jadał w domu (od śmierci żony rozpaczliwa samotność pustego mieszkania wydawała mu się nie do zniesienia), uparł się, że sprawdzi stan spiżarni, więc przeprosił ich na chwilę. Raquel weszła do swojego pokoju. Rulfo

szykował się, żeby podążyć jej śladem, gdy dostrzegł nasuwający się na niego cień: drzwi zostały zamknięte.

- Raquel?

Sięgnął do gałki. W tym momencie usłyszał cichy pospolity dźwięk, który zmroził mu krew w żyłach.

Zasuwka.

- Raquel! - Bezskutecznie próbował otworzyć drzwi.

Przypomniał sobie okno w pokoju: rozświetlone, szerokie, na siódmym piętrze. Poczuł, jak zasycha mu w ustach.

Ballesteros zjawił się natychmiast. Przeklinał sam siebie, że nie pomyślał na czas o zasuwce (pokój należał do jego córki, dbającej o swoją prywatność). Na próżno atakował swym olbrzymim cielskiem drzwi. Po chwili mężczyźni, wzięwszy jednocześnie rozbieg, ponowili próbę. Skobel puścił i obaj wpadli do pokoju. Udawała, pomyślał Ballesteros. Boże mój, udawała specjalnie, żeby

na dole

mogła zostać sama... To niewiarygodne...

na dole, siedem pięter poniżej

Jaki człowiek jest w stanie... wykazać tyle... zimnej krwi...? Jak można tak udawać?

- Raquel...!

Okno było otwarte, trzepoczące białe firanki przywodziły na myśl machające na pożegnanie chusteczki.

Na dole, siedem pięter poniżej, jak połamana lalka leżała na chodniku dziewczyna.

- Powinienem tam zejść - szepnął wreszcie Ballesteros, odsuwając się od okna. Chciał dodać: „Może będę mógł coś zrobić”, ale wydało mu się to zbyt żalosne.

Wokół ciała leżącego na ulicy zaczęli zbierać się ludzie. Zbiegali się ze wszystkich stron. Patrzyli do góry, pokazując na coś ręką. Wśród nich można było odróżnić mundur policjanta.

Dużo później, kiedy Rulfo odtwarzał te chwile, docierała do niego zaledwie mżawka niespójnych doznań (zimne, poranne powietrze, niebo w kolorze indygo, twardość parapetu, o który się opierał, chodnik jak długa, granitowa płyta nagrobna, przechodzień ubrany na czerwono), a pośród tego wszystkiego wyrazista postać Beatriz, tym razem roztrzaskana o bruk, a przecież nadal będąca nią, kobietą, która go kochała, jedyną, jaką kochał naprawdę.

Nagle zrozumiał, że próbował wskrzesić Beatriz w Raquel i Susanie. To jedyny powód jego „dobrych uczynków”. Te ostatnie, wyczerpujące dni w szpitalu wypływały z chęci wyrównania rachunków. Nie zakochał się w Raquel, właśnie to zrozumiał, i ta pewność oślepiła go jak światło. Było mu z nią lepiej niż z jakąkolwiek inną kobietą i współczuł jej nieskończenie, ale to nie była miłość. Diabeł jeden wie, co to jest, ale na pewno nie to. Z Susaną było podobnie. Kochał tylko Beatriz Dagger. Beatriz umarła, z dala od niego, niewidoczna i nieosiągalna, a on usiłował odkupić winę za to oddalenie, próbując chronić te dwie kobiety. Pierwszym jego niepowodzeniem była Susana.

Teraz, stojąc w oknie, przyglądał się swojej drugiej kłesce.

Dla Ballesterosa pokonanie siedmiu pięter windą w dół było drogą do piekła.

Jakiś wewnętrzny głos powtarzał mu, że niczemu nie jest winien, lecz nawet ów głos wiedział, że słowa są jedynie mizernym pocieszeniem. Winny? Nie, nie zamordował jej. A jednak w pewnym sensie ponosił za to winę, podobnie jak za śmierć Julii. I znowu tam był, w dymiącym, poskręcany samochodzie. W powietrzu unosił się zapach krwi, a on wpatrywał się w swoją ofiarę. Pomyślał, że całe jego życie było pasmem ukrywanych przewinień.

Zdradzał swoich pacjentów, łudząc ich fałszywymi nadziejami. Sprzeniewierzał pamięć Julii za każdym razem, kiedy patrzył na Anę. A teraz zawiódł z kretesem zaufanie człowieka, który w końcu zdecydował się dzielić z nim cierpienie, nie wspominając o zaufaniu nieznajomej dziewczyny.

Winny. Oczywiście. Czyżbyś spodziewał się czegoś innego?

Czas spędzony w windzie pozwolił mu jednak odzyskać spokój, przybrać maskę oddanego lekarza. Kiedy wyszedł z bramy i wkroczył w słoneczny zimny dzień, z człowieka dręczonego wspomnieniami nie zostało już nic. Znowu był tylko narzędziem, zawsze gotowym do niesienia pomocy.

Na chodniku gromadziła się publika, tworząc zbity krąg pochylonych pleców. Ci, którzy dołączyli ostatni, wspinali się na palce. Ballesteros głęboko gardził chorymi osobnikami, którzy dalecy od współczucia czy humanitarnych pobudek zachowywali się jak wzrokowi kolekcjonerzy wnętrzości, mózgow i twarzy zmasakrowanych pociskami lub ciosami. Nie miał do nich cierpliwości. Pomyślał, że ma to związek z jego zawodem: w tragedii śmierci nie widział nic poza przerażającym cierpieniem życia.

- Proszę się odsunąć, jestem lekarzem.

W tym momencie zdał sobie sprawę z przeraźliwej ciszy.

To było całkowicie nienormalne. W takich okolicznościach, dobrze o tym wiedział, świadkowie dzielili się ze sobą opiniami, jakimś komentarzem, słowami, które łagodziły nerwową atmosferę. Teraz jednak grupa podglądaczy przypominała las skamieniałych osób.

Co się mogło stać? Czemu się przyglądali? Dlaczego policjant, którego widział z okna, nie rozgonił tłumu? Już zamierzał utorować sobie siłą przejście, kiedy zauważył, że osobnik stojący przed nim, zamiast przepychać się do przodu w walce o lepszą pozycję, zaczyna się wycofywać.

Z perfekcyjną geometrią otwierającego się kwiatu krąg ciekawskich rozszerzał się, pozostawiając pośrodku pustą przestrzeń.

ona

Po chwili zaskoczenia przedarł się przez tłum i zobaczył policjanta: młodzieńca o małej, ogolonej do gołej skóry głowie w niebieskiej czapce. Jego rozszerzone źrenice wpatrywały się w jakiś punkt u jego stóp, którego Ballesteros nie mógł jeszcze dostrzec. Kiedy dotarł do pierwszego rzędu, przeszył go nagły dreszcz.

ona patrzyła

Zrozumiał, dlaczego policjant nie kazał się rozejść przechodniom. Żołądek zamienił mu się w grudę lodu.

Dziewczyna siedziała na chodniku, dysząc. Ani jednej rany, najmniejszej kropli krwi. Nic. Po prostu dziewczyna siedząca na chodniku.

Ale nie to było najgorsze.

patrzyła w ziemię

Najgorsza była szarpana rana na lewym nadgarstku, którą właśnie zadała sobie własnymi zębami. Głębokie ugryzienie, które teraz, na oczach Ballesterosa zamykało się z delikatnością anemonu i czystością karty księgi, nie pozostawiając żadnego śladu, jakby jakiś absurdalny, organiczny stół montażowy, nastawiony na przewijanie wsteczne, przywracał jej mięśniom i skórze utraconą integralność.

Patrzyła w ziemię.

- Nie mogę się zabić. Nigdy nie mogłam, ale do tej pory o tym nie wiedziałam. Uniemożliwia mi to wytatuowana filakteria. - Spojrzała na obydwu mężczyzn niewzruszonym, nieubłaganym wzrokiem. - Powinnam pomyśleć, że tę możliwość m u s i a ł a wziąć także pod uwagę. Samobójstwo byłoby luksusem, którego również mi odmawiają...

Zamilkła, przesunęła językiem po wargach. Rulfowi nasunęło się porównanie: dziki zwierz szykujący się do straszliwego starcia z drugą bestią.

Siedzieli w salonie, w mieszkaniu Ballesterosa. Zapadł już zmierzch, ich twarze nosiły ślady wyczerpującego dnia. Mimo to lekarz czuł się zadziwiająco szczęśliwy. Był w każdym razie najbardziej szczęśliwy z całej trójki. Podniósł swoją wielką dłoń i przerywając zapadłą ciszę, oznajmił:

- Zanim zapomnę... Macie przed sobą nowego świętego Tomasza. Nie wiem, czy mnie kanonizowano czy nie, ale jestem najbardziej zdeklarowanym świętym Tomaszem w dziejach religii... I mam ku temu powód: biblijny święty dotykał ran, ja zaś widziałem, jak znikają... Cholera, zamierzam się dzisiaj upić. Czy ktoś ma na coś ochotę?

Nie wywołał uśmiechu, ale też wcale go nie oczekiwał. Rulfo wybrał whisky, więc postanowił pójść w jego ślady. Prawie nigdy nie pił (butelka chivas, prezent od pacjenta, stała nietknięta), zwłaszcza od śmierci Julii, lecz ten wieczór był wyjątkowy. Bo jakież znaczenie

może mieć kilka gramów alkoholu przeżerających wątrobę, kiedy właśnie się okazało, że rany znikają bez śladu, czary działają, więdźmy istnieją, a poezja, koniec końców, jest dużo skuteczniejsza niż medycyna?

Kiedy szedł do kuchni po butelkę i szklanki, nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o wydarzeniach tego niezapomnianego dnia.

Uspokoiwszy świadków wypadku (łącznie z policjantem) i uprzedziwszy Rulfa, zawiózł Raquel (obojętną, niemal w letargu) na pogotowie, gdzie wyniki badań potwierdziły jego diagnozę postawioną po pobieżnym zbadaniu dziewczyny: była cała. Jego koledzy po fachu nie chcieli uwierzyć, że spadła z wysokości siedmiu pięter, skóra bowiem nie nosiła znamion najdrobniejszej kontuzji. Ballesteros wolał nie wspominać o ranie na ręce, po której zresztą nie pozostał żaden ślad. Na szczęście niewiele osób widziało, jak szarpała nadgarstek po upadku i nikt też nie zauważył cudu szybkiej, przerażającej regeneracji tkanek.

Najgorsze jednak czekało go po powrocie do domu.

Reporterzy z co najmniej dwóch stacji telewizyjnych i trzech czasopism czatowali przed bramą, żeby przeprowadzić z nim wywiad i, o ile to możliwe, porozmawiać z bohaterką. Potrafił działać szybko. Widząc dziennikarzy kłębiących się na chodniku, pojechał dalej, zaparkował w garażu i wjechał z dziewczyną na górę wewnętrzną windą, po czym oddał Raquel pod opiekę Rulfa. Następnie zszedł do holu, żeby z nimi porozmawiać. Wszedł z opresji dzięki wrodzonej, godnej szacunku elokwencji. Zawsze przychodziło mu łatwo oszukiwać ludzi, robił to niemal bezwiednie, a dziś, kiedy był przygotowany, nie okazało się to trudniejsze. Wyjaśnił, że kobieta jest jego pacjentką i nadal pozostaje w szoku po tym, co się stało. Przytoczył głośne przypadki „kocich” upadków, włącznie z historią ocalałej dziewczynki wyrzuconej z samolotu pasażerskiego podczas lotu. Nie dodał, oczywiście, że wszystkie te sprawy sprowadzały się do cudu przeżycia, natomiast brak jakichkolwiek urazów był kolejnym, dodatkowym cudem. Teraz, wieczorem, czekały go jeszcze dwie telefoniczne konferencje z dziennikarzami nocnych programów radiowych, ale w zasadzie najgorsze już minęło, ciekawość środków masowego przekazu również. Ballesteros skonstatował z pewnym niesmakiem, że tragedia z cudownym zakończeniem dużo mniej interesowała prasę niż cud zakończony tragedią.

Po krótkim namyśle postanowił nie dodawać lodu. Zaniósł butelkę whisky i dwie szklanki do salonu i nałóż Rulfowi i sobie solidne porcje. Dziewczyna powtórzyła, że nie ma na nic ochoty. Rozumiał jej straszliwe cierpienie, a mimo to nadal czuł się w jakiś sposób szczęśliwy. Pomyślał, że jutro wszystko wróci do normy, lecz teraz, bardziej niż zwykle, doświadczał potrzeby zanurzenia się w chaosie swoich emocji: w zaistniałych

okolicznościach jego Rozsądek, w czynnej służbie od ostatnich pięćdziesięciu lat, pojechał na wakacje (a ściślej mówiąc, Eugenio: wziął sobie urlop na czas nieokreślony). Czyż to niewystarczająca okazja do świętowania?

Rulfo patrzył na Raquel.

- Musimy zdecydować, co robić.

- Mam pewien pomysł. - Odwróciła wzrok. - Nie mogę popełnić samobójstwa, z pewnością jednak nie jestem n i e ś m i e r t e l n a...

- To nie jest sposób. Wiem, o czym myślisz, ale to żadne rozwiązanie...

- W takim razie ja was zaatakuję. Zmuszę do tego, żebyście mnie zabili: będziecie musieli to zrobić, żeby ocalić życie...

- Posłuchaj - wtrącił Ballesteros bez emocji, zachęcony dwiema wypitymi szklaneczkami - dla mnie możesz się rzucać przez to okno pięćdziesiąt razy, odbić się i próbować ponownie. Tylko nas nie strasz. Wiemy, przez co przeszłaś, ale my z Salomonem jesteśmy jedynymi sprzymierzeńcami, jacy ci zostali. Zrozum to w końcu...

- Nie zrobimy ci krzywdy, Raquel - dodał Rulfo. - Nigdy. Postąpisz, jak zechcesz. Uprzedzam cię tylko, że moje życie dawno już przestało mnie obchodzić.

- Niezłe grono szczęśliwców - mruknął Ballesteros. - Może tak zamiast się bawić, zaczęlibyśmy myśleć praktycznie?

Rulfo skinął głową.

- Rzeczywiście, jest jedna ważna sprawa, o której musimy porozmawiać. Wszyscy troje mieliśmy sny, które nas połączyły. Kto je spowodował i po co?

Spojrzał na nich, czekając, aż się odezwą. Dziewczyna, rozparta na kanapie, utkwiała wzrok w suficie, wykazując całkowitą obojętność, jakby w ogóle nie słuchała. Ballesteros, przyłapany w trakcie przełykania - była to już trzecia szklaneczka - pokiwał kilkakrotnie wielką głową.

- Oczywiście, to bardzo ważna kwestia.

- Załóżmy, że sprawczynią była Lidia... Czyli Akelos. To najbardziej prawdopodobna wersja. Była numerem jedenastym: „tą, która Przewiduje”, prawda? Wiedziała, że zostanie skazana, ponieważ ci pomogła, doprowadziła więc do tego, żebyśmy współpracowali z tobą, kiedy grupa ją anuluje... A to oznacza, że być może jesteśmy w stanie jeszcze c o ś z r o b i ć. Nie zadałaby sobie tyle trudu, żeby zwrócić naszą uwagę na pewne szczegóły, gdyby od początku nie wiedziała, że możemy się okazać przydatni...

- Z tego, co wiem - przerwał Ballesteros - o k a z a l i ś c i e się przydatni. To waszym zadaniem było wyciągnięcie figurki z akwarium oraz jej ukrycie...

Rulfo zamyślił się. Spojrzał na dziewczynę raz i drugi, ale najwyraźniej nie mógł liczyć na jej opinię. Sam będzie musiał wyciągnąć wnioski.

Sny. Dom. Figurka. Czy wszystko zostało już zrobione, tak jak to sugerował Ballesteros? Nie. W tej sekwencji było coś, co się wymykało, jakiś ważny element, który do niczego nie pasował, jakieś niewykonane jeszcze zadanie. Potrząsnął głową zły na samego siebie, że nie może się skoncentrować. Miniony dzień obfitował w wydarzenia, Rulfo był na granicy wyczerpania. Uniósł palce do powiek, przetarł je. Wtedy, poprzez te krótkotrwałe ciemności, dotarł do niego jej głos.

- Wiesz, co mu zrobiły?

Pytanie.

Pytanie, którego tak bardzo się obawiał. To, które w snach zadawała mu setki razy. Otworzył oczy: dziewczyna patrzyła na niego z posepnym chłodem.

- Wiesz, co mu z r o b i ł ten wiersz?

Podejdz i zobacz.

Nie odpowiedział. Ograniczył się do odwrócenia wzroku.

Fragmety tamtej strasznej nocy przypominał sobie jak przez mgłę, co było sposobem, dobrym jak każdy inny, myślał, na zachowanie poczytalności. Jednak chwilami różnokolorowe błyskawice przesywały jego pamięć i znowu widział altanę na świeżym powietrzu: motyle, Raquel skrepowana girlandami kwiatów... Ouroboros... Dziewczyna w sukni z cekinami...

...Kij wetknięty w trawnik...

...i inne obrazy, prawdopodobnie równie nierealne jak nieudana jazda pod wpływem środków halucynogennych.

O, tak! Najgorsza z najgorszych.

- Wiem, że wypisały na twojej twarzy filakterię, żeby cię odurzyć, Salomonie... Saga wolała zachować cię przy życiu, podobnie jak mnie, niewątpliwie po to, żeby się dowiedzieć, czy ktoś nam pomaga... Byliśmy pod tym względem jednymi w y j ą t k a m i. - Wargi jej nie drżały. Jej szalona, dzika twarz lśniła od potu, ale ton głosu był pogodny. - Chcesz, żebym ci wszystko opowiedziała? Potem zdecydujesz, czy się mnie pozbędziesz... Wiesz, j a k d ł u g o musiałam na to patrzeć? Jesteś choć w stanie zrozumieć t o, c o o n a m u z r o b i ł a...?

Cisza stała się niemal ciemnością. Była to bardzo długa, bardzo głęboka cisza, jakby świat przestał istnieć.

jeden przedmiot

Łzy popłynęły jedna za drugą, jakby niechętnie, a ona mówiła dalej.

jeden przedmiot, drugi

- Wiesz?

jeden przedmiot, drugi, wszystkie

- Wiesz, co zrobiła mojemu dziecku?

Jeden przedmiot, drugi, wszystkie jakie były w jego zasięgu.

Ogarnęła go niepoohamowana chęć niszczenia. Najpierw cisnął swoją szklanką z whisky, potem drugą. Następnie poszła w ruch podstawka do papierowych serwetek.

Ból nie łagodniał.

Zanim zdążył się zorientować, Ballesteros wpadł do kuchni jak błyskawica i złapał go za rękę.

- Oszalałeś?!

Nie wiadomo kiedy zapadła noc. Dom i cała okolica pogrążone były w ciszy, co potęgowało łoskot jego reakcji. On sam rozumiał, że nie przyniesie mu to ulgi, lecz musiał to zrobić, nie mógł się opanować. Powstrzymywał się, dopóki nie zasnęła, ale dłużej nie mógł już tłumić rozpierającej go wściekłości.

- Nie martw się... - dyszał - policzyłem: jestem ci winny dwie szklanki i jedną metalową ozdobę. - Chwycił talerz ze zlewu i rzucił nim o podłogę. - Do czego teraz należy dodać...

- Jesteś pijany.

Rulfo chciał mu odpowiedzieć, ale nagle zgiął się wpół wstrząsany płaczem, który przypominał krwotok słonej wody.

- Obudzisz ją, głupcze! - wykrzyknął Ballesteros, usiłując nie podnosić głosu. - Wreszcie zasnęła, a ty ją obudzisz... Uspokój się w końcu! Jesteś zupełnie pijany! - Prawda była taka, że sam nie wypił dużo mniej i jemu również kręciło się w głowie. Nie było kłamstwem i to, że po ostatnich rewelacjach zachowanie Rulfa wydawało się ze wszech miar zrozumiałe. Jednak uważał, że powinien spróbować doprowadzić to wszystko do ładu, bo w przeciwnym razie zwariują. - Posłuchaj mnie, do jasnej cholery! - Złapał Rulfa za ramiona,

zmuszając, żeby na niego spojrzeć. - Co tym osiągniesz? W ten sposób jej nie pomożemy... A ja chcę pomóc... Wam obojgu! Nie jestem pewny, czy postać, która przychodziła do mnie w snach i kazała mi wam pomóc, była moją żoną... Równie dobrze mogła to być Julia, jak i Baba Jaga od Jasia i Małgosi... Ale wiem jedno: nie zlekceważę tego rozkazu. Chcę wam pomóc, do diabła! A więc uspokój się i pozwól mi się zastanowić, co możemy zrobić...

Zstąpić.

Posłuchał. Nagle uspokoił się całkowicie. Nie pamiętał, żeby tak płakał od śmierci Beatriz, ale nie wstydził się, że Ballesteros widzi go w tym stanie. Był nawet wdzięczny za ten płacz: wywiercił w jego wnętrzu głęboki tunel.

Zstąpić. Zstąpić jak najniżej.

Zajrzał w ten otwór, w głąb siebie, i poczuł zawrót głowy.

- Przede wszystkim powinniśmy myśleć o niej - mówił Ballesteros. - To... to biedna kobieta, którą torturowano, wykorzystując jej syna... Spójrzmy na to w ten sposób... Zrozumiemy to wtedy lepiej... Problem w tym, że nie możemy...

Zstąpić tędy.

Koniec końców, czy nie to im właśnie powiedział? Oczywiście. Teraz sobie przypominał. Powiedział, co im się stanie, co im zrobi, jeśli wyrządzą krzywdę jego przyjaciółom. A one ograniczyły się do położenia ręki na jego głowie i głaskania go po włosach z pobłażliwym uśmiechem, jakby mówiły: „Jesteś tylko marnym psem, nie przeciągaj struny”.

- ...nie możemy zwrócić się do policji, bo nie wiemy nawet, kim lub czym są sprawcy... Dla mnie zresztą to drugorzędna kwestia...

Słuchając Ballesterosa, zrozumiał jedno: pewnych spraw nie należy analizować, nie da się ich wytłumaczyć, są pozbawione kresu i sensu, ale bywają najważniejsze ze wszystkich. Cyklon. Poemat. Nagła miłość. Zemsta.

Zstąpić zupełnie.

- Wszystko mi jedno, czy to czary, poezja czy psychopatia... Teraz najważniejszą priorytetową sprawą jest to, żeby Raquel...

- Wykończmy je.

- ...mogła... Co powiedziałaś?

- Wykończmy je, Eugenio - powtórzył Rulfo. Odwrócił się do zlewu, odkręcił wodę i przemył twarz. Potem wytarł się kawałkiem papierowego ręcznika, który wisiał na ścianie.

Ballesteros patrzył na niego uważnie.

- Je?

- Wiedźmy. Ich przywódczynię przede wszystkim. Damy im to, na co zasługują.

Ballesteros otworzył usta. Zamknął je, po czym otworzył ponownie.

- To... To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. Głupsza niż twoje wcześniejsze zachowanie. Może pomóc ci rozbijać talerze? Wolę to niż...

- Znałem to dziecko - przerwał mu Rulfo. - Nie było poematem ani żadnym wydumanym urojeniem. Było sześciolatkiem chłopcem, który miał jasne włosy i wielkie niebieskie oczy. Nigdy się nie uśmiechał. - Nagle wydało mu się, że Ballesterosowi puściły wszystkie mięśnie odpowiedzialne za ekspresję jego twarzy. Słuchał Rulfa z półprzymkniętymi oczyma. - Susana była dobrym człowiekiem. Przez jakiś czas była moją dziewczyną i przyjaciółką. Potem już tylko przyjaciółką. Zmusiły ją, żeby zjadła siebie samą tylko dlatego, że poszła za mną do tego magazynu, ponieważ się o mnie martwiła... Dziwne sprawy, prawda, doktorze? Sprawy, w które nie należy się zagłębiać, sam tak mówiłeś... Ale wiesz co? Od czasu do czasu te sprawy z a g ł ę b i a j ą s i ę w ciebie i nie możesz przed nimi uciec. Są tak niezrozumiałe jak poezja, ale istnieją. Zdarzają się codziennie, wokół nas, we wszystkich miejscach na świecie. Może to one są ich przyczyną, może nie. Kto wie? Może damy to także tylko ofiary, a wszystkiemu winne są słowa, rzędy wierszy... Byłem świadkiem dwóch takich spraw, a raczej trzech, licząc Herberta Rauschena. - Podsunął Ballesterosowi pod nos trzy palce lewej ręki. - Odplacę im pięknym za nadobne. Kiedy Rulfo zamilkł, Ballesteros jakby obudził się z jakiegoś transu.

- Takiego cię nie znałem... Salomón Rulfo impulsywny. Pełen pasji. Dżentelmen mściciel... Posłuchaj, głupcze! - Stał naprzeciw niego. - To nas przerasta, i ciebie, i mnie, i tę biedną dziewczynę pewnie też! No, może nie ją... Może ona przywykła do niezniszczalnych tkanek, lecz ja na pewno nie. Ani nie ty. Nazwij to sobie poezją, czarami czy fizyką kwantową, to wszystko i tak wykracza poza skromne zdolności rozumienia lekarza ogólnego... Tak więc nawet zakładając, że masz rację... I nie myśl, że krytykuję twoje uczucia... Gdyby jedno z moich dzieci... - Przerwał, nie wiedząc właściwie, co chciał powiedzieć. Z a d u ż o w y p i ł e m, pomyślał. - Tak czy inaczej, rozumiem i podzielam w pewnym stopniu twój... Ale nawet gdybyś w ten sposób mógł czemukolwiek zaradzić, co byś zrobił? Kupiłbyś pistolet i pojechał na południe Francji? Co, twoim zdaniem, mielibyśmy zrobić?

- Jest jedna możliwość. Właśnie przyszła mi do głowy.

Ballesteros spojrzał na niego.

- Co masz na myśli?

Rulfo chciał coś powiedzieć, ale wtedy usłyszeli krzyk.

Wiedziała, że powinna zasnąć. Jednak najwyraźniej odmówiono jej prawa do snu, podobnie jak prawa do śmierci.

Pokój pogrążony był w ciemnościach, z trudem rozróżniała kontury mebli. Ten półmrok przywołał jej na pamięć dręczące wspomnienia: zobaczyła go ponownie zamkniętego w pokoju, skazanego na nieludzki los, ale przynajmniej żywego, przynajmniej z nią, przynajmniej...

Nie myśl o nim więcej. Spróbuj o nim zapomnieć. Nie żyje.

Przez chwilę zastanawiała się, skąd się bierze ta dzika niezgłębiona nienawiść okazywana jej przez Sagę. Próbowała przeniknąć mroki przeszłości, lecz napotykała pustkę. Nie była oczywiście zdolna odtworzyć jej poprzednich wcieleń. Dama z numerem dwunastym zajmowała teraz drobne ciało kobiety o krótkich włosach zwanej Jacqueline, ale przedtem żyła pod innymi postaciami, podobnie jak pozostałe. Nie sądziła, żeby dała jej kiedykolwiek powód do tak przerażającej furii. Pamiętała ją z wielu ceremonii uśmiechniętą, kłaniającą się w jej obecności...

Jakiś hałas. Bardzo blisko. W pokoju.

Zaniepokojona uniosła głowę, ale nie widziała nic poza niewyraźnymi konturami przedmiotów rysujących się w słabym świetle przenikającym przez żaluzje: drzwi, szafa, krzesło.

Uspokój się. Spróbuj odpocząć.

Wydawało się jej, że Akelos musiała się domyślać, co ukrywa nowa Saga.

Dużo ze sobą rozmawiały i „ta, która Przewiduje”, przy różnych okazjach ostrzegała ją przed podwładną. Co prawda nigdy nie powiedziała wyraźnie, co się stanie, lecz teraz Raquel zastanawiała się, czy nie wołała przypadkiem po prostu milczeć, mimo że dobrze o tym wiedziała. A jeśli tak było, dlaczego zachowała to w tajemnicy?

Kręciła się niespokojnie. Jakby z innego świata dobiegł ją brzęk tłuczonych przedmiotów i fragmenty rozmowy mężczyźn. Kłócili się. Podejrzewała, że to ona jest

powodem nieporozumienia, i wcale jej się to nie podobało. Miała świadomość, że chcą jej pomóc w dobrej wierze, ale czuła się tak, jakby znajdowali się w studni sięgającej środka Ziemi, a oni, pełni nadziei, pokazywali jej kawałki liny i zapewniali, że przy odrobinie wysiłku uda im się wydostać. Wyglądali na bardzo przejętych, starali się, żeby miała wszystko, czego potrzebowała: musiała udawać, że śpi, żeby mężczyzna o białych włosach, ten lekarz, który wcześniej pomógł ją przenieść do łóżka, zostawił ją samą.

To byli dobrzy mężczyźni, mężczyźni silni, mężczyźni inteligentni.

Szkoda, że byli tylko mężczyznami.

Znowu ten dziwny hałas. Rozejrzała się dokoła. Myliła się: w pokoju najwyraźniej nic się nie zmieniło. A przecież była prawie pewna, że słyszała tupot drobnych stóp po podłodze.

Nie myśl. Nie wspominaj. Wytrwaj. Musisz wytrwać.

Jedna rzecz, o której mówił Rulfo wieczorem, wryła jej się w pamięć: sny, jakie mieli pod wpływem Akelos. Co chciała osiągnąć tym, że...?

- Raquel.

Tym razem się nie myliła. Głos rozległ się tuż przy niej.

Otworzyła oczy i zobaczyła ją w ciemnościach. Jasnowłosą dziewczynkę, Baccularię. Żaluzje rysowały linie światła na jej ciele, na piersiach błyszczał laurowy liść.

- Mamy już imago. Było tam, gdzie mówiłaś. Dziękujemy ci za to. Brakuje jednak najważniejszego. Kto ci pomagał? Dlaczego odzyskałaś pamięć? Kto z grupy przychodzi ci z pomocą?

- Nie wiem, zostaw mnie.

Zasłoniła uszy, przekręciła się na łóżku i zacisnęła zęby. Jednak senny, melodyjny głos Baccularii przenikał wszystkie przeszkody, jakby rozbrzmiewał bezpośrednio w jej głowie.

- Masz czas do następnego zebrania, żeby nam to powiedzieć, Raquel. Jeśli nie otworzysz przed nami swojej ciszy, kiedy zniszczymy imago Akelos, ty również zostaniesz unicestwiona... A z tobą wszyscy, którzy cię wspierali, czy to obcy, czy nie.

Cisza.

Leżała nadal twarzą do ściany z rękami przyciśniętymi do uszu. Po jakimś czasie odetchnęła głęboko, zebrała się na odwagę, odwróciła i spojrzała w ciemność. Wyglądało na to, że dziewczynka rozplynęła się w powietrzu. Zamknęła na chwilę oczy, próbując się uspokoić. Wtedy usłyszała inny głos.

- Mamo.

Przed nią nie stała już Baccularia.

Wyglądał tak jak wtedy, kiedy po raz ostatni widziała go, nabitego na kij jak upolowane przed chwilą zwierzę, skręcającego się pod wpływem wiersza świętego Jana od Krzyża: Tyle tylko że teraz patrzył na nią i uśmiechał się. Jego uśmiech był jak opętanie z twarzą dziecka.

- Chcą, żebym ci powiedział, że z wami obejdą się dużo gorzej, mamó...

Wiedziała, że to halucynacje (przecież nie żył), ale nie mogła opanować przerażenia.

- Dużo gorzej, mamó. Przekonasz się... Wtedy wszystko eksplodowało.

czerwonawe

Ballesteros przybiegł pierwszy. Przygotowany był na wszystko, chociaż przypuszczał, że chodzi tylko o senny koszmar.

Jednak nie na to, co zobaczył, kiedy zapalił światło.

Julia stała przy łóżku ubrana w kostium, który miała na sobie w czasie tej ostatniej, definitywnej podróży. Jej głowa, aż po same brwi, była jedną wielką zapadliną.

- Eugenio... - Subtelny, niski głos żony ogłuszył go jak krzyk. - Wiesz, ile czasu umierałam? Wiesz, jak długo umiera ktoś, komu rozprysnął się mózg? One twierdzą, że wkrótce się o tym przekonasz. Sprawdzisz to sam. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to dziwne uczucie... Nie widzisz. Nie słyszysz. Nic nie funkcjonuje. Nie jesteś w stanie się poruszyć. Ale p r z e p e ł n i a cię ból. Jesteś s a m y m bólem. - Podeszła z uśmiechem do Ballesterosa, krew przelała się z jej otwartej czaszki jak przez brzeg kielicha. - Nie potrzebuje się mózgu, żeby czuć ból, nie wiedziałeś? Dla ciebie, lekarza, to będzie bardzo pouczające doświadczenie. Zakładam się o wszystko, że będziesz żył dłużej niż ja. I dłużej niż nasze dzieci...

Po czym eksplodowała.

czerwonawe światło

Rulfo skamieniał. Po krzykach dziewczyny zorientował się, że musiała zobaczyć coś strasznego, ale nie spodziewał się, że w pokoju ujrzy Susanę stojącą naprzeciw niego z ramionami ogryzionymi do kości.

- Jest coś, czego nie wiesz, Salomonie - powiedziała cichym głosem, jakby nie była w stanie mówić w inny sposób. - My z Cesarem już to wiemy: życie nie kończy się wraz ze śmiercią. Nadejście śmierci oznacza jedynie koniec szczęścia i poczucia. Umarli są

żywym istotami, które pod ziemią popadły w obłąd. Na tym polega cały sekret. Popadły w obłąd z bólu. Wkrótce staniesz się jedną z nich i dowiesz się dlaczego.

- Wynoś się - powiedział Rulfo słabym głosem.

- Dowiesz się, Salomonie - powtórzył trup Susany. - Szybciej niż myślisz. Będziemy z Cesarem bardzo zadowoleni, kiedy posiadasz tę wiedzę. Kiedy poznasz prawdę o umarłych. Wtedy eksplodowało wszystko.

czerwonawe światło brzasku

Było tak, jakby jakieś ciało eksplodowało wewnątrz pokoju: plamy świeżej krwi pokryły ściany, podłogę i sufit. Dziewczyna krzyczała na łóżku, jej twarz i włosy zmieniły się w czerwone skrzepy. Bryzgająca krew dosięgła Ballesterosa i Rulfa, ochlapując im twarze i ubrania. Lekarz nie widział już Julii: jej miejsce zajęła inna istota, mała jasnowłosa dziewczynka, najpiękniejsza, jaką widział w życiu. Była naga, na szyi miała filigranową złotą ozdobę i stała wyprostowana na środku pokoju jak żołnierz zadowolony ze swojego dzieła. Jej uda i golenie lśniły od krwi. Patrzyła na Ballesterosa oczami tak błękitnymi i tak przepastnymi jak niebo nad oceanem.

I uśmiechała się.

- Nie zbliżaj się - krzyknął Rulfo, powstrzymując go. - Nie zbliżaj się do niej...

Ballesteros jednak nie słuchał. Nie wiedział dobrze, co chce zrobić, może nic, nie zamierzał przecież skrzywdzić dziecka, zaczął więc rozpaczliwie machać rękami, jakby natknął się na odrażającego robaka.

Wtedy usłyszał, że dziewczynka coś mówi (łagodne, szybkie zdanie), coś w rodzaju: „pić śmierć kielich rubin”. Udręczone powietrze zamarło. Spojrzał na podłogę w samą porę, żeby zobaczyć dwie szczupłe nogi wpełzające jak różowe żyłtka pod łóżko.

Czerwonawe światło brzasku wpadało przez balkonowe okno.

Żadne z nich trojga nie wypoczęło tej nocy. Odczuwali krańcowe wyczerpanie, ale jednocześnie swego rodzaju niepokój, który udzielał wycieńczonym ciałom nieograniczonego kredytu sił.

- Przesłanie jest jasne: pozostawiły nas przy życiu, ponieważ nadal myślą, że zdradził je ktoś jeszcze. Kiedy zniszczą imago Akelos, zajmą się nami. Do tego momentu mamy czas.

Ballesteros starał się słuchać Rulfa, choć od czasu do czasu zamykały mu się oczy, a głowa opadała znienacka. Ciało domagało się snu, ale on nie był jeszcze gotów dać mu tej

satysfakcji. Nie mówiąc już o tym, że kiedy to nastąpi, i tak nie położy się do łóżka. Prześpi się na kanapie, a łóżko odstąpi Rulfowi.

Po tym, jak zobaczył tę rzecz znikającą pod jednym z łóżek w jego mieszkaniu, mebel ten przyprawił go o mdłości.

Pamiętał, że kiedy był jeszcze dzieckiem, w starym, rodzinnym domu ojciec uganiał się za szczurem, aż w końcu dopadł go pod jednym z pościeli, po czym odetchnął głęboko, zanim się schylił, ściskając w ręce pogrzebacz od kominka. On dzisiaj zrobił to samo: odetchnął głęboko, zanim się schylił i spojrzał.

Jedyna różnica: ojciec zabił szczura, on nie.

Ale udało mu się dostrzec delikatny kręgosłup, jędrne, małe pośladki i parę nóg jak lśniące rzemienie.

To nie był szczur, tylko naga d z i e w c z y n k a, która znikła, zostawiwszy za sobą spływający krwią pokój.

Rulfo wytłumaczył mu, że nie powinien przywiązywać zbytnej wagi do tego, co widzieli lub wydawało im się, że widzieli: były to obrazy wywoływane przez damy za pomocą poezji, fałszywe projekcje tworzone po to, żeby ich przestraszyć. Jednak n i e w s z y s t k o było halucynacją: krew do złudzenia przypominała prawdziwą, choć na szczęście nie należała do Raquel, która nie była ranna, tylko została od stóp do głów pokryta tą dziwną substancją, i nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Obie sprawy załatwił w dużym stopniu chłodny prysznic. Ballesteros i Rulfo również umyli się i przebrali. Teraz dziewczyna siedziała na kanapie z podkulonymi nogami w szlafroku Ballesterosa, który spowijał ją jak ogromne futro. Była blada i oczywiście wyczerpana, ale wydawała się skupiać na słowach Rulfa z większą niż zwykle uwagą.

- Właśnie sobie to uświadomiłem. W posiadłości pojawiło się tylko dwanaście dam. Cały czas się nad tym zastanawiałem. Trzynasta się ukrywa, lecz nie dlatego, że jest najsilniejsza, wręcz przeciwnie. Kto ją znajdzie, może zniszczyć całą grupę. Uważam, że powinniśmy spróbować. To jedyny sposób, w jaki możemy z nimi walczyć.

- Zgadza się - powiedział szybko Ballesteros. - Nie wiem, co to wszystko ma znaczyć, ale wiem, że użyły... obrazu mojej żony, żeby grozić moim dzieciom...

- Umilkł. Na samo wspomnienie przeszył go dreszcz. - Chcę się do nich dobrać. Rulfo spojrzał na Raquel. Współpraca dziewczyny była jego zdaniem niezbędna. Jeśli ona im nie pomoże, z pewnością nie uda się nic zrobić.

- To absurd - odezwała się w końcu. Mówiła bardzo wolno. Jakby każde zdanie sprawiało jej trudność. - Słucham was i... Nie wiecie... - Potrząsnęła głową, jakby irytowała ją

ich głęboka ignorancja. - To *coven*... Z nim nie mamy szans. Nie mielibyśmy ich nawet z każdą z nich o s o b n o... Jesteście... Jesteśmy zwykłymi ludźmi, one nie.

- A kim? - spytał Ballesteros. - Kim, do diabła, była ta dziewczynka!? Kim one wszystkie są?

- Czarownicami - odparła dziewczyna.

Lekarz uśmiechnął się po chwili, lecz w jego oczach nie zachował się najmniejszy ślad wesołości.

- Kobiety latające na miotłach i tańczące na sabatach? To nie istnieje.

- Masz rację. To nie istnieje. Ale czarownice o w s z e m. Nie latają na miotłach ani nie tańczą na sabatach. Deklamują wiersze. To damy. Ich orężem, najpotężniejszym ze wszystkich, jest poezja. Nikt i nic nie może im zaszkodzić. Nikt i nic nie może się im przeciwstawić.

Rulfo wzdrygnął się, dostrzegając w jej tonie skrywaną acz wyraźną dumę.

- W każdym razie - ripostował ze wzmożoną afektacją - to wszystko by nam się nie przytrafiło, gdyby nie sny. Żylibyśmy dalej normalnie i prawdopodobnie do samej śmierci nie wiedzielibyśmy o istnieniu dam, jak większość ludzi... One nigdy nie ingerują b e z p o ś r e d n i o. Inspirują poetów, a potem wykorzystują ich wiersze, ale od wieków przyzwyczajone są robić to za kulisami. My stanęliśmy im na drodze. Postąpiliśmy tak, ponieważ jedna z nich, Akelos, w e z w a ł a n a s i poprosiła o pomoc. Teraz jestem pewny, że Akelos miała dalekosiężne precyzyjne plany: Leticia Milano, dziadek Cesara, portret i kartka z listą dam, którą znalazłem w domu Lidii Garetti... Sądzę, że Akelos zostawiała nam ślady, żeby stało się to, co się stało. A to oznacza, że możemy zrobić jeszcze więcej. Możemy się do nich dobrać, odnajdując damę o numerze trzynastym...

- Jej nie da się znaleźć, Salomonie... - Dziewczyna potrząsnęła głową. - To niemożliwe.

- Skąd masz taką pewność?

- Po prostu mam.

- W takim razie - rzucił Rulfo z wściekłością - rozwiązanie jest proste. Siedzmy dalej z założonymi rękami, aż Saga wyśle Baccularię, żeby nas nadal dręczyła obrazami bliskich. Może zjawi się dziś po południu, jutro, w przyszłym tygodniu, a może za miesiąc... A kiedy się tym nasyci, będziemy czekać, aż wykończy nas jak twojego syna...

- Nie wspominaj o nim.

Ostrzeżenie, wypowiedziane z taką samą łagodnością jak wszystko, co powiedziała do tej pory, kryło w sobie cień groźby. Rulfo zeszytniał. Spojrzał w jej zimne oczy widoczne

pod gęstwiną mokrych włosów. Przyciśnij ją. Wywołaj reakcję. Nabrał powietrza i kontynuował, podnosząc głos:

- Wiesz, czego pragnę, Raquel...? Chciałbym, żebyś tak właśnie patrzyła na tę, która ponosi za to wszystko winę. Ale jasne! Saga jest zbyt potężna, prawda? Czym stałaś się, poddana jej represjom? - Jej wydatne usta drżały. Ale tylko usta. Oczy patrzyły na niego ze straszną ponurą nieugiętością. - Gdzie się podziała ta władcza Saga, którą byłaś? Po tym, jak cię zdeptała, zanurzyła w błocie, zmusiła do życia w całkowitym poniżeniu... Co jeszcze zrobiła? Powiem ci. Pozbawiła cię jedynej istoty, jaką kochałaś, jedynej, jaką n a p r a w d ę k o c h a ł a ś...

- Milcz.

- ...torturowała go i zamordowała na twoich oczach, a teraz śmieje się z twojego cierpienia, gdy ty klękasz przed nią i jęczysz: „Nie możemy nic zrobić, to niemożliwe, niemożliwe...”.

I nagle coś się stało. Rulfo i Ballesteros poczuli to jednocześnie.

Jakby temperatura w pokoju podniosła się o kilka stopni. Rulfo, mający zamiar mówić dalej, przerwał gwałtownie.

- Niech będzie - powiedziała. Jej głos nie brzmiał inaczej: nadal był głosem młodej kobiety, głosem Raquel. Niemniej obaj mężczyźni wzdrygnęli się na jego dźwięk. - Niech będzie - powtórzyła ciszej.

- Pomożesz nam? - spytał Rulfo prawie błagalnie.

Dziewczyna kiwnęła potakująco głową. Tylko raz. Ani Rulfo, ani Ballesteros nie widzieli powodu, by wątpić w szczerą jej intencję.

- Ostatnia dama gwarantuje spójność grupy, z tego też powodu jest najsłabsza... Nigdy nie zjawia się razem z pozostałymi: ukrywa się gdzieś i czuwa nad wszystkim, jednocząc grupę. Jej tożsamość i kryjówka są pierwszymi informacjami, jakie się usuwa, kiedy ktoś zostaje wydalony.

- Ma swoje imago?

- Jej imago to po prostu miejsce, w którym się ukrywa. Nazywają je osłoną. Nie musi być woskową figurką, tak jak inne: może być cokolwiek, nawet żywą istotą. Odnalezienie jej jest prawie niemożliwe.

- Gdybyśmy się na nią natknęli, moglibyśmy ją zniszczyć...

- Osłony nie da się zniszczyć... Niemniej sam fakt odnalezienia jej i zmuszenia damy do wyjścia zagroziłby grupie. To byłby jednak zaledwie punkt dla nas: potem musielibyśmy

stawić czoło konwentyklowi.

Dziewczyna zamilkła w oczekiwaniu na następne pytanie. Analizując otrzymaną informację, Rulfo przypomniał sobie ostatnie sny: szklane drzwi ozdobione jodłami, pokój z numerem trzynastym i enigmatyczne słowa Akelos: „Pacjent z trzynastki wie wszystko”. Co to mogło znaczyć? Czy był to jakiś ślad, który mógłby doprowadzić ich do osłony? A jeśli tak, to jak należy go rozumieć? Może chodziło o jakieś konkretne miejsce? Ballesterosowi nie udało się skojarzyć opisu z żadną znaną mu kliniką.

Wtedy przypomniał sobie kolejny fakt.

- Poczekajcie... Śledztwo Herberta Rauschena... César przypuszczał, że informacje zbierane przez Rauschena na temat studentów i profesorów miały go doprowadzić do tej damy. Zastanawiam się, czy szukał osłony i czy zdołał ją odnaleźć...

- Przecież go wyeliminowały - zaproponował Ballesteros. - Sam o tym mówiłeś.

- Owszem, ale César zabrał jego archiwa i miał je przejrzeć... Nie odbiera telefonów... Spróbuję jednak wejść do jego domu i odzyskać pliki. To nasza jedyna szansa.

- Dobry pomysł - przyznał Ballesteros. - A my?

- Zostańcie tu, dopóki nie wrócę.

Spojrzeni na dziewczynę. Siedziała zamyślona na kanapie, z podkulonymi nogami, otulona szlafrokiem Ballesterosa, z kolanami oblamowanymi światłem brzasku. Czarne włosy malowały jej cienie na twarzy. Była nieprawdopodobnie piękna. Tak piękna, że wydawała się zakazanym owocem. Ballesteros patrzył na nią z zainteresowaniem niepozabawionym zabarwienia, o którym wolał nie myśleć, ponieważ rodziło w nim poczucie winy.

- Zgoda - powiedziała w końcu. I powtórzyła: - Zgoda.

Udał się tam jeszcze tego samego dnia po południu. To nasza jedyna szansa, doszedł do wniosku, jadąc starą windą. Jeśli plików nie ma, a one wyeliminowały Cesara... Wolał o tym nie myśleć. Nie teraz.

Drzwi do mansardy były zamknięte na głucho. Przypomniał sobie tamten dzień, kiedy ich odwiedził, żeby wciągnąć w ten koszmar. Wiedział, że tylko w jeden sposób może okupić swoją winę. Zadzwoił i czekał. Zadzwoił ponownie. I jeszcze raz. Już miał zamiar wyłamać zamek, kiedy usłyszał jakiś szmer w środku. Bogu niech będą dzięki, Cesarze, żyjesz.

Drzwi uchyliły się, a Rulfo oniemiał na widok twarzy, która ukazała się w szparze: twarzy upiora o posiwiałych, zmierzwionych włosach i zapadłych policzkach. Odór dotarł do jego zmysłów nieco później, jak kolejne małe nieodłączne widmo.

- Salomón...? Wejdz...

We wnętrzu mansardy panowały ciemności i zaduch: winę za pierwsze ponosiły zasłonięte żaluzje, w tym jedna, zepsuta, wisząca na ukos; na drugie zaś składało się wiele przyczyn - zgnilizna, papierosy, marihuana, pot i ostry zapach palonego papieru. Na podłodze leżały rozbite butelki po alkoholu, przewrócone krzesło i jakaś zasłona, porozrzucane książki i czasopisma, na pięknych dywanach widniały ogromne plamy. Nic nie pozostało z eleganckiego miejsca, w którym César i Susana bawili się w szczęście.

- Co się stało, Cesarze?

Stary profesor spojrział na niego, jakby w ogóle nie spodziewał się tego pytania. Nie miał na sobie jednego ze swoich luksusowych, jedwabnych szlafroków, tylko długą koszulę, która kiedyś musiała być ciemnoniebieska, i welwetowe spodnie. Był w samych skarpetkach. Nagle podniósł drżący palec do ust.

- Ciii... Nie rozmawiajmy tak głośno. Nie chcę jej obudzić.

Rulfo zeszywniał.

- Kogo?

- A jak myślisz? - César odsunął się od niego i zgarbiony przedzierał przez rozgardiasz panujący w salonie. - Susany.

- Susana tu jest? - Rulfo poczuł w gardle zwartą tamę strachu.

- Oczywiście. Jak zawsze. W pokoju.

Ruszyli jak duchy w kierunku zamkniętego pomieszczenia, gdzie w czasie jego ostatniej wizyty dyskutowali tak zawzięcie. César przekręcił gałkę. Drzwi otworzyły się na milimetry, ukazując smugę światła, miękki dywan, telewizor...

Rulfo patrzył przed siebie w ogromnym napięciu, z zaciśniętymi dłońmi, spodziewając się w każdej chwili Bóg wie czego. Jego serce zmieniło się w młot w rękach jakiegoś szaleńca.

- Susano... - zawołał César. - Susano...! Spójrz, kto przyszedł...

Drzwi otworzyły się na oścież.

W małym pokoju nie było nikogo.

César wyglądał na zdezorientowanego.

- Pewnie jest... Jasne, w sypialni! - Odwrócił się do Rulfa, prezentując swoje uzębienie. - Dlaczego tak bardzo się nią interesujesz, Salomonie? Nadal ją pieprzysz?

Zawsze było w nim dwóch różnych Rulfów. Jeden patrzył nieprzychylnie na irracjonalne odruchy drugiego. Teraz stało się podobnie: nienawidził samego siebie za to, że chwycił Cesara za koszulę i popchnął na kanapę, ten wytworny mebel, z którego jego dawny profesor zawsze był taki dumny. César pozwolił sobą poniewierać jak kukła brzuchomowcy.

Opadłszy na kanapę, nie uczynił najmniejszego gestu, żeby się podnieść. Uśmiechnął się tylko do niego, ukazując w grymasie zepsute zęby.

- Nie przejmuj się... Dawno przyzwyczailem się do tego, że wy... Poza tym ona woli ciebie... Mojego kochanego ucznia... Ja jej nie wystarczam.

Postanowił nie zwracać na niego uwagi. Postradał zmysły, na pewno u niego były. Musi mieć jakiś wiersz na ciele. Czuł się wyczerpany i zaczynał rozumieć, że ten stan źle wpływał na jego system nerwowy. Cofnął się na chwiejnych nogach i opadł na dywan. Obaj mężczyźni oddychali ciężko przez dłuższą chwilę.

- Pomóż mi, Cesarze - powiedział błagalnie Rulfo. - Jeśli jesteś mnie w stanie zrozumieć, pomóż mi. Chcę je zniszczyć. Za to, co zrobiły Susanie... Za to, co zrobiły tobie...

- Nie uda ci się. - Podniósł drżącą dłoń. - Zapomnij o tym. Ich nie można zniszczyć. Są poezją. *Morir non puote alcuna fata mai...* Wróżki nie umierają, jak mówi Ariosto.

- Pozwól mi spróbować.

- Nie. Nawet o tym nie myśl. Nie, nie i nie. Skończysz jak mój dziadek. Nieźle się zabawił, stary drań, ale oszalał doszczętnie... Musisz postępować ostrożnie... Poezja nie wybacza. Ma pazury jastrzębia. Pamiętasz Leticię Milano? Poezja cię chwyta i unosi w powietrze tak wysoko, że nie możesz złapać tchu... Tlen rozpala ci płuca i umysł. Należy okazać jej... szacunek.

- Gdzie są pliki, które zabrałeś z domu Rauschena?

- Przejrzałem je. Wszystkie.

- Właśnie po nie przyszedłem. Gdzie one są?

- Tutaj. - Wskazał na swoją głowę.

- A gdzie płyta?

- Zniszczona. Komputer również...

- Jak to?

- Ciii! Nie krzycz. Nie krzycz, proszę. Boli mnie głowa. Poza tym możesz ją obudzić. Susana jest na gorze. Opowiada mi nocami niewiarygodne historie.

Rulfo zamknął oczy. Tym razem nie stracił panowania nad sobą. Próbował się skupić.

- Susana... rozmawia z tobą w nocy?

- Oczywiście, do cholery! Chyba nie myślisz, że wszystko sprowadza się do „pieprzenia małolaty”, jak mawiał Rimbaud... Ma tak zimne ciało, że gdybyś na chwilę postawił szklankę whisky na jej piersiach, nie musiałbyś wrzucać lodu. Ale bycie z nią to nadal przyjemność... Ta dziewczyna przyprawia o dreszcz... O dreszcz! To właściwe słowo.

- A co ci mówi?

- Różne rzeczy... Staje mi na sam dźwięk jej głosu, cokolwiek powie. Ale odebrała mi poezję. I to jest najgorsze. Wymiotła ją całkiem, ciach. Spaliłem swoje książki. To znaczy, pracuję nad tym... Selekcjonuję i wrzucam do ognia... Jestem jednocześnie Don Kichotem i księdzem. Ale to nic nie daje, s t a j ę s i ę p o e z j ą. Wiesz, jak to jest? To bardzo dziwne uczucie... Jakbyś otworzył okna duszy i ptaki p r z e l a t y w a ł y przez ciebie w tę i z powrotem. - Wskazał na swoje skronie. - Jak strzał, rozumiesz? Dlatego... bardzo trudno... jest je zniszczyć... ponieważ zmieniają cię w to, czym są. A najgorsze, że odrzucenie poezji również jest poezją. *Bricht das matte Herz noch immer...* Tak samo dzieje się z miłością. Poezja to choroba świata, Salomonie, gorączka rzeczywistości. Czatuje na człowieka za rogiem. Idziesz sobie spokojnie pewnego dnia i kiedy się najmniej spodziewasz, poezja dopada cię... i pożera.

- Cesarze...

- Jest ich trzynaście. Jak trzynaście ostatnich linijek sonetu... Sonety mają po czternaście wersów, ale w używanej przez nie symbolice pierwszy wers nie ma numeru: to my, istoty ludzkie; a ostatni nie ma nazwy: to dama numer trzynaście.

- Powiedz, gdzie ona jest.

- W pustce...

César zdawał się teraz przysypiać. Zniecierpliwiony Rulfo westchnął i wyszedł z pokoju, nie fatygując się, żeby zamknąć drzwi.

Płyta CD. Może nadal ją przechowuje.

Rozejrzał się po salonie, na podłodze zauważył przenośny komputer Cesara. Miał strzaskany ekran, brakowało twardego dysku. Rozrzucił kopniakami stosy książek. W kominku natknął się na stertę spalonego papieru i resztki sadzy na dywanie. Śmierdziało spalenizną, fragmenty dywanu były nadpalone. Pomyślał przelotnie o tym, jakie to było niebezpieczne, ale w tej chwili nie mógł się tym martwić. Grzebał w czarnym popielisku, lecz niczego nie odkrył. Poszedł do kuchni i przejrzał, bezowocnie, kosz na śmieci, o dziwo czysty i prawie pusty: znalazł w nim zaledwie kilka zmiętych papierowych serwetek.

- Wiesz, że mój dziadek był cholernym pedofilem? - César kontynuował rozmowę z pokoju.

- Tak - odpowiedział Rulfo, nie słuchając, i opuścił kuchnię.

Sypialnia.

- Poważnie. Leticia Milano omamiła go, dostarczając mu dzieci z Paryża... Muszę ci wyznać, że... Zaraz! Dokąd idziesz? Obudzisz Susanę!

Rulfo szedł po schodach w kierunku sypialni na poddaszu. Było to ostatnie miejsce,

jakie pozostało do przeszukania.

W połowie drogi poczuł przeraźliwy smród. Dużo gorszy niż ten panujący na dolnym piętrze.

- Nie hałasuj... Jeśli się obudzi, będzie zła... Znasz ją...

Zatykając nos dłonią, pchnął drzwi.

Scena, jaka ukazała się jego oczom, przypomniała mu to, co wydarzyło się poprzedniego dnia w mieszkaniu Ballesterosa. Pokój wyglądał jak rzeźnia. Krew dawno już obeschła na ścianach. Na podłodze, u stóp łóżka, pośród nieruchomego, gęstego, ciemnoczerwonego oceanu coś leżało. Z początku nie wiedział, co to mogło być. Wilgotna kula, poskręcane zwierzę. Wreszcie dojrzał linię pochylonego grzbietu, podkulone nogi, ogryzione do samych kolan, kikuty ramion, brudne, słomkowe włosy przyklejone do czaszki i (kiedy obszedł to coś dokoła)

Ouroboros

otwarte, rozkwaszone usta wczepione w jedną z nóg,

To Ouroboros.

ostatecznie znieruchomiałe.

Zastanawiał się, czy nie zabić Cesara, zanim wyjdzie... Zabrakło mu jednak odwagi. Nie odkrył na jego brzuchu żadnego wiersza, ale podejrzewał, że z jego dawnym profesorem i przyjacielem damy obeszły się w dużo bardziej wyrafinowany sposób. Pomieszały mu zmysły, odsyłając Susanę z p o w r o t e m do domu.

Prawda? Z powrotem do domu. Cóż za wyrafinowanie, Sago. Gratuluję.

Prowadził wśród mrugających, wilgotnych świateł z całą wściekłością, na jaką stać było pedał gazu. Pozostała im tylko jedna szansa: że Raquel przypomni sobie coś ważnego.

Jakiś samochód zablokował skrzyżowanie, Rulfo nacisnął na klakson, który zabrzmiał jak zepsuta trąbka. Usłyszał jakieś wyzwiska, lecz nawet się nie odwrócił.

Raquel była ich jedyną nadzieją. Ale czy mogła przypomnieć sobie coś poza tym, co już pamiętała?

Ewentualnie Lidia. Gdyby Lidia znowu się z nimi skontaktowała! Był jednak pewny, że nadszedł kres snów. A może rzeczywiście jakaś inna dama z grupy próbowała im pomóc...?

Kolejny semafor ostrzegł go żółtym światłem. Myślał, że zdąży przejechać, ale samochód jadący przed nim zahamował. Klnąc, musiał zrobić to samo.

Co powie Ballesterosowi i dziewczynie czekającym z niecierpliwością na jego

powrót? Przykro mi. Fałszywy ślad. Nie możemy liczyć na pliki Rauschena.

Światła długo się nie zmieniały. Zniecierpliwiony rzucił okiem na chodnik.

I wtedy zobaczył szklane drzwi z dwiema jodełkami po bokach.

Młodziutka Jacqueline, siedząc na kanapie, wpatrywała się w horyzont z tarasu swojej willi wzniesionej na skarpie na Lazurowym Wybrzeżu. Dziesiątki metrów pod jej stopami dudniła niezmordowana morska maszyneria. Zapadł wieczór, gdzieś daleko eksplodowały nieme wyładowania elektryczne. Zimna bryza, jeszcze do zniesienia na tej szerokości geograficznej, poruszała fałdami jej pasiastego szlafroka.

Otaczały ją miłe doznania, ale czułaby się równie dobrze zamknięta pod ziemią w trumnie czy też pośród płomieni. Jej dogłębne, pielęgnowane z pietyzmem rozkosze nie miały nic wspólnego z otaczającą ją rzeczywistością. Było to szczęście innego typu, intymna rozkosz pozwalająca jej zagłębić się w rajach wrażeń, które mogła przedłużać w zależności od swojego kaprysu.

Jacqueline istniała zaledwie od dwudziestu dwóch lat. Była energiczną, szczupłą dziewczyną o krótkich włosach i piwnych oczach. Urodziła się w Paryżu, była bogata, mieszkała sama, nie miała rodziny ani przyjaciół, wydawała się szczęśliwa. I była bardzo miła. Za taką uważały ją hordy imigrantów, których przyjmowała w swojej rezydencji. Mademoiselle, zawsze uśmiechnięta, zawsze wesoła. Urocza.

Jeśli zaś chodzi o t a m t o, to, co tkwiło w niej, t e d r u g ą, która mieszkała w jej spojrzeniu i nigdy nie mrugała oczami, to była ona starsza niż niejedno, na co patrzyła w owej chwili Jacqueline. Bawiło ją czasami zastanawianie się, co by powiedziały jej pokojówki, służący, wszyscy ci obcy, którzy troszczyli się codziennie o dom i jej osobę (tę na tej d r u g i e j), co by powiedzieli, gdyby ją zobaczyli, o ile mogliby jeszcze potem

myśleć

lub oddychać.

Jej usta wykrzywiły się w słodkim uśmiechu. W jedności z nim horyzont rozświetlił się błyskawicą.

Uciechy Jacqueline były, prawdę mówiąc, dość dziwne, ponieważ były uciechami tej drugiej. Na przykład deklamowanie wierszy z Madoo. Albo tatuowanie filakterii na ciałach

obcych i obserwowanie ich efektów. Albo rozkoszowanie się poniżeniem dawnej królowej. Ale, naturalnie, to wszystko nie było ważne. Tak naprawdę ważne było tylko to, czy potrafiło się ujarzmić rzeczywistość.

Rzeczywistość okazała się słaba. Jak płód w macicy: taka właśnie się okazała. Żadna z sióstr nie spostrzegła, do jakiego stopnia potrafiła wykorzystać ten fakt. Jakże bezbronna, jakże krucha była ta uśpiona rzeczywistość; jak bardzo przypominała nieuchwytny, drżący welon.

W jej ustach tkwił fragment Rimbauda mogący rozszarpać ten welon na kawałki. W jej ustach uwiły sobie gniazdko frazy Horacego, których świat nigdy jeszcze nie słyszał, i wersy Szekspira, których żadna z sióstr nie recytowała do tej pory w sposób, w który jedynie ona potrafiła to robić. Któregoś dnia wyrecytuje je, tylko po to, żeby im udowodnić, jak wątła jest ta zasłona, z jaką łatwością można ją zedrzyć. Któregoś dnia otworzy Rimbauda, Horacego i Szekspira, i świat zmieni swe oblicze. Zrobi to. Jest Sagi. Teraz może robić wszystko.

Znała też wiersz Eliota. Miała go na końcu języka. Był króciutki i nie pochodził z *Jałowej ziemi*, tylko z *Czterech kwartetów*. Był jednak d e c y d u j ą c y. Służył do uzyskiwania informacji. Wiedza była jej specjalnością, jej mocną stroną. Przejęcie funkcji Sagi to proces bardzo, bardzo wolny, ale rezultaty rekompensowały z nawiązką długie oczekiwanie.

Teraz nadchodził jej czas.

Kolejna błyskawica oślepiła horyzont. Jej oczy zamrugały. Oczy, które patrzyły z jej wnętrza - nie.

Pozostała do załatwienia jedna sprawa. I zostanie rozwiązana w taki sam skuteczny i natychmiastowy sposób jak ta błyskawica. Nie miała znaczenia wobec ogromu spraw zapelniających jej świat. A jednak pragnęła mieć to już za sobą.

Ostateczna Koniunkcja. Odzyskały wreszcie imago Akelos. Teraz należało zwołać grupę, żeby je zniszczyć. I będzie po wszystkim. Tak po prostu. Siostry zapomniały już nawet o tym zadaniu. Ona nie.

Problem był błahy, ale musiała się z nim zmierzyć. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy uwolni się na zawsze od starej Akelos. Niepokoiło ją, że nadal i s t n i e j e, chociaż jej ciało było martwe, a ona sama Anulowana. Była jej głównym adwersarzem, groźniejszym niż pokonana Raquel. I znała doskonale coś, co dla niej pozostało nieodgadnione: przeznaczenie. Jego ścieżki były niewidzialne, lecz prawdziwe, i kiedy Jacqueline wkraczała na jedną z nich, odkrywała, że Akelos przeszła nią już dawno temu. Jej następczyni nie mogła

na razie dorównać, w żaden sposób, nieograniczonej władzy i doświadczeniu nagromadzonemu przez starą damę. A co gorsze, Akelos była panią niezgłębionych ciemności, których część nie przynależała do Sagi. I to ją przerażało, ponieważ to ona powinna dysponować całymimi ciemnościami.

Mimo to dni dawnej Akelos były policzone.

Pozostało sprawdzić, czy ktoś z nią współpracuje. Pozostało spenetrować tę dziwną ciszę, którą krył umysł Raquel. Ale to będzie łatwiejsze: kiedy już zniszczy tego starego pająka, zacznie pracować nad dziewczyną. Udało jej się zrobić z niej uległą i drżącą obcą, a tortury i śmierć jej dziecka jedynie uwypukliły te cechy, tak jak się tego spodziewała. Kiedy nadejdzie czas, ostatni bastion legnie w gruzach, a ona spenetruje jak taran jej najskrytsze myśli i doprowadzi jej c i s z ę do eksplozji. Jeśli zdradził ją ktoś jeszcze, dowie się tego bez wątpienia. A na razie ograniczy się do nacisków. Na nią i na tych obcych, których Akelos zdołała zwerbować za pomocą filakterii.

W końcu zdradzą, kto im pomagał.

Przypomniała sobie, że następne spotkanie odbędzie się za trzy tygodnie, w czasie zimowego przesilenia.

Spojrzała w dal. Kilka błyskawic eksplodowało na granicy horyzontu, jakby uaktywniła je siłą swojego wzroku.

- To rodzaj kliniki psychologicznej. Kiedy tamtędy przejeżdżałem, była już zamknięta, ale może mają jakichś pacjentów na oddziale. Nazywa się Centrum Mondragón.

- Nie znam go - powiedział Ballesteros. - Ale nie ma w tym nic dziwnego. W Madrycie jest wiele różnych prywatnych ośrodków, które obiecują pacjentom góry złota. A ściślej mówiąc, obiecują Bóg wie co w zamian za góry złota.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć - wtrąciła się Raquel.

- To dość głupia gra słów - przyznał Ballesteros. - Niemniej, biorąc pod uwagę, że jest prawie dwunasta w nocy, nie proście mnie o nic więcej, błagam. Poza kawą. Czy ktoś ma jeszcze ochotę? Nie? Bardzo dobrze, zostanie dla mnie.

Nalał sobie resztę kawy do filiżanki. Była zimna, ale pomyślał, że lepiej pić to niż alkohol, który pochłaniał Rulfo. Nadal miał kaca po wczorajszej whisky.

Rulfo wracał od Cesara ze świadomością, że nie przynosi właściwie najlepszych wiadomości. Usiłował pominąć najbardziej nieprzyjemne szczegóły, uważał bowiem (miny Raquel i Ballesterosa zdradzały, że rozumieli go doskonale), że nie trzeba opisywać wydarzeń ze szczegółami, żeby dowiedzieć się tego, co najważniejsze: że nie mieli już prawie żadnych

szans.

- To wszystko, co mamy. Niewiele, ale chcę wejść do tej kliniki, ośrodka czy cokolwiek to jest, i odnaleźć salę numer trzynastą.

- Myślisz, że to może być ważne?

- Wiem jedynie, że to miejsce mi się śniło i że Lidia właśnie je miała na myśli, kiedy powiedziała: „Pacjent z trzynastki wie wszystko”. Kimkolwiek jest osoba znajdująca się w tym pokoju, muszę z nią porozmawiać. Teraz trzeba się tylko zastanowić, w jaki sposób dostaniemy się jutro po południu do Centrum Mondragón.

- Co zamierzasz?

- Na razie działać legalnie. Ale jeśli nam nic nie wyjaśnią, i tak wejdziemy. Zamykają punktualnie o ósmej: może będę się mógł do tego czasu ukryć, a kiedy budynek się opróżni, przeszukam go spokojnie.

- Musisz sobie zabezpieczyć odwrot - stwierdził Ballesteros, zaskoczony naturalnością, z jaką bierze udział w naruszeniu prywatnej własności.

- Pojedziemy tam wcześniej i obejrzymy budynek z zewnątrz.

- Przepraszam...

Obaj spojrzeli na dziewczynę. Patrzyła na nich, mrugając powiekami, jakby nie była pewna, co właściwie zamierzała powiedzieć.

- Nie chcę zmieniać tematu, tylko... Chciałabym rzucić okiem na tomiki wierszy.

Zapadła cisza.

- Rozumiem. - Rulfo pokiwał głową.

- Nie sądzę, żeby to się na coś zdało - dodała pospiesznie. - Odzyskałam pamięć, nie zdolność recytowania. Ale przyszło mi do głowy, że może... natknę się na coś przydatnego.

- Wspaniały pomysł, Raquel. - Rulfo przytaknął ponownie. - Jeśli cokolwiek może nas ochronić lub skrzywdzić, to jedynie poezja.

Ballesteros dziwił się, że przysłuchuje się tej rozmowie, a jego racjonalizm nie protestuje głośno. W tym momencie jednak jego racjonalizm cierpiał na bóle kręgosłupa. Pomacał się po krzyżu i z trudem powstrzymał grymas. Całą godzinę zeskrobywał krew ze ścian i podłogi dawnego pokoju córki, w którym spała Raquel: krew, która wzięła się z niczego, podobnie jak ta przerażająca dziewczynka, przyprawiający o dreszcz obraz Julii czy eksplozja niewidzialnych ciał. Pomyślał, że wobec tego bolesnego faktu cały racjonalny sceptycyzm świata rozsypał się jak domek z kart. Nie ma nic lepszego od spędzenia godziny na zdrapywaniu krwi, żeby przekonać się do okultyzmu, uznał. Wystarczy ból krzyża, żeby uwierzyć w zaświaty.

Rulfo o coś go pytał.

- Tomiki poezji...? - Ballesteros skubał brodę w zamyśleniu. - Nie, nie mam... Może Julia... Tak, chyba miała coś Pemana. Lubiła go. Czy Pemán na coś się wam przyda?

- Nie - powiedziała dziewczyna.

- Tak myślałem. Co takiego ma w sobie ten Pemán, że nawet do tego się nie nadaje?

- Nie zarzucamy nic Pemanowi - wyjaśnił Rulfo. - Zgodnie z tym, co twierdził César, tylko niewielu poetów w dziejach świata stworzyło władcze słowa inspirowane przez damy. Zdecydowana większość pisała utwory piękne, lecz nieszkodliwe.

- W takim razie nie będę mógł wam pomóc.

- Nie martw się. W domu mam niezłą kolekcję. Pojedziemy tam jutro, Raquel. Będziesz miała do dyspozycji całe popołudnie, żeby wybrać książki. A ty, Eugenio, kiedy pomożesz mi się już dostać do kliniki, dołączysz do Raquel i razem poczekacie tam na mnie. Co wy na to?

Oboje przytaknęli. Zapadła cisza. Rulfo patrzył na nich: byli zmęczeni tak samo jak on, może nawet bardziej, ale nie chciał zostawić żadnego niedopowiedzianego wątku, zwłaszcza szczegółu, który wydawał mu się kluczowy. Zwrócił się do dziewczyny:

- Jak myślisz, ile mamy czasu?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Najpierw muszą się zebrać, żeby odprawić rytuał Ostatecznej Koniunkcji i zniszczyć imago, co musi mieć miejsce w określonym dniu... Jeśli zamierzają pozostawić nas do tego czasu przy życiu... Cóż, przy odrobinie szczęścia mamy trzy tygodnie, do najbliższego przesilenia zimowego.

Rulfo i Ballesteros poruszyli się niespokojnie.

- Trzy tygodnie - powiedział lekarz. - Niezbyt dużo czasu na znalezienie tej... damy numer trzynastie. O ile ją znajdziemy...

- Znajdziemy - oświadczył Rulfo. - A teraz powinniśmy odpocząć. Najważniejsze to odzyskać siły.

Rozmowa dobiegła końca.

Hol Centrum Mondragón wydał im się mały i zimny jak grób. Wisały w nim nowoczesne obrazy, stały dekoracyjne rośliny i skórzane kanapy. Rulfo miał niezachwianą pewność, że nie był tu nigdy w życiu, co jedynie utwierdziło go w przekonaniu, że sny naprowadziły go na ważny ślad.

Za ladą recepcji, przed komputerem, siedziała jakaś kobieta. Ustalili wcześniej, co

zrobiją, więc odezwał się tylko Ballesteros. Zaprezentował związkową legitymację i najlepszy ze swoich uśmiechów, po czym wymienił nazwisko domniemanego pacjenta kliniki, który wymagał konsultacji psychologicznej. Mówiąc, opierał się na ladzie łokciami i nieustannie się uśmiechał. Kobieta o kręconych ufarbowanych na mahoń włosach udzielała mu informacji, odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech. Nie, w tej klinice nie przyjęto ostatnio żadnych pacjentów, nie ma też lekarzy, są tylko psycholodzy. Nie było również sali z numerem trzynastym. Niestety nie może pozwolić, żeby Ballesteros się rozejrzał: w gabinetach prowadzone są teraz zajęcia terapeutyczne. Może gdyby przyszedł jutro tuż przed zamknięciem... Ale, oczywiście, chętnie mu wszystko wyjaśni... Od czasu do czasu zadawał jej pytanie, które zmuszało ją do spojrzenia na ekran. W pewnej chwili podniosła wzrok znad komputera, ale nie zauważyła niczego niepokojącego.

 Nie spostrzegła nawet zniknięcia młodego brodacza towarzyszącego lekarzowi.

Rulfo wślizgnął się do jednego z korytarzy. Za rogiem była poczekalnia, a w niej pięć czy sześć osób pogrążonych w swojej własnej samotności. Z niewiadomego powodu spojrzeli na niego z cierpkim wyrazem twarzy. Poszedł dalej, nie zatrzymując się, aż trafił na drzwi do toalety. Otworzył je i wszedł do środka.

Toaleta najwyraźniej została zaprojektowana pod kątem wysublimowanych pacjentów. Prostokątne cienie, rzucone przez minimalistyczne światła, ciężły ściany jak brzytwy. Powietrze wzbogacały drogie odświeżacze. Była pusta. Wybrał ostatnią kabinę w rzędzie i zamknął drzwi na zasuwkę. Stwierdziwszy jednak, że mechanizm uruchamia światło i wentylator, zrezygnował z zamknięcia i siedział po ciemku. Jeśli ktoś zechce wejść do kabiny, zawsze może uprzedzić, że jest zajęta.

 Teraz pozostało jedynie czekać.

W holu tymczasem spełniło się nareszcie pragnienie Ballesterosa: jakiś osobnik podszedł do recepcjonistki. Zadowolony ustąpił mu miejsca. Wolał nie kończyć fascynującej pogawędki i nie dawać kobiecie czasu na to, żeby przypomniawszy sobie o jego towarzyszu, choć uważał, że poddana kolejnej indagacji nie stanowi już zagrożenia. Wyszedł, w myślach życząc Rulfowi szczęścia.

Hölderlin. Nie mogła zapomnieć o Hölderlinie. Szczęśliwym trafem Rulfo posiadał oryginalną edycję jego *Poematów szaleństwa*. Żadne tłumaczenie na nic by się nie zdało.

 Zdjęła książkę z półki, zeszła z krzesła, trzymając ją oburącz, i położyła ostrożnie na

stole, obok pozostałych. Potem przystanąła, zastanawiając się nad kolejnym wyborem.

Poprzedniego wieczoru Rulfo powiedział Ballesterosowi, że poeci tworzący władcze słowa byli stosunkowo nieliczni. Ogólnie rzecz biorąc, miał rację. Niemniej istniały bardzo subtelne różnice, które zaczynała sobie przypominać. W *Rubbajatach* Omara Chajjama był tylko jeden władczy wers, ale miał tak wielką moc, że z nawiązką rekompensował swoją unikatowość. Pedro Salinas czy Jorge Guillén, w ogóle nieinspirowani przez damy, potrafili zawrzeć autentyczne bomby niszczące w dwóch czy trzech linijkach. Byron napisał jedną strofę o niewyobrażalnej sile destrukcji, ale należało czytać ją od końca.

Pomyślała jednak, że nie może tracić czasu na najślabszych. Musiała dotrzeć bezpośrednio do tych najbardziej niebezpiecznych.

Do młodego, chorowitego Isidore'a Ducasse'a na przykład, znanego jako hrabia de Lautréamont, i do jego *Śpiewów Maldorora*. Taka była moc tego poematu pisanego prozą, że o ile pamiętała, jedno ludzkie życie nie wystarczało, żeby go w pełni wykorzystać. Znalazła oryginalne wydanie w miękkiej oprawie i odłożyła je na stół. Obok zauważyła egzemplarz *Wieży i innych poematów* Yeatsa. Przypomniała sobie, że Yeats był inspirowany przez Incantatrix, którą po raz pierwszy zobaczył we śnie w Sligo, będąc jeszcze dzieckiem, a potem, jako młody chłopak, po raz drugi, stojącą na skale atakowanej przez fale, bladą i ulotną jak morska piana. Powinna też zabrać Lorcę. Zakładała, że Rulfo posiada porządną edycję *Romancy cygańskich*.

Miała ściśnięte gardło, chciało jej się płakać. Razem z nazwiskami napływały tajemnicze wspomnienia.

Widziała siebie przypatrującą się oczami kota T.S. Eliotowi tworzącemu *Jalową ziemię*. Pamiętała rozmowy z niewidomym Borgesem i niewidomym Homerem. Zachowała mgliste wspomnienie tunik i pochodni podczas ceremoniału z udziałem Horacego. Kiedyś John Donne chciał ją pocałować. Innym razem przyglądała się śpiącemu Vicente Aleixandre'owi, a w innym czasie i miejscu wypatrzyła oczy Wordswortha wśród chmary dzieciaków bawiących się na wolnym powietrzu.

Kiedyś było inaczej, ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Czyż nie rzuciła tego wszystkiego z jednego jedyne powodu?

Nie myśl o nim.

To coś, czego nie dało się wytłumaczyć, to ciało, którego nie dało się opisać, wyrecytować, opowiedzieć. To życie, które nagle sprawiło, że ona także poczuła w sobie moc, ale inną, taką, jaką żaden poemat nie byłby jej w stanie natchnąć...

Tak, Rulfo miał rację: zemsta była koniecznością. Już jako zwykła obca zemściła się

na Patriciu. Teraz odzyskała pamięć i wiedziała, kim jest jej prawdziwy wróg. Już mnie zniszczyłaś, Sago, już mnie wykończyłaś... Ale popełniłaś błąd, depcząc moje szczątki. Dosyć! Zapłacisz mi za to. Idę po ciebie.

Usłyszała trzask drzwi i wytarła dłonią łzy spływające po twarzy.

- Załatwione - powiedział Ballesteros, wchodząc do pokoju. - Salomón został w klinice... Oby dopisało mu szczęście. Co ci jest?

- Nic.

Patrzył na nią swoimi dobrymi, zmęczonymi, szarymi oczyma.

- Dobrze się czujesz?

- Tak... Po prostu... to wszystko jest bardzo skomplikowane.

Przytaknął ze zrozumieniem. Dziewczyna znowu miała na sobie swój codzienny strój. Po wielokrotnym przepuszczaniu przez pralkę ubranie przypominało stare szmaty, spłowiałe, współgrające ze śladami niezniszczalnych pozostałości plam po krwi, lecz Ballesterosowi, kiedy zobaczył, jak stoi na krześle na palcach, zdało się, że nie mogłaby być bardziej atrakcyjna. Rozejrzał się wkoło nieco zawstydzony i zauważył stos książek na stole.

- Wspomnienia powracają?

- Niektóre.

- Mnie to wszystko nadal wydaje się niewiarygodne... - Wziął pierwszy lepszy tomik z brzegu i zaczął przerzucać kartki. - W końcu to tylko poez...

- Nie dotykaj!

Znieruchomiał z książką w ręce. Okrzyk dziewczyny poraził go.

- Przepraszam, nie powinnam na ciebie krzyżeć. Ale Szekspir jest w y j ą t k o w o n i e b e z p i e c z n y...

- Rozumiem. - Ballesteros pokiwał głową i z najwyższą ostrożnością odłożył z powrotem na stół angielskie wydanie sonetów.

Czas stanął w miejscu. Siedział w ciemnościach, wyczekując. Na razie nikt go nie odkrył. Ale co będzie później? Zastanawiał się, czy to prawda, że (jak mówiła recepcjonistka) pokoju z tym numerem w ogóle tu nie ma. Co wtedy zrobi?

Jednego był pewny: będzie musiał przeszukać cały budynek. Nie wyjdzie stąd, dopóki nie sprawdzi, czy nie ma tu żadnego pacjenta. Modlił się, żeby recepcjonistka kłamała. Modlił się, żeby znaleźć choćby jeden pokój z trzynastką wypisaną na drzwiach: wiedział, że tam znajduje się klucz, który pozwoli mu odszukać damę numer trzynaście lub jej osłonę.

Ponownie spojrzął na fluorescencyjną tarczę zegarka. Klinika została zamknięta.

Postanowił odczekać jeszcze ze dwie godziny, obawiał się bowiem, że w budynku mogli pozostać zapóźnieni pracownicy lub któryś ze strażników.

Trzy tygodnie, pomyślał. Mało czasu.

Jak powiedział Ballesteros: wszystko zależy od tego, jak trudne okaże się odnalezienie damy numer trzystaście. O ile w ogóle ją odnajdą.

Trzy tygodnie, pomyślała Jacqueline. Wystarczająco dużo czasu.

Milcząca burza szalała w oddali. Błyskawice kaleczyły horyzont.

Właściwie się nie martwiła. Czym miałyby się martwić? Raquel i jej przyjaciele byli obcymi, niezdolnymi do recytacji, i nic, co by zrobili, nie będzie stanowić zagrożenia dla kogoś, kto - tak jak damy - znał dogłębnie nieograniczoną moc poezji i potrafił zastosować ją perfekcyjnie. Wiedziała, oczywiście, o uknutym przez nich desperackim planie: odnalezieniu damy numer trzystaście...

Uśmiechnęła się na samą myśl o tym. Nawet gdyby im się udało, nawet gdyby rozszyfrowali ostatnie sny, jakie przebiegła Akelos uruchomiła w ich świadomości, i znaleźli jej kryjówkę, w jaki sposób zmuszą ją do wyjścia? To całkowicie absurdalny pomysł i szybko się o tym przekonają.

Nie, w żadnym razie nie ma się czym martwić, niemniej...

Lepiej skończyć z tym jak najszybciej, prawda, Jacqueline? Zniszczyć imago, sprawdzić, czy ktoś cię jeszcze zdradził, i wykończyć Raquel i obcych.

Teoretycznie dałoby się p r z y s p i e s z y ć spotkanie, chociaż tylko ona, Saga, miała ten przywilej. To wyjątkowa i ryzykowna decyzja, ponieważ poza Dniami Ceremonii grupa była słaba. Jednak czuła, że w tym przypadku byłaby to s ł u s z n a decyzja.

Tak, zbiorą się przed upływem trzech tygodni, a nawet przed upływem tygodnia.

Jacqueline przeciągnęła się leniwie na kanapie i zamknęła oczy.

Ale to, co było w niej, nadal wpatrywało się bez mrugnięcia okiem w odległą burzę.

XIII. TRZYNASTA DAMA

Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Zrozumiał, że zasnął. Miał nawet sen. Śniła mu się Beatriz. Byli na plaży, pod jakąś bezładną zbieraniną chmur. Beatriz oddalała się powoli w stronę morza, a on szedł za nią, ale kiedy zanurzał się w wodzie, oczom jego ukazywało się jej sine ciało topielca, jak wyciągnięte z głębin algi kołysane przez przezroczyście fale.

Smutek, jaki ogarnął go po przebudzeniu, był dużo głębszy niż otaczające go ciemności. Nagle przypomniał sobie, gdzie jest i co powinien zrobić. Siedział na klapie od sedesu i bolał go krzyż. Kieszenie marynarki brzęczały pod ciężarem przyniesionych narzędzi. Zerknął na zegarek: dwudziesta trzecia czterdzieści dwie. Podniósł się, przeciągnął i przez chwilę nadśluchiwał z uwagą. Nie dobiegł go żaden niepokojący dźwięk. Bezszelestnie otworzył drzwi.

Toaleta tonęła w ciemnościach. Zanim ruszył dalej, pogrzebał w kieszeni i namacał małą latarkę, w którą zaopatrzył go Ballesteros, ale nie chciał jej jeszcze włączyć.

Wyjrzał w czarną ciszę. Zapomniał, po której stronie znajdowała się poczekalnia. Wszędzie było tak cicho i pusto, że tracił orientację. Postanowił zaryzykować i zapalił latarkę. Lekka złota smuga pozwoliła mu określić usytuowanie przedmiotów.

Biblioteka wydawała się nie mieć końca. Kiedy usunęła stopy książek leżących przy komputerze, zauważyła pawlacza: zabrała się do jego przeglądania, stanąwszy na krześle.

Ballesteros sprawdził godzinę: dwudziesta trzecia czterdzieści. Denerwował się na samą myśl, co mogło się tam dziać. Przypuszczał, że Rulfo niczego się jeszcze nie dowiedział, obiecał przecież zadzwonić, jeśli znajdzie coś interesującego. Wchodziło w rachubę jednak i to, że mogli go nakryć. Uśmiechnął się: byłoby zabawnie, gdyby po tym, jak czarownice pozostawiły ich przy życiu, policja aresztowała ich za współudział w naruszeniu własności prywatnej. Usiłując oderwać się od tych myśli, postanowił porozmawiać z Raquel.

- Powiedziałaś, że poeci są niebezpieczni. Niemniej Szekspira na przykład recytuje się często w wielu teatrach na świecie i nic się nie dzieje...

Dziewczyna, która przeglądała odłożone wcześniej książki, odwróciła się do niego. Ballesteros próbował opanować przeszywający go dreszcz. Boże, jakaż ona piękna.

Dzisiaj rano widział ją nagą. Udostępnił jej swoje łóżko, żeby się trochę przespała, ponieważ pokój jego córki nadal pełen był śladów krwi. Sam położył się na kanapie, ale kiedy wstał w południe, musiał wejść do sypialni po ubranie. Otworzył drzwi: smuga światła pełzała po kremowym materacu, gołych stopach, półkulach jej pośladków, zgiętej ręce i poduszce czarnych włosów. Dziewczyna leżała z lewą dłonią pod policzkiem, a prawą odrzuconą na biodro. Pod wpływem oddechu cumulusy jej piersi poruszały się delikatnie. Paliła go twarz. Nie podejrzewał, że mogła spać odkryta. Patrzenie na nią wydawało mu się nikczemnością, lecz nie mógł się powstrzymać. Nigdy nie widział tak pięknej kobiety, nie przypuszczał nawet, że takie istnieją. Naga nie przypominała żadnej żywej istoty, widzianej przez niego wcześniej, choćby na ekranie. Była dziwnym niezemskim stworzeniem. Może czarownicą. Stał, patrząc na nią przez chwilę, po czym wpadł w panikę, że może się nagle obudzić i zauważyć, że się w nią wpatruje. Wziął potrzebne rzeczy i wyszedł pospiesznie. Przełknął ślinę na to nagłe wspomnienie, słuchając, jak stojąca na krześle dziewczyna odpowiada na jego pytanie.

- Aktor nie potrafi recytować władczych słów. A i tak zawsze c o ś się zdarzy, choćby drobiazg. Czasem, zupełnie przypadkowo, wiersz zostaje wyrecytowany n i e m a l we właściwy sposób. Ale ponieważ jest to czysty przypadek, zaowocuje skutkami w innym miejscu i czasie...

Miał wrażenie, że rozumie. To tak, jakby ktoś bawił się skomplikowanym detonatorem, nie znając jego przeznaczenia: może nigdy nie wywołać eksplozji, może go rozbroić, ale istnieje też możliwość, że bomba wybuchnie mu w rękach.

- Jakimi skutkami?

- Prawie zawsze przerażającymi: epidemią, trzęsieniem ziemi, morderstwem...

Naraz przyszła mu do głowy pewna myśl.

- A wypadkiem samochodowym?

- I to niejednym.

Zamilkł, wstrząśnięty. Zastanawiał się, jaki wiersz, czyjego autora zniszczył na zawsze życie jego żony na tamtej szosie. Jaki poemat wyrecytowany przypadkiem sprawił, że mózg Julii eksplodował w tamtym samochodzie.

Nigdy, aż do tej chwili, nie przypuszczał, że poezja może budzić takie emocje.

Po lewej stronie znajdowała się poczekalnia, po prawej podest i schody. Korytarz ciągnął się dalej, ukazując po obu stronach rząd drzwi zamkniętych przed nim jak kolejne szanse. Skierował latarkę na tabliczki przymocowane do ściany. Schody prowadzące w dół oznaczone były strzałką i napisem „Archiwum”, zaś odcinek wiodący na górę opatrzone inną wskazówką: „Sale terapeutyczne E i O”. Zlekceważył oba kierunki, podążył dalej korytarzem i oświetlił pierwsze drzwi: „A1” - Spróbował je otworzyć. Zamknięte.

Zatrzymał się na moment, analizując sytuację.

Co teraz, Lidio? Mam zejść do Archiwum? A może zacząć od sal terapeutycznych?

Nagle stanął jak wryty.

lidia

Boże mój!

Nie mieściło mu się w głowie, jak do tej pory mógł sobie o tym nie przypomnieć. Aż do tej pory.

lidia garetti

Wycofał się i znalazł schody prowadzące do Archiwum. Skręcały pod kątem prostym i kończyły się małym korytarzem z trojgiem zamkniętych drzwi. Kiedy jednak oświetlił je latarką, pierwsze z nich otworzyły się, lekko i bezszelestnie jak olśnienie.

Było to prawie jak déjà vu: jeszcze raz przeżył chwilę, w której metalowa brama w posiadłości młodej Włoszki zareagowała podobnie. Czując, że serce wali mu jak oszalałe, ścisnął mocniej latarkę i wszedł... do wąskiego pokoju, bez okien, pełnego poszeregowanych kartotek. Otworzył szufladę z literą „G” i w ciągu zaledwie paru sekund znalazł to, czego szukał.

Przysunął kartę do światła.

Lidia Garetti.

Jej karta. Jej zdjęcie.

Przypominał sobie mgliście, jak Susana przekazywała mu informacje otrzymane od znajomej dziennikarki. Lidia Garetti korzystała z „konsultacji psychologicznej”. Susana nie powiedziała mu jednak g d z i e, a on o to nie spytał. Oczywiście w Centrum Mondragón, prawda, Lidio? Miała to być kolejna wskazówka dla mnie.

Na karcie widniał odręczny dopisek, naniesiony zapewne przez terapeutę: „Tylko dwie sesje. Zrezygnowała z terapii”. Zrezygnowałaś z terapii, bo nie po to tu przyszłaś, nie myślę się? W rzeczywistości chciałaś zostawić tu filakterię. Odwiedziłaś przed laty to miejsce, żeby pozostawić mi kolejny ślad, tak jak w przypadku dziadka Cesara czy Rauschena. Kolejny ślad. Tylko jaki?

Powrócił do lektury. Obie sesje odbyły się w tej samej sali: E1.

Sala E1.

Odłożył kartę na miejsce, zasunął szufladę, opuścił pokój i zamknął drzwi. Wrócił na parter, doszedł do rozwidlenia korytarzy i wspiął się na schody prowadzące do sal terapeutycznych.

Na drugim piętrze odkrył następną poczekalnię i następny korytarz. Skierował się w tamtą stronę. Ale kiedy doszedł do zakrętu, stanął jak oniemiały. Ktoś zbliżał się, oświetlając go latarką. Na kilka sekund wstrzymał oddech, przestraszony, próbując wymyślić na poczekaniu jakieś sensowne wyjaśnienie. Wtedy zrozumiał, że to lustro. Przestrzeń korytarza rozszerzała się dzięki zwierciadłom odbijającym drzwi znajdujące się po drugiej stronie. Na pierwszym odbiciu zobaczył:

13

Odwrócił się do oryginału - tabliczka obwieszczała: E1.

A więc to był pokój n u m e r t r z y n a ś c i e.

W tym momencie drzwi otworzyły się z taką samą tajemniczą ciszą jak piwniczne archiwa.

Rulfo pchnął je delikatnie i zajrzał do ciemnego wnętrza. Latarka wydobyła z mroku kanapę, biurko, dwa stojące naprzeciw siebie krzesła. Przez chwilę stał nieruchomo. Coś kazało mu się zatrzymać, nie wchodzić. (*Lasciate*). Nie wiedział, co by to mogło być, może to ten sam strach, który kazał mu zawahać się w domu Lidii, przy akwarium, czy w drzwiach opuszczonego magazynu. (*Lasciate ogni speranza*).

Wrażenie szybko minęło. Nabrał powoli powietrza, wszedł do pokoju i odwrócił się w stronę części ukrytej za drzwiami, której nie zdążył jeszcze obejrzeć. Skierował tam światło latarki. Na widok tego, co zobaczył, z trudem powstrzymał krzyk.

Siedząc na krześle, zwrócony tyłem, czekał na niego jakiś mężczyzna.

Pacjent z sali numer trzynaście.

Ballesteros ponownie spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta czwarta trzydzieści. Centrum Mondragón było zamknięte już od ponad czterech godzin. Ile czasu potrzebował Rulfo, żeby je przeszukać?

Coś mu się stało.

Zaczynał się niepokoić. Spojrzął na komodę w sypialni, gdzie wznosiły się kolejne stosy starannie wybranych książek. Dziewczyna nadal myszkowała w pawlaczu.

Coś mu się stało. Na pewno. Złapali go. Może powinienem tam pojechać, choćby po to, żeby...

- Kto to jest? - spytała nagle Raquel. - Ma tego całą kolekcję.

Pokazywała mu oprawione zdjęcie, na którym Rulfo obejmował młodą, ciemnowłosą kobietę, bardzo atrakcyjną, o cudownie zielonych oczach.

Ballesteros nigdy jej nie widział, ale natychmiast się domyślił, o kogo chodzi.

- Pewnie jego dziewczyna... Ta, która umarła, Beatriz Dagger. Salomón nigdy ci o niej nie wspominał? - Pokręciła przecząco głową i dalej wyciągała zdjęcia. - Mnie opowiadał. To bardzo smutne. O ile pamiętam, byli ze sobą tylko dwa lata, ale najwyraźniej bardzo się kochali. Uległa bezsensownemu wypadkowi i wszystko się skończyło.

Raquel odłożyła zdjęcia do pawlacza, poza jednym, na którym widać było jedynie twarz dziewczyny. Trzymała je w rękach, przyglądając mu się uważnie, z ciekawością.

Światło latarki tańczyło na karku mężczyzny. Wydawał się młody, dobrze zbudowany, o szerokich ramionach. Miał czarne, dość długie włosy. Coś w jego wyglądzie, nawet z tyłu, wydawało mu się znajome, jakby go już gdzieś widział. Jednego wszak był pewny: przyszedł tu, żeby porozmawiać z tym właśnie człowiekiem.

Najdziwniejsze było to, że pacjent najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Nadal siedział nieruchomo w ciemnościach. Rulfo postąpił krok naprzód i oblizał spierzchnięte wargi.

- Proszę się niczego nie obawiać... Chciałbym tylko zamienić słowo z...

Wtedy mężczyzna się odwrócił.

Ballesteros przerwał, widząc jej minę.

- Co się stało...? O co chodzi...?

Patrzyła na portret, marszcząc brwi, jakby coś, co zauważyła, nagle wytrąciło ją z równowagi. Po czym na jej twarz powrócił zwykły wyraz obojętności. Pokręciła głową z niedowierzaniem, by chwilę potem ponownie okazać gwałtowne zainteresowanie.

- Znasz ją? - spytał Ballesteros.

Alarm wzbіл się w powietrze, oszalały, tłumiąc brzęk tłuczonego szkła. Ktoś sforsował drzwi prywatnej kliniki psychologicznej, ale nie po to, żeby wdrzeć się do środka, tylko żeby się z niej wydostać. W ciszy poranka winowajca rzucił się desperacko do ucieczki. Jakiś hipotetyczny świadek wzbraniałby się może przed stwierdzeniem, że człowiek ów był złodziejem. Nie miał bowiem żadnej torby pełnej wartościowych przedmiotów czy pieniędzy. Na jego twarzy zaś malował się nie pełen nadziei niepokój kieszonkowca, który liczy, że może jednak nie zostanie przyłapany, tylko totalne przerażenie kogoś, kto wie z całą pewnością, że dokądkolwiek i choćby nie wiem jak uciekał, i tak został już osaczony.

Osaczony.

Na zawsze.

- Nie, nie znam jej... Wydawało mi się tylko, że... - Potrząsnęła głową. - Nie, to nic takie...

W tym momencie drzwi sypialni otworzyły się raptownie.

Nie słysząc, kiedy wszedł, wzdrygnęli się oboje. Portret wymknął się jej z rąk, przez ułamek sekundy błysnął w świetle lampy i roztrzaskał się na podłodze,

a szkło

pękło

ukośnie.

Brzydka szrama przecięła uśmiechnięte i piękne oblicze Beatriz Dagger.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Rulfo ukrył twarz w dłoniach, a oni siedzieli w milczeniu. Ale kiedy podniósł wzrok, a oczom ich ukazało się jego oblicze, panująca cisza zaciążyła im jeszcze bardziej.

- Lidia Garetti była w tej klinice i zostawiła dla mnie filakterię... Umieściła ją na marginesie dyplomu uniwersyteckiego ze zdjęciami absolwentów... To wers z Wergiliusza: *Hic locus est partes ubi se via findit in ambas*. „Oto miejsce, gdzie droga się rozwidła”. Ten wers sprowadził sny o klinice, otworzył przede mną jej drzwi i wywołał halucynacje: zobaczyłem człowieka siedzącego w tamtym pokoju. To byłem ja. Wtedy zrozumiałem wszystko.

Ballesteros pomyślał, że tego dnia, kiedy zmarła mu żona, w jego oczach gościło to samo spojrzenie, które teraz dostrzegał u Rulfa.

- Dlaczego przekazano ci to w tak wyszukany sposób? - zapytał.

Raquel odezwała się po raz pierwszy.

- On jest osłoną. Należało skonfrontować go z nim samym, żeby doszedł do tego samodzielnie.

- Dlaczego wybrano to właśnie miejsce? Dlaczego klinika psychologiczna? Dlaczego nie coś innego?

- Beatriz była psychologiem. - Głos Rulfa brzmiał głucho, jakby dobywał się z trumny. - Urodziła się w Niemczech, potem studiowała w Madrycie... Jej zdjęcie również znajdowało się na tym dyplomie.

Przypuszczał, że Rauschen domyślał się wszystkiego, dlatego przyjechał za nią z Niemiec. Może nie znał jej tożsamości, ale wiedział, że studiuje gdzieś w Europie. Prawie się uśmiechnął na myśl o przewrotnej ironii: damą, której szukał z Rauschenem i Cesarem, była Beatriz, a jej osłoną - on sam.

- Nie obwiniaj się - powiedziała Raquel. - Bezimienna dama wybrała ciebie i wniknęła za pomocą wersów w ciało dziewczyny. Była w jej oczach: tak mi się wydawało, kiedy

patrzyłam na zdjęcia... Manipulowała nią, sprawiła, że ją poznałeś i pokochałeś, a potem ją wyeliminowała i spenetrowała twój umysł dzięki waszej uczuciowej więzi... Doskonała kryjówka: nosiłeś ją w sobie, nawet o tym nie wiedząc. Miłość jest uczuciem, które wykorzystują, żeby inspirować poetów, ale numer trzynasty używa go, żeby zamieszkać w wybranych przez siebie istotach. Po jakimś czasie opuściłaby cię, żeby poszukać innej osłony.

Rulfo potrząsał głową, jakby jej nie słyszał.

- Wybrała mnie, ponieważ wiedziała, że jej nie zapomnę. Żyła we mnie komfortowo przez cały ten czas...

Stwierdził z zaskoczeniem, że gdzieś w środku cierpienie ustąpiło pola żywemu uczuciu odrazy, jakby nagle poczuł ruchy jakiejś wielkiej larwy, tasiemca wkręconego w jego mózg. Spojrzał ponownie na rozbite zdjęcie leżące na podłodze i zrozumiał, że nie ma już dla niego przyszłości. Choć jednocześnie widok szlachetnych rysów Beatriz pod szkłem przyniósł mu pewną ulgę, jakby po ciągnącym się przez całą wieczność, niecierpliwym wyczekiwaniu mógł wreszcie podnieść kotwicę i opuścić zabagnione tereny, w jakich utkwiał na długo.

Odwrócił się do Raquel. Dziewczyna robiła wrażenie, jakby mu współczuła, ale wiedział, że tak nie jest. To jedna z dam. A przynajmniej była nią kiedyś. One nikomu nie współczują. Nie znają uczuć.

- Musimy postępować zgodnie z planem. Co zrobić, żeby ze mnie wyszła...?

- To najtrudniejsze. Może to sprawić odpowiednia recytacja wierszy, lecz ich odnalezienie zajmie mi trochę czasu.

- Ile?

- Dla obcej, takiej jak ja, odpowiednia recytacja wersu to kwestia szczęścia. Może uda mi się tego dokonać jutro, może za kilka tygodni lub miesięcy...

- Nie możemy ryzykować. Jest jakiś inny sposób na wyrzucenie jej z mojego umysłu?

- Nie odpowiedziała, ale patrzyła na niego z uwagą. Rulfo zrozumiał. - Kiedyś powiedziałaś, że osłony nie da się zniszczyć... Czy to oznacza, że nie mogę umrzeć?

- Nie. Oznacza to jedynie, że dopóki jest w tobie, będzie robić wszystko, żeby ci się nic nie stało. To dlatego we Francji pozostawiły cię przy życiu.

- Ale gdyby, mimo wszystko, ktoś ją zniszczył...

Dziewczyna nie spuszczała z niego oka.

- Wyjdzie. Będzie się ratować ucieczką. Ty umrzesz, a ona poszuka innego schronienia.

- To jak podpalenie nory, prawda? - Rulfo miał dziwny wyraz twarzy. - Podkłada się ogień, żeby zwierzę ją opuściło.

- Owszem, tyle tylko że ty umrzesz, a ona ucieknie - powtórzyła dziewczyna.

- Nic nie może jej zatrzymać po wyjściu?

- Woda. W wodzie nie są w stanie nic zrobić. To by ją powstrzymało, ale zaledwie na kilka sekund.

- A potem?

- Wystarczy krąg nakreślony na ziemi. Poza osłoną jest jak krab pustelnik poza skorupą. Jeśli uda nam się zamknąć ją w kręgu, nietrudno będzie ją zatrzymać...

- A kiedy już się w nim znajdzie?

- Wymusimy na niej, żeby podała nam planowaną datę zniszczenia imaga i umożliwiła akces do środka. Dzięki temu *coven* okaże się wobec nas prawie bezbronny, a nam pozostanie jedynie ustalić, w jaki sposób go zaatakujemy.

- Trzeba spróbować. - Rulfo zdjął marynarkę. - Chyba dacie sobie z tym radę beze mnie...

Wymienili z dziewczyną przelotne ostatnie spojrzenie. Zdecydowanie, jakie zobaczył w głębokich, ciemnych jak studnia oczach, niemal go przeraziło. Chce, żebym to zrobił. Chce, żebym spróbował przeprowadzić dokładnie to, o czym myślę.

- Nakreślcie krąg w jadalni - powiedział.

- Chwileczkę, chwileczkę... - zdeorientowany Ballesteros, przysłuchujący się w milczeniu rozmowie, zerwał się nagle na nogi. - Jeśli dobrze zrozumiałem, „podpalisz norę”. Poczekaj chwilę! Panie Impulsywny, wiem, jak się czujesz, ale powiem ci jedno: z czarami czy bez nich, nie jesteś pierwszym ani nie będziesz ostatnim oszukanym przez kogoś w ten czy inny sposób człowiekiem. Przestań się do cholery nad sobą użalać! Słyszałeś Raquel: nawet jeśli zmusisz ją do wyjścia, dla ciebie będzie to oznaczać koniec. Tak więc siadaj z powrotem na krześle i zastanówmy się, co...

- Eugenio... - przerwał mu. Wiedział, że nie ma czasu na subtelności. Wiedział, że Ballesteros nie pozwoli mu tego zrobić i że cała dyskusja jest zbędna. - Masz trójkę dzieci, prawda? Są dorosłe, założyły rodziny, najstarszy syn oczekuje chyba twojego pierwszego wnuka... Owej nocy damy przywołały obraz twojej żony, żeby im grozić... To nie są zwykłe pogrozki. Saga potrzebuje mnie żywego, podobnie jak Raquel: dziewczyny, żeby zmusić ją do mówienia; mnie, ponieważ daję schronienie bezimiennej damie. W końcu nas wyeliminuje, ale może jeszcze nie teraz. Jednak ty i twoja rodzina jesteście jej całkowicie z b ę d n i. Kiedy zniszczy imago, rozprawi się z wami. I zapewniam cię, że to nie ty pójdiesz na pierwszy ogień. Może będzie to twój najstarszy syn. A może twoja córka. Prawdopodobnie poczeka, aż urodzi ci się wnuk... - Rulfo mówił monotonnym głosem, jakby

wymieniał serię niezbitych, lecz zarazem nieistotnych dowodów. - Tak więc pozwól mi zrobić to, co powinienem. Cokolwiek się stanie, i tak jestem już martwy. Moje życie dobiegło końca, ale twoje dzieci żyją i są szczęśliwe. Pomyśl o nich. - Ballesteros siedział bez ruchu, jak skamieniały. Rulfo ominął go i skierował się do łazienki. - W kuchni stoi puszka z białą farbą. Zawiadomcie mnie, kiedy krąg będzie gotowy.

Zamknął drzwi.

Nie zajęło im to dużo czasu. Odsunęli stół i krzesła, zrobili na środku miejsce i przenieśli do sypialni wszystkie tomiki poezji wybrane przez Raquel (Nie mogą znajdować się w jej pobliżu, powiedziała). Dziewczyna podjęła się wymalowania kręgu na parkiecie za pomocą stwardniałego starego pędzla.

Ballesteros przyglądał się jej w milczeniu, próbując nie myśleć o człowieku, który czekał w łazience. Słyszał monotony szum wody lejącej się do wanny: przypominał niekończący się odgłos bębnow. Zdawał sobie sprawę, że tchórzostwem jest pozwolić na takie barbarzyństwo. Cały buntował się na myśl, że godzi się na to, by Rulfo zrealizował swój zamiar, ale nie mógł zrobić nic, by temu zapobiec.

Jego dzieci. Ten drań miał rację. J e g o d z i e c i.

Znowu zobaczył przerażający obraz Julii naigrawającej się ze wszystkiego, co uważał za święte: z jego cierpienia i jego wspomnień... Niewątpliwie - były czarownicami czy nie - należało coś zrobić, odpowiedzieć ciosem na cios, zniszczyć je. Wściekłość, jaka go ogarniała, nie pozwoliła mu powstrzymać Rulfa, ale nigdy w życiu nie podejmował równie trudnej decyzji.

Dziewczyna pokryła linie nową warstwą. Najważniejsze to nie pozostawić przerw, powiedziała. Następnie wstała i popatrzyła na Ballesterosa. Miał wrażenie, że dostrzega w jej oczach tę samą ślepa desperację, którą widział w oczach Rulfa. Nagle zrozumiał, jaka przepaść dzieliła go od nich: oni walczyli, żeby umrzeć; on, żeby nadal żyć. Stracili to, co kochali najbardziej. Nie obchodzi ich, co się stanie. Ale nie chcą zrezygnować, chcą ukąsić po raz ostatni.

- Prosił, żeby go zawiadomić - mruknęła i Ballesteros zobaczył, jak kieruje się w stronę łazienki.

Zastanawiał się, czy będzie to przypominać podróżowanie. Może śmierć jest tylko rodzajem migracji, w rodzaju tej bocianiej. Rozejrzał się i nagle zdało mu się, że wszystko wokół zmienia się w sanktuarium: mydelniczka, biała glazura, plastikowa zasłona, obrazek z

arlekinami, arabeski światła na wodzie... Rzeczy w przedziwny sposób nabierały cech nieśmiertelności, w miarę jak on tracił swoją.

Było to żalosne miejsce na żalną śmierć, ale uważał, że Ballesteros miał rację, stwierdzając kiedyś, że żadna śmierć nie jest romantyczna. Sądził poza tym, że ta właśnie sceneria - wanna - była dobrą formą na odplacenie jej pięknym za nadobne: oszukała go, zabijając w niej swoje ciało, on zmusi ją do powrotu do życia w takim samym miejscu.

Tuż nad odsłoniętym nadgarstkiem trzymał ostry brzeg żyletki wyjętej z maszynki. Siedział w ubraniu w niewielkiej wannie napełnionej po brzegi wodą, kuląc nogi. Zapalił papierosa. Miał zamglone oczy, jakby mu zmętniały źrenice.

Jednego był pewny. To będzie niezła zabawa: zabić ją, zabijając siebie.

Pozostałe damy, łącznie z Sagą, zniszczyły jego teraźniejszość i przyszłość, ale istota, która zajęła ciało Beatriz Dagger i wtargnęła do jego domu w czasie tamtego przyjęcia (winę za wszystko ponosi Kupidyn, jestem koleżanką koleżanki jednego z twoich), podarła na strzępy jego przeszłość (kiepsko wyglądasz, niedługo wrócę, jestem znajomą znajomej jednego z twoich). I Rulfo doszedł do niezwykłego wniosku: był jedynie przeszłością. Nie było w nim już nic, nic go już nie czekało, miał tylko to, co b y ł o kiedyś. Może wszystkie ludzkie istoty są takie same. Posiada się tylko to, co już się p o s i a d ł o: jeśli zostanie ci to odebrane, przestajesz istnieć. I za to mi zapłacisz. Zmuszę cię do tego, o ile potrafię.

Zacisnął zęby i przyłożył ostrze żyletki do błękitnej, pulsującej nitki.

W tym momencie, niby jakieś swoiste objawienie, dotarło do niego, jaki jest dzień. Tego listopadowego wieczoru mijały dokładnie cztery lata, od kiedy zobaczył Beatriz po raz pierwszy, i dokładnie dwa lata od jej śmierci.

Najwyższa pora, żebyś znalazła sobie nową norę.

Zamknął oczy.

Oczy Raquel lśniły w ciemnościach jadalni jak drogocenne kamienie.

- Co teraz? - spytał Ballesteros.

- Poczekamy chwilę, a potem po nią pójdziemy. Jeśli zdołamy zamknąć ją w kręgu, nie uda się jej uciec.

Ballesteros nie do końca rozumiał zwrot „pójdziemy po nią”. Po kogo? Co lub kto miał się „pojawić” w łazience?

- Może nas zaskoczyć w nieprzyjemny sposób - ostrzegła dziewczyna. - Staje się niebezpieczna, kiedy jest bezsilna... Będzie się nam próbowała wymknąć, a kiedy się przekona, że nie jest w stanie tego zrobić, ogarnie ją szal... Będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Ballesteros skinął potakująco głową, ale jego niepokój rósł. Nie podobała mu się głęboka cisza, która spowiła całe mieszkanie. Nagle przeszła go straszna myśl. A jeśli się pomylili? Jeśli to wszystko nieprawda? Jeśli Rulfo i Raquel oszaleli, będzie odpowiedzialny za samobójstwo chorego umysłowo człowieka. Co spodziewali się zobaczyć po wejściu do łazienki? Myśląc o tym wszystkim, stracił niemal panowanie nad sobą. Spojrzał na dziewczynę, jakby błagał o pomoc.

W tym momencie usłyszeli donośne odgłosy uderzeń i chlupot wody. Raquel gwałtownie poderwała się na nogi.

- Już - powiedziała.

wyjdź

Rulfo wiedział, że umiera.

Wanna rozdymała się jak balon, jak kauczuk poddany rosącemu ciśnieniu pompy tłoczącej powietrze. Siedząc w niej (ofiarnie, szkarłatne ręce trwoniące życie), obserwował własny cień wznoszący się ponad krwią: mętny parasol meduzy, tiul leżącej primabaleriny. Nagle cień, z bezgłówną inercją płastugi na dnie morza, oderwał się od zakrwawionej powierzchni i zajrzał mu w oczy. Wiedział, że to śmierć: własny cień zagładający w oczy.

Pomyślał o swoich rodzicach i siostrach. Nie spodziewał się spotkać ich po drugiej stronie.

wyjdź stąd

Ballesteros nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Wykrwawiony, martwy Rulfo leżał w wannie. Ale woda wokół niego poruszała się, burzyła, obryzgując wszystko dookoła, jakby jakieś duże zwierzę szamotało się w środku.

- Jest tam - wyszeptała dziewczyna.

- Wyjdź stąd.

Jak na rozkaz to c o ś uspokoiło się. Zwłoki Rulfa kołysały się bezwładnie, jakby przyczajone w pobliżu polującego rekina. Raquel podeszła do wanny, a wtedy szamotanina rozpełtała się na nowo, woda pryskała na wszystkie strony. Nie odsunęła się jednak, mimo że włosy i ubranie przemokły jej w jednej chwili: powtórzyła rozkaz, dając znaki Ballesterosowi, żeby się zbliżył.

Ballesteros usiłował zmusić własne ciało do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Paraliżowała go sama myśl, że musi zajrzeć do wanny. Ale zanim zdołał zrobić pierwszy krok, zobaczył coś, co przyprawiło go niemal o pomieszenie zmysłów. Coś na kształt giętkiej, czarnej, lśniącej rury grubości męskiego uda wynurzyło się z wanny i wyskoczyło na posadzkę, chlapiąc wodą przy każdym skurczu. Pomyślał z przerażeniem, że to największy i najbardziej odrażający wąż, jakiego kiedykolwiek widział. Pewności jednak nie miał: wszystko działo się bardzo szybko.

- Pomóż mi! - krzyknęła Raquel i rzuciła się na monstrum, przytrzymując je z jednej strony.

Przewyciężając mdłości, Ballesteros chwycił oślizgły, szamocący się koniec bestii. Drgała w jego dłoniach jak młot pneumatyczny. Musiał zebrać wszystkie siły, żeby jej nie wypuścić. Nie była jednak wężem. Wyglądała raczej na rybę, może murenę lub potężnego, czarnego węgorza. Albo nie: należała raczej do rodziny kotów. Jej skóra była aksamitna i sprężysta, miała też kończyny, mięśnie i kostne wypustki.

Wyszli z łazienki z tym rozszalałym ładunkiem w rękach.

- Do kręgu! - krzyknęła Raquel.

Kiedy zrzucili go na podłogę, Ballesteros zrozumiał, jak bardzo się mylił: to, co uznał za gruby ogon jakiejś anakondy, okazało się nogami; domniemane łapy czworonoga dłońmi i stopami; pysk drapieżnika ludzką twarzą; a kocia sierść czarnymi, potarganymi włosami...

Kiedy się obudził, lekarz mierzył mu puls.

- Jak się czujesz?

Rulfo, zdeorientowany, podniósł głowę, nie odpowiadając. Rozpoznał własną sypialnię, otwarte drzwi do łazienki i jakieś zdjęcie za rozbitym szkłem leżące na krześle. I przypomniał sobie wszystko. Mokre ubranie przyklejało mu się do ciała. Uniósł dłonie. Ociekały krwią i wodą, ale nie zauważył najmniejszego śladu po nacięciach na przegubach.

Raquel stała po drugiej stronie łóżka.

- Nie pozwoliła ci umrzeć - oznajmiła. - Zanim wyszła, zamknęła rany, utrzymała cię przy życiu. Nie chce jeszcze stracić swojej osłony - dodała ironicznie.

Wtedy zadał najważniejsze pytanie. W odpowiedzi jego przyjaciele spojrzeli w kierunku jadalni.

Z walącym w oszalałym rytmie sercem uniósł się i na chwiejnych nogach opuścił łóżko. Zlekceważył słowa Ballesterosa, który radził mu, żeby odpoczął nieco dłużej. Nikt i nic nie przeszkodzi mu zrobić tego, co zamierzał. Nikt i nic nie powstrzyma go w tym

momencie.

Chciał ją zobaczyć.

Otworzył drzwi i zajrzał do jadalni.

- Witaj, Salomonie.

Siedziała na podłodze w kałuży wody, wewnątrz wymalowanego na biało kręgu, obejmując ramionami kolana, przemoczona nie mniej niż on, z włosami przylepionymi do czoła, kreślącymi na jej policzkach tatuaże. Była całkiem naga, jej skóra miała delikatny niebieskawy odcień, jakby przez długi czas przebywała w chłodni. Na uśmiechniętej twarzy malował się lekki odcień pogardy, którego Rulfo nigdy wcześniej nie zauważył.

Jednak nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to była

ona,

a on, widząc ją, po raz pierwszy w życiu poczuł, że znalazł się w piekle.

Potem zrozumiał, że zjawia ta również była tylko złudzeniem, ulotną wizją. Damy mogły być wilkami, gepardami, węzami lub sowami. Nie posiadały wyłącznie jednej postaci, były tym, czym stworzyła je poezja, czymś, co zamieszkiwało w szczelinach języka, w głębi logogryfów. Dama z numerem trzynastym poznała go i wybrała, Bóg jeden wie dlaczego, żeby uwić sobie gniazdko w jego wnętrzu. Jak powiedziała Raquel, nie istniały żadne osobiste pobudki: to był zwykły przypadek.

Ballesteros i Raquel weszli do jadalni i usiedli na krzesłach na zewnątrz kręgu. Rulfo nadal stał. Istota skulona wewnątrz kręgu patrzyła na niego z uśmiechem.

Raquel odezwała się, nie podnosząc głosu.

- Zmusiliśmy cię do wyjścia. Wyjawisz nam, kiedy odbędzie się następne spotkanie. I musisz zapewnić nam akces.

Dama wydawała się nie słuchać. Nadal patrzyła na Rulfa.

- Rozczarowany? - spytała chrapliwym głosem.

- Nie. Teraz już nie. Beatriz była pięknym kłamstwem. Ty jesteś jedynie odpychającą prawdą. Nie jestem rozczarowany.

- To niewiarygodne. - Otworzyła szeroko zielone oczy. - Nadal mnie kochasz.

- Powiedz, kiedy się ponownie spotykacie - powtórzyła Raquel stanowczo.

Beatriz odwróciła gwałtownie głowę, jakby rozmowa z osobą, którą była zainteresowana, została nagle przerwana przez nieproszonego gościa.

- Witaj, Raquel. Do twarzy ci w tym wcieleniu obcej.
- Kiedy spotykacie się ponownie?
- Gdzie jest twój malec, Raquel?
- Kiedy spotykacie się ponownie?
- Twój synek przesyła ci pozdrowienia. Chcesz go zobaczyć?

Zapadła cisza, ale nie była ona doskonała: kobieta lub cokolwiek, czym było to coś skulone w kręgu, wydawała, z przerwami, wyraźny pomruk chorej kocicy, jakby powietrze przechodziło przez jej gardło z warkotem. Nieoczekiwanie Raquel zwróciła się do Rulfa:

- Pisałeś kiedyś wiersze, których inspiracją była Beatriz?
- Tylko jeden. Kiedy umarła.
- Mógłbyś go odszukać?
- Znam go na pamięć.
- Ile ma wersów?
- Czternaście.
- Wyrecytuj cztery pierwsze.

Wydawało się, że jej nie słyszy, wciąż wpatrzony uważnie w twarz Beatriz. Dama nie przestawała się uśmiechać, ale teraz wyglądała tak, jakby znalazła się w potrzasku i nie wiedziała, co z nią zrobić.

- Salomonie...?
- Tak?
- Powiedz cztery pierwsze wersy, proszę.

Odetchnął głęboko i poszukał ich w pamięci. Nie musiał się specjalnie wysilać. Powtarzane i przypomniane wielokrotnie słowa wypłynęły na usta posłusznie jak łyż. Z początku jego głos wyraźnie drżał, z każdą chwilą stawał się jednak coraz bardziej stanowczy.

Wyrzeknij się brzasków

Zapomnij o snach

Spójrz na siebie rozświetloną

Słońcem swojej obecności.

Pod koniec trzeciego wersu uśmiech Beatriz rozplynał się. Przy czwartym odchyliła się do tyłu i zaczęła oddychać ciężko, przerywanie. Z jej ust wystrzeliło coś, co przypominało rozszczepiony język, fioletowe żądło żmii, siną wstążkę zaostrzoną jak czubek bata. Przez jedną krótką chwilę jej mina przypominała Rulfowi wyraz twarzy, jaki przybierała, kiedy się

kochali. Odwrócił wzrok z przerażeniem, z odrazą ocierając łzy wierzchem dłoni.

- Skutkuje - powiedziała Raquel. - Związana jest z tobą tymi wersami. Kiedy się ponownie spotykacie? - powtórzyła.

Dama numer trzynastie patrzyła na nich. Na brzegu jej powiek zbierała się krew.

- Twoje dni są policzone, Raquel. - Jej głos przypominał szelest suchych liści.

- Odpowiedz.

- Ta informacja na nic ci się nie przyda. Nawet mając akces, nie będziesz w stanie nic zrobić.

- Zadeklamuj kolejne cztery wersy, Salomonie.

Jego głos brzmiał teraz dużo mocniej.

Twoje piękne czarne włosy

Twoje słodkie zielone spojrzenie

Twoja postać zatraciła się

Na dnię wspomnienia.

Na twarz należącą kiedyś do Beatriz Dagger wypłynęły dezorientacja i strach. Obejmowała ciało ramionami, kołysząc się w przód i w tył. Sprawiała wrażenie, jakby ją coś bolało. I w mgnieniu oka zeszczuplała: na jej plecach zarysował się ślad kręgow i żeber, jakby skóra spłynęła z niej jak morze w czasie odpływu.

- Boże mój - wyszeptał Ballesteros.

- Powiedz, kiedy i gdzie się zbieracie.

- Za cztery noce... - Dama drżała, ale znowu była uśmiechnięta. - Zbyt szybko jak dla ciebie, prawda, Raquel?

Dziewczyna spojrzała na obu mężczyzn, porażona tą wiadomością, lecz do nich odpowiedź jeszcze nie dotarła: przyglądali się jak zahipnotyzowani tej wychudzonej, sinawej zjawie o mokrych włosach, skulonej na podłodze.

- Gdzie odbędzie się zebranie?

- Przecież wiesz, nie muszę ci mówić.

- Mamy akces?

- Macie. Ale będziesz tego żałować. - Odwróciła wymizerowaną twarz w stronę Rulfa.

- Prowadzi was ku śmierci.

- Mylisz się - odpowiedział. - Śmierć już j e s t w nas.

Przeszli do kuchni, żeby porozmawiać. Raquel zapewniła, że nie muszą się obawiać: Beatriz nie wyrwie się z kręgu.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Patrzyli w sufit, w ścianę lub sobie nawzajem w oczy. Byli wyczerpani fizycznie i psychicznie; tylko dziewczyna, jak się wydawało, zachowała resztki sił, choć straciła dużo ze swojego wcześniejszego zapалу.

- Cztery doby - wyszeptała. - Załedwie cztery doby. Saga musi coś podejrzewać i dlatego przyspieszyła termin zebrania. W wyjątkowych przypadkach wolno jej to zrobić.

Słowa te nie wywarły większego wrażenia na mężczyznach.

- Co teraz? - spytał Ballesteros.

- Musimy ją wyrzucić.

Usłyszeli głośny suchy trzask. Uspokoila ich.

- Jest zdenerwowana, ale nie zdoła się uwolnić.

Ballesteros odetchnął głęboko i spojrział na Rulfa, który wyglądał na najbardziej załamane. Lekarz doskonale znał ten wyraz twarzy: widział go u nieskończonej liczby ofiar tragicznych wypadków i pacjentów cierpiących na nieuleczalne choroby. Miał przed sobą typowe oblicze kogoś, kto stracił coś najważniejszego, czego nie da się już odzyskać. Rulfo stał ze splecionymi dłońmi i wzrokiem utkwionym w podłogę. Nagle podniósł oczy.

- W jaki sposób ją wyrzucimy?

- To zależy od ciebie. Może wrócić do twojego wnętrza albo odejść na zawsze. Jeśli odejdziesz, znajdzie nowe lokum. Zdobyliśmy to, co chcieliśmy: umożliwiła nam akces. To tak, jakbyśmy mieli zapasowy klucz. Nie jest nam już potrzebna.

Rulfo przytaknął.

- W jaki sposób mogę ją wyrzucić?

- Powiedz jej, żeby odeszła. Jeśli się sprzeciwi, wyrecytuj ostatnie wersy ułożone dla Beatriz.

- Nie pamiętam już nawet tych, które recytowałem wcześniej...

- Kolejne również zapomnisz. Wyrzucając je ze swoich ust, wyrzucisz i ją.

Rulfo przytaknął ponownie. Przez chwilę nic innego nie robił: poruszał tylko głowę z aprobatą, nie odzywając się, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Następnie wstał, wziął butelkę whisky i nalał sobie solidną porcję. Ballesteros poprosił go o odrobinę. W tym momencie zdecydowałby się na każdą używkę.

- Zgoda. - Rulfo wyszedł z kuchni.

Dama nadal siedziała w kręgu, oświetlona jedynie lampą stojącą w rogu jadalni. Jej

chudość przybrała zatrważającą formę: brzuch stał się jedną wielką, twardą zapadliną, nad którą wznosiło się kasetonowe sklepienie jej żeber, piersi wisały jak suche wymiona; srom był bezkrwawą raną, starym, bladym nacięciem pod wzgórkiem łonowym. Mimo to napięta skóra czaszki nadal kreśliła młodzieńcze, dokładne zarysy twarzy Beatriz Dagger. Rulfowi przypominała karykaturę dziewczyny narysowaną przez jakiegoś szaleńca.

Spojrzała na niego.

- Dałam ci niejedną powód do życia, Salomonie.

- Odebrałaś mi wszystkie.

- W takim razie zabij się. Jednego kłopotu mniej.

- Zrobię to, ale zacznę od ciebie.

- Czy ta zdradziecka ladacznica niczego ci nie wyjaśniła...? Jeśli wrócę do ciebie, wszystko będzie jak dawniej. Zapomnisz te chwile i stanę się na powrót wspomnieniem Beatriz. Będziesz mógł mnie opłakiwać i o mnie śnić. Nie sądzisz, że to lepsze niż zostać samemu? Jeśli mnie przyjmiesz, znowu u w i e r z y s z w B e a t r i z. Jeśli mnie wyrzucisz, utracisz mnie na zawsze. Decyzja należy do ciebie. Sam to powiedziałeś. Jeśli wrócę do ciebie, znowu będę twoim pięknym kłamstwem. W przeciwnym razie pozostanę tylko odpychającą prawdą. I powiem ci, co wolisz, Salomonie... Jesteś poetą, a poeci zawsze przedłożą kłamstwo nad prawdę, pod warunkiem że będzie od niej piękniejsze. Przyjmij mnie, a znowu będziesz zakochany. Przyjmij mnie, a Beatriz stanie się twoim aniołem: będzie się uśmiechać do ciebie w snach, rozmawiać z tobą poprzez wspomnienia, nada sens twojemu cierpieniu, natchnie nadzieją twoje życie. Mężczyźni pragną być oszukiwani. Przyjmij mnie, Salomonie Rulfo, jesteś przecież poetą.

Słuchając damy numer trzystaście, Rulfo zrozumiał nagle wszystko.

To był prawdziwy cel jego z s t ą p i e n i a.

Doświadczył piekła horroru i ciemności jedynie po to, żeby znaleźć się właśnie tu, w tym głębokim, lodowatym lochu: poza nim była tylko pustka lub powrót do poprzedniego życia. To tak, jakby wybierać pomiędzy pustynią przyszłości i soczystą dżunglą przeszłości. Miał wrażenie, że wokół tej decyzji oscyluje cała jego egzystencja.

Przez kilka sekund Rulfo i dama numer trzystaście wpatrywali się w siebie.

Wiedział, że miała rację. Nie można żyć bez marzeń. Jeśli straci Beatriz, straci coś więcej niż życie, które mu jeszcze pozostało: straci również to, które zdążył już przeżyć. Żadna ludzka istota nie byłaby w stanie temu podołać. Nikt nie jest zdolny pogodzić się z unicestwieniem m i n i o n e g o szczęścia, zwłaszcza jeśli istnieje możliwość, żeby je zachować.

Miała rację, niewątpliwie, i właśnie dlatego był przekonany, że decyzja zapadła. Ponieważ istnieją sprawy, których nie należy zgłębiać. A mimo to są najważniejsze ze wszystkich. Cyklon. Poemat. Zemsta.

Wytrzymał spojrzenie damy, słodkie spojrzenie Beatriz oprawione w budzące grozę kości czaszki.

- Dokonałem już wyboru.

Nie przestawała się uśmiechać, lecz nie był to świadomy uśmiech, ukształtowany przez kąciki ust, a jedynie fałszywy półksiężyc z kości słoniowej, żółtawej masy oprawionej w dziąsła.

- Poza mną istnieje tylko cisza, Rulfo - ostrzegła złowieszczo. - Jestem ostatnim wersem. Po nim jest już tylko cisza.

- Wiem. Ale p r a g n ę tej ciszy. Odejdź.

- Mylisz się. Potrafię cię o tym przekonać...

Rulfo nie pozwolił jej mówić dalej. Wyrecytował kolejną strofę, patrząc w oczy, które kiedyś należały do Beatriz Dagger:

Kochałem cię, być może zbyt mocno

Teraz jedynie twoje odbicie

Przynosi mi pociechę pośród czarnej nocy.

Dama zaczęła się kurczyć, jakby została zrobiona z topniejącego lodu. Struktura kostna traciła objętość, marszczyła się jak papier. Szyja wyglądała jak cienki trzonek; ręce przypominały ramiona krzyża; nogi - odnóża jakiegoś insekta; szczęka wyskoczyła ze stawów, a usta otworzyły się jak pusty grób. Ocalały tylko oczy, dwie swobodne krople wody w zagłębieniach oczodołów. Zielone oczy Beatriz Dagger patrzyły na Rulfa nieruchomo, pogrążone w zamęcie rozpuszczającego się ciała.

- Nie wiesz, czym jest cisza, Salomonie... Wszystko jest lepsze niż to...

- Nie ty.

- Salomonie...

- Odejdź z mojego życia.

- Salomonie... Proszę...

Rulfo zapomniał już prawie cały poemat, ale pamiętał jeszcze końcową strofę, ostatnie trzy wersy. Wyrecytował dwa.

*Pękniętym wspomnieniem jesteś,
Snem, który musi odejść.*

Dama zamilkła. Jej ciało było już tylko strzępami form, lecz oczy nadal błyszczały jak szmaragdy w delikatnej, ulotnej mgle.

Zebrał się w sobie i wyrecytował ostatni wers.

Życ to zapomnieć.

Za jego plecami poryw wiatru otworzył okna, firanki zafalowały. Pod wpływem uderzenia powietrza zafalowało również spojrzenie Beatriz. Nagle przez jej zielone źrenice, na półkach tuż za nią, Rulfo dostrzegł tomiki poezji.

Chwilę potem
widział już tylko
książki.

Trzy dni. Zostały tylko trzy dni. Jeśli dama nie kłamała (a nie mogła tego uczynić, jak twierdziła Raquel), zebranie grupy odbędzie się w sobotę o dwunastej w nocy. Siedemdziesiąt dwie godziny na zaplanowanie wszystkiego. Ballesteros nie uważał, żeby był przygotowany, ale nie wiedział ani co robić, ani na czym miałyby polegać owo „przygotowanie”.

Szybko przekonał się, że znosi to wszystko najgorzej z całej trójki. Rulfo wykazywał konsekwentną, całkowitą obojętność, za którą nikt, a już na pewno nie Ballesteros, nie mógłby go obwiniać: przez cały czas leżał lub siedział, mówił niewiele, a słuchał jeszcze rzadziej. Dziewczyna natomiast zamknęła się w gabinecie i przeglądała tomiki poezji. Ballesteros pomyślał, że przynajmniej znalazła sobie jakieś sensowne zajęcie. A on? Co powinien zrobić?

Kompletnie roztrzęsiony, poszedł na poddasze, wyjął klucz od schowka i otworzył go. Od razu znalazł strzelbę i naboje, pokryte kurzem, ale opakowane właściwie i leżące na tym samym miejscu co zwykle. Jego ojciec był zapalonym myśliwym i kiedy Julia jeszcze żyła, Ballesteros często szedł w jego ślady i wykorzystywał sezon na kuropatwy, żeby wytrzebić nieprzydatne sztuki... Smutne, małe agonie przywołujące rodzinne wspomnienia. Potem wszystko się skończyło. Ale oto znowu trzymał w ręku ten podługowaty, zimny metal i sam fakt dotykania, łamania go i zagładania w puste oczy lufy sprawił, że poczuł się lepiej; był nawet nieco podniecony. Nigdy się nie spodziewał, że możliwość zastrzelenia kogoś dostarczy mu takich emocji, chociaż wątpił, czy stwory w rodzaju tego, który wyszedł z wanny Rulfa, można by określić mianem „kogoś”.

Wrócił do mieszkania ze złamaną strzelbą i paczką naboju w ręce. W przedpokoju natknął się na Rulfa. Zauważył, że kieruje milczące spojrzenie na broń, i poczuł gwałtowną potrzebę, żeby się przed nim usprawiedliwić.

- Może to głupie. I nic nie da - powiedział. - Ale albo coś zrobię, albo oszaleję.

- Możemy porozmawiać? - spytał Rulfo.

- Oczywiście.

Weszli do jadalni i zamknęli drzwi. Nagle, kiedy usiedli naprzeciw siebie, Ballesteros poczuł się śmiesznie ze strzelbą w ręku. Ostrożnie odłożył ją na stół. Rulfo zapalił papierosa.

- Eugenio... - powiedział ze spokojem po chwili ciszy. - Wytrwałeś z nami do dziś. Bardzo nam pomogłeś. Bez ciebie nic byśmy nie zrobili. Niemniej uważam, że od tego momentu powinniśmy kontynuować to sami. Ta sprawa dotyczy wyłącznie Raquel i mnie. Kilka dni temu myślałem inaczej. Sądziłem, że zostałem zaproszony na przyjęcie, z którym nie miałem nic wspólnego. Sądziłem, że Akelos zwróciła się do mnie po pomoc, tak jak do ciebie, przez czysty przypadek... Potem dowiedziałem się, że tak nie jest. Byłem osłoną. Problem ten dotyczy mnie w takim samym stopniu jak Raquel. Poza tym zamordowały dwoje moich przyjaciół, zadając im okrutne tortury.

- Dwoje...? - wyszeptał Ballesteros, który pamiętał tylko Susanę.

Rulfo przytaknął w milczeniu.

- Właśnie podali w wiadomościach. Mansarda Cesara spłonęła. Ewakuowano mieszkańców budynku. Jest wielu rannych, a jedynymi ofiarami śmiertelnymi są Susana i on. Wszystko mi jedno, czy była to iskra z kominka, czy zrobiły to własnymi rękami. Prawda jest taka, że ich zabiły. Nie zostawiają świadków. - Umilkł i zaciągnął się papierosem, wypuszczając dym powolnymi smużkami. - Ciebie ta sprawa nie dotyczy. Masz co chronić. Odejdź stąd. Twoja córka mieszka w Londynie, prawda? Spakuj się więc i jedź do niej. Powiesz zapewne, że to na nic się nie zda, ale przynajmniej spróbuj. Jeśli zostaniesz, będzie dużo gorzej. Kiedyś proponowałem to samo Cesarowi i Susanie, lecz mnie nie posłuchali. Nie chcę przeżywać tego jeszcze raz.

Ballesteros przyglądał się jego napiętej poblądłej twarzy. Jest pusty w środku. Nie boi się śmierci. Jedyne, co mu pozostało, to martwić się o innych.

- Przegramy? - spytał.

- Spójrz na to tak: mamy jedną szansę na milion. I nawet jeśli zaszkodzimy jednej z nich, Sadze na przykład, pozostaną inne. Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli w sobotnią noc uda nam się uciec. Pomyśl jednak, jak będzie wyglądało nasze dalsze życie.

- Co się dzieje? - Ballesterosa przeszył dreszcz. Mimo to postanowił się uśmiechnąć. - Znowu się gdzieś zapodział Salomón Rulfo entuzjasta i zastąpił go sceptyk? Przypominam ci, że zmusiliśmy kluczową figurę, decydującą o słabości grupy, do wyjścia. Czy nie tak twierdziłeś? I mamy dla nich niespodziankę. Być może w sobotę najemy się strachu, ale one najedzą się go podwójnie. - Wskazał na strzelbę. - Z obu rur.

- Tydzień temu mówiłeś, że musiałem oszaleć, skoro rwę się do walki. A teraz?

- Tydzień temu nie widziałem jeszcze tego, co zobaczyłem potem. Kiedy wspominam

postać grożącej mi Julii, dostaję szału. Pokój mojej córki nadal skąpany jest we krwi. I nadal czuję między palcami tę odrażającą rzecz, którą wyciągnęliśmy z wanny, a która potem przemówiła i wyglądała jak kobieta. Boję się, Salomonie, bardziej niż kiedykolwiek w swoim życiu, nie wyłączając tego dnia w samochodzie, kiedy Julia patrzyła na mnie, leżąc w moich ramionach... Ale odkryłem, że strach czyni mnie niebezpiecznym.

- Niebezpiecznym dla kogo?

Przez chwilę Ballesteros patrzył na niego bez słowa.

- Nie wiem, może dla mnie samego. Wiem jednak, że teraz was nie opuszczę. Uważasz, że mnie to nie dotyczy... Mylisz się. Mój ojciec mawiał, że są sprawy, które zdarzają się tylko nielicznym, ale dotyczą wszystkich i wszyscy powinni na nie reagować.

Rulfo uśmiechnął się nieporadnie.

- Strach nie uczynił cię niebezpiecznym, uczynił cię poetą.

- Właśnie. Poetą. I tym samym kimś n i e b e z p i e c z n y m.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Rulfo powielił własny uśmiech.

- Jesteś najlepszym człowiekiem pod słońcem... albo najgłupszym.

- W takim razie jest nas dwóch. Wypijmy za to. - Ballesteros nalał do szklanek whisky.

- Rób, co chcesz - powiedział Rulfo - tylko nie polegaj na swojej strzelbie. Jedyna osoba, która może nam pomóc, jedyna, która może zrobić cokolwiek, siedzi teraz w gabinecie, czytając wiersze i usiłując przypomnieć sobie, w jaki sposób należy je recytować. Jeśli jej się nie uda, żadna strzelba na nic się nie zda... Cokolwiek byśmy zrobili.

- Uwielbiam takich ludzi jak ty: optymistycznych i pełnych nadziei - odpowiedział Ballesteros i wzniosł szklankę. - Wypijmy za Raquel. Wierzę, że jej się uda. Musi jej się udać.

Wiersz to las pełen pułapek.

Przebiegasz strofy, nie wiedząc, że jeden wers, jeden jedyny (choć wystarczający), ostrzy pazury, żeby cię usidlić. Nie ma znaczenia, czy jest piękny czy nie, czy posiada wartość literacką, czy też całkowicie jest jej pozbawiony: czatuje na ciebie, przesycony trucizną, migoczący i śmiertelny, pokryty łuskami berylu.

Dziewczyna spędzała całe godziny, próbując wyłapać jeden z takich przykładów. Wiedziała, że to praktycznie niemożliwe, żeby w tak krótkim czasie mogła się nauczyć czegoś naprawdę śmiertelnego, ale zwycięstwo odniesione nad damą numer trzystaście nappełniło ją nową nadzieją.

Teraz sunęła palcem, dotykała, przerzucała kartki książek, szukając jakiejś iskry

pośród ciemności druku. Władcze słowa musiały tkwić wśród pozostałych jak żyła w skale. Niezbędna była żmudna praca górnika, żeby je wydobyć i oddzielić całkowicie od ich zewnętrznego blichtru. Jakikolwiek błąd (zlekceważenie jednego słowa, dodanie drugiego) mógł spowodować, że staną się nieprzydatne.

Szybko ustaliła priorytety. Grecy i rzymscy klasycy byli mocni, ale zdecydowała, że nie może polegać na swojej umiejętności czytania w tych językach. Szekspir byłby nadużyciem: posługując się nim bez doświadczenia, narażała się na niebezpieczeństwo wysadzenia wszystkiego w powietrze. Niektóre tercyny Dantego posiadały niewątpliwie wystarczającą moc, żeby zrównać z ziemią *coven*, ale bała się, że nie wypowie ich z dostateczną maestrią. Jeśli chodzi o Milтона, damy - jak choćby Herberia - stosowały go, by szerzyć zniszczenie, ale tylko za pomocą filakterii. Trudno było walczyć z pomocą Milтона.

Potrzebny był jej poemat przynoszący skutek natychmiastowy, którego recytacja nie przedstawiałaby większych trudności. Zrozumiała, że nie może go wybrać spośród tych najbardziej skomplikowanych.

Była środa w nocy, choć zegar w gabinecie Ballesterosa pokazywał, że w rzeczywistości to już czwartek rano. Miała do dyspozycji siedemdziesiąt dwie godziny. Potarła powieki: czuła się wykończona. Litery zatańczyły jej przed oczami.

Szansę. Daj mi szansę, a może cię zaskoczę, Sago.

Zamknęła dzieło Ezry Pounda i sięgnęła po wybór poezji Dámaso Alonsa.

Przeglądała uważnie strony, pochyłona nad tekstem oświetlonym bezlitośnie przez lampę. Nie zastanawiała się nad pięknem słów, czystością strof, wagą poematów czy ich ewentualnym znaczeniem. Nie to próbowała wychwycić. Szukała wersu, który by ją z r a n i ł. Poszukiwała jednego słowa, które zawierałoby w sobie błysk noża, ostrość brzytwy, twardość diamentu. Chciała znaleźć sztylet, żeby zagłębić go w sercu Sagi. Przetraszała tomiki poezji w poszukiwaniu srebrnej kuli, jakiejś linijki, którą mogłaby załadować magazynek swoich ust i strzelić Sadze prosto między oczy.

To były krótkie wiersze. Przeczytała *Nowe zwycięstwo*, a potem *Wiatr sjęsty* i *Elementarny*. Zatrzymała się nad tym ostatnim.

*Wiatrem i wodą miał chleb,
wiatrem i wodą.*

Zgniotła stronę palcami. Oddychała ciężko. Szarpnęła kartkę, niemal ją wrywając.

To były nadzwyczaj proste słowa. Przeczytała je ponownie.

*Wiatrem i wodą mielą chleb,
wiatrem i wodą.*

Wiedziała. Tego szukała. To mogła być jej broń.

Ten dwuwiersz był stalowym nożem, którym nawet niedoświadczone gardła mogły się z łatwością posłużyć. Jedynym nożem, ale nawet jeden nóż mógł zabić. Sekret polegał na aliteracji trzech słów zawierających samogłoski „a” i „ą”: *wiatrem, wodą i mielą*. Oddzielony od nich *chleb* musiałby wypłynąć jak najkrótszy krzyk. Nie wiedziała, jaki mógł być ostateczny skutek tych wersów, lecz uznała, że nawet ona w czasie, jaki jej pozostał, będzie w stanie zamienić je w ostrze.

Kiedy opuściła pokój, była blada, oczy miała podkrążone.

- Chcesz kawy? - zaproponował Rulfo. Pokręciła przecząco głową. - Musisz się czegoś napić.

- I odpocząć - wtrącił Ballesteros.

- Nic mi nie jest. - Wpatrywała się w nich w skupieniu. - Mamy szansę. - Obaj mężczyźni patrzyli na nią z uwagą. - Znalazłam prosty wiersz. Sądzę, że nawet ja potrafię się nim posłużyć. Choć to jak rzucanie się do walki ze szpilką w ręku przeciw potędze grupy. Mam tego świadomość, ale dama numer trzysta umożliwiła nam akces: będą bezbronne. Jeśli uda mi się to dobrze rozegrać... i szpilka może je zranić...

- Rozumiem... - powiedział w zamyśleniu Ballesteros. - To tak, jakbyś mając do dyspozycji procę, odkryła, że możesz im zaszkodzić, jeśli trafisz w środek tarczy.

Przytaknęła.

- Czy istnieje możliwość, że zdołają temu zapobiec? - dopytywał się Rulfo.

Dziewczyna westchnęła głęboko, jakby spodziewała się tego pytania.

- Tylko jedna: jeśli odkryją nasz akces. Stosunkowo niewielka, ponieważ działaliśmy na własną rękę. Zmusiliśmy ostatnią damę do wyjścia. O ile pamiętam, nie ma wersów, które mogłyby je ostrzec, zaalarmować. Tak przynajmniej było *k i e d y ś*. Nie ma jednak dnia, żeby się nie pojawiły... w wielu językach... miliony nowych wierszy... Któraś z nich może się też nauczyć recytować w całkiem inny sposób jakiś stary wers...

- A jeśli to odkryją? - spytał Ballesteros.

- Wtedy nas uprzedzą... i szpilka pozostanie jedynie szpilką. Ale to mało prawdopodobne. Odkrycie akcesu jest *p r a w i e* niemożliwe.

Spojrzeni po sobie. Zapadła chwila ciszy, w której zawisły, jak echo, jej ostatnie słowa.

- Tak czy inaczej - powiedział Rulfo - nie mamy innego wyjścia.

Mademoiselle Jacqueline przebywała w dźwiękoszczelnym pokoju bez okien, wyłożonym zasłonami i dywanami, całym w kolorze cynobru: był to jej rapsodomus, komnata przeznaczona na recytację. Każda z dam posiadała przynajmniej jedno takie pomieszczenie. Służba nie mogła do niego wchodzić, nie wiedziała nawet o jego istnieniu. Znajdowało się w wydzielonej części domu, a filakterie wypisane na futrynie drzwi broniły wstępu nawet pozostałym damom.

Kłęcząca naga pośrodku ograniczonej przestrzeni, z ramionami rozkrzyżowanymi jak do modlitwy, z symbolem Sagi, małym złotym lusterkiem zwisającym z jej szczupłej szyi. Wokół niej, na niej samej, na jej białych udach i na dywanie była krew. Jej krew. Dwa długie grube gwoździe przewiercały jej kolana; Jacqueline - w szatańskiej wprost ekwilibryście - wspierała się na ich małych łebkach. Kolejne dwa ćwieki przesywały na wylot jej nadgarstki, wystając z nich na kilka centymetrów.

Nie czuła żadnej przyjemności. Wręcz przeciwnie: lodowaty, dojmujący ból szarpał jak kleszczami i stawał się tym bardziej nieznośny, im dłużej napierała ciałem na gwoździe. Jej wargi drżały, twarz spływała potem; serce i mózg, przytępione cierpieniem, bliskie były kapitulacji. Poza rapsodomusem nie odważyłaby się na tak wiele, to oczywiste. Ale tutaj, w środku, Jacqueline nie była Jacqueline. Była c z y m ś i n n y m. Tym, co mieszkało w jej oczach.

A to c o ś zmuszało ją czasem do bardzo nieprzyjemnych czynów.

Koniecznych jednak, przecież wiesz.

Żeby recytować władcze słowa, trzeba było czasem zastosować coś więcej niż tiulowy knebel, wyczerpujący taniec lub taki czy inny narkotyk. Odkryła, że wers wyemitowany w chwili przejmującego bólu może przynieść niespodziewane skutki. Głos był wspaniałym instrumentem: dawał się zabarwiać wszystkimi możliwymi stanami ducha. Nie brzmiał tak samo w zmęczeniu, radości, egzaltacji czy smutku. I nie brzmiał tak samo w wyrafinowanym bólu. Skoncentrowanie tego doznania w słowach oznaczało tysiąckrotne, a może nawet wielomilionowe wzmocnienie efektu. Okaleczeniem Jacqueline nie przejmowała się wcale, ponieważ właściwie dobrana filakteria nie pozostawi najmniejszego śladu po ranach, które jej zadała.

Teraz przygotowywała recytację sekretnego wersu Eliota.

Jej Eliot zabrzmiał jak nigdy przedtem, w rapsodomusie i w całym świecie.

Ciążyła jej myśl, że natura usłyszy słowa, których nigdy wcześniej nie wymawiano w ten sposób. Była tak zdenerwowana i podniecona owym faktem, że tylko bezwzględne tortury zadawane kolanom i nadgarstkom uniemożliwiały jej pełną koncentrację. Drżała na myśl o

tym, że odkryje nowe drogi, pozna nowe rzeczy, będzie pierwsza w dziele tworzenia i zniszczenia. Ten nowy Eliot był ostatnim krokiem, jaki postanowiła zrobić, żeby zapewnić sobie całkowity spokój.

Ponieważ, prawdę mówiąc, nadal była niespokojna.

Rytuał Ostatecznej Koniunkcji ma się odbyć następnej nocy. Po nim zdrajczyńi Akelos zostanie w końcu zniszczona. Tej przyjemności nikt jej nie pozbawi. Obróciła w perzynę jej fizyczną postać, kruche ciało Lidii Garetti, w trakcie długich godzin niezmordowanej rozkoszy. Tej nocy uczyni to samo z jej duchem. Nikt więcej nie usłyszy już o Akelos. Nikt nie będzie o niej wspominał. Nikt nie ośmieli się kwestionować decyzji Jacqueline. Nikt jej już nigdy nie zdradzi.

Pajęczyna przeznaczenia była jednak zawila. Kiedy dotykało się jednej nici, inna, na przeciwległym krańcu, poruszała się natychmiast.

- Po Ostatecznej Koniunkcji uspokoić się, pani - powiedziała jej Madoo.

Być może. Jedynie być może.

Dziś o świcie, tuż przed zamknięciem się w rapsodomusie, spotkała się z zaufanymi siostrami, przede wszystkim z Madoo, której wierzyła nie mniej niż sobie samej. Madoo nie była damą, lecz stanie się nią niedługo, jak tylko pojawi się jakiś wakat. Miała aparycję rudej nastolatki, ale była to tylko aparycja. Występowała pod wieloma innymi postaciami i formami, dużo mniej przyjemnymi. To właśnie za nią podążał Rulfo tamtej nocy, w czasie październikowego przyjęcia. Madoo była czymś więcej niż oczami i uszami Sagi, czymś więcej niż jej wolą i ekstrawaganckimi pragnieniami: była jej służką, przyjaciółką, jej bratnią duszą.

Słabością Sagi była Madoo. I właśnie dlatego była jej siłą.

Nowa Akelos przybyła później. Jej wersy nie zdołały przeniknąć mgły przyszłości, wyznała. Nic jeszcze nie było pewne. Kości do gry nadal pozostawały w powietrzu. Reszta szła zgodnie z planem. Dama numer dwa strzegła ich dobrze i nic nie mogło ukryć się przed jej wzrokiem. Dama numer dziesięć szpiegowała *coven* zgodnie z jej rozkazami, obserwując zachowanie sióstr, nie odkryła jednak żadnej zdrady. Wszystko przygotowano już do Ostatecznej Koniunkcji, nie miała się czego obawiać. Raquel i jej przyjaciele byli zwykłymi, bezbronnymi obcymi. Damy myślały o nich w taki sam sposób, jak dziecko myśli o najdelikatniejszej ze wszystkich posiadanych zabawek. Po Koniunkcji zostaną wyeliminowani.

Droga wolna.

Może Madoo miała rację. Kiedy wszystko minie, znowu poczuje, że stoi na twardej

ziemi. Niemniej zdecydowała zabezpieczyć się dodatkowo: recytując swojego sekretne Eliota. Nie zdradziła tego zamiaru nawet Madoo, ponieważ niezależnie od zaufania i przyjaźni, jakie je łączyły, wiedziała, że ona również mogła ją zdradzić.

Już.

Z powykręcanyimi dłońmi, drżąc z bólu, niemal całkiem wykrwawiona Jacqueline otworzyła usta, które wydały przenikliwy potężniejący skowyt. Odrzuciła głowę do tyłu, mięśnie szyi napęczniały, jakby zaczęły żyć własnym życiem. Gwoździe zagłębione w kolanach i nadgarstkach, które wcześniej wydarły z niej krzyki i łzy, teraz sprawiały, że z jakiegoś ukrytego zakamarka jej strun głosowych wytrysnął wers. Wystrzeliła go w powietrze, pod samo sklepienie rapsodomusa,

Old timber

jednym jedynym rzędem słów, przełamanym

to new fires

i agonalnym.

Kiedy skończyła, jej oczy zasnuło bielmo. Trwała nieruchomo z otwartymi oczami, wpatrując się w coś, czego nikt inny nie mógłby zobaczyć.

Nie pomyliła się. Skutek był natychmiastowy. To był plaster. Plaster lodu. Wszystkie komórki, wszystkie fraktale zamknięte geometrycznie. Lód był czarny: nie przepuszczał światła.

Przyglądała się strukturze grupy. Jej spójności, drogom akcesu. Niektóre krawędzie należałoby naostrzyć, niektóre końce podeprzeć, ale nic nie zakłócało tej bujnej symetrii, w której ona była Królową Matką.

Węszyła wokół jak ogar obwąchujący wewnątrz plastikowego modelu atomu lub holografii o skomplikowanej budowie. Wszystko było trwałe. Żadne niebezpieczeństwo nie groziło konstrukcji, nikt nie zastosował żadnego wersu, żeby zakwestionować jej pozycję damy absolutnej.

Przyczyna jej niepokoju nareszcie znikła.

Ta, która nie mrugała, uśmiechnęła się zza agonalnych rysów Jacqueline.

Posługiwanie się nawet prostymi władczymi słowami okazało się dużo bardziej

uciążliwe, niż zakładała. Dawna Saga wiedziałaby, jak to zrobić, ale dziewczyna była jedynie zwykłą ludzką istotą dysponującą środkami damy, lecz nieposiadającą jej umiejętności. Niewiele mogła zdziałać. Jednak mimo wszystko spróbuje.

Poprosiła mężczyzn, żeby opuścili mieszkanie na kilka godzin: nie chciała, żeby wiersz wyrządził im krzywdę, gdyby doszło do tego, że straci nad nim kontrolę. Rulfo i Ballesteros po krótkim wahaniu przystali na jej propozycję.

Kiedy została sama, zamknęła drzwi jadalni i okno balkonowe oraz zaciągnęła zasłony. Nie był to rapsodomus, ale powinien spełnić swoją rolę. Następnie zdjęła ubranie i usiadła na piętach na dywanie. Nic nie mogło zakłócić recytacji: ciało powinno skoncentrować się na właściwej emisji dźwięków.

Początkowo postawiła przed sobą skromne zadania. Wyrecytowała wers kilkakrotnie, oswajając się ze słowami. Szybko zdała sobie sprawę ze swojej niezdarności. Spróbowała ponownie i w końcu nabrała wprawy. Powtórzyła je raz i drugi, kiwając głową z boku na bok i zasłaniając wargi dłonią, żeby oczyścić dźwięk. Zauważyła, że słowa nabierają kształtu w jej ustach, stają się c z y m ś, czym będzie mogła się posłużyć. Wymykały się jej jednak, wyslizgiwały, nie osiągała żadnego skutku.

Kiedy Rulfo i Ballesteros wrócili, zastali ją leżącą w ciemnościach na podłodze jadalni. Nie straciła przytomności, była tylko wyczerpana.

- Potrzebuję więcej czasu i innego miejsca.

- Musisz wypocząć - odparł Rulfo.

Sposób, w jaki na niego spojrzała, świadczył jednak o tym, że nie zamierza się poddać.

- Zawieź mnie do siebie.

Godzinę później zostawili ją w mieszkaniu na Lomontano, gdzie mogła trenować przez cały dzień, przez nikogo nie niepokojona. Powtarzała ćwiczenia do momentu, kiedy jej usta były w stanie zobaczyć słowa. Wtedy spróbowała je u j ą ć, wymówić w taki sposób, żeby trzymając je za r ę k o j e ś ć, była w stanie skierować ich o s t r z e dokładnie tam, gdzie sobie tego życzyła.

Wyrzuciła je z siebie ostrożnie, skupiając się na aliteracji.

Wreszcie uznała, że jest zdolna wywołać zamierzony skutek. Poszła do kuchni i przyniosła małą szklankę. Postawiła ją na stole, a potem uklękła. Po kilku próbach wyrzuciła z siebie wersy. Nic się nie stało, optymizm jej jednak nie opuszczał. Nie trafiła w cel, mimo to była pewna, że słowa rozpoczęły swoją p o d r ó ż. Podjęła kolejną próbę, ale tym razem nie

udało się jej przekazać im energii. Próbowala i próbowała bez ustanku, setki razy, z takim samym skutkiem, aż w końcu zmęczenie, ból gardła i rozpacz zmusiły ją do kapitulacji.

Skuliła się, drapiąc paznokciami podłogę. Wiedziała, że potrafi to zrobić, wiedziała, że w końcu to zrobi, ale czuła bezbrzeżne rozczarowanie, jak atleta, wielokrotny zdobywca medali olimpijskich, który nagle sobie uświadamia, że nie może chodzić.

Rulfo zjawił się przed świtem. Zastał ją bladą, pokrytą potem, z włosami ukrywającymi jej spojrzenie, zupełnie nagą. Przypominała niebezpieczną dziką bestię.

- Musisz to zostawić i odpocząć. Jest bardzo późno.

- Nie... - Mówiła z trudem. Ból gardła dławiał jej głos. - Nie...

Zamierzała skupić się na jednej sprawie.

Myśl o nim. Myśl o tym, co mu zrobiła.

- Raquel...

- Odejdź.

Kiedy została sama, utkwiała wzrok w szklance na stole.

Myśl o tym, co mu zrobiła. O tym, jak zmusiła cię, żebyś na to patrzyła.

Z wysiłkiem próbowała wyrzucić z siebie wersy. Przy dwunastej próbie szklanka przesunęła się o kilka centymetrów. Wtedy ubrała się i postanowiła odpocząć.

W sobotę o świcie wróciła na Lomontano. Recytowała swój mały nóż godzinami, żeby do niego przywyknąć. Następnie (myśl o tym) obliczyła odległość (co mu zrobiła), nabrała powietrza i wyrzuciła go z siebie z niezwykłą siłą.

Szkło rozprysło się na kawałki.

Droga wolna, pomyślała uspokojona.

Już miała zakończyć penetrację, kiedy ją zobaczyła.

Małą pustkę, ledwie widoczne pęknięcie, które mogło być spowodowane przez niewielką larwę lub apetyt termita. Nie zrobiła go żadna z siostr. Akces utworował ktoś z z e w n ą t r z. Tylko kto?

Niemrugające oczy zagłębiły się w tę szczelinę, w ten cieniutki tunel, i wyjrzały na drugą stronę.

Nie mogła wprost uwierzyć. Raquel i osłona zdołali znaleźć sposób na zmuszenie damy numer trzynastie do wyjścia i umożliwienie im akcesu. Jak im się to udało? Czyżby tylko za pomocą snów Akelos? Nie: to dowód, że Raquel odzyskuje pamięć, co praktycznie nie było możliwe. Nie miała już wątpliwości: ktoś ją zdradził.

Na szczęście przekonała się o tym w samą porę.

Szybko wyrecytowała następny wers i zanim ciało Jacqueline skonało wśród straszliwych mąk, usunęła gwoździe i zamknęła rany. Następnie uaktywniła filakterię Owidiusza, którą wypisała na jej lewym ramieniu tak, aby na jej ciele ani na jej organach nie został najmniejszy ślad po okrutnej torturze.

Wyszła z rapsodomusa, tak jak stała, mając na sobie jedynie symbol Sagi, bez uśmiechu, z szeroko otwartymi oczyma. Krótką strofą Nerudy obróciła w popiół wszystkich obcych pracujących w tym momencie w domu i wszystkie żyjące istoty w jej otoczeniu. Nie było płomieni, krzyków ani żadnego cierpienia. Po prostu cała jej służba, wszystkie domowe zwierzęta i drobne stworzenia latające, chodzące i pełzające po ogrodzie lub po domu zostały zamienione w szary drobny pył. Potem wezwała Madoo.

- Ktoś mnie zdradza - powiedziała. - Skończył się czas zaufania.

Wyrecytowała Szekspira i Madoo eksplodowała na jej oczach jak dojrzały owoc.

Nieco uspokojona zaczęła się zastanawiać, co robić dalej.

Raquel i obcy nie byli już banalnym problemem. Stanowili zagrożenie, niewielkie na razie, niemniej godne uwagi. Należało wykończyć ich p r z e d ceremonią.

Zwołała siostry.

W sobotnią noc Rulfo spotkał się z dziewczyną w jadalni. W tym czasie Ballesteros zszedł do garażu, żeby spakować do samochodu wszystko to, co zamierzali zabrać. Z jej twarzy nie było nic poza pięknem, ale w głębi jej oczu dostrzegł coś znacznie bardziej konkretnego. Wiedział, co to jest. Teraz jest uzbrojona.

- Wiesz, dokąd mamy jechać?

- Powiedziała, że będę wiedzieć. Jestem pewna, że jak tylko wsiądziemy do samochodu, zdołam was poprowadzić. Zebranie odbędzie się poza zwyczajowymi dniami ceremonii, więc nie wykorzystają posiadłości. Przypuszczalnie nie oddalą się zbyt od miejsca, gdzie znalazły figurkę: to musi być gdzieś na obrzeżach Madrytu.

Umilkła.

- Czujesz się na siłach? - spytał Rulfo.

- Postaram się - padła odpowiedź.

Nie pozostało nic do dodania, a oni o tym wiedzieli. Wszystkie słowa były zbyteczne, z wyjątkiem tych, które zamknęła w ustach. Mimo to dodała:

- Wiem, jak bardzo cierpisz, ale zapomnisz... Tak jak ja. Żyć to zapomnieć.

Z punktu widzenia damy może to proste, pomyślał Rulfo.

Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo trudno jest orbitować wokół równika tej twarzy i

nie osiąść na niej. Zbliżył usta do jej ust. Całowali się, dopóki nie usłyszeli ciszy.

Wtedy odsunął się i spojrzał na nią: nie dostrzegł na jej twarzy żadnych emocji, poza jedną, tą samą co zawsze, tą, która rozpaliała oczy ich obojga. Zrozumiał, że łączy ich tylko pragnienie zemsty: kiedy je zaspokoją, o ile uda im się tego dokonać, każde pójdzie swoją drogą i nigdy więcej się nie spotkają.

- Dziękuję - powiedziała niespodziewanie.

- Za co?

- Sprawiliś, że się przebudziłam. Byłam słaba, teraz jestem silna. Zawdzięczam to tobie.

- Sądysz, że nam się powiedzie?

- Tak. - Starła się uśmiechnąć. - Niczego się nie spodziewają. Spróbuję wykluczyć Sagę z gry. Jeśli uda mi się ją zranić, pozostałe będą bardzo słabe. Wtedy uciekną. A może zdołamy je pokonać normalną bronią...

Rulfo odniósł wrażenie, że dziewczyna pragnie natchnąć go większą nadzieją niż ta, którą tak naprawdę żywiła sama. Nadszedł Ballesteros.

- Jestem gotowy.

Spojrzeli po sobie. Na chwilę zapadła cisza.

- A więc do dzieła - powiedział Rulfo.

XIV. OSTATECZNA KONIUNKCJA

Noc była jasna i zadziwiająco zimna. Mężczyzna, który prowadził, włączył ogrzewanie. Jego pasażerowie nawet mu nie podziękowali: wydawali się pogrążeni w głębokim zamyśleniu. Tylko od czasu do czasu dziewczyna rzucała szeptem jakieś wskazówki dotyczące kierunku, w jakim podążali. Nie mogła go przewidzieć: poznawała go, w miarę jak samochód posuwał się ulicami miasta.

Skierowali się na szosę do Burgos. Skręcili w pierwszy zjazd, potem w drugi, mniej widoczny. Dotarli do skrzyżowania i wybrali jedną z bocznych dróg. Jechali równiną przez puste pola. Po półgodzinie samotności, z rzadka zakłócaną przez inne pojazdy, dziewczyna wskazała na zwartą masę mroku i drzew po lewej stronie, w połowie drogi pomiędzy dwiema osadami. Zaparkowali na poboczu, tuż przy znaku zakazu wyprzedzania, i wysiedli z samochodu. Mężczyzna o białych włosach wyjął z bagażnika jakieś przedmioty.

Weszli w las wysmukłych pni. Gałęzie drzew rysowały pęknięcia na lodowatym kręgu księżycy, a nietoperze haftowały powietrze spiczastymi skrzydłami. Po kilku minutach milczącego marszu dotarli do polany otoczonej niewielkimi poletkami. W głębi, na szafocie góry, widać było słabe światła, być może jakiegoś domostwa.

- Pojawią się tutaj - powiedziała dziewczyna bez wahania. I wskazała na polanę.

Ballesteros sprawdził ponownie, po raz trzeci lub czwarty, czy strzelba jest nabita, a dodatkowe naboje pod ręką. Bardzo zimny, prawie lodowaty metal sprawił, że pożałował, że nie był na tyle zapobiegliwy, by wziąć rękawiczki. Uśmiechnął się na tę myśl.

Niedługo zimno przestanie mieć dla ciebie znaczenie.

Był świadom tego, że się bał, tego, że nadal ceniał sobie tę gorzką, a mimo to jakże niezastąpioną egzystencję. Siedział na ziemi oparty o pień drzewa. W trakcie pełnego napięcia wyczekiwania wyobrażał sobie siebie samego w tej właśnie pozycji, ze strzelbą na welwetowych spodniach, i nie był w stanie określić, co właściwie tu robi, jak to się stało, że

wylądował w tym miejscu, na wsi, i na co tak naprawdę czekał.

Dziewczyna po jego prawej stronie, przykucnięta za krzakiem, rozmawiała po cichu z Rulfem. O czym? O imagu i rytuałach. Niewiele rozumiał z tej rozmowy. To dotyczy tylko nas, nie ciebie, powiedział Rulfo kilka dni temu. Nagle ogarnęła go panika. Poczł przemożną chęć ucieczki. „Siedźcie sobie tutaj - chciał wykrzyknąć. - Sam powiedziałeś, to nie moja sprawa”.

Ale przecież to jest twoja sprawa. Niewątpliwie.

Odcyfrował położenie wskazówek zegarka. Za pięć dwunasta. Jakiś puchacz uparcie dopytywał się o coś gdzieś w oddali. Ballesteros wysiłał się, żeby go zrozumieć.

To jest twoja sprawa.

Pomyślał o swoich pacjentach. Pomyślał o swoich dzieciach. Wspomniał Julię. Każdego wieczoru poświęcał jej kilka minut, ten nie będzie należał do wyjątków. Podejrzewał, że wkrótce się z nią spotka, że prawdopodobnie po to właśnie tu przyjechał. Mimo wszystko zastanawiał się, czyż da się pogodzić niebo bądź raj ze światem zdominowanym przez przypadkowość wierszy? Jak pogodzić z tym Boga, Julio? Może ty już to wiesz?

Jego wiara zredukowała się do odległego, świetlistego punktu, jak obserwowane przez niego gwiazdy. Przycisnął broń do piersi, wierząc, że uda mu się zrobić to dobrze, że zrobi to, co powinien. A gdyby coś poszło nie tak... Cóż, był całkowicie przekonany, że spotka się z Julią, gdziekolwiek ona jest.

Zatopiony w samotności oczekiwania Ballesteros wyznał żonie, że nadal ją kocha.

- Jak wygląda rytuał Koniunkcji?

- Jest dość skomplikowany. Przede wszystkim recytuje się filakterię Anulowania od tyłu, żeby Aktywować imago: to znaczy przywrócić mu oryginalną moc...

- Przywrócić moc? Przecież wtedy Akelos...

- Akelos fizycznie jest martwa, fakt przywrócenia jej mocy nie ma żadnego znaczenia. Jeśli nie zostanie Aktywowana, rytuał nie zda się na nic, ponieważ Koniunkcja nie może być przeprowadzona na Anulowanym imagu. Następnie zaczyna się prawdziwy rytuał. Recytuje się i modyfikuje stosowne wersy. Czasem recytuje się je od końca. Może to trwać nawet ponad godzinę.

Mężczyzna spojrział na nią i skinął głową.

- Kiedy wkroczysz do akcji?

- Im wcześniej, tym lepiej. Muszę zapobiec połączeniu grupy. Z upływem czasu staje

się coraz mocniejsza.

Przyświadczył ponownie i ścisnął jej rękę. W odpowiedzi uśmiechnęła się przelotnie, przekonana, że mężczyzna chce jej dodać odwagi. Nie potrzebowała jej jednak. Wewnątrz była czystym napięciem, czystym pragnieniem zemsty. Wiedziała, że nadszedł moment, w którym albo obudzi się całkowicie, albo zaśnie na zawsze. Nie robi tego po to, żeby pomścić Akelos, chociaż jej przyjaciółka także była prześladowana. I nie po to, żeby zrewanżować się Sadze za piekło, w które zamieniła jej życie, za każdy jęk, jakim mierzyła czas od chwili przejścia władzy, za zniewagi i poniżenie, na jakie ją skazała, za filakterię na plecach, która przekształciła ją w piękną, tarzającą się w błocie figurkę.

Nie. Przede wszystkim uczyni to dla niego. Za to, co Saga mu zrobiła.

Popelniła błąd. Poważny błąd.

Kiedy przyczajona czekała za krzakami, wpatrując się w ciemności, pomyślała, że tak naprawdę właśnie to dało jej siłę, żeby opanować wers-sztylet i zapragnąć go użyć.

To był twój błąd. Poważny błąd.

Próbowała się odprężyć. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. Obmyślony plan był śmiały: zranić Sagę śmiertelnie. Zabić jej cielesną postać. Wiedziała, że nic już nie zdoła uratować jej syna, ale jeśli obali damę numer dwanaście, sprawiedliwości stanie się zadość. Nic nie traci, podejmując ryzyko, w każdym razie nic, na czym by jej zależało, a przy odrobinie szczęścia może liczyć na sukces. Jeśli tylko będzie miała szansę. To, co wydarzy się później, było jej obojętne.

Nic nie miało znaczenia, pod warunkiem, że sztylet ukryty w jej ustach dosięgnie celu.

Co mogło się nie powieść? Co...?

Zagrożenie, które wyczuwała, było głębokie jak noc wisząca nad nimi.

Mimo to jeśli ten wers spełni swoją rolę, będzie mogła umrzeć w spokoju.

Jakaś myśl próbowała uformować się w jego głowie. Była brakującą częścią układanki. Nie mógł jej jednak wyłowić.

Siedząc na tonącej w mroku trawie i wpatrując się w firmament, spostrzegł nagle chmurę w kształcie lwa z otwartą gardzielą, pożerającego księżyc. Popuścił wodze fantazji, wyobrażając sobie, że resztki tego księżycyca wydalone przez lwa tworzą gwiazdy. W lodowatej czerni łatwo można było rozróżnić Drogę Mleczną. Przyglądał się jej przez chwilę. Milczący liszaj, Hermes odległego światła. Wokół nie słychać było żadnego dźwięku. Pod wpływem dojmującego zimna insekty zapadły w hibernacyjny sen. Dziewczyna prawie nie oddychała, jakby również uległa hibernacji: siedziała na piętach, wyprostowana, i wpatrywała się uważnie w polanę. Teraz, kiedy księżyc zaszedł za chmurę, jej piękna twarz skryła się za

zasłoną mroku. Bujne czarne włosy poruszały się w podmuchach wiatru.

A Ballesteros? Trzymał strzelbę na kolanach i wydawał się pogrążony w swoim własnym strachu. Para wydobywająca się z jego ust była równie biała jak jego włosy i twarz. Rulfo życzył mu w duchu szczęścia. Ponownie pogładził rękojeść i srebrzystą klingę myśliwskiego noża, w który zaopatrzył go lekarz. Uśmiechnął się przelotnie na myśl o sprzęcie, jaki zabrali ze sobą: wers, strzelba i nóż. Niemniej wróg, któremu próbowali się przeciwstawić, nie należał do zwykłych. Jeśli żaden z tych przedmiotów nie okaże się skuteczny, i dynamit nic nie pomoże.

Co się tu nie zgadza? W kółko zadawał sobie to pytanie.

Akelos. Jej drobiazgowy plan, rozciągnięty w czasie: sposób, w jaki wykorzystwała Alejandra Guerina, żeby przekazać Cesarowi sekret dam, uzupełniony następnie przez odkrycia Rauschena; fakt, że pozostawiła portret i kartkę, żeby Rulfo mógł je znaleźć, a César przypomnieć sobie legendę; sny, filakterie w domu Lidii Garetti i w Centrum Mondragón, imago. Wszystkie części układanki krążyły mu po głowie, prowokując go, by ułożył z nich figurę mającą jakiś sens.

Jakiś obraz.

Byli tu po to... Po co? Po to, żeby zapobiec zniszczeniu Akelos? Nie. Co ich to, do diabła, obchodziło? I czy w ogóle ich to kiedykolwiek obchodziło? Tak naprawdę byli tu, żeby zniszczyć Sagę. Żeby się zemścić.

Akelos była bardzo przebiegła. Wybrała ich dawno temu, czyniąc mimowolnymi bohaterami nieznaney intrygi: on był osłoną, Raquel dawną Sagą, a dzięki pomocy Ballesterosa udało im się dotrzeć aż tutaj. Bardzo zręczny plan. Ale jaki był jego cel?

Wysoko na niebie rozpościerały się gwiazdne konstelacje. W dzieciństwie ojciec pokazał mu te najważniejsze. Każda z nich miała swoją nazwę, w ten sposób odróżniała się od innych. W gruncie rzeczy był przekonany, że są do siebie bardzo podobne i tylko nazwy nadają im odrębną osobowość...

Co to może być? Na Boga, co to jest?

Usiłował podsumować zdobytą wiedzę, sięgnąć pamięcią wstecz, znaleźć jakiś klucz, jakieś słowo. Był pewny, że istniało coś, na co nie zwrócili uwagi.

Konstelacje... Nazwy...

Nagle usłyszał, że dziewczyna się poruszyła. Lekko. Jakby chciała niezauważalnie dla innych zmienić pozycję. Wtedy poczuł dotknięcie jej ręki.

- Są.

Odwrócił głowę w kierunku polany. Nie zauważył nic nadzwyczajnego. Panowała

kompletna cisza.

- Co się dzieje? - wyszeptał Ballesteros.

- Są tam - powtórzyła dziewczyna, wyraźnie spięta.

On jednak widział tylko las i ciemności. Zerwał się wiatr. Chmury przesłaniające księżyc rozpięzły się. Srebrna poświata obrysowała kontury drzew i rzuciła cienie na ziemię. Cienie drzew.

- Gdzie? - spytał Rulfo.

- Tam.

Wysmukłe pnie drzew. Cienie

o kształtach

kobiety. Cienie nieruchomych kobiet. Szpaler kobiet stojących naprzeciw nich w przenikliwym zimnie, kobiet o oczach jak fosforyzujący chalcedon, o włosach zjeżonych lub gładkich, rozświetlonych księżycem, wypolerowanej, cielistej skórze połyskującej jak masa perłowa. Dwanaście nagich ciał. Dwanaście kobiecych figur. Powietrze przepełniał niedający się pomylić z niczym zapach krwi, jakby ich usta były otwartymi ranami. Zaległa głęboka cisza. Na polanie nic się nie poruszało: liście, trawa i powietrze wydawały się częścią dekoracji. Pośród tej pozbawionej życia przestrzeni nagie tęczowe ciała wyróżniały się jak pleśniawki na czarnym tle nocy.

- Nie mogą nas zobaczyć - usłyszeli głos Raquel. - Mamy akces. Nie widzą nas.

Jej głos brzmiał przekonująco, ale nie uspokoiło to ani Rulfa, ani Ballesterosa.

Wszystko w nich było rytuałem, skonstatował zaskoczony. Nawet wściekłość, nawet obsceniczność. Wyobrażał sobie bezładny dziki sabat, a spotkał się z harmonijnym, powściągliwym działaniem, gdzie każdy gest sprawiał wrażenie ćwiczonego na przestrzeni wieków.

Cztery pierwsze stanęły w odległości czternastu kroków od siebie, i klękawszy w czterech rogach wyimaginowanego prostokąta, w którym zamknęły pozostałe, pochyliły głowy. Cztery kolejne oddaliły się o jedenaście kroków, po czym uczyniły to samo. Dwie następne postąpiły osiem kroków. Dama numer jedenaście zrobiła cztery kroki i uklękła. Saga pozostała w środku i podniosła prawą dłoń zwróconą wewnętrzną stroną ku górze. Coś na niej błyszczało. Rulfo rozpoznał przedmiot. Było to imago Akelos.

- Przygotowują się do rytuału Aktywacji - szepnęła Raquel. Mięśnie jej ciała były wyraźnie napięte, jakby gotowała się do skoku. Ballesteros, wychylając się zza pnia, ścisnął z całych sił strzelbę i zapomniawszy o bożym świecie, przyglądał się pełnymi niedowierzania

oczami grupie nieruchomych istot.

Śpiewny chór dwunastu różnych głosów wzniósł się jak wiatr.

L'aura nera sí gastiga

Saga umieściła figurkę w powietrzu, na wysokości swojej głowy. Imago zawisło w nim, jakby przykute niewidzialnym gwoździem. Nastąpiła przerwa, podczas której damy podniosły się i skupiły ponownie, tym razem wokół figurki, złączone rękami w szerokim kręgu.

- Wyrecytują filakterię od końca, żeby ją Uaktywnić - wyszeptwała Raquel.

Uformowanie kręgu również nie było przypadkiem: przebiegało ściśle według hierarchicznego porządku grupy, od dziewczynki Baccularii począwszy, na Sadze skończywszy. Każda z dam, po kolei, dołączała do kręgu, ujmując dłoń towarzyski i wyciągając swoją, żeby przyjąć następną damę. Wszystko odbywało się z monotonna perfekcją, z jaką poeta szlifuje ostateczną formę swoich wierszy. Poruszając się, nie wydawały żadnego dźwięku: miały ciała kobiet, ale wyglądały jak anioły. Nawet ich nagość nie przywodziła Rulfowi niczego na myśl, poza słowami.

- Kiedy wkroczysz do akcji? - szepnął w stronę Raquel, patrząc, jak krąg się zamyka.

- Teraz. Jak tylko wszystkie się połączą i zanim zaczną recytować. Wtedy najłatwiej je zranić...

Nabierała powietrza, otwierała i zamykała usta, unosiła ramiona i zwilżała językiem wargi. Pot perlił się na jej czole i policzkach, ale nie sprawiała wrażenia zastraszonej.

Zrobi to. Będzie próbować. Jeśli się jej nie powiedzie, my tym bardziej nie będziemy mogli nic zrobić.

Powrócił do obserwacji polany. Strix i Akelos, numer dziesiąty i jedenasty, dołączyły już do kręgu. Brakowało Sagi. Zobaczył, jak uśmiechnięta stawia dwa kroki w stronę kręgu ciał, wyciąga szczupłe ramiona i spleta swoje dłonie z dłońmi Akelos i Baccularii.

Już. Krąg zamknięty.

W tym samym momencie Raquel podniosła się.

Wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Akces udostępnił jej tunel, tarczę, do której miała mierzyć. Skoncentrowała się na drobnym ciele Sagi i wypowiedziała swoją broń, *wiatrem i wodą mielą*, aliteracja wibrowała w powietrzu, *chleb*, wycelowała śmiercionośnym końcem, *wiatrem i wodą*, nadała mu impuls. Sztylet strofy wystrzelił z jej ust i poszybował,

pałący, szybki, jak miłosne spojrzenie.

Jednak chwilę wcześniej, zanim go wypuściła, zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Damy nie poruszyły się, nie zareagowały.

Czekały na niego. To pułapka.

Poczuła, że jej plecy zmieniają się w lodowate jezioro. Przyglądała się, jak Damaso Alonso, którego jej usta wyszlifowały i naostrzyły z takim wysiłkiem, traci moc i roztrzaskuje się niegroźnie, nie docierając do polany, pozostawiając w powietrzu melodyjne echo podobne do tego, jakie mogłaby wywołać dziecięca piosenka na podwórku.

Damy rozerwały krąg i zwróciły twarze w jej kierunku. Słoneczniki horroru. Żadna z nich nie wydawała się zaskoczona. Wszystkie się uśmiechały.

Błyskawicznie, jak atakujący rybołów, Saga swoim głosem wprawiła noc w drganie.

*Wiatr jest bezpańskim psem
liżącym bezbrzeżną noc.*

Potworny cios trafił prosto w dziewczynę. Poraził oddech, wolę i zmysły. Jej usta wydały dziwny jęk, krzyk głuszca, a ciało uniosło się w powietrzu i odskoczyło kilka metrów do tyłu. Rulfo, dziwiąc się sobie samemu, pomyślał całkiem zimno, że nawet strzelba Ballesterosa nie spowodowałaby takiego efektu jak ten dwuwiersz Damasa. Pojął również ironię: Saga kontratakowała tym samym poetą.

Wszystko przebiegło błyskawicznie. Ciało Raquel ścięło kilka gałęzi, a potem runęło na krzaki, wzbijając tumany kurzu. Następnie, jakby ktoś ciągnął je za nogi, zaczęło sunąć po ziemi w kierunku obu mężczyzn, aż w końcu zatrzymało się przed nimi, twarzą do góry. Sweter zsunął się dziewczynie aż pod same piersi, odsłaniając brzuch. Ale żyła. Dyszała, poruszając głową. Jej wzrok skrzyżował się na chwilę ze wzrokiem Rulfa. Nie dostrzegł w nim strachu, a jedynie swego rodzaju żal, nieskończony smutek, jakby prosiła, żeby wybaczył jej niepowodzenie. Nagle, z tą samą zawrotną prędkością, z jaką wszystko się odbywało, z jej kostek i nadgarstków z nieprzyjemnym chrzęstem wystrzeliły przezroczyste włókna, tak cienkie, że niemal niewidoczne. Ich pojawienie się prawie wcale nie wywołało krwawienia. Liany wykonały szybki piruet w powietrzu i owinęły się wokół jej kończyn i pobliskich drzew, zaciskając się i rozciągając jej członki w wynaturzony kształt iksa. Dziewczyna wygięła się w łuk i wydała z siebie niespodziewany przeraźliwy skowyt. Jęk prawdziwego bólu. Ballesteros nie chciał dopuścić do świadomości tego, co się dzieje. To nerwy. Nerwy jej ramion i nóg. Boże mój, przywiązuje ją własnymi nerwami!

- Ośmieliłaś się wykorzystać poezję przeciwko nam... - Z polany dobiegł ich głos Sagi. Inne damy powtórzyły po niej chórem jak echo: „Ośmieliłaś się... poezję...”. Dama numer dwanaście kontynuowała z powagą, z nieruchomą twarzą: - Od przyjęcia w posiadłości żyjesz na kredyt. Teraz zapłacisz nam odsetki. Powiesz, w jaki sposób weszłaś w posiadanie akcesu. Przemówisz, choćbyśmy miały pozbawić cię języka...

Dziewczyna skręcała się konwulsyjnie z otwartymi ustami, zamroczona bólem, rozdzierającym na strzępy jej wolę i siły. Nerwy torowały sobie drogę w jej ciele jak pieniaący się chwast. Wyrastały z brzucha, wypychały oczy z orbit, przegryzały kość słoniową zębów, ześlizgiwały się jak robaki po kręgach. Niekończąca się chłosta włókien, kalwaria gwoździ i potłuczonego szkła, przeszywających alarmów, rozwścieczonych jeżozwierzy.

Ballesteros zareagował pierwszy. Nie wiedział, co robi ani na co patrzy. Był lekarzem, ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział, nie podejrzewał, nawet sobie nie wyobrażał, że w ogóle może istnieć. Wstał z dużo większą zwinnością, niż można by sądzić po jego tuszy. Jego twarz wydawała się wykuta w marmurze. Ręce mu drżały, kiedy podnosił strzelbę i celował.

- Nie! - ostrzegł go czyjś głos (być może głos Rulfa). - Odejdź stąd! Wynoś się!

Ale on, oczywiście, dawno już się wyniósł. Nie było go już tam. Siedział w mieszkaniu, przed telewizorem, pogrążony w pełnej rezygnacji samotności. Mężczyzna zaciskający dłonie na strzelbie i mierzący z niej w szereg dwunastu kobiet nie był nim, tylko jego oszalałą repliką. Nic, co robił czy widział, nie było prawdą.

Światło rozproszyło się szybciej niż ogłuszający huk, ale kiedy i ten rozplynał się w powietrzu, Ballesteros upewnił się co do dwóch faktów: że udało mu się wystrzelić z obu luf jednocześnie i że damy stały nadal, nietknięte, wpatrzone w niego.

Dajcie mi trochę czasu, prosił w duchu, wiedząc, że to absurdałne i bezcelowe pragnienie. Dajcie mi tylko trochę czasu.

Złamał strzelbę i wyjął zapasowe naboje. Dajcie mi trochę czasu... Załadował pierwszy nabój. Usłyszał jakiś głos w rzędzie kobiet i dostrzegł, jak jedna z nich, zajmująca pozycję numer cztery, młoda dziewczyna o ciemnych włosach i niewinnej twarzy, z symbolem węża ześlizgującego się w przesmyk pomiędzy piersiami, zaczęła coś mówić z uśmiechem na ustach.

W uśmiechu tym zobaczył śmierć.

Dam twoje serce na pożarcie

Nie wiedział, czy to jakiś wiersz, nie rozpoznał autora ani nie przeczuwał, jaki może być jego skutek, ale wiedział z całkowitą pewnością, że wszystko się skończyło. To koniec, pomyślał przez ten niewielki ułamek sekundy, który dama przeznaczyła na recytację. Chciał przypomnieć sobie Julię. Chciał uczynić to świadomie, dopóki był jeszcze panem swoich myśli, swoich pragnień, swojej woli. Kocham cię, pomyślał. Nagle przerażający wściekły ból, głęboki i nieustępliwy niby ugryzienie rottweilera, ścisnął mu głowę jak imadło. Wypuścił strzelbę, zachwiał się i uderzył o pień drzewa.

Nie zdążył już pomyśleć o niczym innym.

Gęste strużki krwi wypłynęły z nosa, oczu, ust i uszu lekarza, jakby zawartość jego czaszki nagle eksplodowała. Krzyk zamienił się w niezrozumiały bełkot, a potężne ciało uderzyło o drzewo. Raz i drugi. Potem wszystko ustało. Ballesteros, nadal stojąc, ścisnął skronie, jakby chciał sprawdzić, co tak naprawdę dzieje się w jego mózgowicy. Wtedy kolejny dziewięciokrotny podmuch rzucił go na ziemię.

Rulfo nie czuł strachu, tylko przeogromny żal, od którego ścisnęło mu się gardło i wilgotniały oczy. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął zaoszczędzić takiego końca przyjacielom. To on poniósł klęskę, nie oni.

Zdecydował, że nie może ich zawieść.

Zaciskając dłoń na nożu, podniósł się i ruszył w stronę polany. Nie spieszył się: posuwał się rytmicznie, z niezwykłym spokojem, jakby zamierzał podać rękę tym dwunastu nieruchomym figurom lub złożyć pocałunek na ich ustach. Rozróżnił gąbczaste, białawe ciało otyłej kobiety i skierował się w jej stronę.

Dama z fioletowymi, szerokimi jak u jakiegoś dziwaczego jaszczura ustami, patrzyła na niego, zezując. Zaczęła recytować.

- *Comme le fu...* - Przerwała, potrząsnęła głową, poprawiła się: - *Comme le fruit foi...* Nie, pomyliłam się... *Comme le fufu...* - Damy zareagowały krotchwilnym chichotem. Otyła kobieta zaczerwieniła się. - Nie pieszczcie mnie, siostry... - Rulfo podchodził coraz bliżej. W jego spojrzeniu było coś przerażającego, ale otyła kobieta wcale nie wyglądała na przerażoną. - Już wiem! - Kropelki śliny wytryskiwały z jej ust, kiedy recytowała, wskazując palcem na Rulfa:

Comme le fruit se fond en jouissance

W chwili gdy podnosił nóż, żeby zadać cios, jakaś przemożna niemoc powaliła go na

kolana. Osunął się, jak pusty worek, twarzą na trawę. Leżał tam bez ruchu, bez sił, czując, jak ciężar noża wyłamuje mu palce, i słuchając głosu damy dobiegającego gdzieś z góry.

- Dlaczego się śmiałyście? Jestem już stara, niektórych fragmentów nie pamiętam...

Wściekłość opanowała go całkowicie, robił wszystko, żeby się podnieść. Ale wers Paula Valery'ego pogrążył go w pustce wyzutej z jakichkolwiek wrażeń, w cementarzu sparalizowanego, bagnistego ciała, z którego dna wpatrywał się bez nadziei w nogi swoich oprawców. Wtedy usłyszał dziewczęcy głos Sagi.

- Biedne i żałosne istoty! Jesteście tylko ciałami, z którymi możemy robić to, co nam się spodoba... Najpierw zniszczymy imago. Potem zajmiemy się wami. Życie ma swój początek w słowie i do niego powraca: zanim wypowiemy ostatnie, pozostaniecie żywi i świadomi, dotkniecie dna i zobaczycie, co się kryje u korzeni świata, w samym środku rzeczywistości, wśród lodu i ciszy. Przyszła kolej na was. Nie będzie to miła chwila, ale zapewniamy, że będzie trwała b a r d z o d ł u g o.

Krąg uformował się ponownie. Pozycje, splecione dłonie. Rulfo przyglądał się wszystkiemu, leżąc na trawie. Kilka centymetrów od jego głowy pojawiły się czyjeś pięty, białe, białe stopy, należące nie wiadomo do kogo.

Krąg. Pozycje i hierarchia. Imiona i konstelacje. Żadna z dam nie mogła wyprzeć się swojej pozycji, zajmowanego miejsca, tajemnego imienia ani symbolu...

imago

Nazwy. Nazwy gwiazd i konstelacji. Ale konstelacje są do siebie podobne... różnią się tylko nazwami.

imago, plan

Nagle wszystko stało się dla niego całkowicie jasne.

imago, plan to imago

Gastiga sí nera l'aura. Filakteria została wyrecytowana od końca. Zaległa cisza. Nagle stopy oddaliły się od niego. Krąg znowu się rozsypał. Przemknęło mu przez głowę, że może Saga domyśliła się tego, co on.

Ale o sekundę za późno.

Imago. Plan to imago.

Uaktywniłyście je. Ale to nie jest imago Akelos, idiotki.

Nie wiedział, co się dzieje, choć zamieszanie, jakie wokół niego zapanowało, było wyraźne. Nie mógł się uśmiechać, ale jego myśli, nieoczekiwanie, stały się uśmiechami w nim samym.

Coś tak prostego, a zarazem tak trudnego dla was... Imiona, słowa, które stanowią waszą jedyną tożsamość... Słowa imion...

W jego polu widzenia pojawiły się kolejne bose stopy. Zobaczył jakąś nieznaną podchodzącą do dam. Przez chwilę wydawało mu się, że to Raquel. Ale to nie była ona. Nigdy nią nie była, przynajmniej nie w tej postaci. Tatuż na plecach znikł. Miał ochotę roześmiać się wewnątrz swojej niedołężnej postaci.

Uaktywniłyście imago Raquel, głupie. Akelos musiała je zamienić na długo przed śmiercią. Jak to zrobiła...? Wymazała imiona, pomieszała je, pograżyła swoją własną figurkę w wodzie, Anulowała samą siebie i zachowała figurkę Raquel, tę, którą wy zatopiłyście w akwarium, a teraz Uaktywniłyście... Raquel nie była jednak martwa: tkwiła tutaj, w ciele dziewczyny. Na tym polegał cały plan: ściągnąć nas tutaj i czekać na ten moment...

Prawdziwa Raquel była niższa niż dziewczyna, ale figurę miała doskonałą. I krótkie słomkowe włosy. Rulfo widział ją tylko z tyłu.

A jedno z waszych praw mówi, że nie może być dwóch dam w grupie na tym samym stanowisku w hierarchii... starsza ma przewagę.

Damy rozstępowały się przed przybyłą wśród pełnych szacunku spojrzeń i wibrującej ciszy. Rulfo nie widział wyrazu twarzy Sagi, ale modlił się o to, żeby miała taki, jakiego się spodziewał.

W ciemnym wnętrzu ciała Jacqueline oczy, które nigdy nie mrugały, zobaczyły zbliżającą się Raquel i pożegnały się ze światłem.

Nie była już tylko Raquel. Była na nowo Sagą. Jacqueline wpatrywała się zafascynowana w jej majestatyczną postawę, wytworne ruchy i grobową powagę malującą się na jej twarzy, w której oczy błyszczały jak hydrofany. Zdała sobie sprawę z własnej słabości, własnej nicości, i zrozumiała, że znowu staje się jej odwieczną służką. Saga zbliżała się do niej z majestatycznością królowej. Albo tygrysa.

Pomimo wszechogarniającego ją przerażenia nie mogła nie podziwiać mistrzowskiego i prostego planu Akelos, intrygi, którą Pani Przeznaczenia potrafiła uknuć. Wszystko stało się dla niej oczywiste, tak oczywiste, że oprócz trwogi ogarnęło ją poczucie swego rodzaju

triumfu. Była głęboko wdzięczna za otrzymaną wiedzę. W końcu ją przecież posiadała.

Wiedziała już, dlaczego żadna z nich nie mogła zobaczyć imago: ich wysiłki kierowały się ku figurce Akelos, a to nie o nią chodziło. Wiedziała już, dlaczego Raquel odzyskała pamięć: imago, które wyciągnęła z wody, było jej własnym, a kiedy znalazło się poza wodą, wspomnienia również zaczęły napływać. Wiedziała też, po co Akelos zwerbowała osłonę za pomocą snów, doprowadzając do spotkania tego mężczyzny z Raquel i do kradzieży figurki: należało udostępnić im akces i sprowadzić ich tutaj dziś w nocy. Zrozumiała, dlaczego Raquel musiała przebyć tę długą i bolesną drogę powrotną: gdyby tego nie zrobiła, oddanie władzy takiemu umysłowi jak umysł dziewczyny po prostu by ją zabiło. Nareszcie wiedziała wszystko.

Akelos zamieniła słowa na woskowych figurkach i umieściła na nich wersy, żeby nikt nie mógł tego odkryć. Genialne: kiedy słowa zmieniają miejsce, nie istnieją słowa, dzięki którym można to odkryć.

Cały czas martwiła się z powodu niewłaściwej figurki.

Miała też niezbitą pewność co do innej sprawy: Akelos przewidziała, że *coven* wydali Raquel, a ona, Jacqueline, przejmie władzę. I przygotowała wszystko, żeby zahamować ten proces. Nie było nigdy, od samego początku, innej zdrajczynie niż Akelos. Nawet martwa, nawet Anulowana, pociągała za sznurki, żeby doprowadzić do... Czego? Do powrotu wydalonej Sagi i wyeliminowania jej, Jacqueline. Naprawdę godne podziwu.

A jeśli to prawda, syn Raquel...

Poruszona tym ostatnim odkryciem padła na kolana, zerwała z szyi symbol w kształcie małego złotego lusterka i wyciągnęła go w stronę dawnej królowej. Doskonale знаła swoje przeznaczenie. Wiedziała, że Raquel okaże mniej litości, niż ona okazała dziewczynie: zmieni ją w coś znacznie gorszego niż ciało obcej, zrobi coś straszniejszego niż chłosta, wydanie jej w ręce obcych, poniżanie, torturowanie czy zabicie najdroższej jej osoby. Wizja przerażającej kary, której bez wątpienia zostanie poddana, sprawiła, że cała drżała, szczękały jej zęby, z trudem łapała powietrze. Ale fakt, że nareszcie zrozumiała wszystko, nadał jej fizjonomii nowy wyraz, którego nie mogła przewidzieć.

Uśmiechnęła się.

Dama numer dwanaście, świeżo koronowana, przyjęła symbol, powiesiła go na szyi i spojrzała na swoją dawną sługę, klęczącą u jej stóp: przypominała nastolatkę umierającą z zimna, uczestniczkę szkolnej wycieczki, która zapodziała w lesie swoje ubranie. Nie była już niczym innym.

Nie chciała z nią rozmawiać. Ani nawet na nią patrzeć. Ułożyła wiele skomplikowanych planów zemsty, ale miała czas na ich realizację. A jednak zdecydowała się zadać jej jedno pytanie. Jedyne, jakie kiedykolwiek jej postawi. Ostatnie słowa, jakie skieruje do tej, która była już tylko kruchą, nagą istotą, zanim przygniecie ją lawiną potencjalnego bólu. Wymówiła je bez emocji, ze ściśniętymi zębami, cichym szeptem.

- Dlaczego zabiłaś mojego syna?

Zaskoczyła ją natychmiastowa odpowiedź.

- Z tego samego powodu, dla którego ty go spłodziłaś, chociaż o tym nie wiesz. - Jacqueline nie ośmieliła się podnieść oczu, lecz nadal się uśmiechała. - Po to, żeby Akelos mogła mnie wyeliminować.

Daleko od nich oczy Rulfa zamykały się powoli. Cieszył go ostatni obraz zarejestrowany przed pożegnaniem: otyła kobieta, w pewnej odległości od pozostałych, blada, rozedrgana, szukająca bezskutecznie pomocy, świadoma wyroku losu, podobnie jak Saga...

Ale kiedy ciała dam i trawa, na której leżał, zapadały się w ciemność, a mrok, jak ostatni element układanki, wtapiał się w jego źrenice, nawiedziło go dziwne nieoczekiwane uczucie: odniósł wrażenie, że ma halucynacje. Że oszalał po śmierci Beatriz i to wszystko (czarownice, władcze słowa, nadprzyrodzona zemsta) nie jest niczym innym jak rezultatem,

ostateczną puentą

jego

szaleństwa.

Z tym przeświadczeniem zanurzył się w ciemność.

Emma odwiedziła go w czasie świąt Bożego Narodzenia i uznała, że jego stan znacznie się pogorszył. Stracił apetyt i wydawał się pogrążony w zimowej apatii. Przestał jednak pić. Jakby w którymś momencie ubiegłego roku wyzbył się przywar i zalet, a teraz czekał, by zapełnić się nowymi.

- Długo to już trwa?

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

Miała wrażenie, że zna go dobrze: jej brat był wielkim pasjonatem, może nawet zbyt wielkim, ale od śmierci ukochanej dziewczyny cała jego energia jakby opadła na dnie jakiejś studni, z której nie próbowała się już nawet wydostać. Kiedy zdała sobie sprawę, że Rulfo potrzebuje pomocy, skontaktowała się z przyjaciółmi z Madrytu. Następnie oświadczyła, że zamierza mu sfinansować terapię psychologiczną. Ku jej zaskoczeniu wyraził zgodę.

W następnym tygodniu, we wtorek, po wyjściu z pracy (znalazł posadę sprzątacza w jednej ze szkół. Jego siostra załamywała ręce, ale zapewnił ją, że jest szczęśliwy. Nie chciał pracować jako nauczyciel. Nie chciał wykładać literatury. Czyścił podłogi i wysiłek fizyczny sprawiał mu zadowolenie) przypomniał sobie, że wyznaczono mu na dzisiaj pierwszą wizytę w gabinecie. Nie chciał robić przykrości Emmie, nie stawiając się na to spotkanie, wszedł więc do samochodu i pojechał tam.

Jak tylko przekroczył szklane drzwi z małymi jodełkami po bokach, stanął w miejscu, przyglądając się holowi. Chwilę później podszedł do recepcji, opanowany przemożnym uczuciem niepokoju. „Centrum Mondragón”, przeczytał na wizytówce przypiętej agrafką do bluzki recepcjonistki. Podał swoje nazwisko, dziewczyna wklepała je do komputera.

- Ma pan umówioną wizytę u doktor Jiménez Pazo, na pierwszym piętrze. Sala E1.

Już miał podziękować za udzieloną informację, kiedy nagle stanął jak porażony.

- Przepraszam, która sala?

Powtórzyła. Nawet jeśli zaskoczył ją wyraz twarzy mężczyzny, nie dała tego po sobie poznać. Z pewnością uważała, że do takich miejsc przychodzą sami dziwni ludzie.

Ruszył korytarzem jak we śnie. Nie wiedział, co mu jest, był bardzo zdenerwowany, pociły mu się dłonie. Uspokoił się trochę po wejściu do windy, ale znalazłszy się na pierwszym piętrze, zatrzymał się ponownie, tym razem przed rzędem luster zdobiących korytarz. Drzwi sali E1 odbijały się w pierwszym z nich. Zapukał lekko, jakiś głos zaprosił go do środka.

Doktor Sofia Jiménez siedziała za biurkiem. Była kobietą o wesołej twarzy i błyszczących oczach. Ale kiedy Rulfo usiadł na wprost niej, nawet na nią nie spojrzał: wbił wzrok w ścianę za jej plecami, jakby czegoś tam szukał.

- Przepraszam, zdjęto... z tej ściany dyplom?

Pani psycholog uniosła brwi. Spośród wszystkich zadziwiających sposobów, w jakie jej pacjenci zaczynali terapię, ten z pewnością zasługiwał na pierwsze miejsce.

- Dyplom?

- Coś w tym stylu... Ze zdjęciami z promocji uniwersyteckiej czy też...

- Był pan tu wcześniej?

Rulfo zamilkł. Po czym powiedział:

- Nie. Musiałem się pomylić.

- Niekoniecznie - pomogła mu z uśmiechem. - Jestem tu nowa. Miesiąc temu gabinet zajmował ktoś inny. Z pewnością powiesił swoje dyplomy na ścianie. Dlatego pana o to zapytałam.

Rulfo pokiwał głową. Zaczęła się terapia.

Szybko uświadomił sobie, że ta kobieta mu się podoba. Nie była piękna, nie miała głębokiego czy szczególnie uroczego spojrzenia, ale była interesującą rozmówczynią, uśmiech rozświetlał jej twarz, a riposty były trafne i inteligentne. Jednak najbardziej podobał mu się jej uśmiech. Czasem miał nawet wrażenie, że sam udziela błyskotliwych odpowiedzi, żeby wywołać go jeszcze raz na jej twarzy.

- Jest pan bardzo milczącym człowiekiem - usłyszał jej stwierdzenie po drugiej sesji.

- Wszyscy wewnątrz jesteście tacy - stwierdził.

- Ale na zewnątrz nie ma wielu takich jak pan.

Rulfo nie zamierzał tego komentować. Przyszło mu na myśl, że wewnątrz ciała nie ma światła ani prawie żadnych dźwięków, poza uderzeniami serca. Słowa natomiast nie wypływały z ciała. Słowa przychodziły z odległych rejonów i nawiedzały umysły ludzi.

A teraz nowe słowa i obrazy nawiedzały jego.

Ale nie chciał jej o tym powiedzieć.

Następnym rytuałem stały się spacerunki do gabinetu w Chamberí, gdzie czekał, aż doktor Ballesteros zakończy przyjmowanie pacjentów. Z początku poświęcał na to dwa popołudnia w tygodniu; potem ograniczył swoje wizyty do jednej na miesiąc lub na dwa. Ale zawsze był mile widziany. Pacjent i lekarz wychodzili razem, siadali w jakiejś kawiarence, żeby się czegoś napić (byłe nie alkoholu), i ucinali sobie pogawędkę. Ballesteros lubił tego powściągliwego, wykształconego młodego człowieka o mrocznym spojrzeniu. Byli przyjaciółmi, od kiedy Rulfo po raz pierwszy zjawił się w jego gabinecie, w połowie października ubiegłego roku, z powodu jakichś dziwnych koszmarów, które nigdy więcej się nie powtórzyły, czego Ballesteros sobie gratulował.

Tego popołudnia Ballesteros pokazał mu zdjęcia swojej pierwszej wnuczki. Na jego twarzy widniał pełen dumy uśmiech debiutującego dziadka, rozpiekało go szczęście i chciał się nim podzielić z Rulfem. Po wyrażeniu zachwytu nad urodą małej Rulfo powiedział:

- Siostra opłaciła mi sesje terapeutyczne w prywatnej klinice. Mówi, że mam depresję.
- Dobrze zrobiła. Jak ci idzie?
- Czuję się dużo lepiej. Pogodziłem się już ze śmiercią Beatriz.

Lekarz uniósł białe brwi w geście podziwu. Niewiele razy jego przyjacielowi udawało się wymienić imię dziewczyny bez płaczu. Zinterpretował ten fakt jako oznakę powrotu do zdrowia.

- To wspaniale - przyznał.
- Jest jeszcze coś. - Rulfo wpatrywał się w niego z uwagą. - Wizyta w tej klinice przypomniła mi kilka spraw... Zapomnianych faktów. Nie patrz tak na mnie, nie oszalałem. Natknąłem się na coś w rodzaju wolnego końca, pociągnąłem za niego i teraz wiem już wszystko... - Nagle oparł się łokciami o kawiarniany stół i zmienił ton. - Eugenio, pamiętasz koszmary, jakie dręczyły cię w listopadzie ubiegłego roku? Te, o których mi opowiadałeś?

Ballesteros zmarszczył brwi.

- W listopadzie ubiegłego roku miewałem jedynie silne migreny. Ale jak wiesz, wszystko wróciło do normy.

- Nawiedzały cię również koszmary... Śnił ci się las pełen krwi, jakieś gorejące oczy, dziewczynka o jasnych włosach mieszkająca pod twoim łóżkiem...

- Ach, tak! - Ballesteros wybuchnął śmiechem. - To były sny związane z Julią. Nie powtórzyły się więcej. Ja także próbuję pogodzić się z tym wszystkim.

Wyglądało na to, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał jego przyjaciel. Nachylił się ku niemu jeszcze bardziej.

- Nie pamiętasz bardzo ładnej dziewczyny o długich, czarnych włosach? No już

dobrze, wiem, że nie. - Machnął ręką, nie dopuszczając Ballesterosa do głosu. - Jeszcze kilka dni temu ja też niczego nie pamiętałem. Wiesz, co myślę? - Zawahał się, jakby nie miał odwagi nic więcej dodać. Ale powiedział: - Myślę, że wymazała nam pamięć. Całkowicie. Zrobiła to, żeby nas uratować.

- Kogo masz na myśli?

- To logiczne. Wiedząc to, co wiedzieliśmy, nie moglibyśmy dalej żyć, ale nie chciała nas zabić. Ożywiła cię, wyleczyła nasze rany, wymazała najmniejszy ślad po tym, co się stało, łącznie z naszymi wspomnieniami...

Otwarte szeroko szare oczy lekarza przypominały spodki.

- Salomonie... Jesteś pewny, że ta terapia jest skuteczna?

Rulfo nie odezwał się. Jej postać pochylająca się nad Ballesterosem, a potem nad nim, a następnie oddalająca się w kierunku grupy, była ostatnim obrazem, jaki odtworzył jego umysł, kiedy owej listopadowej niedzieli obudził się w swojej własnej sypialni. Zawsze myślał, że to tylko sen, ale teraz był prawie pewny, że to wszystko stanowiło część rzeczywistości: damy, tragedia Cesara i Susany, prawda o Beatriz Dagger... Prawie pewny. Nawet jeśli, żeby żyć, muszę dalej wierzyć, że to był tylko sen, pomyślał.

Żył równie głębokie przeświadczenie, wpatrując się teraz w zaskoczoną twarz przyjaciela, że nigdy więcej nie będą ich niepokoić, ponieważ nie są już nimi zainteresowane. Byli ważni, dopóki stanowili część planu, słów, wersów. Teraz należeli jedynie do zwykłych ludzkich istot. I nadal żyli.

Pomyślał o niej przelotnie, zastanawiając się, czy ona również jest szczęśliwa, i życząc sobie, żeby tak właśnie było. Teraz, kiedy znowu przewodniczy grupie, może znalazła nareszcie należne jej odwieczne miejsce. Możliwe, że powróciła też dawna Akelos. A jeśli chodzi o jej syna... Jak to ona powiedziała owej nocy, zanim pojechali do lasu? „Żyć to zapomnieć”. Miała rację, teraz to rozumiał. Życie, prawdziwe życie, to terażniejszość, leży tutaj na stole uchwycone przez polaroid, z oczami szeroko otwartymi na świat. Pierwsza wnuczka Eugenia Ballesterosa.

- Daj spokój. - Uśmiechnął się. - Nic mi nie jest. Mam to już za sobą.

Przyjaciół patrzył na niego przez chwilę w milczeniu, bliski i serdeczny jak uścisk.

- Cieszę się, bez względu na to, co to było - powiedział w końcu.

Towarzystwo Sofii Jiménez sprawiało mu coraz większą radość. Nie ulegało też wątpliwości, że ona odwzajemnia to uczucie. Kiedyś wyznała mu szczerze: jest rozwódką i nie zamierza angażować się w nowy związek dwustronnych miłosnych wzlotów i upadków.

Pragnęła jedynie wielkiej przyjaźni, odrobiny namiętności i bezgranicznego zrozumienia. Dokładnie tego samego, czego chciał Rulfo. Tak jej zresztą powiedział. Widywali się, a ona uczyniła go szczęśliwym, zwłaszcza pod jednym względem.

- Nie zadedykowałeś mi jeszcze żadnego swojego wiersza. A twierdzisz, że jesteś poetą. I nie mówię tego z wyrzutem: cieszy mnie to. Świadczyłoby to jedynie o zwykłej niedojrzałości.

Od tej chwili bez przerwy o tym myślał. Pewnego słonecznego popołudnia, na samym początku wiosny, otworzył zeszyt i zasiadł nad pustą kartką. Wziął do ręki ołówek. Wiedział, że będzie to jego ostatni wiersz. Czuł już nadchodzącą ciszę, ciszę w kształcie chmury i kolorze snów. Pomyślał, że przeżyje jeszcze wiele lat. Istniała nawet możliwość, że będzie równie szczęśliwy jak Ballesteros ze swoimi dziećmi, ale nikt już nie wydrze mu tej ciszy z wnętrza.

Ukochanej ciszy.

Zaczął pisać.

W oknie jeszcze trwa słońce

Nie ma już słów

Czuć

Nagle przerwał. Coś było nie tak.

Zrozumiał, że nie ma natchnienia. Muzy mnie opuściły. Ostatecznie. Kiedy zdał sobie sprawę z ich nieobecności, niemal wybuchnął śmiechem.

Niemniej nadal pisał.

Zstępuję

Tylko zstępuję

I co widzę

Co tak naprawdę widzę

Tam

Na dole

Co

?